

Johnson Myra

Kwiaty Edenu 01

Upragniony deszcz



Zoe, mojej pierwszej wnuczce i rodzinnej artystce.
Zachowałam wszystkie Twoje piękne rysunki, które mi
podarowałaś. Każda babcia, mama czy ciocia powinna mieć w
życiu tak wspaniałą dziewczynkę, jaką jesteś Ty.

Podziękowania

Jestem niewypowiedzianie wdzięczna Kathleen Carroll, br. Danielowi Krogerowi oraz wszystkim w wydawnictwie Franciscan Media za przyjęcie mnie z pełnym profesjonalizmem i życzliwością. Szczególnie dziękuję mojej edytorce, Ericie McIntyre, za cenne rady i pomoc. Praca z Tobą to czysta przyjemność.

Jak zawsze, dziękuję mojej agentce i ukochanej przyjaciółce, Natashy Kern. Jestem Ci głęboko wdzięczna nie tylko za nieustanną wiarę w moje pisarskie umiejętności, ale również za to, że znalazłaś szczególne miejsce dla tej historii.

Nie mogę też nie wspomnieć o wspaniałych przyjaciółach z „Seekerville”, www.seekerville.net, którzy wspierali mnie w modlitwie, dodawali otuchy i ogólnie przyczynili się do tego, że pisanie dało mi mnóstwo radości!

Nie mogłabym nic zrobić, gdyby nie mój oddany i troskliwy mąż. Jack, z każdą moją kolejną książką stajesz się coraz lepszym kucharzem! Dziękuję też moim kochanym córkom, Johannii i Julenie za ich nieustające zachęty. Mam nadzieję, że wiecie, jak bardzo jestem z Was dumna.

Bóg prawdziwie mi błogosławi przez rodzinę, przyjaciół i moje powołanie. Chwała Panu!

Zaiste, podobnie jak ulewa i śnieg spadają z nieba i tam nie powracają, dopóki nie nawodnią ziemi, nie użyźnią jej i nie zapewnią urodzaju, tak iż wydaje nasienie dla siewcy i chleb dla jedzącego, tak słowo, które wychodzi z ust moich, nie wraca do Mnie bezowocne, zanim wpierw nie dokona tego, co chciałem, i nie spełni pomyślnie swego posłannictwa.

Iz 55,10- n¹

1.

Eden, Arkansas
Sierpień 1930

Śnieg, cudowny śnieg! Zimny, mokry i ciężki. Puszyste płatki muskały policzki Bryony jak mrożne pocałunki. Przenikała ją czysta rozkosz, więc tańczyła, obracając się i obracając, i obracając - jej bosc stopy wzniecały śnieżne drobinki, aż wokół niej wzniosła się chmura kryształków...

- Bry. Bryony! - Coś ciężkiego uderzyło w sam środek klatki piersiowej Bryony. - Przesuniesz się wreszcie? Jest wystarczająco gorąco, nawet jak na mnie nie sapiesz.

Na początku słowa siostry nie docierały do niej. *Gorąco?* Jeszcze chwilę temu tańczyła wśród śnieżnej zasy!

Potem razem z duszącym upałem sierpniowej nocy uderzyła ją rzeczywistość. Bryony przekręciła się na plecy i rozmasowywała mostek, wciąż odczuwając ból tam, gdzie trafił ją łokieć Larkspur. Gdy przyjdzie grudzień, kiedy mróz zetnie ziemię i zimne wiatry będą dobijać się do okien, wszyscy będą marzyć o tych ciepłych letnich dniach.

No, może nie licząc *tego* lata.

Bryony podciągnęła kolana i zaczęła wachlować się rąbkiem swojej cienkiej bawełnianej koszuli nocnej. W głowie

się nie mieściło, jak udało im się przeżyć ten przerażający ukrop - a to jeszcze wcale nie był koniec. Nawet nieprzerwane cykanie świerszczy brzmiało jak jedna wielka skarga.

Wzdychając tak ciężko, że powiew powietrza mógł poruszyć mokre pasma włosów opadających na jej czoło, Bryony mozolnie dźwignęła się i opuściła nogi ze swojego wąskiego łóżka. Zza moskitiery werandy widniał w oddali zarys zarośli na polu bawełnianym. Prześwitujące pomiędzy gałęziami różowe promienie podpowiadały, że wschód słońca już blisko. Nie było więc nawet co próbować zdrzemnąć się na te kolejne pół godziny, tym bardziej, że właśnie zbliżała się najchłodniejsza część dnia. Mogła równie dobrze wstać i się zebrać.

Ostrożnie, żeby nie zbudzić obydwu śpiących jeszcze sióstr, Bryony minęła ich łóżka, otworzyła moskitierę i cicho przeszła po wysuszonej, szczecinowatej trawie. Szybko odwiedziła wychodek, a potem wyciągnęła wiadro wody ze studni i opłukała twarz. Nie było to tak orzeźwiające jak płatki śniegu, o których śniła, ale przynajmniej mokre. Podczas gdy kropelki spływały po jej twarzy i szyi, skierowała wzrok w stronę strumienia i wyteżyła słuch, wyłapując szum wody rozbijającej się o kamienie zmierzającego do rzeki strumyka. Nie za wiele tej wody było ostatnio i rzeka też zrobiła się wyjątkowo płytka. Bryony nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni padał deszcz.

Jakiś ruch zwrócił jej uwagę - ciemny kształt unoszący się i pochylający wzdłuż równych rzędów bawełny. To mógł być tylko dziadek rozpoczynający kolejny długi, straszliwie upalny dzień. Zatrzymał się na chwilę, popatrzył w jej stronę i pomachał. Nie było jeszcze na tyle jasno, żeby mogła dojrzeć jego uśmiech, ale była pewna, że rozjaśnia teraz

jego twarz. Dziadek Rigby uśmiechał się nie dlatego, że był szczęśliwy, ale dlatego, że nie chciał pozwolić sobie na utratę nadziei.

- Każdy jeden dzień, gdy możemy po prostu oddychać, to dla nas dar - mówił. - Jeszcześmy nie umarli, więc nie przestajmy kontynuować tego, co do nas należy.

Bryony nie była pewna, czy podziela ten rodzaj cynicznego optymizmu dziadka. Chciała wierzyć, że coś dużo lepszego czekało na nich na drugim końcu tej suszy i gorąco pragnęła, by zawierało się w tym coś więcej niż tylko *kontynuacja*.

Suche letnie powietrze zdążyło już wchłonąć wszelką wilgoć z jej skóry, tak samo jak wysuszało łądygi bawełny, które dziadek wciąż pielęgnował. Zbiory będą co najmniej żałosne i z pewnością nie dadzą z odziarniarki tyle, żeby mogli utrzymać się z tego przez zimę.

Zima... płatki śniegu... Bryony marzyła, by znów poczuć chłód, choćby na pięć minut.

Jęknęła, wnosząc wiadro wody do ogródka warzywnego, i wydzieliła skromne porcje każdej skarłowaciałej roślince.

- Pijcie sobie. Nigdy nie wiadomo, kiedy następna kropla nie stanie się tą ostatnią.

Do czasu, gdy uporała się z podlewaniami, dziadek wrócił już do domu. Jego poźółkły podkoszulek pod spłowiałymi dżinsowymi ogrodniczkami był cały przesiąknięty potem. Wachlował zaczerwienioną twarz słomkowym kapeluszem z szerokim rondem, który już dawno miał za sobą czasy świetności.

- Wygląda na to, że można już zbierać bawełnę. Trzeba zbudzić dziewczęta, żebyśmy mogli zacząć.

- Oczywiście. - Bryony potrafiła sobie wyobrazić, jak zachwycone będą jej siostry. Musieli wszyscy zakasać rękawy, w przeciwnym razie nie daliby rady. Tak już było rok rocznie od dwunastu lat, od czasu kiedy mama po raz pierwszy przywiozła je tutaj i zaczęły żyć na farmie, którą dziadek dzierżawił na plantacji Brookbirch należącej do państwa Heath.

Już wtedy babcia udała się na wieczny spoczynek, a niecałe cztery lata temu dołączyła do niej mama. Stary człowiek wraz z trzema chudymi dziewczętami starający się utrzymać farmę? To jakieś szaleństwo. Najzwyklejsze, kompletne szaleństwo.

- Lark. Rose. Wstawać! - Bryony pozwoliła, żeby moskitiera z trzaskiem zamknęła się za jej plecami i obie siostry zerwały się z łóżek.

- Na miłość boską, Bry - wyrzuciła z siebie z irytacją Larkspur, przeciągając jednocześnie zgrabiałymi palcami po zmierzwionych włosach.

Rose, najmłodsza w rodzinie, rudowłosa szesnastolatka, wyskoczyła z łóżka z energią, dokładnie tak, jak przewidywała to Bryony. Z nich wszystkich Rose kochała farmę najbardziej, może nawet bardziej niż dziadek.

Z niepokojem myśląc o zbieraniu bawełny w takim upale, Bryony ruszyła do kuchni.

- Rose, zajmij się wydojeniem krowy i sprawdź, czy kury obdarowały nas dzisiaj jakimiś jajkami. Lark, nakryj do stołu na śniadanie.

- Ależ się rządysz! - burknęła Larkspur, przechodząc obok Bryony.

Zabolało ją, ale zdołała powstrzymać opryskliwą odzywkę.

Tylko w kącikach oczu zakręciły się jej łzy.

- Nie przejmuj się nią. - Rose przytuliła Bryony wystarczająco, żeby ją pocieszyć, a nie przekazać zbyt wiele ciepła. - To przez ten upał. Wszyscy jesteśmy tacy drażliwi.

Drażliwi - pomyślała. To nawet w połowie nie oddawało tego, jak czuli się naprawdę.

- Będzie jeszcze goręcej. Dziadek mówi, że bawełna jest już dobra.

W oczach Rose pojawił się wyraz oczekiwania i zaraz po nim - zrozumienia.

- Będzie kiepsko, prawda?

Bryony wiedziała, że siostra nie mówiła o czekającym ich upalnym dniu. Skinęła, odpowiadając:

- Będzie.

- Damy radę, Bry. Sama nie wiem jak, ale przeżyjemy. Bóg nie może pozwolić, żeby ta susza trwała wiecznie.

Westchnąwszy cicho, Bryony weszła za siostrami do sypialni, gdzie zrzuciła z siebie wilgotną koszulę nocną i wskoczyła w cienką sukienkę. Przeczesała włosy szczotką i zwinęła grube pasma w kok. Stojąc przed wysoką komodą, rzuciła okiem na odbicie w lustrze, w którym widać było całą trójkę. Stanowiły dziwną mieszanicę. Bryony odziedziczyła po mamie hebanowe falowane włosy, Larkspur przypominała ich jasnowłosego tatę o niebieskich oczach. A szesnastoletnia, rudowłosa Rose miała już kobiecą figurę, na którą ani Bryony, ani Larkspur nie mogły nawet liczyć. Gdy patrzyło się na zdjęcia babci Rigby w tym wieku, widać było niesamowite podobieństwo.

Ich charaktery były równie odmienne, jak ich wygląd. Rose była wieczną optymistką, Larkspur marzycielką, a Bryony...

Bryony starała się po prostu robić wszystko, co tylko możliwe, żeby utrzymać razem to, co zostało z jej rodziny.

Parę godzin później, kiedy już mocno odczuwała obolałe plecy i pot spływający po całym ciele, Bryony skrzywiła się, gdy ostre kolce torebki nasiennej zadrapały jej rękę ponad skórzaną rękawicą. Wepchnęła kolejną garść białego puchu do długiego, ciężkiego wora, który ciągnęła za sobą. Jęknęła, wyprostowała się i przetarła czoło rękawem batystowej bluzki. Zerknąwszy na niebo spod szerokiego ronda swojego kapelusza, oceniła, że musiało być koło piątej.

Nieustępliwe. Żadne inne słowo nie opisywało lepiej tego ostrego słońca. Na niebiosa, chyba już dłużej nie wytrzyma w tym upale. W sercu tęskniła za tym, jak było dawniej. Zanim nastąpiła ta susza. Zanim tata zginął na wojnie. Zanim mama przeniosła się z nimi z ich miłego domku w Memphis na farmę. Wyobrażała sobie, że siedzi na werandzie przed domem w Memphis, w cieniu okazałego wiązu, owiewana łagodnym wietrzykiem, który sprawiał, że luźne kosmyki włosów łaskotały ją w szyję. Sączyłaby spokojnie z wysokiej szklanki zimną lemoniadę z prawdziwymi kostkami lodu, a przystojny kawaler siedziałby na huśtawce, lekko odpychając się stopami odzianymi w eleganckie, błyszczące brogisy.

- Au! - Rozmasowując kolejne zadrapanie, Bryony stwierdziła, że powinna jednak skupić się bardziej na zbieraniu bawełny niż bujaniu w obłokach, zastanawiając się nad tym, co by było, a nie jest. Nie wspominając już o marzeniu o nieistniejących kawalerach. To było teraz jej życie - musiała zająć

się dziadkiem i swoimi siostrami na borykającej się z trudnościami farmie dzierzawionej w miejscowości Eden, w stanie Arkansas.

Rządek dalej dziadek zatrzymał się, by ulżyć nieco plecom i łyknąć wody z manierki. Poprawił pasek swojego worka i wycedził przez zęby:

- Jest chyba gorzej, niżli myślałem, Bryony. Będziem cierpieć w tym roku.

Rzuciła okiem na płócienną plandekę na końcu rzędu, gdzie opróżniali swoje worki. Po całym dniu znoju stos był przerażająco mały i nie umiała już dłużej powstrzymać napływającego niepokoju, który narastał w niej przez całe lato. Krowy dawały coraz mniej mleka, kury już prawie przestały się nieść, a to, co zdołała zakonserwować z ogródka warzywnego, nie wystarczy na przetrwanie całej zimy. Liczyli, że może zbiory bawełny coś pomogą. Teraz nawet ta nadzieja prysła.

Zmęczenie i rozpacz zupełnie odebrały jej siły i opadła na kolana wprost na ziemię. Gdyby tylko się dało, pewnie zapłakałaby. Przechyliwszy kapelusz do tyłu, obserwowała całe pole, aż jej wzrok spoczął na siostrach, pracujących ramie w ramie parę rzędów od siebie. Po nieszczęsnym tornadzie w Dzień Dziękczynienia w 1926 roku, które kosztowało ich mamę życie, Bryony poprzysięgła nad grobem matki, że zaopiekuje się Larkspur, Rose i dziadkiem.

Ale przy tak słabych zbiorach i bez pieniędzy w banku, co miała zrobić - pozwolić, żeby wszyscy umarli z głodu?

Musiało być jakieś rozwiązanie, jakiś sposób, żeby zapewnić byt rodzinie do czasu, gdy ta przeklęta susza się skończy i farma zacznie znów przynosić zyski. Jeśliby porozmawiała

z właścicielem plantacji, wyjaśniła ich tragiczną sytuację, może okazałby trochę współczucia i dał im więcej czasu na spłatę czynszu. Albo wspomógłby ich jakąś pożyczką, żeby mieli z czego kupić ziarna na zasiew na wiosnę. Ryzykowne, ale warto było spróbować. Pójdzie tam jutro z samego rana.

Oczywiście nie powie nic dziadkowi. To by zraniło jego dumę, gdyby wiedział, że jego wnuczka poszła po prośbie. Ale najpierw będzie potrzebowała jakiejś wymówki, żeby mogła zostawić dziadka i siostry samych przy zbieraniu bawełny. Mogłaby wziąć słoik ogórków z piwnicy i powiedzieć, że idzie do miasta wymienić go na worek mąki, żeby mieli bułki i sos na kolację. Poza tym słyszała, że pan i pani Heath mieli słabość do babcinych ogórków konserwowych, a ona nie miała nic przeciwko drobnym podarkom, jeśli tylko mogły one złagodzić kamienne serce właściciela plantacji.

Wzięła łyk wody zbyt ciepłej, by mogła być orzeźwiająca, i poprawiwszy kapelusz, zabrała się z powrotem do zrywania bawełny. Skoro jej siedemdziesięcioletni dziadek mógł harować jak wół, to ona tym bardziej. Musiała. Od tego zależało ich życie.

Poranki spędzane na zachodniej werandzie, a popołudnia na wschodniej. To był jedyny sposób dla Michaela Heatha, żeby znieść te srogie letnie upały. Oparłszy szkicownik na kolanie, poprawił okulary i pochylił się nieco, żeby dokładniej obejrzyć gałązkę z wydłużonymi liśćmi, którą ułożył na barierce werandy. *Itea virginica*, czyli itea wirginijska. Choć krzew rósł w cieniu domu i był regularnie podlewany oraz troskliwie pielęgnowany, wyraźnie widać było, jak

bardzo jest udręczony upałem.

Michael zastanawiał się, czy powinien narysować liście dokładnie tak, jak wyglądały, z brązowymi i wysuszonymi krawędziami oraz czubkami zawiniętymi pod spód, jakby chciały się bronić, czy przedstawić je jako jędrne, zielone i zdrowe - tak jak powinny naprawdę wyglądać.

Może tak i tak, bo przecież nigdy nic nie było idealne. Przynajmniej nie w tym życiu.

Kiedy ze swojego zestawu wybrał kredkę w kolorze jasnej umbry, szum wiatru przyniósł do niego głos nucący melodię *Deszczowej piosenki* - popularnej przyśpiewki, jednak zupełnie nieprzystającej do tej letniej suszy, którą cierpieli obecnie. Uniósłszy głowę, zerknął w dal na długą, ocienioną drzewami drogę i zobaczył kobietę zmierzającą w stronę domu. Opadający na oczy słomkowy kapelusz ze śmiesznie wielkim rondem zasłaniał jej twarz. Luźne pasmo włosów w najciemniejszym odcieniu umbry palonej opadało łagodnie na ramię kobiety.

Véronique? - przemknęło mu przez głowę. Spłynęła na niego fala wspomnień i przez jedną chwilę serce stanęło mu w piersi, a w myślach przeniósł się do ulicznej paryskiej kawiarenki.

Zacisnął powieki i palcami zaczął przecierać oczy skryte za okularami. Nie... nie, był w domu, w Arkansas. Paryż i wojna zostały daleko za nim, razem ze wszystkim, co świadomie wypierał z pamięci.

Zmusił się, by otworzyć oczy i teraz ujrzał kobietę wyraźniej. To nie była *Véronique*, ale ich podobieństwo wyraźnie go zaskoczyło. Kimkolwiek by nie była, Michael chciał już odruchowo zebrać swoje materiały i zniknąć, zanim ta

zdąży go zauważyć. Nie zależało mu na gościach, w ogóle niezbyt mu zależało na innych ludziach. Odkąd wrócił do domu dwa lata temu, był w stanie znieść towarzystwo jedynie swoich własnych rodziców, którzy i tak zazwyczaj, dzięki Bogu, zostawiali go samemu sobie. Jego wzrok spoczął na zwiędłym liściu itei. Kroki kobiety zachręściły na żwirowej alejce.

- Dzień dobry - zawołała, brzmiać zdecydowanie zbyt radośnie jak na ósmą rano.

Za późno, żeby uciec. Michael odłożył szkicownik na stół i wstał. Jego gardło było tak wyschnięte, że zdołał jedynie wychrypieć:

- W czym mogę pani pomóc?

Znieruchomiała, zatrzymawszy się kilka metrów od werandy, a jej usta rozwarły się bezwiednie.

- Och! Chyba za długo patrzyłam pod słońce. Wzięłam pana za pana Heatha.

- Ja jestem panem Heathem. - Usta Michaela drgnęły. To nie był prawdziwy uśmiech, ale nie mógł powstrzymać ironicznego wyrazu na myśl, że ktoś pomylił go z ojcem.

- Pani pewnie szuka starszego pana Heatha. Proszę mi powiedzieć, jak się pani nazywa i zaraz go zawołam.

- Pan jest jego synem?

- Tak. Mam na imię Michael.

- Słyszałam, że wrócił pan jakiś czas temu. Bardzo mi miło.

- Przemierzając w górę pięć stopni, przerzuciła przykryty ściereczką kosz na lewe przedramię i wyciągnęła prawą rękę w geście powitania. - Nazywam się Bryony Linwood. Mój dziadek, George Rigby jest jednym z państwa dzierżawców.

- Bryony, jak *Bryonia* albo przestęp - rodzaj kwitnącej

rośliny z rodziny dyniowatych.

Zamrugnęła szybko, zaskoczona, a jej łagodne rysy rozjaśnił uśmiech zdziwienia.

- Wie pan, co oznacza moje imię?

- Przepraszam, takie głupie nawyki. - Z pewnym wahaniem Michael uścisnął jej rękę, ale zaraz szybko cofnął swoją dłoń. - Poproszę ojca.

Podszedł do moskitiery, otworzył ją i przeszedł przez kręty korytarz na parterze do gabinetu ojca. Nie było to jego ulubione miejsce, a raczej wręcz przeciwnie - takie, którego starał się unikać, gdy tylko było to możliwe.

- Tato, przyszła do ciebie jakaś kobieta. Jej dziadek to... Uniesiona dłoń zmusiła go do milczenia. Jeszcze przez moment ojciec studiował jakieś liczby w otwartej przed nim księdze rachunkowej.

- Mmm, mhm, mmm, mhm... - Zdjąwszy okrągłe okulary w oprawce z masy rogowej, popatrzył na niego i zapytał: - Tak, Michaelu, co mówiłeś?

Syn powtórzył swoją kwestię, dodając:

- Rigby, chyba tak brzmiało to nazwisko.

- George Rigby. Tak... Zalega z czynszem. - Na szerokie czoło Sebastiana Heatha wystąpiły drobne kropelki potu. Wyjął chusteczkę i otarł twarz. - Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że wysłał swoją wnuczkę, żeby wyprosiła kolejną prolongatę.

- Ja nic nie wiem. - Michael nie potrafił się zmusić, by zainteresować się sprawami biznesowymi ojca. Wycofał się w stronę drzwi. - Mam ją przysłać?

Starszy pan Heath położył obie dłonie na biurku z głośnym klapnięciem. Zmierzył Michaela znaczącym spojrzeniem.

- Nie, synu. Chciałbym, żebyś przyprowadził ją tutaj, a potem usiadł i przyjrzał się uważnie, jak zarządza się plantacją. Już dawno nie interesowałeś się swoją przyszłą spuścizną.

Michael już przeczuwał nadchodzące mdłości wynikające z tej rozmowy.

- Tato, proszę...

- Nie dyskutuj. Skoro chcesz nadal mieszkać w tym domu, musisz robić, co mówię. - Odkaszlnąwszy znacząco, ojciec skupił się z powrotem na rachunkach.

Michael czuł, że żołądek podszedł mu do gardła i wycofawszy się z gabinetu, przeszedł w dół korytarza, a dopiero po paru krokach zatrzymał się, by wziąć kilka uspokajających oddechów. Wdech... wydech... Nie mógł tego zrobić, nie mógł być takim synem, jakim pragnął go widzieć ojciec. Żadna miara wykuwania, naginania czy wykręcania nie mogła wepchnąć tego kwadratowego kołka do okrągłej dziury.

Próbując ponownie się opanować, powrócił na werandę, gdzie dziewczyna obracała w dłoni gałązkę itei, z zamyśleniem wypisanym na twarzy i wygiętymi w smutku ustami. Zdjęła kapelusz i odłożyła go na krzesło. Teraz długie, lśniące włosy, przewiązane na karku spłowiałą błękitną wstążką, spływały kaskadami po jej plecach.

Spojrzała w stronę Michaela, gdy ten przechodził przez drzwi moskitiery.

- To takie smutne, prawda? Wszystko wysycha i więdnie - zagała.

Michael przełknął ciężko i oderwał wzrok od jej włosów.

- Mój ojciec prosił, by pani weszła, panno...

- Linwood. Bry...

- Bryony, tak, pamiętam. - Uśmiechnął się wbrew sobie,

zastanawiając się, dlaczego jej rodzice wybrali tak niezwykle imię. Gdzieś w swoim szkicowniku miał rysunek białozielonkawego, gwiaździstego kwiatu o nazwie *Bryonia alba*. Przeszłość była wytrzymałą rośliną o właściwościach leczniczych, jednak trującą w przypadku niewłaściwego zastosowania. Na ile ta kobieta podobna była do tego gatunku, którego imię nosiła?

- Przepraszam bardzo, zapatrzył się pan. - Uśmiechając się nieznacznie, panna Linwood odłożyła przywiedle liście na barierkę, na której przedtem leżały. - Czy zamierzał mnie pan zaprowadzić do ojca?

- Tak, oczywiście - sapnął Michael i otworzył drzwi, prowadząc pannę Linwood korytarzem i obok krętych schodów. Kiedy wyszli z za rogu, zatrzymał się gwałtownie i wskazał punkt w głębi holu. - Ostatnie drzwi po prawej. Czy będzie umiała pani sama tam dotrzeć?

- Oczywiście. Dziękuję panu. - Jej poczucie pewności zdawało się trochę ulatniać. Z drżącym oddechem, wyprostowała ramiona i pomaszerowała w kierunku gabinetu.

Michael obserwował ją dyskretnie, aż zapukała w otwarte drzwi i została zaproszona do środka. Jeśli rzeczywiście przyszła tu prosić o prolongatę spłaty czynszu, nie dziwił go jej niepokój. Ojciec był bezwzględny przedsiębiorcą, niezbyt podatny na ckliwe historie.

Nie wyłączając nawet cierpień jego własnych dzieci.

Widząc jakiś ruch na końcu holu, Michael skoczył w głąb korytarza, w ostatnim momencie uciekając przed bystrym okiem ojca. Skrzywił się, słysząc starannie wyreżyserowany ton rzuconego w jego kierunku pytania:

- Michaelu? Czy zechcesz do nas dołączyć?

Nic nie odpowiadając, Michael wysliznął się na werandę, w pośpiechu pochwycił szkicownik i materiały do rysowania, a potem zbiegł po schodkach i szybko oddalił się ocienioną ścieżką w kierunku rzeki. Bez wątpienia będzie się musiał z tego potem tłumaczyć. Ale przynajmniej udało mu się uniknąć jednej z kolejnych, nieustannych i daremnych prób ojca, by wmanewrować go w jakieś pozory normalności.

Normalność? - westchnął w myślach. Dla Michaela cień nadziei na prowadzenie normalnego życia pierzchł tego dnia, kiedy pełzająca żółta chmura pokryła ich okopy. I chociaż jakimś cudem uniknął najgorszego, dwa dni później troje jego najlepszych przyjaciół zmarło w męczarniach wskutek zatrucia gazem musztardowym.

Od tamtego czasu już nic nie było takie samo.

2.

Ściskając ucho koszyka tak mocno, że aż zbieleły jej palce, Bryony z trudem zmuszała się, by nie odwrócić wzroku od mrozącego krew w żyłach spojrzenia Sebastiana Heatha.

- Zdaję sobie sprawę, że proszę o wiele, ale są takie trudne czasy...

- Czasy są trudne dla wszystkich, panno Linwood. Wszyscy dzierżawcy cierpią z powodu przeciągającej się suszy. -Wirujące skrzydła elektrycznego wiatraka sprawiały, że stalowoszare włosy mężczyzny poruszały się delikatnie. Uniósł się nieco, odchylając się w lekceważącej pozie. - Jeśli zrobiłbym wyjątek dla pani dziadka, wypadaloby, żebym zrobił to samo dla pozostałych. A wtedy cóż byłby ze mnie za biznesmen?

- Bardzo miły i wyrozumiały, panie Heath. - Bryony uniosła podbródek, choć jej drżące kolana musiały zaprzeczać tej pozornej pewności siebie. - Okazałby się pan właścicielem, który troszczy się nie tylko o obecną sytuację, ale także o przyszłość. Bo to dzierżawcy są pana przyszłością, *sir*. Czym byłaby plantacja Brookbirch bez nas, uprawiających ziemię?

Uniósłszy jedną brew, rzucił jej spojrzenie, które mogłoby wyrażać pogardę... albo uznanie. Następnie lekko zaśmiał się pod nosem, oparł się w swoim fotelu i przelotnie podniósł wzrok na sufit.

- Popatrz, popatrz, kobieta, która nie lęka się mówić tego, co myśli. Tak jawna szczerłość może być niebezpieczna, chyba wie pani o tym.

- Przyzwoici ludzie nigdy nie powinni obawiać się prawdy. - Choć siedziała już sztywno jak kołek, wyprostowała się jeszcze bardziej. - A prawda jest taka, że nie zamierzam stąd wyjść dopóki nie uzyskam zapewnienia o pana pomocy do czasu, aż sytuacja zmieni się na lepszą.

- *Mojej pomocy'*? - Mężczyzna z niedowierzaniem potrząsnął głową. - O mój Boże! Nie wydaje się pani, że to jest całkiem na odwrót? To dzierżawcy powinni pomagać właścicielowi. Tak teraz to działa.

Bryony otworzyła już usta, by się sprzeciwić, ale zaraz je zamknęła. Z pewnością takie pokrętne argumenty prowadzą donikąd, tym bardziej, że miała wrażenie, iż pan Heath czerpie chorobliwą przyjemność z ich słownej utarczki.

Spojrzała na koszyk, który trzymała na kolanach. Powoli odsunęła płócienną ścierkę do naczyń i postawiła na biurku słoik ogórków.

- Słyszałam, panie Heath, że swego czasu bardzo pan lubił domowe ogórki konserwowe mojej babci.

- Bardzo je lubiłem. Im bardziej chrupiące, tym lepsze - odpowiedział, wpatrując się w słoik wąskimi jak szparki oczami.

- Doskonale, *sir*, z pewnością nie próbował pan jeszcze tak chrupiących i świetnie doprawionych ogórków. Według

przepisu mojej babci. Przekazała go mamie, Boże świeć nad jej duszą, a ona potem mnie. - Czubkiem palca podsunęła słoik bliżej w jego stronę.

- Panno Linwood, czy próbuje mnie pani przekupić ogórkami?

Wychwyciła, że jego głos stał się nieznacznie łagodniejszy i zaciśnęła usta w cierpkim uśmiechu.

- A czy to pomoże?

- Jest pani wytrwała, nie da się tego pani odmówić. - Mężczyzna pochylił się do przodu, jednym łokciem opierając się na biurku, podczas gdy drugą ręką gładził wytłoczone litery na słoju. - Dobrze, mam dla pani propozycję. Jedna z naszych służących puściła się i jest przy nadziei, więc musieliśmy ją zwolnić. Jeśli chce pani przyjąć tę pracę, będę sumował godziny, które pani przepracuje i liczył je na poczet długu pani dziadka.

Bryony przełknęła głośno. Z pewnością nie tego oczekiwała.

- *Muszę* przedyskutować to z moim dziadkiem. Właśnie zaczęliśmy zbiory bawełny i gdyby miał jedną parę rąk do pracy mniej, to stawiałoby go w jeszcze trudniejszej sytuacji.

Pan Heath wstał i obszedł biurko, zatrzymując się obok Bryony. Pochylił się nad nią, na tyle blisko, że czuła zapach krochmalu jego świeżo uprasowanej białej koszuli. Złapał ją za nadgarstek i obróciwszy jej dłoń dojrzał czerwone zadrapania od szypulek bawełny.

- Skąpy starzec wysyłający w pole tak delikatną istotę jak pani. Powinien był wynająć pomoc - prychnął.

Pełna oburzenia wyrwała rękę z uścisku. Krzesło zazgrzytało na drewnianej podłodze, kiedy zerwała się na równe nogi.

- Gdyby mój dziadek mógł sobie pozwolić na zatrudnienie pomocy, z pewnością nie musiałabym tutaj prosić o wyrozumiałość. A delikatna? - Jak gdyby przywołującym gestem skinęła palcem tuż przed jego nosem. - Proszę przyjść pozbierać bawełnę razem ze mną i moimi siostrami przez jeden dzień i zobaczymy, kto wytrzyma do zmierzchu.

Twarz pana Heatha zachmurzyła się, jednak zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, z korytarza dobiegło rytmiczne staccato damskich obcasów. Niedługo potem zadbana, drobna kobieta pojawiła się w drzwiach.

- Sebastianie, mój drogi, dlaczego nie powiedziałeś mi, że mamy gościa? - Obdarzyła Bryony powitalnym uśmiechem. - Jak się pani miewa? Jestem Fenella Heath.

- Szanowna pani. - Bryony skinęła głową.

Pan Heath obrócił się przodem do żony. Ujął jej ramię, jakby chciał ją wyprosić z pokoju.

- Panna Linwood nie jest naszym gościem. Przyszła tu w interesach. Jej dziadek jest jednym z naszych dzierżawców.

- Och, to wspaniale! - Pani Heath minęła męża i uścisnęła rękę Bryony. - Niestety rzadko mam okazję spotkać naszych dzierżawców. Sebastian niesłusznie zakłada, że nie interesuję się tym. Ale bywam bardzo samotna tak daleko od większego miasta i niejednokrotnie brakuje mi kobiecego towarzystwa. Czyż pani, panno...

- Linwood. Nazywam się Bryony Linwood, proszę pani. - Już zdążyła polubić tę kobietę. A jej kontrolującego wszystko męża lubiła jeszcze mniej niż pięć minut temu.

- Linwood, oczywiście. Znałam kiedyś Linwoodów. Kochanie, czy zaproponowałeś pani herbatę? Nie, widzę, że

nie zrobiłeś tego. - Pani Heath żartobliwie klepnęła męża w ramię, jakby chciała go skarcić. - Żadnych dobrych manier, ani trochę - wyszeptała teatralnie w stronę Bryony. - Proszę iść za mną do salonu i...

- Nie, proszę pani, naprawdę, nie mogę. - Zrobiwszy krok, Bryony uwolniła rękę z jej uścisku, dodając: - To bardzo miło z pani strony, jednak muszę dokończyć omawianie swoich interesów z panem Heathem, a potem koniecznie powinnam wrócić na farmę.

Objąwszy ramiona żony jedną ręką, pan Heath poprowadził ją w kierunku drzwi.

- Ona ma rację, kochanie. A może pójdziesz i poszukasz Michaela? - W oczach mężczyzny błysnęła irytacja, czy to wobec żony, czy też syna - Bryony nie umiała tego dokładnie określić. Kiedy kroki pani Heath ucichły, zwrócił znów całą swoją uwagę na Bryony. - Zdaje się, że oferta nadal aktualna. Jest pani zainteresowana posadą służącej czy nie?

Bryony zagryzła wargę. Wiedziała dobrze, co powiedziałyby na to dziadek. Jedna rzecz to wysłać wnuczki do pracy przy zbiorach, które były ich podstawowym źródłem utrzymania, a inna to wynająć jedną z nich na służącą w domu właściciela plantacji. Miałyby spędzać czas pośród całego tego wyrafinowania w strojnej rezydencji dwadzieścia razy większej niż dwupokojowy wiejski domek dziadka? Ależ, to brzmiało niczym zdrada!

Tylko że to jedyny sposób, by mogła uratować rodzinę od głodu i skrajnego ubóstwa.

Jak to zwykle mawiała mama? Czasem łatwiej jest prosić o wybaczenie niż o pozwolenie. Poza tym Bryony była już dorosłą dwudziestodwuletnią kobietą i teraz, kiedy oboje

rodzice byli już w niebie z babcią, to na niej spoczywała odpowiedzialność, od której nie mogła się wymigać. Wyciągnęła rękę.

- Niech będzie, panie Heath. Jednakże dopiero, kiedy zakończymy zbiory bawełny. Nie mogę zacząć wcześniej.

- Bardzo dobrze. - Wykrzywiony uśmiech przeciął oblicze mężczyzny, gdy trzymał jej rękę w mocnym uścisku. - W takim razie czekam na nasze ponowne spotkanie w najbliższym czasie.

Odchodząc, Bryony zatrzymała się na werandzie, żeby zabrać swój słomkowy kapelusz. Teraz czeka ją ten trudny moment - musi o wszystkim powiedzieć dziadkowi. Długa droga do domu zapewni jej wystarczająco dużo czasu, aby ubrać to w odpowiednie słowa.

Przechodząc przez werandę w stronę schodów, czubkiem buta kopnęła coś na drugi koniec wymalowanych na szaro desek podłogi. Pochyliła się, podniosła ogryzek zielonej kredki i wtedy przypomniała sobie, że widziała młodego pana Heatha ze szkicownikiem. Szkicownik zniknął, ale gałązka przywiedłej roślinki nadal leżała na barierce.

Ciekawy typ, intrygująco milczący. Bryony miała wrażenie, że Michael Heath i jego ojciec nie dogadywali się zbyt dobrze. Na myśl o tym nieoczekiwanie zrobiło jej się smutno, a jej serce ścisnęło się jakimś bólem. Przecież tak nie powinno być, żeby ojciec i syn byli sobie tak dalecy. Dopóki oboje żyli, oddychali, nic nie powinno stawać między nimi. Ona sama nadal bardzo odczuwała brak swojego taty.

Kładąc kredkę na pobliskim stoliku, Bryony uniosła wzrok i zobaczyła, że pani Heath wkroczyła na północną część werandy. Drobną kobietą pomachała dłonią, spiesząc w jej

kierunku. Bryony odmachnęła, wołając:

- Witam ponownie. Właśnie wychodzę.

- Och, proszę zostać. Czy jest pani nową sąsiadką przychodzącą do nas w odwiedziny?

Bryony zrobiła wielkie oczy ze zdziwienia.

- Nie, proszę pani. Spotkałyśmy się już wcześniej. Miałam do załatwienia interesy z pani mężem, pamięta pani?

Pusty wzrok zdominował wyraz twarzy kobiety. Dotknęła ręką skroni, jakby szukając tego wspomnienia, a potem wymusiła niepewny uśmiech.

- Tak, tak... Hmm, mam nadzieję, że Sebastian rozwiązał pomyślnie pani kwestię.

Mając poważne wątpliwości, czy pani Heath w ogóle ją sobie przypomina, Bryony skinęła.

- Pójdę już zatem. Miło było panią poznać.

- Proszę wrócić jeszcze kiedyś, moja droga. Napijemy się herbaty i będziemy mogły sobie długo porozmawiać.

- Oczywiście, proszę pani. - Bryony cofnęła się w kierunku schodów i ponownie pomachała, a potem szybko udała się w swoją stronę.

Ojejku! W co ona się pakowała?

W drodze do domu przez północne ogrody, Michael kątem oka zauważył mamę stojącą na werandzie i patrzącą przed siebie pustym wzrokiem. Truchtem pokonał boczne schodki i powoli do niej podszedł.

- Mamo? Co robisz?

Westchnęła lekko, obracając się w jego stronę.

- Och, to ty, Michaelu. Widziałeś może Tillie? Szukam wszędzie tej dziewczyny. Muszę omówić z nią parę detali w kwestii organizacji dzisiejszego wieczorku.

Michael wiedział dobrze, że na dzisiejszy wieczór nie było przewidzianych żadnych uroczystości. Wiedział też, że przez nieostrożne postępowanie z jednym z najemnych pracowników od sąsiadów, Tillie dawno odeszła. Odłożył swoje przybory do rysowania na stole, a potem delikatnie ujął ramię mamy i poprowadził ją w stronę wiklinowego fotela bujanego.

- Usiądź, mamó. Bardzo się zgrzałaś. Przyniosę ci trochę wody.

- Tak, jest straszliwie gorąco, prawda? Taki dobry z ciebie chłopak, Michaelu. - Poklepała go po dłoni, opadając łagodnie na fotel. - Taki dobry chłopak...

Coraz częściej zawodząca pamięć mamy bardzo go niepokoiła. Po raz pierwszy zauważył to jakiś rok temu, ale ponieważ tata zdawał się tym nie przejmować, na początku Michael myślał, że ten problem to po prostu zwykłe roz-targnienie. Z czasem jednak zaczynała zapominać, jaki był dzień albo czy jadła w ogóle śniadanie. Ostatnio często zapominała o całej rozmowie sprzed paru godzin. Ile zostało im czasu, zanim całkiem o nich zapomni?

Przemierzając pospiesznie dom w stronę kuchni, znalazł Odette, ich kucharkę o szpakowatych włosach.

- Mama ma kolejną niedyspozycję. Powinna się napić czegoś chłodnego.

- Oczywiście, paniczu. - Odette cmoknęła językiem, wyjmując szklanę z szafki. - Jezusieńku, jak ta biedna kobieta mnie dzisiaj wystraszyła rano. Znalazłam ją tamli przy

kuchni, jak się zabierała do gotowania wody w porcelanowej zastawie.

Ze ściśniętym sercem Michael czekał, podczas gdy Odette wrzucała do szklanki wody parę kostek lodu. Powinien znów porozmawiać z ojcem o stanie matki. Ale sama myśl o podjęciu próby jakiegokolwiek konwersacji z tym człowiekiem sprawiała go o mdłości. Nie rozumieli się wzajemnie, nigdy nie potrafili rozmawiać. I pewnie dwa lata temu, po jego wyjściu ze szpitala w Raleigh po długim okresie rehabilitacji, Michael zrobiłby lepiej, gdyby trzymał się z dala od tej plantacji, której wcale nie pragnął dziedziczyć.

Wręczając mu szklankę, Odette przypatrywała mu się spod przymrużonych powiek.

- Panicz też wygląda, jakby mu się przydało coś zimnego do picia. Pewnież przechadzał się w tym upale, nie tak?

- Jedynie na mały spacer do rzeki. Nad wodą jest dużo chłodniej. - Albo tylko tak sobie wmawiał.

- Paniczu Michaelu. - Odette oparła zwiniętą w pięść dłoń na swoim szerokim biodrze. - Ileż to już pracuję w tej rodzinie? Myśli panicz, że nie mogę zauważyć, kiedy to chłopiec unika taty? Nie, żebym oskarżała panicza o to -wymruczała pod nosem. - Ale to nic nie da. Musi panicz...

- *Muszę zanieść wodę mamie.* - Michael zakręcił lodem w szklance i delikatny dźwięk rozluźnił nieco supeł, który zaciskał się w jego żołądku. - Dziękuję ci, Odette.

Potrząsając głową i mamrocząc pod nosem, Odette odwróciła się, żeby sprawdzić coś, co tam gotowała na kuchni. Ostatnie słowa, które dotarły do uszu Michaela, brzmiały:

- Tak, zaiste, dwójka starych uparciuchów pod jednym dachem to jedynie same problemy.

Michael nie mógł się z tym nie zgodzić.

Wracając na werandę, zastał matkę dokładnie tam, gdzie ją zostawił - w bujanym fotelu. Wpatrywała się w dal, jakby patrzyła na zupełnie inną scenerię.

- Mamo - szepnął, delikatnie dotykając jej ramienia.
-Przyniosłem ci zimnej wody.

Po błysku w oczach, kiedy przyjmowała od niego szklankę, widział, że go poznała.

- Mój kochany Michael, mój słodki, słodki chłopak. Napięcie powoli opuszczało go, kiedy siadał na fotelu obok

niej. Sięgnął po swój szkicownik i otworzył na ostatnim rysunku, nad którym ostatnio pracował - detal cynamonowo--brązowej, łuszczącej się kory brzozy nadrzecznej. Jutro zamierzał wrócić nad rzekę, żeby dorysować liście. Choć rzeka White płynęła dużo poniżej swojego zwykłego poziomu podczas tego upalnego, bezdeszczowego lata, przynajmniej wzdłuż jej brzegu wszystko było trochę bardziej zielone.

- Pokaż mi swoje rysunki, synu. - Mama pochyliła się w jego stronę, jednym łokciem opierając się o podłokietnik fotela. Kiedy powoli, strona po stronie przeglądał swój szkicownik, pytała go o wyjaśnienia dla każdego rysunku. - Piękne... piękne - powtarzała, często komentując dobór kolorów.

Gdy dotarł do ostatniej strony, posłała mu pełen zrozumienia uśmiech.

- Wiedziała, że wyrośniesz na artystę. Zawsze malowałeś dla mnie najpiękniejsze obrazki. I wtedy... - Odwróciła wzrok i trwożliwie westchnęła ciężko. - I wtedy wszystko poszło nie tak.

Michael zamknął blok.

- Tamte czasy minęły, mamó. Zostawmy je za sobą.

Po chwili obróciła się, by znów patrzeć wprost na niego, a wszelkie oznaki smutku zniknęły.

- Ta młoda dama, która tu wcześniej była, to wnuczka Georgea Rigbyego?

Miło zaskoczony Michael siadł bliżej krawędzi fotela.

- Zgadza się. Pamiętasz ją?

- Ależ oczywiście! - Roześmiała się, jakby to pytanie było kompletnie niedorzeczne. - Rodzina Rigbych uprawia naszą ziemię od... ojej, Boże, już chyba od prawie czterdziestu lat. Pamiętasz, Violeta Rigby pracowała tu przez jakiś czas jako opiekunka dla ciebie i Mirandy.

Wspomnienie imienia siostry odbiło się w nim z żalem.

- Byłem zbyt młody, żeby dobrze pamiętać Violetę.

- Brakuje mi ogórków Violety. Jak dawno temu odeszła?

- Nie jestem pewien. - Michael postukiwał nerwowo palcami po okładce szkicownika. - Dawno.

- Z tego, co pamiętam, twój tata był poza domem w sprawach biznesowych i nie mógł pojawić się na pogrzebie. Ale wzięłam ciebie i Mirandę...

Michael nie mógł już dłużej usiedzieć.

- Wejźmy do środka, mamó. Odette niedługo będzie podawać południowy posiłek. Zaprowadzę cię na górę i poszukam Dancy, żeby pomogła ci się odświeżyć.

Kiedy wspomagał ją przy wstawaniu z fotela, rzuciła mu pełne litości spojrzenie. Jednak zanim zdołała otworzyć usta i cokolwiek powiedzieć, Michael dostrzegł coś jakby zasłonę opadającą na jej umysł.

- Tak, tak, i muszę się zdrzemnąć przed wieczornym przyjęciem.

Larkspur Linwood wpakowała kolejną garść bawełny do swojego worka i zerknęła ponad polem. Co Bryony robiła przez ten cały czas w mieście? Wymigiwała się od połowy dnia pracy, ot co! Zgrzytając zębami, Larkspur przesuwała się centymetr po centymetrze do przodu i skubała torebki nasienne wyschniętych krzewów bawełnianych. Późne lato w Arkansas było nieszczęsnym czasem w roku, nawet gdy nie było takiej suszy. A zbieranie bawełny? Panie, zlituj się!

Kolejna garść, kolejne parę kroków i znów Larkspur popatrzyła w kierunku drogi. Nareszcie! Nadchodziła Bryony, poruszając się, jakby nic ją na świecie nie obchodziło. Cóż, lepiej by było, żeby się łaskawie pospieszyła i pomogła im przy zbiorach.

Dwadzieścia minut później Bryony wyłoniła się z domu w koszuli z długimi rękawami, skórzanymi rękawicami i kapeluszem przeciwsłonecznym. Wiążąc wór na bawełnę na ramionach, wtoczyła się mozolnie w przyległy rząd, aż wyrównała się z Larkspur.

- Przepraszam, że tak długo mi to zajęło. Nadrobię to jakoś, obiecuję.

Larkspur skinęła niechętnie. Może i Bryony się rządziła, ale nie była obibokiem. Chociaż wybrała najgorszy czas na wyjście na zakupy.

- Jak tam sprawy w mieście? Sprawdziłaś naszą skrzynkę na poczcie?

- Och, nie. Przepraszam. - Obracając się bokiem, Bryony schyliła się nad krzewem bawełny.

Larkspur wyprostowała się, przyjrzała uważnie plecom

siostry, a potem zapytała:

- Co więc dokładnie *robiłaś* w mieście?

Ramiona Bryony uniosły się i zaraz opadły w przesadnie długim westchnieniu. Spod kapelusza rzuciła Larkspur błagalne spojrzenie.

- Nie byłam w mieście.

- Nie byłaś... - Zamknawszy nagle usta, Larkspur spiorunowała ją wzrokiem. - W takim razie możesz mi powiedzieć, gdzie się podziewałaś przez cały ten czas?

- Mów trochę ciszej, dobrze? - Bryony rzuciła okiem ponad polem. - Powiem ci, ale nie możesz nic wygadać dziadkowi albo Rose, zanim sama im tego nie wytłumaczę.

Larkspur oberwała kolejną torebkę nasienną.

- Bryony Faye Linwood, gdzie ty w ogóle poszłaś i co robiłaś?

- Poszłam spotkać się z panem Heathem. - Zerknęła ponownie w kierunku dziadka. Kiedy Larkspur stłumiła okrzyk zdziwienia, Bryony gestem nakazała jej wrócić do pracy, a potem dalej mówiła zachrypniętym szeptem: - Musiałam coś zrobić. Sama widzisz, jakie kiepskie będą te zbiory.

- A więc co dokładnie się tam wydarzyło? - I zaraz dodała: - Nie, Bry, powiedz, że tego nie robiłaś!

Obie pochyliły się i Bryony napotkała pełne osłupienia spojrzenie, które Larkspur rzuciła jej pomiędzy wyschniętymi pędami krzewów.

- Larkspur Linwood, wyrzuć natychmiast te wstrętne myśli z głowy!

Larkspur z ulgą pozbyła się obrazu siostry w objęciach staroświeckiego właściciela plantacji. To nie Hollywood, a poza tym pruderyjna i dobrze wychowana Bryony nie mogłaby

być tym typem, który wykorzystuje łożkowe metody, żeby kogoś przekonać do czegokolwiek.

- A zatem? Zamierzasz mi powiedzieć czy nie? Bryony nie odpowiadała nic, aż obie nie wepchnęły kolejnej kępi bawełny do swoich worków.

- Będę pracować jako służąca u państwa Heath. Moje wynagrodzenie pójdzie na spłatę długów dziadka.

- Ale to sprawi, że będzie tylko... - Larkspur zagryzła wargę i odwróciła wzrok. To nie może być prawda, nie teraz. A jej *plany*? Na miłość boską!

- O co chodzi, Lark? - Bryony stała wyprostowana i wpatrywała się w twarz siostry. - Czy jest coś, o czym mi nie mówisz?

Opierając jedną rękę o biodro, Larkspur strąciła do tyłu kapelusz i przetarła rękawem koszuli czoło.

- Nie mogę już tego dłużej ukrywać, Bry. Złożyłam podanie do Henderson State Teachers College.

- Och, Lark, to wspaniale! - Bryony wyciągnęła ramiona i przytuliła siostrę ponad kolczastymi zaroślami.

Larkspur poczuła jak coś ściska ją w gardle, a jej oczy wypełniają się łzami.

- Naprawdę? Tak bardzo bałam się ci o tym powiedzieć.

- Hej, wy tam. - Zza ich pleców dobiegał głos Rose. -Lark, wszystko dobrze?

Odsuwając się od Bryony, Larkspur kiwnęła głową i przetarła dłonią oczy. Szybko zerknęła w stronę dziadka i zobaczyła, że on także patrzy na nie z zaniepokojeniem. Pomachała do niego i z trudem uśmiechnęła się pokrzepiająco.

- W porządku, Rosie. Porozmawiamy o tym później. Teraz lepiej weźmy się z powrotem do zbierania.

Rose ściągnęła usta i rzekła:

- Myślicie, że ja nie wiem, kiedy macie jakieś tajemnice? Mam szesnaście lat. Nie musicie mnie traktować jak dziecko.

- Nie traktujemy, Rosie. - Bryony poklepała siostrę po ramieniu. - To po prostu... to nie najlepszy czas na taką rozmowę. Obiecuję, że powiemy ci wszystko później. A teraz wracajmy do pracy, zanim dziadek zacznie się zastanawiać, co tu się wyprawia.

Gderając, Rose wróciła w miejsce, w którym przerwała zbieranie. Gdy tylko oddaliła się na tyle, że nie mogła ich słyszeć, Larkspur odwróciła się do Bryony z zafrasowanym wyrazem twarzy.

- A co, jeśli mnie przyjmą, Bry? Gdy ty będziesz pracować u Heathów, a ja wyjadę do college'u, Rose i dziadek zostaną sami. Jak oni sobie poradzą?

- Poradzą. To tylko dorywcza praca, do czasu, kiedy spłacimy długi dziadka. I będę wracać codziennie do domu na noc, żeby wypełniać też moje domowe obowiązki. Przecież nie będę daleko... - Bryony zacisnęła mocno usta.

- Tak jak ja, w Arkadelphii. - Nadzieje Larkspur pierzchały szybciej niż woda parująca w upalnym słońcu. - Nie pojedę. Zresztą, tak głupio sobie zamarzyłam.

Bryony zmierzyła ją stalowym spojrzeniem.

- To wcale nie jest głupie. Zawsze chciałaś zostać nauczycielką. Jeśli cię przyjmą, ja sama zawiozę cię do tego college'u, choćbym miała zaciągnąć cię tam na taczkach.

- Och, Bry... - słowa więzły w gardle Larkspur i mogła jedynie pochwycić siostrę w kolejnym uścisku. W ciągu lat wiele razy się kłóciły, zwłaszcza po śmierci mamy, kiedy

Bryony przejęła na siebie odpowiedzialność zdyscyplinowania Larkspur i Rose.

Ale jeśli Larkspur mogła być czegoś pewna, to właśnie tego, że Bryony jest bardzo oddana rodzinie. Wciąż poświęcała swoje życiowe okazje, żeby zapewnić siostrom wszystko, czego tylko mogły potrzebować. Rzuciła nawet szkołę, żeby pomóc dziadkowi na farmie, tak by Larkspur i Rose mogły ukończyć swoją edukację.

W tym właśnie momencie, Larkspur w duchu przyrzekła sobie, że już więcej nie będzie narzekać na to, że jej starsza siostra się rządzi. Jeśli przyjmą ją do Henderson, zanim wyjedzie do Arkadelphii, będzie pracować jeszcze więcej na farmie, tak żeby, na ile to możliwe, zapewnić rodzinie lepszy start na te miesiące bez niej.

Larkspur ścisnęła ją coraz mocniej i Bryony zdusiła śmiech, mówiąc:

- Już dobrze, kochana. Już dobrze. - Uwalniając się z jej objęć, przelotnie otuliła dłonią w rękawicy policzek siostry i przesłała jej pokrzepiający uśmiech. Jasnoniebieskie oczy Larkspur wyrażały wdzięczność i zaraz obie powróciły do zbierania bawełny.

Nie było wątpliwości co do tego, że będzie im ciężko, gdy Larkspur pojedzie do college'u. Ale jakże Bryony miałyby jej nakazać zostać? Już od czasów, kiedy mama przywiozła je na farmę, Larkspur bardzo cierpiała od ciężkich warunków pracy i niedostatków. Jasnowłosa, o kruchej figurze, była prawdziwą pięknnością w rodzinie. Lark była stworzona

do bardziej wyrafinowanych rzeczy i jeśli dzięki temu, że zostanie nauczycielką, będzie mogła się wyrwać z Edenu, Bryony zrobiłaby wszystko, żeby jej w tym pomóc.

List z decyzją o przyjęciu - ależ oczywiście! To dlatego Lark pytała ją, czy sprawdzała skrzynkę na poczcie. A zatem będzie musiała to zrobić jutro z samego rana. Albo jeszcze lepiej, kiedy zrobią sobie przerwę na południowy posiłek, wyśle Lark do miasta, żeby odpoczęła sobie trochę od zbierania bawełny.

Bryony przerwała na chwilę pracę i przyjrzała się mizernym zbiorom. Podejrzewała, że będą mieli szczęście, jeśli uda im się zebrać pół beli z akra. Przygnębienie zagnieździło się na dnie jej duszy. Jeśli ta susza przedłuży się na przyszły rok, może okazać się, że będzie uwiązana u Heathów tak długo, aż osiwieje jak dziadek.

3.

Inwektywy rzucające przez dziadka paliły uszy Bryony. - Zakazuję ci, Bryony Faye Linwood. Stanowczo zakazuję! Żadna z moich wnuczek nie będzie sprzątać domu u bogatych ludzi. Zwłaszcza takowych jak Sebastian Heath.

Dzięki niespodziewanemu oświadczeniu Bryony, radosna nowina o przyjęciu Larkspur do Henderson State Teachers College szybko odeszła w niepamięć. Wedle oczekiwań Lark, list czekał już na poczcie. Kiedy tylko siostra wróciła na pole bawełny, z podnieceniem podzieliła się swoją radością z Bryony, ale postanowiły zachować to dla siebie do czasu wieczornego posiłku. Dziadek zwykle stawał się łagodniejszy, gdy już mógł obmyć się z całodziennego brudu i potu oraz napełnić brzuch obfitą kolacją.

Och, był taki dumny, kiedy dowiedział się, że jedna z jego wnuczek pójdzie do college'u! Powiedział, że bez problemu sobie poradzą, gdy Larkspur będzie musiała wyjechać do Arkadelphii. Następnie Bryony, korzystając z jego dobrego nastroju, przemyciła swoje nowiny.

To był wielki błąd. Gdy dziadek tak bardzo się pieklił,

Bryony chwyciła pod stołem dłoń Larkspur, jakby chciała ją w milczeniu przeprosić. Poczciwa Rose bez słowa zebrała talerze od wszystkich i odniosła je do zlewu.

- Dziadku, proszę. - Bryony uniosła głos, licząc, że w ten sposób wreszcie uda jej się dojść do słowa. - Dasz mi w ogóle szansę, żebym mogła ci to wyjaśnić?

- Żadne wyjaśnienia nie zmienią tego, co myślę. - Dziadek wysunął do przodu szczękę. - O Jezusie, dziewczyno, cóżeś ty, kurka wodna, wymyśliła, żeby iść prosić tego człowieka o pracę?!

- Jakbyś nie zauważył, to właśnie brakuje tu wody na przestrzeni najbliższych kilometrów. - Jej zdenerwowanie rosło i Bryony uderzyła obiema rękami o stół i przyszpiliła dziadka kamiennym wzrokiem. - A poza tym nie poszłam tam, żeby nająć się jako służąca. Poszłam, ponieważ ktoś musiał coś zrobić, jeśli mamy przeżyć tę suszę.

- I wymyśliłaś sobie, że ten stary Heath zlituje się nad naszą biedną, głodującą rodziną i podaruje nam czynsz? - Parsknąwszy, dziadek skrzyżował ramiona i obrócił się bokiem.

Teraz także Larkspur wymknęła się cichcem, żeby pomóc Rose przy naczyaniach. Bryony zerknęła na nią i zdążyła jeszcze zobaczyć, jak siostra ociera łzę z twarzy. Popatrzyła spode łba na dziadka i rzekła:

- Na całym świecie nie istnieje chyba bardziej uparty stary człowiek niż ty! - Obeszła błyskawicznie puste krzesło Lark, tak żeby stanąć twarzą w twarz z dziadkiem i zniżając głos, wyszeptała: - A w razie, gdybyś jeszcze na to nie wpadł, edukacja Lark w college'u nie będzie tania. Ona będzie potrzebowała pomocy - pieniędzy, których nie mamy. Dziadku, czy ty tego nie widzisz? Ta praca jest odpowiedzią

na nasze modlitwy. Będę mogła w ten sposób wszystkim nam pomóc. Przesunął ciężko dłonią w dół twarzy.

- Nie masz pojęcia, w co się pakujesz. Mówię ci, Bryony, Heathowie nie są rodziną, w sprawy której chciałabyś się mieszać.

- Tak? Naprawdę? - Bryony zeszywniała. - W takim razie to by wyjaśniało, dlaczego byłeś takim lojalnym dzierżawcą przez te wszystkie lata.

- Lojalność nie ma z tym nic wspólnego. Człowiek musi zarabiać na życie najlepiej, jak potrafi, a kiedy nie masz wyboru, robisz to, co możesz, najlepiej, jak potrafisz. - Położywszy obie dłonie na stole, dziadek z mazołem podniósł się z krzesła. - Decyduj, co chcesz. I tak to zrobisz. Ja idę spać.

Patrząc, jak odchodzi, Bryony rozmasowywała skronie. Spodziewała się sprzeciwu, ale nie aż takiego. Nie oczekiwała, że dziadek nosi w sobie takie pokłady gniewu, jakby w jakiś sposób Heathowie byli wcieleniem zła. Czy to po prostu dlatego, że byli tacy bogaci, czy kryło się za tym jeszcze coś innego?

Lark wróciła do stołu, opadając na wolne krzesło dziadka. Wykręcała brzegi wilgotnej ścierki do naczyń.

- Słyszałam, co powiedziałaś, Bry. Dam sobie sama radę w college'u. Nie jesteś odpowiedzialna za opłacanie mojej nauki i jeśli twoja praca u Heathów ma tak denerwować dziadka...

- Nie martw się mną i dziadkiem. Poza tym jestem twoją starszą siostrą i *jestem* za ciebie odpowiedzialna. Za was obie, ciebie i Rosie. - Bryony wyjęła ścierkę z rąk Lark i położyła ją na stole, a potem ujęła dłonie siostry i popatrzyła

jej prosto w oczy. - Jesteś z nas najbystrzejsza, więc niezmiernie się cieszę, że pójdziesz do college'u i zostaniesz nauczycielką. A dla mnie podjęcie na jakiś rok... - Miała nadzieję, że potrzeba będzie tylko tyle. - ...pracy u Heathów w celu spłacenia długów dziadka oznacza, że przyszły rok będzie znacznie lepszy. I *ostatnią* rzeczą, jakiej bym pragnęła, byłoby, żebyś ty musiała się zamartwiać o nas tutaj na farmie i myśleć o przerwaniu nauki.

- Bry...

- Wiesz, że to prawda. Tylko usłyszysz, że moglibyśmy cię tutaj potrzebować, i w jednej chwili byłabyś gotowa wszystko rzucić. - Bryony podkreśliła moc swoich słów głośnym pstryknięciem palcami.

Zarzuciwszy ścierkę kuchenną na ramię, Rose wparowała do pokoju i stanęła za Larkspur, ściskając jej ramiona.

- Bry ma rację. To twoja szansa, Lark. Praca Bryony może nas rzeczywiście postawić na nogi. - Pochyliła się, by ucałować skronie Larkspur i mrugnęła do Bryony. - Zostawcie dziadka mnie, dobrze?

Ich najmłodsza siostrzyczka zawsze potrafiła owinać go sobie wokół palca. Wstając, Bryony pociągnęła Larkspur do góry i objęła obie siostry w gorącym uścisku.

- Damy radę, słyszysz? Świetnie sobie poradzimy. Zbieranie bawełny zajmie im jeszcze tydzień albo dwa

i będzie trzeba dokończyć to bez Larkspur, która musi stawić się w college'u w pierwszym tygodniu września. A kiedy tylko dziadek zobaczy, jak kiepskie zbiory otrzymają po przejściu przez odziarniarkę, z pewnością dostrzeże, że decyzja Bryony o pracy u Heathów była właściwa. I konieczna, jeśli mają jakoś przeżyć kolejny rok.

Bryony miała tylko nadzieję, że zdoła przetrwać jednoczesną niechęć dziadka oraz pracę na pełen etat jako służąca, nie zaniedbując przy tym swoich obowiązków na farmie.

I to by było na tyle wiadomości sportowych.

Michael przekręcił gałkę radia, żeby je wyłączyć. Nigdy nie był wielkim fanem sportu, ale któż mógłby się oprzeć takiemu wielkiemu powrotowi? Przez ostatnie pięć lat kończyli każdy sezon na szóstym miejscu, a teraz drużyna Brooklyn Robins ostro rozpoczęła 1930 rok, utrzymując się przez całe lato na pierwszym miejscu. Potem, w sierpniu, w starciach z Pittsburgiem i Cincinnati, wszystko zaczęło się psuć. Ale w niedzielę Robins pokonali Phillies 22:8. Wciąż jeszcze mieli czas, żeby odrobić straty i dobrze zamknąć sezon.

Czy Michael będzie mógł kiedykolwiek tak uporządkować swoje życie, żeby dobrze zamknąć sezon? Im dłużej był odcięty od świata tutaj, w Edenie, i w swoich wspomnieniach, tym bardziej mało prawdopodobne mu się to wydawało.

Odette weszła od strony salonu z imbryczkiem kawy i napełniła jego filiżankę.

- Jezusieńku, jak panicz może pić gorącą kawę w takie dni jak ten, to ja nie rozumiem.

- Przyzwyczajenie chyba. - Jedno z tych, które nabył podczas okresu rehabilitacji, dzięki czemu udawało mu się trzymać w ryzach koszmary nocne. Wstając, Michael zabrał filiżankę ze spodkiem i podszedł do okna, przy którym duszny

powiew lekko poruszał firankami. Gdzieś z oddali werandy dobiegło do jego uszu szuranie miotły.

- Doszło mnie, że słuchał pan radia. Jak panicz myśli, kto awansuje do finałów?

Michael wzruszył ramionami.

- Nawet nie ośmielam się zgadywać.

- Jakby mnie kto pytał, to powiedziałabym, że Philles. Nieważne, że przegrali w niedzielę. Oni...

- Odette. - Ostry ton głosu ojca Michaela odbił się echem od wysokiego sklepienia. - Nie masz niczego do zrobienia w kuchni?

Przytknąwszy podbródek do piersi, Odette mruknęła:

- Tajest. - I szybko wysliznęła się innymi drzwiami, by przejść do jadalni.

Rzucając ojcu chłodne spojrzenie, Michael potrząsnął głową i odwrócił się do okna.

Orientalny dywan wygłuszył kroki ojca, gdy ten podszedł bliżej i zapytał:

- Jakież uwagi co do tego, jak zwracam się do służących?

- Co miałbym mówić? - Michael upił łyk kawy. - Nie inaczej zwracasz się do swojego syna.

Ojciec prychnął gniewnie i zaklął.

- Od dwóch lat staram się z tobą porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną. Ale ty uparłeś się, żeby całkowicie się ode mnie odciąć. Od całego świata, jak mi się zdaje.

Michael łyknął kawę i spił ostatnią kropelkę, a potem przeszedł obok ojca. Filiżanka i spodek brzdęknęły, kiedy szybko odstawił je na niski stolik.

- Nie mam nastroju na tę rozmowę.

- Nigdy nie masz i to jest problem.

W głosie ojca wybrzmiała nuta porażki, sprawiając, że Michael zatrzymał się i zaniechał natychmiastowej ewakuacji z dala od niego. Położył ręce nisko na biodrach, wznosił wzrok do sufitu i zaczerpnął głęboko powietrza, żeby się uspokoić, a potem zwrócić się twarzą w stronę człowieka, którego darzył jednocześnie miłością i pogardą.

- Dlaczego ty nie możesz... - Świadomość tego, jak daremna była to próba, zdławiła jego głos, więc tylko uniósł dłonie i wycofał się z pokoju. - Idę się przejść.

Nie próbując nawet pochwycić swoich przyborów do rysunku, które zawsze miał pod ręką, wybiegł głównym wyjściem, wpadając tym samym na kobietę i jej miotłę. Odruchowo chwycił jej ramię, zanim się przewróciła. Potykając się, złapał ją i przyciągnął do swojej piersi, a jego usta wypełniły jej jedwabiste brązowe włosy.

- Oj, ojej, przepraszam! - Jej oddech był tak samo szybki i nierówny jak jego. Gdy tylko odzyskała równowagę, cofnęła się o krok.

- To tylko moja wina. - Michael poprawił okulary, żeby lepiej zobaczyć kobietę, którą o mało co nie stratował. - Bryony. Bryony Linwood?

Obejmując obiema rękami kij od szczotki, panna Linwood uśmiechnęła się do niego. Uśmiechem naturalnym, choć nie jakoś szczególnie przyjacielskim. Raczej tak, jakby tego od niej oczekiwano.

- Dzień dobry, panie Heath.

To grzecznościowe powitanie uderzyło go jak cios z pięści w żołądek. Zacisnął szczęki.

- *Pan* Heath to mój ojciec. - Machnął niedbale ręką w kierunku miotły. - Co pani tutaj z tym robi?

- Wie pan, miotły zazwyczaj używa się do zmiatania, a najlepsze miotły zrobione są z sorga, ponieważ...

Michael uniósł dłoń, starając się powstrzymać nadchodzący śmiech. Nagłe przejście od złości na ojca do konsternacji spotkania tu panny Linwood zupełnie wytrąciło go z równowagi.

- Chodziło mi o to, dlaczego zamiata pani naszą werandę?

- Pracuję tu teraz. Właśnie dzisiaj rano zaczęłam. - Zmarszczyła czoło. - Nie wiedział pan?

Zerknąwszy na okna salonu, Michael zacisnął usta. Być może wiedziałby, gdyby bardziej się interesował tym, co się dzieje na plantacji.

- Przepraszam, nie wiedziałem.

- Ponieważ to mój pierwszy dzień, chciałam zrobić dobre wrażenie, więc... - Panna Linwood przesadnie wzruszyła ramionami, obesła go i zaczęła dalej zamiatać.

Michael bezwiednie potarł klatkę piersiową. Dlaczego jakoś nagle nie mógł złapać oddechu? Stracił ochotę na spacer, który jeszcze parę minut temu wydawał mu się tak niezbędny, obrócił się na pięcie i wszedł do środka. Zatrzymał się w korytarzu na tyle, by szybko zorientować się, gdzie był teraz tata - sądząc po odgłosach, wrócił do gabinetu i podjął rozmowę telefoniczną. Zaraz potem Michael wspiał się po schodach.

Samotność - tego teraz pragnął najbardziej. Łatwo mógł ją osiągnąć, zamykając się w swoich apartamentach w południowym skrzydle. Tylko że, niech to szlag, zostawił swoje rysunki na dole w salonie. Mógłby sam po nie iść lub poprosić kogoś ze służby, żeby mu je przyniósł. Albo mógł po prostu siedzieć koło wiatraka i rozmyślać.

Rozmyślanie wygrało. Był w tym wyjątkowo dobry, bo często to praktykował. Najtrudniejszą częścią, jak zawsze, było odcięcie się od zbłąkanych myśli, które zbyt szybko schodziły na zakazane tory: ogień artyleryjski, wypalona ziemia, krzyki ginących towarzyszy broni, gaz musztardowy... Minęło już dwanaście lat, a nadal w niektóre dni - i w większość nocy - przeszłość rzucała na niego zbyt realne cienie.

Bywały chwile, kiedy zazdrościł mamie jej zawodzącej pamięci. Gdyby tylko mógł wymazać niektóre sceny ze swojej przeszłości tak łatwo, jak wymazuje niepotrzebne kreski kredki w szkicowniku, terażniejszość byłaby dużo łatwiejsza do zniesienia.

A jeśli chodzi o przyszłość... lepiej nawet nie wybiegać tak daleko myślami.

Opierając głowę o tapicerowany zagłówek fotela, Michael zamknął oczy i czekał, aż wciąż utrzymujące się uczucie ucisku w piersi ustąpi. Z czasem, gdy jego płuca powoli zdrowiały po zdradliwym wpływie gazu musztardowego, coraz rzadziej doświadczał takich sytuacji, ale raz na jakiś czas dopadały go znienacka, w najlepszym wypadku pozbawiając go po prostu wszelkich sił, w najgorszym, zapowiadając nadchodzącą infekcję dróg oddechowych.

Dzisiaj rano winny był zapewne kurz, który unosił się po zamiętaniu werandy przez pannę Linwood.

Obraz kobiety przeleciał mu przed oczami, ponownie wywołując wspomnienia ślicznej brunetki i paryskiej kawiarenki. Wtedy to przynajmniej były dobre czasy. Razem ze swoimi towarzyszami z wojska popijali mocną kawę, ćwicząc swój francuski z lokalnymi dziewczętami. Véronique doskonale mówiła po angielsku i często dołączała do nich

jej amerykańska znajoma, wojskowy operator łączności, razem ze swoim narzeczonym będącym żołnierzem piechoty amerykańskiej. Michael zastanawiał się, gdzie oni teraz wszyscy się podziewali. Pewnie szczęśliwie założyli rodziny i mieli gromadki dzieci.

Przez otwarte okno wleciała melodia *Deszczowej piosenki*, ta sama, którą panna Linwood nuciła parę dni temu, idąc drogą. Teraz śpiewała słowa aksamitnym, nieco melancholijnym tonem.

A więc tata najął ją jako pokojówkę. Dla Michaela oznaczało to zwiększone ryzyko, że może na nią wpadać codziennie. Choć miał nadzieję, że nie dosłownie, tak jak to się stało dzisiaj. Jedynym pewnym sposobem, żeby uniknąć niepożądanego kontaktu było zaszywanie się przez większość dnia w swoich pokojach.

Co, z jakiegoś dziwnego powodu, wcale mu już nie odpowiadało tak, jak dawniej.

Bryony wytrwale pracowała, systematycznie zmierzając w stronę południowego krańca domu. Cieszyła się, że zaczęła zmiatanie na wschodniej werandzie, zanim poranne słońce nie wzniosło się wysoko. Zajęło jej to ponad godzinę, żeby sprzątnąć cały okazały taras okalający dom.

Kiedy mijała otwarte okna gabinetu Sebastiana Heatha, piosenka, którą sobie cichutko podśpiewywała, zamarła na jej ustach. Dziadek nie pozwolił, by zapomniała o tym, jak bardzo był niezadowolony z tego, że podjęła zatrudnienie u Heathów. Kiedy opuszczała farmę wcześniej rano, rzucił

jej na pożegnanie słowa przypominające, żeby strzegła się tego człowieka.

- Potrafi być surowy, ale i miły - mówił dziadek, mrużąc lewe oko tak, że patrzył na nią tylko wąską szparką. - Nie ufaj mu w żadnym wypadku.

Bryony zatrzymała się i oparła podbródek na czubku kija od miotły. Do jej uszu docierała zaciekle wymiana zdań, którą pan Heath przeprowadzał z kimś przez telefon. Wcale nie podsłuchiwała. Mężczyzna mówił tak głośno, że wszyscy w promieniu metra od domu mogli dokładnie usłyszeć najdrobniejsze słowo.

Każdy kolejny wykrzyczany wyraz ranił jej uszy, więc przestraszona zaczerpnęła powietrza i szybko zmiatała dalej, aż dotarła do miejsca, w którym zaczęła. Przecinając wysuszony trawnik, skierowała się do kuchni, przysadzistego budynku, do którego przechodziło się z domu krótkim łącznikiem.

- Skończyłam werandę - powiedziała do Odette, kiedy odkładała miotłę do spiżarni. - Co dalej?

- Powinnaś iść do panny Esthery. Na pewno ma już rozpisany rozkład twoich zwykłych obowiązków. - Puszysta kobieta ledwie na nią spojrzała znad ciasta, które wałkowała.

Bryony zrobiła zwrot, ale zatrzymała się w połowie, a następnie cofnęła się, pytając:

- Hm, a gdzie mogę znaleźć pannę Estherę?

- W domu. - Wałek uderzył mocno w posypany mąką blat. - Korytarzem na prawo. Ni ma jak przegapić. Ostatnie drzwi.

Bryony nie miała pojęcia, czym tak szybko zdążyła podpaść Odette. Straciła mokre pasemko włosów z czoła i przeszła przez łącznik do tylnych drzwi. Skręcając w wąski korytarz, podążała dalej w stronę małego pokoiku na końcu.

Kobieta w okularach, o opalonej cerze i mocno kręconych kasztanowych lokach, popatrzyła na nią znad sekretarzyka. Jej życzliwy uśmiech był miłą odmianą po grymasie malującym się na twarzy Odette.

- Ty pewnie jesteś Bryony. Wejdz.

- Odette powiedziała, że przedstawi mi pani moje obowiązki.

Panna Esthera wskazała dłonią na krzesło i Bryony usiadła z rękami złożonymi na kolanach.

- Przepraszam, że nie byłam gotowa na twoje przybycie, ale tyle jest problemów tego lata - mówiąc to, panna Esthera przerzucała odręcznie zapisane strony notesu. - Nie dość, że straciliśmy jedną z pokojówek - tę dziewczynę, którą zastąpisz - to jeszcze musieliśmy na nowo opracować harmonogram prac. I ten nieznośny upał, w którym organizm ledwie wytrzymuje.

- Całe lato pracowałam w tym upale, proszę pani. Jestem przyzwyczajona. Proszę mi po prostu powiedzieć, co trzeba zrobić, a wykonam to.

- Doceniam twój zapal... - Unosząc jedną brew, panna Esthera przeniosła spojrzenie na dziewczynę.

Nagle Bryony zdała sobie sprawę ze swoich zniszczonych pracą i spalonych słońcem dłoni i wetknęła je głębiej pomiędzy fałdy spódnicy.

- Zatem dobrze. - Panna Esthera wstała z nieodłącznym notesem w ręce. - Zaczniemy od tego, że oprowadzę cię po domu i przedstawię innym służącym.

Bryony wyszła za kobietą do holu, szybko przebierając nogami, by nadażyć za wyjątkowo szybkim chodem zwierchniczki.

- Ilu ich jest?

- Poznałaś już Odette, rodzinną kucharkę. Dziewczyna o imieniu Callie jest praczką, a poza tym czasem pomaga Odette w kuchni. - Panna Esthera przerwała, zatrzymała się w drzwiach i pokazała jadalnię oraz frontowy salon znajdujący się za kolejnymi drzwiami. - Jeremiaś to kamerdyner i osobisty służący pana Heatha. A Dancy dogląda potrzeb pani Heath.

- Każde z nich ma własnego służącego? Zatrzymując się w korytarzu, aby poprawić skrzywioną

ramkę z rodzinnym zdjęciem, panna Esthera posłała Bryony obojętne spojrzenie.

- Chyba dużo się jeszcze musisz nauczyć o pracy dla zamężnej rodziny.

- Chyba tak. - Bryony zamknęła usta i przyrzekła sobie słuchać w milczeniu, podczas gdy panna Esthera dalej oprowadzała ją po domu. To nic nowego, że ludzie w dużych domach mieli łatwiejsze życie niż dzierżawcy. Bryony po prostu nie była świadoma tego, *o ile* łatwiejsze.

Minęły bibliotekę i mniejszy pokój dzienny. Następnie, z bezpiecznej odległości, panna Esthera wskazała na gabinet pana Heatha.

- Będziesz musiała patrzeć, kiedy jest zajęty gdzieś indziej, żeby tu wysprzątać.

Wracając do holu, skierowały się na spiralne schody prowadzące na pierwsze piętro.

- Na tym poziomie są prywatne apartamenty - podsumowała panna Esthera. - Pan i pani Heath zajmują największy pokój w północnej części domu. Młody pan Heath mieszka w pokojach w południowym skrzydle, a pomiędzy nimi są

cztery pokoje gościnne.

Bryony skinęła. Drzwi najbliższego pokoju gościnnego były otwarte, więc zajrzała do środka. Ubrana w szarą sukienkę i starannie wyprasowany biały fartuszek kobieta w średnim wieku przecierała właśnie ścierką mahoniową toaletkę.

- Alice - rzekła panna Esthera, przechodząc obok Bryony - to jest ta nowa dziewczyna. Kiedy tylko skończę ją oprowadzać, przyślę ją do ciebie na górę, byś mogła jej pokazać, co będzie zwykle robić.

- Tak, psze pani. - Alice przesłała chłodny uśmiech, ukazując wyrwę po lewym przednim zębie. Potem przechyliła głowę i kontynuowała sprzątanie.

Kiedy weszły na drugie piętro, Bryony od razu odczuła, o ile zrobiło się cieplej w tym zacienionym korytarzu. Panna Esthera wyjaśniła, że tu znajdują się pokoje dla służby pracującej na stałe. Otworzyła drzwi do wąskiego pokoiku. Pośrodku stało stalowe łóżko i goły materac przykryty spłowiałą powłoczką. Po drugiej stronie, pod ścianą mieściła się wysoka komoda, a jedna pusta szuflada wysunięta była pod dziwnym kątem. Całe umeblowanie było stare i mocno zużyte.

- To był pokój Tillie - wyjaśniła panna Esthera. - Może być twój, jeśli będziesz chciała.

- Och, nie. Będę dochodzić codziennie z domu. - Stłumiła dreszcz, który ją przeszył. Bryony nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, że miałyby spędzić choćby jedną noc w tym ponurym, dusznym pokoju.

Panna Esthera zamknęła drzwi.

- Zobaczmy, co powiesz po tygodniu albo dwóch chodzenia tam i z powrotem w tym upale.

Zakończyły obchód w ciemnym pokoju bez okien naprzeciw gabinetu panny Esthery. Otworzywszy drzwi do szafy, kobieta otaksowała wzrokiem Bryony, a potem wybrała szaroburą sukienkę z wieszaka.

- Ta chyba będzie w twoim rozmiarze. Otrzymasz dwa mundurki, żebyś zawsze mogła mieć na sobie czysty strój, podczas gdy drugi będzie prany i prasowany. Jeśli chodzi o włosy... - Kobieta zmarszczyła brwi, utkwivszy spojrzenie w puklach Bryony przewiązanych na karku wstążką. - Musisz mieć je zebrane z twarzy i upięte. Nie chcę widzieć żadnych luźnych włosów. Czy potrzebujesz jakichś wsuwek?

Dziesięć minut później, gdy Bryony wyszła z pokoju, jej bawełnianą sukienkę w niebieską kratę zastąpił źle dopasowany szary mundurek pokojówki z białym fartuszkim. Uczesała włosy najlepiej, jak umiała, splatając w warkocz

i upinając je w koczek z tyłu głowy. Czuła, że wygląda żałośnie i zupełnie bez gustu, ale pokornie poddała się inspekcji panny Esthery. Następnie wdrapała się na górę po schodach.

Odnalazła Alice, gdy ta jeździła ręczną szczotką do dywanów po wymyślnym chodniku z frędzlami, który rozłożony był na całej długości przedpokoju. Kobieta powitała ją kolejnym szczerbatym uśmiechem.

- Widzę, że dostałaś już oficjalny mundurek.

- I wykład na temat luźnych włosów. - Bryony okręciła się na czubkach palców, tak jak Lilian Gish na filmie, na który wiele lat temu zabrała je mama za lepszych czasów. Zbiory bawełny tamtego roku były wyjątkowo obfite i mając dodatkowe pieniądze w banku, mama zdecydowała, że mogą

pojechać do Little Rock i kupić sobie nowe sukienki oraz buty. Bryony już dawno wyrosła z butów, ale ponieważ rosła głównie wwyż, a nie wszerz, sukienka nadal na nią pasowała. Choć była stara i wyblakła, to i tak wyglądała o niebo lepiej niż ten strój pokojówki.

Alice złapała po obu stronach nadmiar materiału w talii Bryony. Wykrzywiła usta w grymasie.

- Mam na górze w swoim pokoju maszynę do szycia. Jak skończymy dziś pracę, pójdziemy do mnie i zrobię ci parę przeróbek.

- Naprawdę? Dziękuję. Radzę sobie z gotowaniem i sprzątaniem, ale nigdy nie byłam dobra w posługiwaniu się igłą i nitką. - Bryony sama nie wiedziała, czemu to takie ważne, jak wyglądała, sprzątając dom, ale tak było. Z każdym mijającym rokiem i każdą zmianą okoliczności czuła, że coraz bardziej oddala się od tego, jak kiedyś wyglądało jej życie. Zanim tata zginął na wojnie, a mama przeprowadziła się z nimi do Edenu.

Eden. Cóż za nazwa dla monotonnego małego miasteczka, w którym nie było nic poza sklepem spożywczym, magazynem z paszami i ziarnami na zasiew oraz kościołem, który służył także za wiejską szkołę. Eden był teraz domem dla Bryony. Ale czy rajem? W żadnej mierze!

4.

Stojąc nad zlewem, Rose pochyliła się w stronę otwartego okna, licząc na choćby lekki wiaterek. Cały dzień z mozołem pracowała w polu z dziadkiem i teraz, pilnując garnka na gorącej kuchni, miała nadzieję, że nie zepsuje kolacji. Kiedy Bryony gotowała, wszystko było takie proste. Larkspur też była dosyć dobrą kucharką, gdy tylko udało jej się na chwilę oderwać od książek, które uwielbiała czytać w każdej wolnej chwili.

Ale Rose? Mogła wydoić krowę, zaorać pole, sadzić rośliny. Nawet nie miała nic przeciwko zmywaniu naczyń po dobrym posiłku. Jednak nie powinno się jej w życiu dawać przepisu i potrzebnych do niego składników. W każdym razie nie, jeśli ktoś szanuje swój żołądek.

Rzuciła okiem na zegar - było już wpół do siódmej - a potem na okopcony garnek, w którym coś bulgotało niczym w kotle.

- Wróć wcześniej, Bry. Proszę!
- Na miły Bóg, śmierdzi, jakby ktoś tu spalił skórzanego buta!
- Drzwi moskitiery zamknęły się z trzaskiem za

dziadkiem. Kręcąc nosem, zawiesił swój słomkowy kapelusz na wieszaku przy wejściu. Następnie wzrokiem napotkał spojrzenie Rose i wszystkie mięśnie jego twarzy stężały. - Ach, kochanie. Spokojna głowa, na pewno będzie smakować lepiej, niż pachnie.

- Nie, nieprawda, dziadku. To będzie wstrętne. Wiesz, że ja i kuchnia to katastrofa. - Żeby udowodnić swoją rację, zamieszała drewnianą łyżką w mazi, która miała udawać potrawkę wołową. - Widzisz? Ziemniaki rozgotowały się na papę, z groszku zrobiła się breja, a mięso przywarło do dna garnka.

Dziadek wziął od niej łyżkę i ostrożnie skosztował. Cmoknął i orzekł:

- Trzeba tylko dodać ociupinkę soli.

- Trzeba dużo więcej niż soli, żeby to było jadalne. - Zmrużyła oczy, wyrwała mu z ręki łyżkę i wrzuciła ją do zlewu. -Przynajmniej mamy resztki bułeczek, które wczoraj upiekła Bry.

Kiedy dziadek poszedł się umyć, Rose położyła na stole bułeczki, a obok nich kostkę masła. Po jednej dla niej i Bry oraz dwie dla dziadka. Gdyby tylko dało się przełknąć do tego potrawkę, którą przyrządziła, mogłoby im to wystarczyć do śniadania.

Może uda jej się namówić Bryony, żeby w każdy weekend gotowała obiady na cały tydzień. A potem Rose mogłaby po prostu odgrzewać i musiałyby jedynie uważać, żeby nic nie przypalić.

Skrzypnęły drzwi i Bryony z trudem wtoczyła się do kuchni. Dopadła najbliższego krzesła i usiadła na nim ciężko, wspierając głowę na blacie stołu.

- Kto by pomyślał, że praca pokojówki jest taka wyczerpująca? Już zbieranie bawełny było łatwiejsze.

Rose chciała współczuć siostrze, ale w tej chwili bardziej martwiła się kolacją. Przyniosła do stołu wysoką szklankę z wodą i poklepała Bryony po ramieniu.

- Proszę, moja droga, to ci pomoże. Odpocznij chwilkę, złap oddech, a potem może mogłabyś zajrzeć na moją potrawkę? - Uśmiechnęła się słodko. - Trzeba ją lekko poprawić... Bry?

Na litość boską, Bryony zasnęła dokładnie tam, gdzie siedziała. Rose wsunęła ramiona pod pachy siostry i unosząc ją, powiedziała:

- Chodź, kochana, zaprowadzę cię do łóżka. Wyglądało na to, że Rose będzie musiała poradzić sobie sama z tym gotowaniem, czyjej się to podobało, czy nie.

We wtorkowy poranek Michaela zbudził odgłos miotły, gdy Bryony zmiatała taras na piętrze. Zakładał, że to ona, ponieważ rozpoznał jej nucenie, chociaż tym razem piosenka nie była tak radosna jak chwytliwa melodia, którą śpiewała wczoraj. Starał się przypomnieć, co to za utwór, ale tytuł zupełnie wyleciał mu z pamięci.

Która to mogła być godzina? Czyżby przespał śniadanie? Przekręcił się na bok, żeby spojrzeć na zegar stojący przy łóżku i zobaczył, że nie było jeszcze siódmej. Służący zatrudnieni na stałe zwykle zaczynali pracę przed świtem, zwłaszcza kiedy prażące letnie słońce dawało się we znaki koło południa, ale ze względu na to, że Bryony dochodziła ze swojego

domu, nie spodziewał się, że zjawi się tak wcześnie rano.

Nie dziwił jej się, że nie chciała przeprowadzić się do pokoi dla służby na górze. Gdyby miał wybór, też chętnie mieszkałby gdziekolwiek indziej, byle nie tutaj.

Gdy tylko usiadł, ucisk w piersi przypomniawszy mu, dlaczego tu jest. Nie chciał uważać się za inwalidę, ale płuca dokuczały mu cały wczorajszy dzień tak, że ciężko mu było wziąć oddech. Źle się czuł i był zbyt zależny od służących, co mu się wcale nie podobało. Miał nadzieję, że dobrze przespana noc przyniesie ulgę, ale budził się co chwilę z kaszlem, więc dzień zapowiadał się niezbyt obiecująco, jeśli chodzi o spacer nad rzekę. To znaczyło też, że nie będzie miał jak uciec przed oskarżycielskimi spojrzeniami ojca, chyba że spędzi cały dzień w swoim apartamencie.

Odkaszlnął dwa razy, żeby oczyścić płuca i melodia nucona pod jego oknem ucichła. Po krótkiej chwili przerwy szuranie miotły na tarasie przyspieszyło, a potem się oddaliło. Spojrzał przez żaluzję i zdążył jeszcze zauważyć, jak mignęła szara sukienka Bryony, zanim kobieta zniknęła za rogiem.

Rozległo się pukanie do drzwi salonu Michaela. Podchodząc, by otworzyć, narzucił na siebie lekki bawełniany szlafrok i przewiązał go w pasie. Otworzył drzwi i zobaczył stojącą przed wejściem Callie z tacą ze śniadaniem w rękach.

- Przysłała mnie Odette. - Dziewczyna dygnęła. - Martwiła się, że może pan nie czuć się na tyle dobrze, żeby schodzić na śniadanie do jadalni.

- Dziękuję ci, Callie. - Michael otworzył drzwi szerzej i wskazał jej ręką na stół pod południowym oknem.

Mówiła łagodnym i grzecznym głosem. Jej język był bardziej wyrafinowany, niż można by się było spodziewać po

ubogiej piętnastolatce. Callie nie była taka jak większość ludzi z okolic Edenu, którzy pojawiali się tutaj w poszukiwaniu pracy. Zaczęła pracę u Heathów niedługo po powrocie Michaela do domu i już wtedy uważał, że tak inteligentna dziewczyna powinna chodzić do jakiejś szkoły, gdzie mogłaby coś ze sobą zrobić, a nie tylko zajmować się praniem i zmywaniem naczyń dla bogaczy. Jej długie, ciemne włosy i oliwkowa cera wskazywały na jakieś meksykańskie albo środkowoamerykańskie korzenie. Dopóki jednak w społeczeństwie dominowały uprzedzenia w stosunku do każdego, kto nie był biały, nadzieje dziewczyny na lepszą przyszłość były bardzo ograniczone. Ta prawda sprawiała, że Michael czuł się nieswojo.

Szybkimi ruchami Callie porozkładała talerze i zastawę. Napełniła porcelanową filiżankę parującą kawą i zapytała:

- Czy mogę jeszcze coś dla pana zrobić?

- Nic nie przychodzi mi do głowy. - Zmuszając się, by powrócić myślami do rzeczywistości, Michael rozłożył serwetkę na kolanach i usiadł w fotelu. - Odniosę tacę do kuchni, gdy skończę.

Obejmując się rękami w pasie, Callie wycofała się w stronę drzwi.

- Nie trzeba, proszę pana. Wrócę po nią później.

- Jestem pewien, że Odette ma dla ciebie jeszcze inne zadania.

- Widząc jej zmartwiony wyraz twarzy, uśmiechnął się na zachętę. - W porządku, Callie. Powiem jej, że proponowałaś pomoc, ale ja odmówiłem.

- Dobrze, proszę pana. - Kolejne dygnięcie i dziewczyna czmychnęła z pokoju.

Mimo że wychowywał się w domu, w którym zawsze było

pełno służących, Michael nigdy nie czuł się zbyt dobrze w takim układzie. Jedną rzeczą to zatrudnić kogoś do pracy, na którą nie ma się czasu, kwalifikacji albo wiedzy, a inną, kiedy można sobie poradzić samodzielnie. Podejrzewał, że Bryony Linwood wraca codziennie wieczorem do domu na parę kolejnych godzin obowiązków na farmie i przy domu.

Poza tym, w tak dużym domu, służący mieli wystarczająco dużo pracy i nie musiał już im dodawać zajęć. Niezależnie od tego, czy miał schorowane płuca, czy nie, mógł samodzielnie odnieść tacę po śniadaniu. Będzie musiał jednak upewnić się, że zarówno Odette, jak i Esthera będą wiedziały, że Callie w żaden sposób tu nie zawiniła.

Rozsmarował masło i dżem truskawkowy na miękkiej bułeczce. Kiedy ugryzł kęs, poczuł jak jedzenie rozpląwa się w jego ustach. Jajecznica usmażona przez Odette była puszysta i leciutka jak niezapowiadające deszczu obłoczki przemykające na niebie za oknem.

Myśl o najbliższym, okrutnie upalnym dniu sprawiła, że z jękiem odłożył widelec.

Kolejne pukanie do drzwi sprawiło, że zerwał się na nogi.

- Callie, mówiłem ci, że... - słowa zamarły mu na ustach, kiedy otworzył drzwi i zobaczył, że po drugiej stronie stoi jego ojciec.

- Dobrze, że już wstałeś. - Sebastian Heath wtargnął do środka, minąwszy Michaela, i skierował się do pokoju dziennego. Zerknął na resztki śniadania syna. - Kończ i ubieraj się. Chcę, żebyś pojechał ze mną na farmę Wielandów.

- Dzisiaj? Dlaczego?

- Nels zalega nam z czynszem od czterech miesięcy. Jesteśmy tam umówieni z szeryfem na wykonanie eksmisji.

Michael poczuł, jak nagle odebrało mu apetyt. Wrócił na swoje miejsce i uniósł filiżankę kawy. Napój był tak gorzki jak jego wyważona odpowiedź:

- Nie potrzebujesz mojej pomocy przy wyrzucaniu ludzi z ich farmy.

- Nie, ale chcę, żebyś dokładnie zrozumiał, z czym muszę sobie radzić na co dzień. - Ojciec Michaela zajął krzesło naprzeciw niego i skrzyżował ramiona. - Pospiesz się. Nie przyjmuję odmownej odpowiedzi.

- Obawiam się, że będziesz musiał. N-nie mam siły na wyjazd dzisiaj.

Ojciec wziął długi, głęboki wdech, najwyraźniej szacując, czy ma wierzyć Michaelowi, czy traktować stan zdrowia syna jako zwykłą wymówkę. Odłożył na bok serwetkę przykrywającą półmisek z bułkami i wybrał jedną okrągłą, dobrze wypieczoną.

- Podaj masło.

Michael spełnił prośbę i zaczął:

- Tato...

- I jeszcze twój nóż, jeśli możesz. - Ojciec rozciął bułkę i rozsmarował masło na obu połówkach. Ugryzł kęs, powoli przeżuwał, a gdy przełknął, zmierzył Michaela wzrokiem. - Nie jestem potworem, synu. Jestem przedsiębiorcą. Takim, jakim ty także zostaniesz pewnego dnia. Zdaję sobie sprawę, że ciężko ci było wyjść z tego, co przeżyłeś podczas wojny, i starałem się być zarówno cierpliwy, jak i wyrozumiały. Ale przyszedł czas, żebyś wreszcie przejął swoją rolę w tej rodzinie. Musisz przestać kryć się za zdrowiem. A co ważniejsze, musisz przestać marnować czas na to gryzmolenie w szkicownikach.

- To *zdrowie*, jak to określiłeś, jest bardzo realnym problemem. - Michael odepchnął krzesło do tyłu o parę centymetrów i odwrócił się bokiem. Czy jego ojciec uważał, że spędził parę lat na leczeniu w prywatnym szpitalu dlatego, że miał takie widzimisię? Dlatego że się *ukrywał*⁷.

Jednak jakiś głos w jego głowie go oskarżał. Samotność, ucieczka w szkice flory - od czasu wojny to były jedyne rzeczy, które dawały mu poczucie pokoju.

Ojciec strącił okruszki z kolan.

- Nigdy nie mówiłem, że nie byłeś chory. Chcę po prostu powiedzieć, że to już nie jest wystarczająca wymówka na to, żeby unikać obowiązków rodzinnych. - Wstał i wyszedł z pokoju. - Bądź na dole za pół godziny. Auto będzie przed domem.

Kiedy Bryony pozamiatała już tarasy na piętrze i na parterze, od razu zajęła się kolejnym zadaniem, które wyznaczyła jej na ten dzień panna Esthera - miała posprzątać łazienki. Dom z prawdziwymi toaletami - i nie jedną, jak w jej domu z dzieciństwa w Memphis, ale pięcioma! Przez tak wiele lat odbywała wycieczki przez podwórko do wychodka na farmie dziadka, że już prawie zapomniała o takich luksusach.

Zaczęła na górze od jednej z łazienek przy pokoju gościnnym. Nie była używana zbyt często, więc wystarczyło tylko lekko przetrzeć gąbką z płynem porcelanową umywalkę oraz wannę na nóżkach. Wyczyściła szczotką miskę sedesową, odkurzyła parapety, wypolerowała lustro i przejechała mopem po mozaikowej podłodze.

Alice zaczęła już sprzątać toaletę na drugim końcu korytarza, więc Bryony stwierdziła, że zabierze się za jedną z rodzinnych. Wejście do pokoi starszego państwa Heath pozostawało zamknięte, ale drzwi do apartamentów ich syna były uchylone, więc domyślała się, że pewnie zszedł już na dół. Mimo to zapukała w futrynę, zanim weszła do pokoju.

- Halo? Jest tu ktoś?

Nie było odpowiedzi. Weszła do środka i postawiła pojemnik z przyborami do sprzątania, a następnie objęła wzrokiem całe pomieszczenie. Żaluzje na oknach we wschodnim krańcu pokoju były zasłonięte, odcinając dostęp porannego słońca, a okna wychodzące na południe - otwarte, wpuszczając duszny powiew wiatru. Na małym stoliku były resztki śniadania. Bryony odnotowała w pamięci, żeby zabrać tacę, gdy będzie schodzić na dół.

Zamknięte drzwi po prawej stronie prowadziły zapewne do sypialni. To chyba było to pomieszczenie, koło którego zamiatała rano werandę, gdy usłyszała kaszel. Świadomość, że tylko moskitiera i zasłonięte żaluzje oddzielały ją od Michaela Heatha otulonego w pościel wystarczyła, żeby piosenka ugrzęzła jej w gardle i Bryony szybko się oddaliła.

A teraz musiała odnaleźć w sobie wystarczająco dużo odwagi, żeby otworzyć zamknięte drzwi, wejść do jego alkierza i wyczyścić jego osobistą łazienkę. Zadanie na tyle intymne, że rumieńce oblały jej policzki. Co prawda sprzątała za dziadkiem każdego dnia. Ale to była rodzina. Michael Heath był jej pracodawcą.

Albo raczej bohaterem wojennym i przystojnym synem jej pracodawcy.

Ten mężczyzna intrygował ją już od chwili ich pierwszego

spotkania. Jego skryta natura, nie wspominając nawet sposobu, w jaki szybko ulotnił się tego ranka, kiedy Bryony przyszła porozmawiać z jego ojcem, sugerowały, że był kimś, kto nie do końca dobrze czuł się w swojej skórze.

Ona chyba miała podobnie. Marszcząc brwi, spojrzała na zamknięte drzwi sypialni i wiedziała, że nie czuje się zbyt komfortowo w tej roli, którą musiała przyjąć - w roli pokojówki w domu bogatego właściciela plantacji. Wczoraj, gdy razem z Alice zamiatały i ścierały kurze w różnych częściach rezydencji, była zbyt przytłoczona ogromem swoich obowiązków. Dzisiaj rzeczywistość zaczynała docierać do jej świadomości. To pewnie stanie się teraz częścią jej zwykłego życia w najbliższym czasie.

Szczęśliwe dzieciństwo, które pamiętała z okresu, kiedy mieszkali w Memphis, stawało się coraz bardziej odległym snem, do którego nie było już powrotu.

Westchnąwszy z rezygnacją, Bryony sięgnęła po pojemnik z przyborami do sprzątanania. Im szybciej wykona to okropne zadanie, tym szybciej będzie mogła przejść do czynności mniej... *osobistych*. Przeszła przez pokój i położyła już rękę na gałce do drzwi, ale nagle szarpnięcie wyrwało jej klamkę z dłoni. Drzwi otworzyły się do wewnątrz i stała teraz twarzą w twarz z Michaeliem Heathem. Jego uniesione brwi musiały być lustrzanym odbiciem jej zdziwienia.

Wzdrygnęła się i zasłoniła usta.

- Przepraszam bardzo! Nie wiedziałam, że ktoś był w środku. Drzwi były otwarte i wołałam...

- Nic się nie stało. Właśnie wychodzę, więc będzie wolne. - Michael otworzył drzwi szerzej i wskazał na sypialnię. Przeszedł obok niej i teraz zamienili się miejscami. - Tak

przy okazji, co to była za melodia, którą nuciłaś wcześniej? Nie mogę jej wyrzucić z pamięci.

Zażenowana faktem, że ją słyszał, Bryony uciekła spojrzeniem. Ulotne pasemka pary unosiły się od otwartych drzwi łazienki. Szybko odwróciła wzrok, skupiając się na czubku wykrochmalonego kołnierzyka Michaela.

- To melodia, którą moja mama często grywała wiele lat temu, kiedy mieliśmy jeszcze pianino. To Chopin, *Preludium Deszczowe*.

- Ach, tak, oczywiście, Chopin. - Michael przechylił nieco głowę, a na jego ustach zagościł pełen zainteresowania uśmiech. - Fascynuje cię deszcz, prawda?

Z gardła Bryony dobył się bolesny śmiech.

- Ostatnio to praktycznie jedyne, o czym potrafię myśleć.

- Doskonale to rozumiem.

Coś dziwnego zaiskrzyło między nimi, kiedy tak oboje stali bez ruchu. Wydawało się, że Michael wcale nie chce odejść do swoich spraw, a Bryony nie potrafiła zmusić się, by zacząć sprzątać jego łazienkę, wiedząc, że on znajduje się w pobliżu.

- Powinnam... - zaczęła.

W tym samym momencie on zapytał:

- Grasz na pianinie?

- Ja? Och, nie. - Jakieś luźne pasemko włosów wymknęło się z koczka Bryony. Nerwowo zatknęła je za uchem. - Mama uczyła mnie trochę, kiedy byłam mała, ale sprzedaliśmy pianino, gdy przeprowadziliśmy się do dziadka.

- To szkoda.

Bryony skinęła głową w kierunku torby z akcesoriami do sprzątanania.

- Powinnam już wracać do pracy. Nie chciałabym pana zatrzymywać.

- A ja odciągam cię od twoich obowiązków. Proszę mi wybaczyć.

- Nie ma problemu. Ja dopiero...

Trzy ostre dźwięki klaksonu samochodowego przerwały jej, rozdzierając powietrze.

Michael zacisnął usta. Jego pierś uniosła się i opadła w długim, bolesnym oddechu.

- To chyba mój ojciec, niecierpliwie czekający, żeby zabrać mnie na załatwianie niemiłych spraw.

A więc bogaci ludzie też mieli *niemiłe* obowiązki... Jednakże Bryony wątpiła, żeby pan Heath i jego syn musieli stawiać czoła czemukolwiek tak obrzydliwemu jak szorowanie ubikacji. Wykrzywiła usta w wąskim uśmiechu i czekała, aż Michael opuści pokój.

Zrobił trzy mozolne kroki w stronę drzwi, a potem zatrzymał się i odwrócił w jej stronę z wyraźnie zmartwionym wyrazem twarzy.

- Czy słyszałaś może o rodzinie Wielandów, którzy także są dzierżawcami mojego ojca?

- Tak, znamy ich od lat. To przykre, co się przydarzyło panu Wielandowi, prawda?

Michael ściągnął razem brwi.

- Obawiam się, że niewiele wiem na temat dzierżawców ojca. Czy coś się stało?

- Choruje na serce. Ledwie udało mu się zasiać bawełnę w tym roku. - Na samą myśl o tym, jak ciężko było w tej rodzinie, kiedy zdrowie Nelsa Wielanda tak się pogorszyło, Bryony poczuła żal.

Zaraz potem uchwyciła zmianę wyrazu twarzy Michaela, na której odmalowało się teraz rozgoryczenie.

- Nie - wyszeptała, a potem jeszcze raz powiedziała głośniej: - Nie! Proszę powiedzieć, że nie jedzie pan tam teraz, żeby wyrzucić tę rodzinę z ich ziemi.

Klakson odezwał się ponownie, tym razem jednym długim trąbieniem.

- Tak mi przykro. Naprawdę mi przykro. - Potrząsnął szybko głową i wyszedł z pokoju.

Pojemnik do sprzątanía, który Bryony trzymała w rękach, uderzył o wyłożoną dywanem podłogę z głuchym łoskotem. Skoczyła do okna sypialni i rozchyliła listewki żaluzji. Błyszczące niebieskie auto z białymi oponami stało zaparkowane na podjeździe przed domem i chwilę później Michael zajął w nim miejsce. Samochód odjechał szybko, wzbijając chmurę kurzu.

Nie myśląc o tym, co robi, Bryony opadła na niepościelone łóżko i przyłożyła rękę do ściśniętego żołądka. *Proszę, Panie, tylko nie rodzina Wielandów* - skierowała myśli do Boga. Nie zasługiwali na kolejne problemy, nie po tym wszystkim, co już przeszli.

Zaraz potem uderzyła ją myśl, że gdyby nie zgodziła się pracować u Heathów, teraz ich dziadek też być może byłby eksmitowany. Jak ten człowiek mógł być aż tak nieczuły? Co gorsza, wyglądało na to, że Sebastian Heath przygotowywał swojego syna do tego, aby poszedł w jego ślady.

Tylko że w oczach Michaela nie dostrzegła bezduszności. To przypominało raczej współczucie. Nie był taki, jak jego ojciec - przynajmniej na tyle, na ile jej się wydawało.

- Bryony, jesteś tutaj? - Nosowy głos Alice dochodził od

strony salonu.

Uświadamiając sobie, gdzie siedzi, Bryony zerwała się na równe nogi. Przeskoczyła szybko w miejsce, gdzie upuściła materiały do sprzątnięcia, i podniosła je.

- W sypialni, Alice.

- Panna Esthera cię szuka. Powiedziała, żebyś wysprzątała gabinet pana Heatha, korzystając z jego nieobecności.

Alice posłała jej pełne irytacji spojrzenie spod zmarszczonych brwi.

- Tylko mi nie mów, że przez cały ten czas ucinałaś sobie z nim pogaduszki? Panna Esthera ma zasady.

- Nie specjalnie. Pytał, co... - Bryony zamknęła gwałtownie usta. To nie powinno nikogo interesować, o czym rozmawiała z Michaelem. - To znaczy, to trwało tylko minutkę albo dwie, a potem on wyszedł.

- Skoro tak mówisz. - Alice przeszła do łóżka i złapała za prześcieradło, wygładzając je. Wskazała gestem Bryony, żeby pomogła jej przetrzepać poduszki. Kiedy wspólnie zaścielały łóżko, Alice cmoknęła, mówiąc:

- Nie rozumiem, dlaczego panicz Heath nie chce się zgodzić, żeby panna Esthera przydzieliła mu służącego. Jeremiah ma i tak ręce pełne roboty przy zajmowaniu się panem.

Bryony nie potrafiła sobie wyobrazić, czemu dorosły mężczyzna miałby potrzebować osobistego służącego. Ale było jeszcze tak wiele rzeczy, których nie rozumiała, jeśli chodziło o życie wyższych sfer. Na przykład, dlaczego trzyosobowa rodzina miałaby potrzebować pięciu łazienek. I w to nie wliczała się mała toaleta koło gabinetu panny Esthery ani ta na drugim piętrze, przeznaczona dla służby. Myślami wróciła do Wielandów, którzy tak jak Bryony oraz jej dziadek i siostry

musieli przeżyć, mając do dyspozycji tak niewiele - o wiele mniej nawet niż którykolwiek ze służących w tym domu. Ponownie chwyciła za materiały do sprzątanania i rzekła:

- Szybko skończę tutaj, a potem przejdę do gabinetu pana Heatha.

- Tylko się nie guzdraj. Trudno powiedzieć, kiedy może wrócić. - Alice wyszła z pokoju i chwilę potem zewnętrzne drzwi trzasnęły, zamykając się za nią.

Przygotowując się do szorowania kolejnej ubikacji, Bryony wyparła wszelkie inne myśli z głowy, łącznie z tą, czyją łazienkę miała sprzątać, i zabrała się do pracy. Ciężko było jednak nie przypomnieć sobie o Michaelu Heacie, kiedy spłukiwała drobne ślady resztek mydła do golenia z umywalki. Ręczniki wisiały starannie złożone na drążkach i prawie w ogóle nie musiała polerować lustra czy śladów na pokrętłach kranu. Jego nawyki czystości znacznie skróciły jej czas sprzątanania.

Wychodząc z apartamentów, zauważyła, że taca po śniadaniu nadał była na stoliku. Alice mogła bez problemu ją wziąć, ale pewnie jej nie zauważyła. Bryony odłożyła swój pojemnik z przyborami do sprzątanania i zaczęła zbierać talerze. Przypadkiem potrąciła dłonią kieszonkowy notes, który wylądował na podłodze. Upadając, otworzył się tam, gdzie między stronicami wetknięty był ołówek.

Zła na siebie za swoją niezdarność, Bryony zebrała notes i ołówek. Jej wzrok przyciągnęły natychmiast delikatne szkice, które zapełniały całe strony - liście, płatki kwiatów, grona owoców. Każdy rysunek przedstawiał jeden drobny szczegół danej rośliny. Linie były dopracowane, a detale tak dokładne, że nawet zdjęcie nie mogło oddać obrazu

z większą precyzją.

Czy to Michael je narysował? Jeśli tak, jego zdolności artystyczne były prawdziwym darem.

Ktoś zapukał, a kiedy drzwi się otworzyły, Bryony obróciła się gwałtownie, rękami przyciskając do piersi szkicownik.

- Och, Alice. Tak mnie przestraszyłaś, że o mało co nie osiwiłam.

- Na litość boską, dziewczyno, co ty tutaj jeszcze robisz? Panna Esthera nie znosi obiboków.

- Idę właśnie do gabinetu pana Heatha. Tylko zbieram jeszcze te naczynia, żeby znieść je do kuchni. - Odłożyła notes na miejsce, a potem, przewiesiwszy przez rękę pojemnik do sprzątania, dźwignęła tacę po śniadaniu. Przemykając obok Alice, pospiesznie skierowała się w stronę tylnych schodów.

Nie minęły jeszcze dwa dni pracy, a Bryony zdążyła podpaść najpierw Odette, a teraz Alice. Tak bardzo zapragnęła wrócić do domu, że aż rozboleł ją brzuch.

Michael stukał zdrętwiałymi palcami na udach, kiedy ich samochód marki LaSalle podskakiwał na wyboistych wiejskich drogach.

- Naprawdę masz zamiar ich eksmitować? Czy to rzeczywiście konieczne?

Ojciec rzucił Michaelowi pełne niezadowolenia spojrzenie.

- Plantacja Brookbirch to poważne przedsiębiorstwo, nie jakaś organizacja charytatywna. Jeśli dzierżawcy nie są w stanie płacić tego, co są winni, wynajmiemy ziemię komuś, kto będzie mógł.

- Ale z tego, co wiem, Nels Wieland ma jakieś problemy zdrowotne. Może gdybyś mu dał trochę więcej czasu... Ojciec wybuchnął pełnym zaskoczenia śmiechem.

- A *więc jednak* interesujesz się tym trochę. Michaelowi tylko tego brakowało do szczęścia, żeby tata

teraz zakładał jego zainteresowanie prowadzeniem interesu.

- Ktoś o tym wspomniał, i tyle.

- Jeśli ten człowiek jest chory, to tylko dodatkowy powód, żeby przestał zajmować się rolnictwem. Wieland może przeprowadzić się z rodziną do Little Rock albo gdzieś indziej i zacząć od nowa.

- Co zacząć? A co ważniejsze, z *czego*? Jeżeli nie może spłacić czynszu, z pewnością nie stać go na to, żeby przeprowadzić się z rodziną. - Żebra Michaela bolały od ataków kaszlu, których doświadczał zeszłej nocy. Teraz starał się nie wdychać zbyt wiele kurzu podnoszącego się z drogi. Zapewne słono go będzie kosztowała ta wycieczka z ojcem.

Tata nie odpowiedział od razu. Zmrużywszy oczy, skupił wzrok na drodze przed sobą, wystawiając łokieć przez otwarte okno. Gwałtownie sapnął przez nos.

- Czego ode mnie oczekujesz, Michaelu? Już i tak postąpiłem wbrew zdrowemu rozsądkowi, kiedy zgodziłem się zatrudnić wnuczkę Georgea Rigbyego, żeby mogła spłacić jego dług.

Wspomnienie Bryony Linwood poruszyło te uczucia, które starał się raczej tłumić w tym momencie. Nie chciał się zdradzić z tym, jak silne wrażenie zrobiła na nim jej obecność dzisiaj w jego prywatnych apartamentach. Jej prosto-dusznosc była miłą odmianą od sztywnej, dusznej atmosfery,

która panowała w ich domu. W przeciwieństwie do innych służących, no może z wyjątkiem Odette, Bryony nie zwracała się do niego jak do przełożonego, ale raczej jak człowiek do człowieka.

Szkoda, że on i ojciec nie mogli się porozumiewać w ten sposób.

Michael odchrząknął.

- Czy to aż tak mocno obciążąłoby twoje finanse, jeśli dałbyś Wielandom jeszcze trochę czasu? Poza tym, biorąc pod uwagę to, jak susza wpłynęła na gospodarkę całego kraju, jakie jest prawdopodobieństwo tego, że znajdziesz kolejnego dzierżawcę, który będzie mógł płacić regularnie czynsz? Nic nie stracisz, jeśli poczekaś do wiosny i zobaczysz, czy sytuacja ulegnie poprawie.

Samochód zwolnił i ojciec Michaela skręcił w wąską, pokrytą koleinami drogę. Za jałowym, spalonym słońcem polem stał zniszczony domek. Kiedy zbliżali się w jego stronę, Michael zauważył szeryfa, który opierał się o swoje auto. Na werandzie stał ubrany w spłowiałe ogrodniczki wychudły mężczyzna, sama skóra i kości, który jedną ręką obejmował wątłą siwowłosą kobietę.

Ojciec Michaela zwolnił jeszcze i zatrzymał LaSallea obok auta szeryfa. Wyłączył silnik i przypatrywał się długo przez szybę Wielandom, a potem przeniósł wzrok na Michaela i westchnął ciężko.

- Zostań w samochodzie. Nie potrzebuję, żebyś robił wielkie oczy i próbował przekonać mnie, abym zmienił zdanie.

- O przepraszam, nalegałeś, żebym z tobą pojechał. Teraz mnie nie możesz tak po prostu zamknąć. - Michael pchnięciem otworzył drzwi.

Ojciec z irytacją potrząsnął głową, a potem wyciągnął swoje długie nogi zza kierownicy i stanął na ziemi.

- Jak się masz, szeryfie Pollardzie? Dzięki, że przyjechałeś. Pamiętasz mojego syna, Michaela...

Szeryf przywitał się z nimi przed maską swojego radiowozu i uścisnął na powitanie dłoń Michaela.

- Nie widywałem cię zbyt często, odkąd wróciłeś do domu. Słyszałem, że spędziłeś dużo czasu w szpitalu, lecząc urazy po wojnie.

- Tak, całe lata. - I było to spowodowane wieloma czynnikami poza zatruciem gazem. Lekarze jednak nie prowadzili zbyt wiele terapii pomagających żołnierzom poradzić sobie z poczuciem winy, że oni przeżyli, podczas gdy tak wielu zginęło, ani leczących z koszmarów nocnych, które pojawiały się po takich przejściach. - Dziękuję, już prawie całkiem wyzdrowiałem. Ale to nie czas, żeby o tym rozmawiać.

- Rozumiem i wcale cię nie winię. - Szeryf Pollard skinął głową w kierunku pary stojącej na werandzie. - Im szybciej będziemy mieć to za sobą, tym lepiej, co?

Michael skrzyżował wzrok z ojcem. Ignorując go, Sebastian przeszedł przed schody prowadzące na werandę.

- Nels, Jenny. Pewnie wiecie, dlaczego tu jestem.

- Domyślamy się. - Nels uniósł podbródek. Dolna warga Jenny drżała, kiedy zaczęła:

- Proszę... Nels uścisnął ją szybko, uciszając ją w ten sposób.

- Kochanie, wiedzieliśmy, że tak będzie. Nie ma sensu z tym walczyć. Ile czasu nam pan daje, panie Heath?

Choć pozornie nie mieli wiele wspólnego, Michael odczuwał jakąś dziwną więź z tym człowiekiem. Zrobił krok

w przód i zapytał:

- Czy ma pan gdzie się udać, panie Wieland? Jakież inne perspektywy?

- Perspektywy? - Pomarszczony mężczyzna zaśmiał się szorstko i splunął. Wskazał na puste pola. - Rolnictwo to całe moje życie, od kiedym nauczył się wszystkiego od mojego taty. Wyrzucacie nas z tej roli, więc mogę się zarówno tu położyć i umrzeć.

Jego żona zdusiła cichy skowyt i wcisnęła mocniej policzek w jego ramię. Ojciec Michaela zaklął pod nosem.

- Chcesz, żebym ci współczuł, Nels? A gdzie twoje dzieci? Dlaczego ci nie pomagają?

Teraz Jenny Wieland wybuchnęła już głośnym szlochem. Nels przyciągnął ją do swojej piersi i osłonił ramionami.

- Masz tupet, Heath. Zapomniałeś, że jużci dwu pochowaliśmy w tym polu?

Michael odczuwał cierpienie tej pary, jakby mu ktoś rozcinał trzewia nożem. Jeśli jego ojciec nie okaże im współczucia, on to zrobi. Podszedł jeszcze bliżej.

- Panie Wieland, mój ojciec z pewnością nie chciał być nieuprzejmy. Staramy się po prostu znaleźć jakieś dobre rozwiązanie.

- Ha! Tu ni ma rozwiązania. Widzi panicz, co susza nam zrobiła. Moje serce już tego nie wytrzymuje i jesteśmy bez grosza przy duszy, a nasz ostatni syn haruje od świtu do zmroku, chwytając się różnych dziwnych zajęć, żebyśmy tylko mieli co do garnka włożyć.

Ojciec Michaela odwrócił się i przetarł dłonią spoconą twarz. Usta miał mocno zaciśnięte i patrzył na syna spod

przymrużonych powiek wzrokiem, który mówił, iż żałuje, że go w ogóle ze sobą zabrał.

Michael nie dawał za wygraną. Zwracając się teraz bezpośrednio do ojca, ale wystarczająco głośno, żeby Wielandowie mogli słyszeć, powiedział:

- Ta rodzina ma wystarczająco dużo kłopotów. Wracajmy do domu i zostawmy ich w spokoju.

- Dobrze, już dobrze! - Sebastian Heath uniósł obie dłonie w geście rezygnacji. - Nels, dam ci jeszcze jeden sezon, żebyś spróbował wyjść z tej matni. Ale po tym czasie koniec ulg.

Pani Wieland zapłakała jeszcze głośniej. Nels jedynie kiwnął głową. Wyglądał na zbyt zmęczonego, żeby się przejmować czymkolwiek.

Skinąwszy w kierunku szeryfa, ojciec Michaela rzekł:

- Chyba jednak nie będziemy potrzebować twojej pomocy. Michael cicho westchnął z ulgą. Był wyczerpany zarówno fizycznie, jak emocjonalnie. Powłókł się do LaSallea i opadł na siedzenie pasażera. Czekał, aż jego ojciec usiądzie za kierownicą i wyszeptał:

- Dziękuję. Dobrze zrobiłeś.

Zaciskając zęby, tata bez słowa zapalił silnik. Nie odzywał się do czasu, aż wyjechali na główną drogę. Następnie, patrząc na syna z pełną pogardą, warknął:

- Nigdy więcej nie próbuj mnie tak zapędzać w kozi róg.

- Bo co? Wydziedziczysz mnie tak jak moją siostrę?

- Nie prowokuj mnie, Michaelu.

- Czemu miałoby mi na tym zależeć? Czy nie okazuję tego wystarczająco jasno, że nie jestem zainteresowany takim spadkiem?

- Jakbyś przypadkiem zapomniał, przypominam ci, że *źródłem* twojego spadku jest ta sama osoba, która poniosła niebotyczne koszty twojego leczenia w szpitalu, dzięki czemu mogłeś stanąć na nogi po wojnie.

Ta uwaga sprawiła, że Michael aż zachłysnął się powietrzem. Oczywiście, był wdzięczny i tym bardziej czuł wyrzuty sumienia, że jego rodzice musieli znosić tyle lat niepokoju i trosk z jego powodu. Chwycił kurczowo za podłokietnik, kiedy samochód przyspieszył.

- Możesz zwolnić? Nie po to przeżyłem gaz musztardowy, żeby teraz zginąć w wypadku.

Kiedy jego ojciec zdjął nogę z gazu, kłęby kurzu wdarły się do auta przez otwarte okna. Michael machnął ręką przed twarzą i zakaszał szczekliwie. Zerknął na ojca, ale ten nie spuszczał wzroku z drogi przed nimi.

Nawet cię nie znam - pomyślał Michael. On i jego siostra, Miranda, dorastali na tej plantacji. Była dla nich źródłem utrzymania, ich dziedzictwem, ale jeśli sprawy nadal będą toczyć się w ten sposób, Michael obawiał się, że stanie się ona jego fatum.

5.

W końcu, po upływie dwóch tygodni pracy dla Heathów, Bryony miała dzień wolny. W zasadzie, połowę dnia, ponieważ kiedy tylko wróciła z kościoła w niedzielę, pomagała Rose przy obiedzie, a potem spędziła długie i gorące popołudnie na praniu, prasowaniu i innych obowiązkach, na które nie miała siły, kiedy codziennie ledwo doczłapywała do domu po całym dniu służby.

- Idź sobie usiąść w cieniu, Bry. Wyglądasz, jakbyś miała zaraz zemdleć. - Rose wyjęła spinacz z ręki Bryony i skończyła wieszac muślinowe prześcieradło na sznurze.

- Ale tylko na minutkę. - Bryony opadła ciężko na schody werandy, wachlując się rąbkiem sukni. Spojrzała w stronę ogrodu zarośniętego burymi chwastami, którym brak deszczu zdawał się zupełnie w niczym nie przeszkadzać. Wszystko inne wyschło i zwiędło.

Przynajmniej udało jej się ocalić niezbyt okazałe plony groszku, pomidorów i ogórków, zanim ten upał i robactwo dokończyło dzieła. Ziemniaki i cebule też ucierpiały, ale ponieważ Larkspur wyjechała już do college'u i mieli jeden

brzuch mniej do wyżywienia, Bryony nieśmiało liczyła, że może uda im się jakoś przetrwać zimę.

Za jej plecami stuknęły drzwi moskitiery i dziadek dosiadł się do niej na stopniach.

- Dzień święty powinien być dniem odpoczynku. Bóg sam wie, jak bardzo tego potrzebujesz, dziewczyno.

Oparła lekko głowę na ramieniu dziadka.

- Wskaż chociaż jedną osobę w okolicy, która nie haruje jak wół każdego dnia tygodnia.

Dziadek odchrząknął i skwitował:

- Sebastian Heath.

- Nie masz racji. Może i twierdzi, że zarządza plantacją, ale prawda jest taka, że to ona nim rządzi. Ten człowiek bardziej się przejmuje tymi swoimi księgami rachunkowymi, niż ty kiedykolwiek martwiłeś się zbiorami.

- Ale to nie on wyciska z siebie siódme poty, żeby orać, siał i żąć. - Patrząc krzywo w kierunku drogi prowadzącej do domu Heathów, dziadek uniósł głos, dodając: - On nie musi codziennie walczyć, żeby nie została z niego tylko skóra i kości.

Rose popatrzyła na dziadka niespokojnie znad kosza z praniem, a Bryony rzuciła jej wąski uśmiech.

- Zostań tam, Rosie. - A do dziadka powiedziała: - Nie głodujemy przecież, prawda? Może i pan Heath jest trudnym człowiekiem, ale nie jest bezduszny. Słyszałeś, co zrobił dla Wielandów.

- Nels powiedział, że to raczej przez chłopaka, który się wtrącił, a nie ze względu na wyrozumiałość Sebastiana.

Bryony słyszała dokładnie to samo z plotek, które krążyły pomiędzy służącymi. Kilka razy miała nadzieję, że uda jej

się bezpośrednio zapytać Michaela Heatha o to, co wydarzyło się tamtego dnia, ale pomijając fakt, że to nie była jej sprawa, od tamtego czasu prawie w ogóle nie miała okazji go spotkać. Podejrzewała, że Alice powiedziała coś panie Estherze o tym, że przyłapała Bryony, gdy ta myszkowała w rzeczach Michaela, gdyż następnego dnia panna Esthery oświadczyła jej, że nie będzie już teraz sprzątać na piętrze i że musi pomagać Callie w pralni.

- W każdym razie - mówiła dziadkowi - pan Heath pozwolił, żeby Wielandowie zostali na farmie. I zatrudnił mnie, tak? To dowodzi, że potrafi okazać trochę współczucia, kiedy zachodzi taka potrzeba.

Zanim dziadek zdążyłby się jakkolwiek sprzeciwić, wstała ze stopni i poczłapała w stronę sznura na pranie. Do czasu, kiedy razem z Rose skończyły wieszanie prześcieradeł, ciepły powiew zdążył już wysuszyć jej zgrzebne, szare sukienki pokojówki. Zdjęła je ze sznura i weszła do domu, by je wyprasować. Alice przerobiła mundurek tak, żeby nie wisiał na Bryony jak worek, ale najwidoczniej to był ostatni dobry uczynek z jej strony. Do dzisiaj Bryony nie miała pojęcia, dlaczego Odette i Alice stały się wobec niej takie oziębłe.

Przynajmniej Callie była nadal przyjacielsko nastawiona. Ta ładna, młoda dziewczyna, mająca zaledwie piętnaście lat, pracowała ciężko bez słowa skargi. Nie miała też nic przeciwko pogaduszkom z Bryony, kiedy stały obie nad parującą kadzią prania albo przepuszczały pościele, ręczniki i ubrania przez maglownicę. Callie także lubiła śpiewać i nauczyła Bryony parę wesołych ludowych hiszpańskich przyśpiewek. W zamian za to Bryony nauczyła Callie słów *Deszczowej piosenki* i często śpiewały w duecie, kiedy

rozwieszały pranie na sznurze za kuchnią.

Gdy Bryony skończyła prasować swoje mundurki, Rose przyniosła pełen kosz suchych ubrań.

- Pozwól, że cię na chwilę zmienię.

Bryony uśmiechnęła się z wdzięcznością w jej stronę, jednocześnie wygładzając swoją sukienkę na drucianym wiszaku.

- Kiedy tylko je odniosę, zrobię coś na kolację.

- Nie musisz się z tym spieszyć. - Rose postawiła żelazko na palenisku, żeby się zagrzało. - Ale może mogłabyś spisać jakieś naprawdę proste posiłki, które mogłabym przyrządzić w tym tygodniu? W ten sposób udałoby się tak, żeby na stole było coś do jedzenia i żebyś nie musiała gotować po całym dniu służby.

Bryony poczuła w piersi łaskotanie wzbierającego w niej śmiechu.

- Rosie, kocham cię moja droga, ale po tej potrawce, którą zrobiłaś pierwszego dnia mojej pracy u Heathów, nie ma szans, że wrócę tak zmęczona, by chętnie zjeść to, co ugotujesz.

Ten niewielki zapas wypoczynku, który Bryony zgromadziła w niedzielę, w połowie tygodnia był już całkowicie zużyty. O tyle lepiej, że nadejście jesieni ulżyło przynajmniej trochę tym upałom, choć nie zaradziło suszy.

Gdy razem z Callie wynosiły do opróżnienia ceber z wodą, coś mokrego plusnęło Bryony w czubek nosa. Parsknąwszy, strąciła wodę i śmiejąc się, ochlapała Callie.

Dziewczyna zrobiła gwałtowny wdech.

- A za co to?
- Ty zaczęłaś.
- Co zaczęłam?
- Wiesz dobrze!

Wspólnie postawiły ceber na skraju kuchennego ogródka, a Callie wyprostowała się i sapnęła. Mimo zmęczenia, w jej oczach widać było figlarne iskierki.

- Oświadczam ci, panno Bryony Linwood, że wystawiasz moją cierpliwość na wielką próbę.

- Nie zwalaj teraz na mnie. To ty... - Kolejna kropla wody spadła na policzek Bryony. Uniosła wzrok ku niebu. - Och, Callie, popatrz! Pada!

- Chwała Panu! - Callie zaczęła się kręcić wokół własnej osi z szeroko rozpostartymi ramionami.

Bryony dołączyła do niej, a wielkie krople deszczu spadały na nie i twardą, suchą ziemię. Potem ujęła dłonie Callie i zaintonowała na całe gardło pierwszą zwrotkę *Deszczowej piosenki*.

- Cóż to znowu?! - Odette wypadła przez tylne drzwi kuchni. - Czyście zupełnie powariowały? Wracajcie nazad w tej chwileczce, zanim panna Esthera przyłapie was, jak zawadzicie niczym jakieś głupie.

- Ale Odette, deszcz pada! - Callie puściła jedną dłoń Bryony i chwyciła Odette. - Chodź, tańcz z nami. Możemy świętować.

Odette wyrwała rękę z jej uścisku, ale nagana, z jaką popatrzyła na Callie nie była tak surowa jak pełne potępienia spojrzenie, którym obrzuciła Bryony.

- Też żem się ucieszyła tym deszczykiem, ale to nie powód, coby marnować czas. A teraz już obie wracajcie do roboty.

- Tak, proszę pani. - Callie potulnie spuściła głowę, ale zdążyła mrugnąć do Bryony.

Gdy tylko Odette wróciła do kuchni, Bryony i Callie stanęły naprzeciw siebie, ledwie powstrzymując chichot. Deszcz, zbyt słaby nawet, żeby przemoczyć ich ubrania, zmienił się już w mżawkę, ale zdążył poprawić nastrój Bryony, nie wspominając o przywróceniu jej sił.

Pomogła Callie wylać wodę po praniu, a potem zatrzymała się przed wejściem do kuchni, żeby poprawić poluzowane wsuwki w rozwichrzonym koku. Patrząc w stronę rezydencji, zauważyła Michaela Heatha, który pochylał się nad barierką balkonu. Pochwycił jej wzrok i uśmiechnął się.

O, Boże, czy on widział ją, gdy zachowywała się jak wariatka i śpiewała na całe gardło? Przełknąwszy, wśliznęła się z powrotem do kuchni.

Oczywiście Odette już jej wypatrywała.

- Jak skończyście wreszcie z tymi wariactwami, to trzeba kogoś, coby zaniósł tera tę tacę na górę dla pani Heath.

Bryony rzuciła okiem na delikatny porcelanowy serwis do herbaty i talerz przekąsek w formie drobnych kanapeczek na jeden kęs.

- Czy to nie Dancy zanoszą zwykle pani Heath jej popołudniową herbatę?

- Dancy źle się czuje. Panna Esthera odesłała ją, żeby się poszła położyć. - Odette machnęła ręką w stronę tacy z herbatą.

- Ileż razy mam ci powtarzać? Idźże już!

Bryony bez słowa wzięła tacę. Starannie wytarła buty przed wejściem do domu, a potem zatrzymała się na chwilę w korytarzu dla służby, żeby poprawić swój wygląd. Miała nadzieję, że kropki deszczu na mundurku nie były zbyt widoczne.

Na górze zapukała do drzwi prywatnych pokoi państwa Heath. Słaby głos zaprosił ją do środka. Trącając biodrem drzwi, otworzyła je i weszła do środka.

- Dzień dobry, pani Heath. Przyniosłam pani herbatę. Kobieta leżała na bladozielonym aksamitnym szezlongu i wyglądała tak, jakby drzemała.

- Nie jesteś Dancy.

- Nie, proszę pani. Jestem Bryony. Pamięta pani? - Wyglądało na to, że za każdym razem, kiedy spotka panią Heath, będzie musiała przypominać kobiecie, że jest nową pokojówką. Postawiła tacę na niskim stoliku obok leżanki. - Czy nalać pani?

- Poproszę. - Drobną kobietą podniosła się nieco. - I przysuń bliżej krzesło, żebyśmy mogły posiedzieć chwilę razem.

- Oj, proszę pani, nie mogę. Muszę...

- Cóż za nedorzecznosc! - Patrząc spod zmarszczonych brwi na tacę, pani Heath cmoknęła, mówiąc: - Odette dobrze wie, że miałam mieć towarzystwo. Dlaczego, na niebiosa, podała mi tylko jedną filiżankę?

Zza pleców Bryony odezwał się męski głos:

- To z pewnością drobne przeoczenie, mamo.

- Panie Heath, nie słyszałam, że pan wchodzi. - Bryony odstawiła imbryk z herbatą. - Czy napije się pan herbaty z pańską matką? Mogę przynieść dodatkową filiżankę.

Zza okularów panicza Heatha błysnęły szarozielone oczy.

- Niekoniecznie. Nie jestem wielkim zwolennikiem herbaty.

- Czy w takim razie mogę przynieść dla pana coś innego? Kawę albo coś zimnego? - Bryony zwróciła się w stronę drzwi.

- Gdzie twoje maniery, synu? - Patrząc z wyrzutem, pani Heath skinęła w stronę obitego brokatem krzesła. - Ta młoda dama jest naszym gościem. Proszę, traktuj ją odpowiednio.

Michael przesunął krzesło bliżej szezlonga matki i wskazał gestem na Bryony, aby usiadła.

- Lepiej jej ustąpić - wyszeptał.

- Ale panna Esthera...

- Pracuje dla mojej mamy. Nie ma nic do powiedzenia w tej kwestii.

Kiedy Bryony z pewnym ociąganiem usiadła na skraju krzesła, Michael przeszedł w stronę orientального hebanowego kredensu. Wrócił z dodatkową filiżanką ze spodkiem i umieścił ją na tacy obok Bryony.

- Trzymamy tutaj dodatkową zastawę porcelanową właśnie na takie okazje.

- Ty także zostaniesz z nami, Michaelu, prawda? - Śmiejąc się nerwowo, matka sięgnęła po swoją filiżankę. - O ile jesteś w stanie wytrzymać towarzystwo plotkujących kobiet.

- Oczywiście, mamo, skoro tego sobie życzysz. - Przyniósł krzesło i ustawił obok Bryony. Kiedy siadał, zauważyła mały notes wystający z kieszeni jego koszuli i zaczęła się zastanawiać, czy to był ten sam, na który natknęła się w jego pokoju dwa tygodnie temu. Ten, który przyprawił jej tyle problemów.

Pani Heath sięgnęła po serwetkę.

- Poczęstuj się herbatą i kanapkami, moja droga.

Widząc potwierdzające skinienie Michaela, Bryony naląła sobie pół filiżanki herbaty, a potem zerknęła na cukierniczkę. W domu używała cukru bardzo oszczędnie - tylko

do gotowania albo konserwowania przetworów. Nigdy tak frywolnie jak do słodzenia herbaty albo kawy! Dzisiaj jednak... dlaczego nie? Używając delikatnych srebrnych szczypiec, wrzuciła kostkę cukru do swojej filiżanki i patrzyła, jak rozpływa się, znikając w napoju. Kiedy upiła pierwszy łyk aromatycznego słodkiego naparu, zamknęła oczy, delektując się z rozkoszą. Nie zdawała sobie sprawy, że jęknęła nawet na głos, aż usłyszała stłumiony chichot Michaela, który szepnął:

- Skoro to takie dobre, może zmienię zdanie i też się poczęstuję.

Zażenowana odstawiła filiżankę na tacę.

- Popęłniłam błąd. Powinnam już wracać do pracy.

- Matka będzie rozczarowana w takim wypadku.

- Oczywiście - rzekła pani Heath, dorzucając kolejną kostkę cukru do herbaty. - Proszę przypomnieć mi pani imię, moja droga. Ostatnio tyle rzeczy zapominam.

- Bryony, proszę pani. Bryony Linwood. Ja, hm... - Rzuciła okiem w stronę Michaela. - Mieszkam kawalek stąd. Mój dziadek to George Rigby.

- Ach, tak, tak, oczywiście. Jak się miewa pani babcia? Violeta robiła najlepsze ogórki konserwowe, jakie kiedykolwiek jadłam. - Kiedy spróbowała kęs kanapeczki z talerza, twarz kobiety rozjaśniła się w uśmiechu. - W zasadzie wy czuwam ich smak w tej paście jajecznej.

Bryony nie była zaskoczona - pewnie kanapki zrobiono z tych ogórków, które przyniosła kiedyś, żeby wyprosić u pana Heatha wyrozumiałość w ich sprawie. Stwierdziła, że skoro już poczęstowała się herbatą, może spróbować też kanapki. Wzięła jedną na serwetkę, po czym przekazała

talerz Michaelowi. Odmówił.

- Czy masz ze sobą swoje szkice, synu? Powinieneś je pokazać Bryony.

Zapominając się zupełnie, Bryony obróciła się w jego stronę i potwierdziła:

- Ależ tak. Z chęcią zobaczyłabym pańskie rysunki. Twarz Michaela spochmurniała.

- To nic szczególnego, tylko taki wypełniacz czasu.

- Nonsens! - wybuchnęła matka. - Przynieś natychmiast swoje rysunki. Ta młoda dama - jeszcze raz, jak pani ma na imię?

- Bryony.

Pani Heath potarła skronie. Bryony zdołała pochwycić filiżankę i spodek, zanim herbata rozlałaby się na kolanach kobiety.

- Chyba... chyba trudno mi zapamiętywać już jakiegokolwiek istotne informacje.

- Powinnaś odpocząć, mamó. - Michael podniósł się. - Odprawdę pannę Linwood do wyjścia.

- Nie, nie. Zostańcie. Ja tylko na chwilę zamknę sobie oczy. Możesz sam zabawiać naszego gościa. - Odwracając twarz w stronę okna, oparła głowę na zagłówek.

Bryony patrzyła na profil bladej twarzy kobiety.

- Czy wszystko z nią dobrze?

- Miewa lepsze i gorsze dni. - W nogach szezlonga leżała cienka narzuta. Michael przykrył nią matkę. - Prosiłem Estherę, żeby zawsze ktoś był przy niej albo przynajmniej w pobliżu, ale nie zawsze jest to możliwe.

Czułe spojrzenie, którym Michael obdarował mamę, ścisnęło serce Bryony.

- Chętnie bym pomogła, jeśli panna Esthera pozwoliłaby na to, ale po tym, co Alice jej powiedziała... - Ugryzła się w język.

Michael zerknął na nią z zaintrygowaniem.

- Może mnie oświecisz, o co chodzi? Bryony gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

- To był mój drugi dzień pracy tutaj. Nie wiedziałam, że jest pan wciąż na górze, pamięta pan? - Chociaż starała się mówić cicho, żeby nie zbudzić pani Heath, jej słowa płynęły potokami. - A po tym, kiedy pan wyszedł, chciałam zabrać tacę po śniadaniu, ale przez przypadek straciłam pański notesik ze stołu i nie mogłam się powstrzymać, żeby nie popatrzeć na te rysunki. Właśnie wtedy przyłapała mnie Alice i od tego czasu...

Michael potrząsnął głową, a jego usta zacisnęły się w grymasie wyrażającym zdenerwowanie.

Pewna tego, że on powiadomi o tym ojca i z miejsca ją wyrzucą, Bryony stała ze złożonymi rękami i dodała gorączkowo:

- Ale to naprawdę był wypadek. Nie chciałam być wścibska. To się nigdy więcej nie powtórzy, obiecuję.

Michael zerknął na śpiącą matkę, po czym ujął Bryony pod ramię i wyciągnął ją na korytarz. Zostawiwszy drzwi lekko uchylone, zmierzył dziewczynę surowym spojrzeniem i zapytał:

- Masz problemy u panny Esthery przez to, że oglądałaś mój szkicownik?

Bryony pokiwała twierdząco.

- Teraz sprzątam na dole i pomagam w pralni. Odette wysłała mnie z herbatą jedynie dlatego, że Dancy źle się czuła.

- Popatrzyła w kierunku schodów, jakby oczekując, że zaraz pojawi się tu Odette albo panna Esthera, dopytując, dlaczego zeszło jej tak długo na zakazanym obszarze.

Po kilku chwilach sztywnego milczenia, kiedy to Bryony wykręcała dłonie i nadaremnie zadreślała się, jak ma wymyślić inny sposób, żeby zapewnić spłatę długu dziadka, Michael wreszcie się odezwał:

- Czy mogłabyś, proszę, jeszcze chwilę posiedzieć z mamą? Zejdę teraz na dół i postaram się jakoś wyjaśnić całe to zamieszanie. - Ruszył w stronę schodów, a potem zatrzymał się i popatrzył na nią przez ramię, śląc jej pokrzepiający uśmiech. - I nie martw się tym już więcej, Bryony. Masz tutaj pewną pracę.

Wszystko w środku niego wrzało, kiedy schodził na dół do gabinetu Esthery. Zastał ją tam siedzącą przy biurku i zliczającą podręczną kasę na różne potrzeby gospodarstwa.

- Czy możemy chwilę porozmawiać? - Nie czekając na odpowiedź, przysunął sobie bliżej puste krzesło i usiadł naprzeciw niej.

Esthera, zawsze taka zadbana i stosowna, uśmiechnęła się pogodnie, wetknęła plik banknotów do koperty i odłożyła ją na bok.

- Oczywiście, paniczu Heath, w czym mogę pomóc? Zrelacjonował to, o czym przed chwilą powiedziała mu Bryony, konkludując:

- Nikomu nie stała się żadna krzywda i nie widzę powodu, dla którego należałoby zmienić jej obowiązki, powodując się brakiem zaufania.

- *Sir*, obowiązują nas tu surowe zasady...

- Z których żadna nie została złamana. Doceniam staranność, którą wykazała Alice, ale w tym przypadku wydaje mi się, że była to nadgorliwość i nie należało zakładać najgorszego. - Opierając dłonie o kolana, Michael podniósł się ze swojego miejsca. - Aha, i jeszcze jedno. Kiedy Dancy poczuje się lepiej, proszę zlecić, by dała Bryony instrukcje odnośnie osobistej opieki nad moją matką.

Usta Esthery otwarły się bezwiednie.

- N-nie rozumiem.

- Nie chodzi o krytykę kompetencji Dancy, ale jak wiesz, luki w pamięci mojej mamy stają się coraz gorsze. Od tej chwili zawsze, kiedy Dancy będzie musiała wypełniać inne obowiązki, chcę, żeby zostawiała moją mamę pod opieką Bryony. - Zwrócił się w stronę drzwi i dodał ściszym głosem: - Byłbym też wdzięczny, gdybyś pomówiła zarówno z Alice, jak i Odette o ich stosunku wobec Bryony. Niczym nie zasłużyła na złe traktowanie z ich strony.

Jakby obrażona, Esthery wyprostowała się nagle i rzekła:

- Zapewniam pana, że nie toleruję niegrzecznego zachowania w tym domu.

- Dlatego właśnie polegam na tobie i ufam, że od razu dogłębniejsz tej sprawy. - Skinął oschle głową i wyszedł z małego pomieszczenia.

Przeszedł parę szybkich kroków w głąb korytarza i zatrzymał się, żeby wziąć głęboki wdech. Chociaż poczuwał się do tego, żeby bronić Bryony Linwood, a tym bardziej, by wciągnąć ją do regularnej opieki nad swoją matką, angażowanie się w takie sprawy nadwyręzało znacznie jego spokój.

Co prawda, nie tak bardzo, jak wtedy, kiedy odciągnął ojca od eksmitowania Wielandów. Dla ludzi piastujących nadrzędne stanowiska istniała bardzo cienka granica pomiędzy pragmatyczną bezstronnością a troską o bliźnich przykazaną w Piśmie Świętym. Michael doświadczył bezpośrednio tych dwóch aspektów, kiedy służył w armii podczas pierwszej wojny światowej - dowódcy wysyłali swoje wojska na bitwę, wiedząc, jak niewielu żołnierzy wróci żywych, a jednocześnie przeżywali nieukojonny żal w zaciszu swoich kwater.

A on sam? Znalazł się w potrzasku, kiedy śmierć jego sierżanta sprawiła, że zyskał wojskowy awans i od tamtej chwili to on musiał wysyłać do boju swoich najbliższych przyjaciół.

Obraz przed oczami zaczynał mu się zamazywać. Zanim te niechciane wspomnienia powrócą, musiał oderwać myśli od przeszłości. Długi, miły spacer wzdłuż rzeki powinien rozgonić te wizje z jego głowy. Niemalże instynktownie jego ręka powędrowała do kieszeni na piersi i dotknęła małego szkicownika, który starał się mieć zawsze na podorędziu na wypadek, gdyby jakiś szczegół przyrody wymagał natychmiastowego przeniesienia na papier. Chciał już skierować się w stronę najbliższych drzwi i po prostu uciec, ale uświadomił sobie, że jeśli Esthery nie pośle nikogo, żeby zwolnił z obowiązków Bryony, to nie chciałby, żeby kobieta była sama w pokoju jego matki, zdana tylko na własne siły.

Zajrzy do nich na chwilkę i powie Bryony o ustaleniach, których dokonał z Estherą, a potem weźmie swój większy szkicownik i pudełko kredek na wyprawę nad rzekę.

Kiedy stał już pod drzwiami pokoju matki, do jego uszu dotarł melodyjny damski głos. Zaglądnął do środka i zobaczył Bryony siedzącą na krześle obok szezlonga matki i czytającą jej na głos. Po opisie sceny Michael rozpoznał, że to *Przygody Hucka Finna*, kiedy Huck upozorował własne morderstwo i wyruszył nad Missisipi. Z jednej strony Michael odczuwał zazdrość wobec tego fikcyjnego bohatera, który potrafił tak pomysłowo wziąć los w swoje ręce, a z drugiej - nie potrafił nie zaśmiać się cicho z aktorskiej modulacji głosu Bryony. Na twarzy matki odmalowywał się zupełny zachwyty.

Michael zawahał się, czy powinien im przeszkadzać, lecz zanim zdążył ulotnić się z pokoju, Bryony podniosła wzrok i napotkała jego spojrzenie. Zająknęła się lekko na kolejnym wyrazie, ale mimo to kontynuowała czytanie, aż dotarła do końca zdania. Wsunęła palec pomiędzy strony i zamknęła książkę.

- Znalazłam ją na półce i pomyślałam, że to mógłby być świetny sposób na spędzenie razem czasu.

- To wspaniały pomysł. Dziękuję ci. - Michael przeszedł przez pokój i ujął dłoń matki. - Wypoczęłaś już?

- Tak i teraz czuję się dużo lepiej. Bryony była tak miła, że dotrzymała mi towarzystwa, ale chyba już zajęłam jej wystarczająco dużo czasu.

Z ulgą stwierdzając, że mama znów wydawała się być sobą, Michael spojrzał na Bryony.

- Wszystko już załatwione z Estherą. Jeśli możesz zostać jeszcze i poczytać trochę, jestem pewien, że mama bardzo się ucieszy.

- Na Boga, nie! - zakrzyknęła matka. - Albo ta biedna

dziewczyna już zupełnie straci głos. Czy pokazywałaś jej kiedyś swoje rysunki? Wydaje mi się, że miałaś właśnie to zrobić, kiedy zapadłam w drzemkę. Michael kaszlnął ze skrzepowaniem i spuścił wzrok.

- Obawiam się, że miałem inne sprawy do załatwienia.

- W takim razie teraz idź i przynieś je. - Matka skinęła ręką w stronę drzwi. - Ja też chętnie jeszcze raz popatrzę. - A skierowawszy się do Bryony, dodała: - Mój syn jest niezwykle utalentowany, naprawdę bardzo utalentowany. Miał być artystą.

Idąc w stronę korytarza, Michael bał się nawet podnieść wzrok, żeby nie pokazać po sobie konsternacji. Jedną sprawą to dzielić się tymi rysunkami z mamą, która go hołubiła, a inną wystawić się na ocenę kogoś, kogo się prawie w ogóle nie zna. Bryony mogła zobaczyć parę jego szkiców ołówkiem w podręcznym notesie, ale to były tylko proste rysunki, w przeciwieństwie do tych misternych, kolorowych ilustracji, które malował w większych szkicownikach.

Włokąc się długim korytarzem w stronę swoich pokoi, miał wystarczająco dużo czasu, żeby obmyślić jakieś usprawiedliwienie, dlaczego wrócił z pustymi rękami. Mógłby powiedzieć, że zawieruszył gdzieś rysunki, w co jednak matka zapewne by nie uwierzyła, wiedząc, że rzadko oddala się gdziekolwiek bez szkicownika. Mógłby liczyć na to, że przez ten czas, kiedy on dotrze tam i z powrotem, może mama zapomni, po co go posłała - było to nawet dosyć prawdopodobne, choć wcale go nie cieszyło. Nie mógł znieść myśli o tym, co działo się z jego radosną, piękną matką, i gotów był zrobić wszystko, żeby ocalić jej zdrowie i pamięć tak długo, jak to tylko możliwe.

Kiedy wszedł już do swojego salonu, podszedł do biurka, w którym trzymał przybory do rysunku i wybrał najnowszy szkicownik, wypełniony dopiero do połowy. Ruszył w stronę drzwi, ale zaraz cofnął się po kolejny blok, wiedząc, że gdyby go nie przyniósł, matka z pewnością posłałaby go po niego drugi raz.

Zanim jednak wrócił do pokoju mamy, na nowo ogarnęło go uczucie paniki, które zmroziło jego kroki. Przez te wszystkie lata zamykał się w sobie, najpierw podczas pobytu w szpitalu, a teraz unikając kontaktu z innymi osobami poza najbliższą rodziną i służbą. Inni nie rozumieli - nie *mogli* zrozumieć tego, jakie piętno odcisnęła na nim wojna. Nawet gdy był małym chłopcem, wszelkie konflikty niepokoiły go, co było w oczach jego ojca wadą tchórzostwa. Ale być zmuszonym, żeby zabijając innych ludzi, patrzeć, jak towarzysze giną na jego oczach? Wojna wyrządziła mu dużo więcej szkód, niż to, co uczynił gaz musztardowy jego płucom.

Zastygł w bezruchu z ręką na klamce. Przycisnął mocniej szkicowniki do piersi. Te rysunki przedstawiające naturę, *życie*, były, są i będą dla niego największą wartością przez te wszystkie lata od czasu zakończenia wojny.

I nie był jeszcze gotowy, żeby się tym dzielić.

Podczas gdy Bryony czytała dalej, Fenella Heath cały czas nadstawiała ucha, wyczekując powrotu syna. Co zajmuje mu tak długo?

Od razu wychwyciła zaledwie dosłyszalne stuknięcie klamki i oczekująco spojrzała w stronę drzwi.

Minęła minuta i nic.

Westchnąwszy cicho, Fenella zwróciła znów swą uwagę ku czytany przygodom Hucka Finna. Powinna była domyślić się niechęci Michaela do podzielenia się swoimi rysunkami. Ale wydawał się tak dobrze czuć w obecności Bryony, a poza tym ta dziewczyna nie była wcale *tak* obca. Była wnuczką Violety Rigby. Te wszystkie lata, kiedy Violeta pracowała jako opiekunka Michaela i Mirandy, były wyjątkowym czasem. Wtedy wszystko wydawało się dużo prostsze. Fenella żałowała, że nie da się cofnąć wskazówek zegara i przywrócić dzieciom ich niewinności. Kochany Michael, tak zniszczony wojną. A Miranda... Gdyby tylko wszystko mogło się potoczyć inaczej...

- Pani Heath? - W ciepłych, brązowych oczach dziewczyny wyraźnie malował się niepokój. Te oczy były takie znajome. - Wygląda pani na zmęczoną, proszę pani. Może powinniśmy przerwać tu czytanie.

- Nie, wszystko w porządku. Muszę tylko... - Fenella rzuciła niespokojnym spojrzeniem dookoła pokoju. Dlaczego tak ciężko było jej pamiętać? Odrzucając na bok narzutę, zsunęła nogi na ziemię z szezlonga i siadła na wprost... *kim była ta dziewczyna?* - Gdzie jest Miranda? Widziałaś może Mirandę?

- Nie znam jej, proszę pani, ale chętnie pójde kogoś zapytać. - Dziewczyna wstała i odłożyła książkę na puste krzesło.

- Nie, nie. Po prostu przyprowadź Michaela. On ją znajdzie. - Uczucie paniki ścisnęło Fenellę za gardło. Niewyraźne obrazy przeskakiwały przez jej głowę, drwiąc z niej i wabiąc w otchłań zapomnienia. - Gdzie jest Michael? Był tu dopiero przed chwilą.

Na dywanie zadudniły kroki.

- Jestem tutaj, mamo. Jestem już przy tobie. Podniosła wzrok i spojrzała wprost w przystojną twarz

syna - twarz mężczyzny, nie chłopca - i zastanawiała się, gdzie się podziały te wszystkie lata.

- Nie mogę znaleźć Mirandy. Nie mogę jej znaleźć!

6.

Oparty jedną nogą o barierkę werandy, z kubkiem niedopitej zimnej kawy na stoliku przed sobą, Michael przeglądał pudełko z kredkami. Dla ząbkowanych liści *Ilex verticillata* potrzebował ciemniejszego odcienia zieleni. Natknął się dzisiaj rano na te zarośla ostrokrzewu okółkowego podczas spaceru wzdłuż rzeki. Jasnoczerwone jagody, które otaczały łodyżki, zapewnią smaczny zimowy posiłek dla ptaków.

A jednak zima wydawała się jeszcze bardzo odległa. Choć letnie upały zelżały już trochę, ziemia nadal była wyschnięta, a parę ostatnich króciutkich deszczów nie przyniosło spodziewanej poprawy.

Na dźwięk śmiechu matki Michael podniósł wzrok. Siedziała na drugim końcu werandy, słuchając, jak Bryony czytała kolejny rozdział *Przygód Hucka Pinna*. Ostatnie parę dni minęło w przyjaznej atmosferze. Dancy nie miała nic przeciwko, żeby Bryony pomagała przy mamie. W zasadzie podeszła już w latach pokojówka zdecydowanie dobrze przyjęła te chwile wytchnienia, które zyskała dzięki dodatkowej parze oczu i rąk. Opiekowanie się matką zapewne nie było

łatwym zajęciem w ciągu ostatnich miesięcy, kiedy zdarzało się, że w jednej chwili doskonale orientowała się w otoczeniu, a za moment była już mentalnie w innym czasie i miejscu.

Bryony jednak wносиła swoją postawą spokój. Kiedy okresy utraty pamięci mamy wyprowadzały ją z równowagi, nie reagowała przesadnie, jak to się czasem zdarzało Dancy. Tego dnia, kiedy Michael wrócił ze szkicownikami i zastał matkę płaczącą za Mirandą, sam nieomalże spanikował. Ile razy jeszcze będzie musiał jej delikatnie tłumaczyć, że Miranda nie wróci do domu? Kiedy mama była przy zdrowych zmysłach, wiedziała dokładnie, dlaczego siostra Michaela została wyrzucona. I wiedziała, że winny temu był ich ojciec.

Okoliczności tamtych wydarzeń jednak nie były tym, co Michael chętnie wspominał.

Wrócił do pracy nad szkicem i paroma pociągnięciami pogłębił cień od spodu liścia, a potem dodał jeszcze więcej fuksji na jagody.

Dopiero gdy poczuł lekki dotyk na ramieniu, uświadomił sobie, że Bryony stoi tuż za nim. Zaskoczony usiadł prosto i zapytał:

- Czy wszystko w porządku z mamą?

- Tak, tak, miewa się dobrze. Dancy skończyła już sprzątanie jej apartamentów i zabrała ją na górę na popołudniową herbatkę. - Bryony pochyliła się bliżej, żeby spojrzeć na rysunek Michaela. - Ojej, jakie to piękne! Wygląda, jakby miało zaraz wyrosnąć poza kartkę.

Michael szybkim ruchem zamknął szkicownik i wstał.

- To tylko takie hobby, którym zająłem się po wojnie.

- Nie było jeszcze okazji, żeby pokazał mi pan pańskie

rysunki. Mam parę minut wolnych i chętnie zobaczyłabym więcej. - Wyciągnęła rękę po szkicownik. - Czy mogłabym?

Michael zawahał się. Nie było żadnej wymówki, żeby zatrzymać dla siebie te rysunki, ale myśl, że miałby je pokazać, sprawiała, że poczuł się, jakby ujawniał coś najgłębszego w nim samym. Jednak uśmiech Bryony, tak niewinny, a jednak delikatnie perswazyjny, pokonał jego opory. Wręczył jej szkicownik, a potem oparł się o barierkę werandy, kurczowo zaciskając ręce założone na piersi.

Bryony usiadła na krześle, które zwolnił, i zaczęła przeglądać wszystkie rysunki strona po stronie. Kontemplowała każdy obraz jakby ze czcią, a jej ciche pomruki podziwu sprawiała, że niepokój Michaela powoli ustępował.

Gdy dotarła do ostatniego szkicu, spojrzała na niego z rozwartymi ustami i Michael z zaskoczeniem stwierdził, że najpierw pomyślał o tym, jak bardzo kolor jej ust podobny był do odcienia jagód ostrokrzewu. Poczuł, że zaschło mu w gardle i teraz opanował go inny rodzaj niepokoju, więc szybko oderwał od niej wzrok. Sięgnął po swoją zimną kawę. Musiał zrobić coś, cokolwiek, co oderwałoby go od tego nagłego gradu emocji.

Bryony od nowa zaczęła przewracać strony, tym razem nieco szybciej.

- Są wspaniałe! Jak nauczył się pan malować coś takiego? I skąd czerpie pan wiedzę o każdej roślinie - czy studiował pan botanikę?

- Nigdy nie miałem okazji. - Michael zawsze chciał iść do college'u, ale nagle zmienił plany i wstąpił do armii. - Jednakże dużo czytam. - Bóg sam wiedział, że miał dużo czasu na naukę podczas swojego pobytu w szpitalu w Raleigh.

Jeden z sanitariuszy, który studiował na uczelni w Północnej Karolinie, dostarczał mu książki z biblioteki uniwersyteckiej.

- Gdybym tylko wiedziała tak wiele jak pan o kwiatach, drzewach i krzewach, pewnie zasadziłabym własny ogród Eden i przenigdy bym z niego nie wychodziła. - Bryony nagle spojrzała na niego. - Czy ma pan rysunek mojej imienniczki... jak pan ją nazwał? Przeszłość?

Michael odchrząknął.

- Gdzieś... mam.

- Czy mógłby mi pan pokazać?

- Musiałbym iść na górę i go poszukać. - Wskazał ręką niedbale w stronę domu, ale nie ruszył się z miejsca. Miał wrażenie, że podeszwy przyrosły mu do podłogi werandy.

Bryony dalej przeglądała szkicownik.

- Tak bardzo bym chciała, żeby moja mama mogła to zobaczyć. I dziadek. Oni wiedzieli tyle o ogrodnictwie, że ja nigdy nie będę w stanie im dorównać. A teraz moja siostra, Rose²... może ona kiedyś przybliży się do takiej wiedzy. Ale Larkspur³ i ja...

- Wy wszystkie macie imiona jak kwiaty? - Podśmiechując się pod nosem, Michael potrząsnął głową. - W zasadzie nie powinienem się dziwić, skoro wasza babcia miała na imię Violeta⁴.

- A moja mama miała na imię Iris⁵. Mówiłam panu, że one kochały ogrodnictwo - skwitowała Bryony, mrugając do niego okiem. - Nie mam pojęcia, jak mama i tata daliby na imię synowi, gdyby im się urodził.

2 *rose* (ang.) - róża [wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza]

3 *larkspur* (ang.) - ostróżka

4 *violet* (ang.) - fiołek

5 *iris* (ang.) - irys

Michael popatrzył daleko poza werandę, w stronę linii drzew.

- Może Ash albo Linden⁶?

- Podoba mi się. Brzmi męsko i jednocześnie bardzo elegancko. Pewnego dnia, gdy wyjdę za mąż i będę mieć synka... - Zaczerwieniwszy się, Bryony zerwała się z krzesła i oddała szkicownik Michaelowi. - Jak mnie pan będzie słuchał, gdy gadam o takich głupotach, zajmę panu cały czas. I na pewno dostanę reprimendę od panny Esthery.

Szybkim ruchem poprawiła fartuszek i rzuciła się w stronę domu, a Michael poczuł się nagle dziwnie przygnębiony. Kiedy to po raz ostatni cieszył się aż tak z rozmowy z drugim człowiekiem? Kłócił się z ojcem, wysłuchiwał matki, przekomarzył się z Odette i starał się po prostu być miły wobec pozostałych służących.

Ale Bryony... ona była inna. Chociaż zawsze zachowywała odpowiedni szacunek i skrupulatność, było w niej dużo determinacji. Sprawiała wrażenie osoby skupionej na swoim celu, jakby praca u Heathów była jedynie etapem w jej drodze ku czemuś lepszemu. Inni służący, zwłaszcza ci, którzy pracowali tu najdłużej, podchodzili do pracy z obojętnością, do której już dawno przywykli. Michael nie podważał ich lojalności wobec rodziny, ale wątpił w ich entuzjazm. Nawet najmłodsza, Callie, wydawała się zrezygnowana i pogodzona ze swoim losem.

Michaelowi przywodziło to na myśl defetyzm. Nie była to cecha, którą zbyt cenił, zwłaszcza u siebie, ale winę za to zrzucał na okoliczności, które go spotkały, decyzje, jakie musiał podejmować, i nieuniknione konsekwencje tych

⁶ *ash* (ang.) - jesion, *linden* (ang.) - lipa

wyborów. Bardzo pragnął mieć tyle siły, żeby to zmienić, ale ponad dziesięć lat życia w odosobnieniu prawie całkowicie pozbawiło go umiejętności doceniania wielkiego świata. A wysiłki taty, żeby zaangażować go w zarządzanie plantacją? Były zupełnie daremne. Gdyby tylko umiał o tym przekonać ojca...

Jęknął i ciężko opadł na krzesło, a następnie otworzył szki-cownik na stronie z rysunkiem ostrokrzewu. Brakowało tylko paru pociągnięć, żeby ukończyć ten obraz, ale nie umiał znaleźć motywacji, żeby wziąć kredki i rysować dalej.

Ponad nim, na balkonie na piętrze otworzyły się drzwi i usłyszał melodię nuconą przez Bryony. *Bryonia alba*, roślina o działaniu leczniczym. To dziwne, że ta kobieta, której prawie w ogóle nie znał, miała na niego właśnie takie działanie.

Zebrał razem przybory do rysowania, a następnie wszedł do środka. Kiedy już znalazł się w swoim salonie, podszedł od razu do biurka i zaczął przeglądać szki-cowniki, aż znalazł rysunek, którego szukał. Przechodząc przez korytarz w kierunku pokoi matki, wyobrażał sobie już uśmiech pięknie zarysowanych ust Bryony, gdy tylko pokaże jej jasny, gwiaździsty kwiat, którego imię nosiła.

Podczas gdy Dancy pomagała pani Heath położyć się do łóżka na drzemkę, Bryony zbierała pozostałości po popołudniowej herbacie, by znieść je na dół, do kuchni. Pchnięciem otworzyła zewnętrzne drzwi apartamentu i zobaczyła, że po drugiej stronie stoi Michael. Ciężko przełknął ślinę i zaczął:

- Ja, hm, chciałem tylko...

- Czy to jest to, o czym myślę? - Skinęła w stronę szkicownika, który miał wetknięty pod pachą.

Zrobił chwiejny krok w tył i rzekł niepewnie:

- Widzę, że jesteś zajęta.

- Nie robię nic, co by nie mogło poczekać tę minutę albo dwie.

- Jeśli Bryony pozwoli mu uciec, niewątpliwie on znajdzie inne wymówki, żeby nie pokazać jej swoich pozostałych rysunków. Obróciwszy się, odstawiła tacę na stojącą obok szafkę.

Kiedy zerknęła w stronę drzwi, Michael nadal stał w korytarzu. Jego szkliste spojrzenie mówiło jej, że był gotowy zwiać.

- Panie Heath - powiedziała, a potem zacisnęła usta i oparła ręce na biodrach. - Obiecał mi pan pokazać przestęp, a nie wygląda mi pan na człowieka, który nie dotrzymuje danego słowa.

Rzucił przelotne spojrzenie za siebie, jakby szukał odwagi, która popchnie go, by przeszedł przez drzwi. Kiedy wreszcie to uczynił, Bryony zamknęła za nim, a on wciąż stał, jakby zapuścił korzenie. Uśmiechnęła się do niego na zachętę.

- Proszę mi pokazać.

Powoli, z namysłem odwrócił strony, aż dotarł do szkicu, którego szukał. Z istic chłopięcą nieśmiałością wręczył jej szkicownik.

- Och, ojej! - Bryony przycisnęła rękę do serca i wzrokiem pieściła każde pociągnięcie kredki. - To jest przepiękne.

- *Bryonia alba* to pnąca roślina pochodząca z Europy - wyjaśnił Michael. Gdy Bryony zaniósła szkicownik do stołu

pod oknem i usiadła, poszedł za nią i zajął krzesło obok. - Czasem bywa mylona z mandragorą. - Z każdym słowem jego głos brzmiał coraz pewniej. - Roślina kwitnie w maju i przez lato pnącza potrafią urosnąć nawet o parę metrów.

- A te małe jagody... są jadalne? - Bryony delikatnie musnęła czubkiem palca miejsce, w którym narysowane było grono czarnych jagódek o wielkości nasion grochu.

- Śmiertelnie trujące - odpowiedział niemalże przeproszającym tonem. - W zasadzie cała roślina jest trująca.

Bryony wyprostowała się i westchnęła.

- Nie wiem, czy to takie miłe nazywać się jak trucizna.

- Ale w odpowiednio przygotowanych proporcjach roślina ta może mieć zastosowanie lecznicze. Chyba muszę ci pożyczyć jedną z moich książek z botaniki, żebyś mogła więcej o tym poczytać.

- Z chęcią. Dziękuję. - Choć była wyjątkowo zafascynowana, stwierdziła, że spędziła już wystarczająco dużo czasu na oglądaniu rysunku swojej toksycznej imienniczki. Wstała i ruszyła przez pokój, żeby wziąć tacę z herbatą.

Właśnie w tym momencie Dancy wyszła z sypialni pani Heath.

- Śpi już głęboko - stwierdziła i przytknęła rękę do czoła. - A mnie łapie jakiś ból głowy. Chciałabym móc... - Nagle jej oczy rozwarły się z przerażeniem. - Och, przepraszam, nie wiedziałam, że pan też tu jest, paniczu Michaelu.

Zza pleców Bryony rozległ się jego głos:

- Zażyj aspirynę, Dancy. Będziemy tu nasłuchiwać, czy mama się nie budzi.

Słyszając z jego ust słowo „będziemy”, dziewczyna poczuła dziwne ukłucie. Nie chciała, żeby Dancy źle to zrozumiała,

więc szybko dodała:

- Zajmę się sprzątaniami do czasu, aż wrócisz.

Ledwie Dancy wyszła z pokoju, kiedy Michael stanął przy boku Bryony ze szkicownikiem w dłoni i z jakąś tęsknotą wycierającą z jego oczu.

- Mam więcej rysunków, jeśli chciałabyś je obejrzeć.

Schlebiało jej, że tak chętnie to zaproponował. Wyczuwając jego pragnienie zdobycia aprobaty, posłała mu pełen zaciekawienia uśmiech. Wręczył jej szkicownik, a potem wskazał na stolik, przy którym przedtem siedzieli. Z pewnym wahaniem zajęła miejsce i otworzyła na rysunku, który przedstawiał wysoką, kolczastą roślinę pokrytą dzwoniczowymi różowymi i lawendowymi kwiatami. W prawym dolnym rogu Michael ołówkiem zapisał nazwę: *Digitalis purpurea*.

- To też brzmi leczniczo - stwierdziła.

- Racja. Półtora wieku temu lekarz i botanik o nazwisku William Withering dowiedział się od starszej kobiety w Shropshire, że ta roślina może być wyjątkowo skuteczna w leczeniu puchliny wodnej, która była objawem zastoinowej niewydolności serca.

- To bardzo ciekawe. - Równie interesujące było to, jak w trakcie, gdy Michael opisywał szczegółowo swoje szkice, zniknął dystans, który do tej pory zachowywał. Odwróciła na następną stronę, a potem kolejną, zadając coraz więcej pytań i zauważając taką samą reakcję.

Kiedy doszła już do ostatniej strony, Bryony zamknęła szkicownik, złożyła ręce na okładce i przechyliwszy głowę w stronę Michaela, zapytała:

- Czy zdaje sobie pan sprawę z tego, jak niezwykły talent pan posiada?

Zaśmiał się nerwowo w odpowiedzi i rzekł:

- To tylko rysunki. Takie błahe hobby.

- *Hobby?* Haftowanie to może być hobby, gryzmolenie... Ale to... - Szukała odpowiednich słów, a jej głos zmienił się w nabożny szept. - Pańskie szkice to prawdziwy skarb. Te rysunki nie powinny być schowane przed wzrokiem innych, którzy mogliby je podziwiać i uczyć się z nich. Michaelu, powinieneś je opublikować.

Zobaczyła jego zdziwione spojrzenie i natychmiast przytknęła rękę do ust. Czy *naprawdę* zwróciła się właśnie do swojego pracodawcy po imieniu?

Puściła szkicownik i zerwała się z krzesła.

- Przepraszam bardzo! Zapominam, gdzie moje miejsce. Obiecuję, że to już się więcej nie powtórzy.

Podczas gdy ona stała sztywno, Michael przesunął się na skraj krzesła i oparł łokcie na kolanach. Jego żebra uniosły się w głębokim oddechu. Podniósł głowę i powoli, ciężko stanął na nogach.

- Szkoda.

A więc miała to, na co zasłużyła. Należała jej się nagana. Stała nadal ze spuszczonego wzrokiem.

- Bryony, popatrz na mnie. - Kiedy niechętnie skrzyżowała swoje spojrzenie z jego wzrokiem, uśmiechnął się, a w jego uśmiechu widać było smutek i samotność. - Chciałem powiedzieć, że wyjątkowo rzadko zdarza mi się, żeby ktoś spoza rodziny zwracał się do mnie po imieniu. Miło mi było znowu poczuć się tak, jakbym miał przyjaciela.

- Ale ja pracuję dla pana. Nie jesteśmy... to znaczy, *nie możemy* być przyjaciółmi.

Twarz Michaela przybrała znów wyraz poczucia bezsensu.

- Nie, pewnie nie. - Sięgnął po swój szkicownik i przytulił go do piersi. - Znowu odciągam cię od twoich obowiązków. Wybacz mi, proszę.

- Michaelu, poczekaj... - Bryony wzdrygnęła się. Nie zastanawiając się nawet, zrobiła to po raz kolejny. Dlaczego jego imię przychodziło jej na usta tak naturalnie?

Wstrzymał się i spojrzał jej prosto w twarz. W jego pociemniałych oczach malował się ból. Podeszła bliżej.

- Nie różnimy się aż tak bardzo, sam wiesz. Oboje borykamy się z sytuacjami, których sobie sami nie wybieraliśmy. - Kiedy popatrzył na nią tak, jakby chciał się sprzeciwić, szybko zaczęła mówić dalej: - Och, tak, widziałam, jak twój tata próbuje zmusić cię do tego, byś przyuczył się do prowadzenia rodzinnego biznesu. I wiem, że zawsze, gdy tylko masz okazję, wymykasz się z domu, by malować i nie musieć słuchać jego nagabywania.

Jego ramiona zapadły się, przypominając Bryony ten jeden, jedyny raz, kiedy dziadek zabrał ją do lasu ze sobą, żeby sprawdzić pułapki. Znaleźli zająca, który najprawdopodobniej złapał się dzień albo dwa dni wcześniej i biedaczek wyglądał na zupełnie wyczerpanego i zrezygnowanego walką, by znaleźć wyjście z podłużnego pudła. Przygnębiająca kapitulacja tego zająca tak bardzo zasmuciła Bryony, że przez parę kolejnych tygodni miała koszmary i już nigdy nie poszła z dziadkiem na łowy.

Teraz zobaczyła dokładnie to samo zrezygnowanie w postawie Michaela i wiedziała, że to źle - bardzo źle! Miał bogactwo, rozum i talent. Mógł zostać kimkolwiek by zechciał i zrobić, co tylko mógłby sobie zamarzyć. A tymczasem,

z jakiegoś powodu, którego Bryony mogła się tylko domyślać, wydawał się uwięziony w tym miejscu, w którym był. Tak jak ona.

- Wyrwałam się jak filip z konopi - powiedziała, zaciskając palce wokół brzegu fartuszka. - Dziękuję jeszcze raz za to, że pokazał mi pan swoje rysunki. Powinnam już wracać do pracy.

- Poczekaj, Bryony. Proszę... - Michael sięgnął po jej rękę. Próbowwała przełknąć ślinę, ale miała zbyt ściśnięte gardło.

- T-tak, *sir*?

Jego dłoń spięła się.

- Wolałem, kiedy zwracałaś się do mnie *Michaelu*. - Delikatnie przyciągnął ją do siebie, tak że stali na tyle blisko siebie, że nieomal stykali się głowami. Wciąż trzymając jej dłoń, rzucił okiem w stronę zamkniętych drzwi zewnętrznych, a potem popatrzył na przylegający pokój, w którym drzemiała jego mama. Ściszone głosem powiedział:

- Nie chciałbym nigdy narazić na szwank twojej pozycji tutaj, ale... - Jabłko Adama drgało mu, gdy mówił: - Staram się tylko powiedzieć, że...

Bryony zaśmiała się nerwowo.

- Nie umiem czytać w myślach i zmitrężyłam już wystarczająco dużo czasu, więc może pan wreszcie to z siebie wykrztusi.

Puściwszy jej rękę, cofnął się o krok. Odruchowo chciała z powrotem zmniejszyć dystans pomiędzy nimi i musiała z całych sił powstrzymać się, żeby stać prosto i czekać, aż on dokończy.

Odkaszlnął i rzekł:

- Powiedziałaś, że nie możemy być przyjaciółmi.

- A pan się z tym zgodził.
- Cóż, chciałbym zmienić zdanie.

Przyjaźń? Niewątpliwie to była ogromna pomyłka - taka, której oboje będą żałować, jeśli ojciec Michaela kiedykolwiek się o tym dowie. Ale coś w postawie Bryony przyciągało go tak bardzo, że zaczął mierzyć czas oczekiwaniem na parę tych chwil, które mogli spędzić sam na sam.

Częściej, co prawda, musiał dzielić jej towarzystwo ze swoją matką. Jednak nie przeszkadzało mu to, ponieważ widać było wyraźnie, że mama kwitła pod opieką Bryony. Podczas gdy Dancy kompetentnie zajmowała się codziennymi zajęciami matki i doglądała jej osobistych potrzeb, rola Bryony bardziej przybierała charakter dotrzymania towarzystwa. Czytała matce, rozmawiała z nią przy herbacie, spacerowały dookoła posiadłości.

W rzeczywistości, Michael uświadomił sobie z ironią, że wyglądało to tak, jakby Bryony zajmowała miejsce, które należało się Mirandzie, gdyby ojciec nie wyrzucił jej z rodziny.

- Jesteś taki poważny - powiedziała Bryony któregoś dnia. To był słoneczny poranek na początku października i właśnie wzięli matkę na spacer. - O czym myślisz?

Tak bardzo pragnął wziąć ją za rękę, ale któż mógł wiedzieć, czyje oczy ich obserwowały. Poza tym jego rozmowa z Estherą niewiele dała, by powstrzymać niechęć, którą Odette i Alice okazywały Bryony, a która wydawała się jeszcze bardziej pogłębiać. Michael podejrzewał, że źródłem

ich niezdrowych relacji była zazdrość, ale dobro jego mamy liczyło się bardziej niż rywalizacja pomiędzy służbą.

- Zastanawiałem się po prostu, o ile lepiej w ostatnich dniach radzi sobie mama. - Uśmiechnął się do drobnej kobiety, która kroczyła nieco przed nimi. - Mam wrażenie, że chłodniejsze dni przywróciły jej witalność.

- Zdaje się też, że ostatnio nie zapomina się już tak często. - Bryony przystanęła, by przyjrzeć się rozłożystemu krzewowi o białych kwiatach. - Powiedz mi, jak on się nazywa. Wiem, że widziałam go na twoich rysunkach.

- *Baccharis halimifolia*, znany też jako bakcharis srebrzysty. Efektowny, prawda?

Bryony włożyła ręce w kieszenie swetra i posłała mu pełne irytacji spojrzenie.

- Kusi mnie, żeby ukraść wszystkie twoje szkicowniki i wysłać je gdzieś, na jakiś uniwersytet. Jestem pewna, że moja siostra w college u mogłaby dowiedzieć się od któregoś z profesorów, gdzie można byłoby je opublikować.

Nie przerywając kroku, Michael pokręcił przecząco głową.

- Nie odchodź za daleko, mamo.

- Jasne, teraz będziesz mnie ignorował. - Bryony dogoniła go.

- Jeżeli chcesz stać w opozycji do tego, czego naucza Pismo Święte i chować światło pod korcem, to proszę bardzo.

Nie przychodziła mu do głowy żadna właściwa riposta, więc zamknął usta, idąc jeszcze szybciej. Bryony dotrzymywała mu kroku i wkrótce byli już blisko matki.

- Proszę się zbytnio nie przemęczać, pani Heath. Trzeba zachować trochę sił na drogę powrotną.

- A co, młodzi, myślicie, że nie dam sobie rady? - Dama

roześmiała się dziarsko. - Sami popatrzcie, kto się tak wlecze od rana. Co wy tam we dwójkę robiliście za moimi plecami? Pewnie dawaliście sobie buziaki?

Z gardła Michaela dobył się duszący kaszel. Nie odważył się nawet spojrzeć w stronę Bryony. Szepnął szorstko:

- Mamo, proszę.

- Nie proś mi tu, młody człowieku. - Pani Heath zatrzymała się gwałtownie, przez co Michael i Bryony o mało na nią nie wpadli. Sięgnęła najpierw po rękę Michaela, a potem Bryony i skarciła oboje wzrokiem. - Jeszcze nigdy nie widziałam dwójki ludzi, którzy tak bardzo starają się nie pokazywać po sobie swoich prawdziwych uczuć wobec drugiej osoby. Synu, jeśli zamierzasz zalecać się do tej miłej damy, musisz to zrobić odpowiednio.

Michael stał osłupiały i skierował swój wzrok na Bryony. Jej twarz stała się najpierw śmiertelnie blada, a następnie doszczętnie spąsowiała. Zamknął oczy i przełknął z trudem, a potem rzekł:

- Chyba już czas wracać.

Dzięki Bogu, matka nie miała nic przeciwko. Dotarli właśnie do frontowej werandy, kiedy Odette wyszła im na spotkanie.

- Jużci myślałam, że poszliście na przełaj aż do Little Rock. Obiad ciepły i gotowy do podania.

Michael zauważył wyniosły wzrok skierowany w stronę Bryony. W odpowiedzi posłał jej ostrzegawcze spojrzenie. Odette zacisnęła usta i uniosła podbródek, a następnie wycofała się do jadalni.

- Gdzie Dancy? - zapytała matka. - Chciałabym się odświeżyć przed posiłkiem.

- Pomogę pani wejść na górę - odpowiedziała Bryony, ujmując ją za ramię. Po insynuacjach rzucanych przez matkę podczas spaceru, Bryony starała się ze wszelkich miar zachować odpowiedni dystans do Michaela.

A on pragnął jedynie być z nią znowu sam na sam.

To było niedorzeczne. Istniało tyle powodów, dla których nie powinien żywić takich uczuć wobec Bryony Linwood. Ale nie liczyło się dla niego to, że była wnuczką dzierżawcy jego ojca, ani to, że była pokojówką jego matki. Nieważne też, że podobny, niestosowny związek był powodem, dla którego ojciec wydziedziczył Mirandę. Nie dbał nawet o to, że Bryony musiała być od niego młodsza o dobre dziesięć lat.

Nie, największą przeszkodą pomiędzy nimi był on sam. Nie umiał już nie być odludkiem. Samotność stała się jego schronieniem przed tym wszystkim na świecie, co wydawało mu się niewłaściwe.

Ale teraz Bryony wniosła poczucie słuszności w jego życie i nie chciał tego stracić. Jeszcze nie wiedział jak, ale musiał nakłonić matkę, żeby już więcej nie wspominała o swoich spostrzeżeniach, zwłaszcza przy ojcu. Gdyby tata podejrzewał tylko, jakie uczucia jego syn mógłby żywić do Bryony, z pewnością niezwłocznie wyrzuciłby ją z domu.

- Michaelu! - Ostry ton głosu ojca sprawił, że syn drgnął z zaskoczenia.

- Słucham, sir?

- Jeśli możesz, przyjdź jeszcze przed obiadem do mojego gabinetu na słówko.

Nie chciał i nie mógł, ale w milczeniu poszedł za ojcem w głąb korytarza. Ten usadowił się za biurkiem i otworzył księgę. Michael stał naprzeciw z założonymi rękami.

Krzywiąc twarz w gniewnym grymasie, ojciec przesunął rachunki w kierunku Michaela, a potem postukał palcem wskazującym w otwartą stronę.

- Chciałem, żebyś dokładnie zobaczył, ile kosztuje nas twoja wielkoduszność. Jeśli gospodarka nadal będzie tak lecieć w dół, potrzeba będzie wielu lat, zanim uda nam się zre-kompensować te straty.

Michael pobieżnie rzucił okiem na kwoty, w duchu wzdychając z ulgą, że rozmawiają o interesach na plantacji, a nie o sprawach, wokół których przedtem krążyły jego myśli. Przeniósł wzrok na ojca i zapytał:

- A jak sądzisz, ile czasu będzie trzeba, żeby Wielandowie i inni dzierżawcy mający obecnie trudności mogli zrekom-pensować *swoje* straty - jeśli to w ogóle będzie kiedykolwiek możliwe?

Ojciec zamknął księgę z trzaskiem.

- Dlaczego miałyby mnie to w ogóle interesować? - Obracając się bokiem na krzesło, posłał Michaelowi jadowite spojrzenie. - Straciłem apetyt. Wytłumacz mnie przed matką.

- Z przyjemnością - rzucił Michael i ostentacyjnie wyszedł z gabinetu.

Ta rozmowa sprawiła, że on też już nie miał ochoty na je-dzenie. Po krótkiej wymianie zdań z Odette udał się na górę, zamierzając zjeść później, kiedy jego żołądek nieco się uspo-koi.

Matka schodząc właśnie na dół, spotkała Michaela u szczytu schodów.

- Nie idziesz na obiad?

- Nie, mam, nie teraz. - Szukał wzrokiem Bryony, ale to Dancy towarzyszyła mamie do jadalni.

- Och, synu, czyżbyś znów źle się czuł? Poklepał ją po ramieniu i zmusił się do uśmiechu.

- Wszystko będzie dobrze.

Gdyby to tylko mogła być prawda. Ale jakieś dokuczliwe przeczucie mówiło mu, że jego życie nie miało ani sensu, ani celu. Musiał trzymać się przekonania, że Bóg ocalił go podczas wojny z jakiegoś konkretnego powodu. Jednak upłynęło już dwanaście lat i każdy człowiek przy zdrowych zmysłach już powinien był domyślić się z jakiego.

Bryony Linwood sprawiała, że chciał to uczynić bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

- Nie mamy już mąki kukurydzianej. - Miranda Heath Vargas postawiła przed mężem blaszany talerz, na którym znajdował się chleb kukurydziany i rozwodniona fasola. -A suszonej fasoli zostało może jeszcze na jakiś tydzień. Chyba że będę gotować trochę rzadszą zupę.

Daniel Vargas spojrzał na żonę, a w rysach jego twarzy malowały się gorycz i rozczarowanie. Skinął w stronę pustego miejsca przed Mirandą.

- A gdzie twoja porcja?

- Nie mam dziś apetytu. - Nauczyła się kłamać z poważną miną, żeby nigdy nie wydało się przed człowiekiem, którego tak kochała, że głód nękał jej żołądek niczym wygłodniały kojot.

- *Querida*, najdroższa moja! Siądź tu koło mnie i jedz. -Mocne dłonie Daniela objęły ją w pasie. Przyciągnął ją do siebie, tak że nie miała innego wyboru, jak tylko usiąść na

krześle stojącym na ukos od niego. Przełamał pajdę chleba i zamoczył połowę w fasoli, a potem wręczył jej.

Skubnęła nieco, ale suche okruchy uwięzły jej w gardle razem ze łzami, których nie chciała uronić.

- Spakowałam ci czystą koszulę i dodatkową parę skarpet. Pamiętaj, żeby się umyć i przybrać na twarz uśmiech, zanim pójdziesz pytać o pracę. Dobre wrażenie jest bardzo ważne.

Obdarzył ją teraz tym samym szerokim uśmiechem, który skradł jej serce lata temu i surowość rysująca się wokół jego oczu trochę zelżała.

- Dasz sobie radę, Mandy. Jesteś silną kobietą. Musisz tylko wytrzymać do czasu, aż dotrę bardziej na północ, gdzie ta susza nie była tak straszna. Znajdę pracę i przyślę ci pieniądze, najszybciej, jak się da.

Tama nie wytrzymała i łzy popłynęły po jej twarzy. Teraz Miranda zanurzyła się w ramionach męża, łkając gwałtownie.

- Danielu, Danielu, nie chcę, żebyś odchodził!

- Muszę, *querida*. Wiesz, że nie mam innego wyjścia. Nie ma pieniędzy z roli w tym roku i nie mogę pozwolić, żeby moja rodzina głodowała. - Daniel dziarsko potarł boki jej ramion, a potem podtrzymał ją wyprostowaną. Przesunął zgrubiałym kciukiem po jej mokrym policzku, a w jego głosie dało się wyczuć narastające emocje: - Dość już tego beczenia, słyszysz? Jak mam zrobić to, co trzeba, jeśli nie będę przekonany, że dasz sobie radę sama?

- Dam. - Pokiwała zwawo głową. - Obiecuję, że będę tu czekać na ciebie.

- Musisz mi obiecać jeszcze jedną rzecz. - Daniel ściągnął usta i wwiercił w nią spojrzenie swoich kawowych oczu.

- Jeśli sytuacja się pogorszy, pójdiesz do swojego ojca. Nakłonisz go do tego, żeby zaopiekował się tobą, tak jak powinien to być już dawno uczynić.

Złość i odraza przetoczyły się przez całe ciało Mirandy. Wzdrygnęła się tak gwałtownie, że aż zatrzęsło stołem i odwróciła od niego wzrok.

- Prędzej umrę, niż pójde do niego po prośbie.

- Żono, posłuchaj mnie teraz uważnie. - Daniel zerwał się z krzesła i przyciągnął ją mocno do swojej piersi. Gwałtowny przypływ miłości odmalował się na jego umęczonej twarzy.

- Nie waż się nawet przyczyniać do tego, żebym musiał się martwić, czy po powrocie do domu nie zastanę cię w grobie. Musisz walczyć, by żyć, wszelkimi możliwymi sposobami, Mandy. Dla dobra naszej rodziny, musisz *walczyć*.

Walczyć? Kiedy nawet nie miała siły mu się sprzeciwić? Spuściła czoło w zagłębienie obok jego obojczyka. Wodziła rękami po szczupłym torsie, jakby zapamiętując przez dotyk palców każde żebro, każde ścięgno, każdy twardy mięsień. Wciągała w płuca jego męski zapach, w którym wyczuwała nutę ciężkiej pracy, mydła i ciepłej skóry. Ten zapach, który tak dobrze poznała przez lata kochania tego człowieka.

Jak miała mu pozwolić odejść?

7.

- To niewiarygodne!

Nagły okrzyk dobiegający z drugiej części domu spowodował, że Bryony o mały włos nie upuściła złożonych prześcieradeł, które dopiero co wyprasowała. Miała tylko nadzieję, że to nie kolejny raz, kiedy Sebastian Heath trapi czymś Michaela.

Następnie rozległ się wybuch śmiechu i pan Heath wykrzyknął imię Jeremiaha.

- Słyszałeś to? Czy ty to *słyszałeś*?

- W rzeczy samej! - odpowiedział mu hałaśliwy głos służącego. - O Jezu! Ten Joe Sylvester wygrał siedem wyścigów w ciągu jednego dnia!

Ależ oczywiście! Chodzi o wyścigi konne, których relacji słuchali w radiu. Bryony wzniosła oczy ku niebu. Alice stanęła na drugim końcu korytarza i zapytała:

- O cóż, do licha, oni się tak nerwują?

Zaskoczona, że Alice się w ogóle do niej zwróciła, Bryony nie odpowiedziała od razu. Uśmiechnęła się i wzruszyła teatralnie ramionami.

- Musiało się stać coś ekscytującego na torze wyścigowym. Cokolwiek by to nie było, wydają się raczej zadowoleni.

- Hm. Ja to bym była zadowolona, gdybym już skończyła całą robotę i mogła zjeść kolację i na chwilę położyć moje zmęczone, obolałe stopy.

Bryony skinęła grzecznie, myśląc jednocześnie o tym, jak długa droga do domu czeka ją jeszcze każdego dnia po zakończeniu pracy. Alice, która zazwyczaj mieszkała w domu i wyjeżdżała tylko, gdy miała wychodne, mogła się cieszyć doskonałą kuchnią Odette, a potem iść na górę i odpocząć w pokojach dla służby.

Bryony ułożyła na rękach ciężki stos prania i westchnęła:

- Chyba lepiej pójdę zanieść te prześcieradła na górę do pokoju pani Heath.

- Tak, *lepiej* tak zrób. - W głosie Alice powróciła nuta urazy. *Zadarła* nos i ruszyła, by ją minąć.

Bryony miała już dość tej wzgardy. Zastąpiła drogę Alice i rzekła:

- Chciałabym, żebyś mi powiedziała, czego we mnie tak nie lubisz.

- Lubię cię na tyle, na ile trzeba. - Alice spojrzała w kierunku korytarza prowadzącego do gabinetu panny Esthery. - Donosisz na mnie? Chcesz mi napędzić kłopotów?

- Nigdy bym nie zrobiła niczego podobnego. Jednak na początku, jak zaczęłam tu pracować, miałam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółkami. I widać wyraźnie, że Odette też za mną nie przepada. Nie rozumiem, co takiego zrobiłam, że zasłużyłam na waszą nieżyczliwość.

Usta Alice skrzywiły się, jakby zjadła cytrynę.

- Skoro nie wiesz, nie chcę być tą, która ci to ma tłumaczyć.
- To niesprawiedliwe - zasepiła się Bryony. - Pracuję tu dokładnie z takiego samego powodu co ty - żeby moja rodzina miała co jeść i miała dach nad głową. Przecież nie zabieram ci niczego.

- *Mnie* nie, ale... - Alice zacisnęła usta. - Rób po prostu, co do ciebie należy, a ja zajmę się swoimi sprawami. Nie ma obowiązku, cobyśmy musiały być przyjaciółkami, jak pracujemy w tym samym domu. - Rzucając jej na pożegnanie szyderczy uśmiech, przepchnęła się obok Bryony i wyszła w stronę kuchni.

Bryony czuła, jak drży jej podbródek. Opuściła z rezygnacją ramiona i ruszyła w stronę tylnych schodów. Skoro Alice i Odette nie lubiły jej, nie mogła nic z tym zrobić, zwłaszcza że nie chciały ujawnić swoich motywacji. To jednak na pewno nie ułatwi jej pracy tutaj.

Kiedy dotarła na pierwsze piętro, odwróciła się w kierunku apartamentów pani Heath, dokładnie w tym momencie, gdy Michael wychodził od mamy. Z rozpromienioną twarzą podszedł w stronę Bryony.

- Pokazywałem właśnie mamie swoje ostatnie szkice - powiedział, a zaraz niepewnie dodał: - Chcesz zobaczyć?

Bryony wskazała głową na stos pościeli.

- Może innym razem.

Po tej zagadkowej wymianie zdań z Alice marzyła jedynie o tym, żeby skończyć pracę i wrócić do domu. Jutro była niedziela i długo wyczekiwany dzień wolny. I mimo że czekało ją wiele obowiązków w domu dziadka, wreszcie będzie mogła być z ludźmi, którzy ją prawdziwie kochali.

- Czy coś się stało? - Michael przysunął się bliżej. Wyraz jego twarzy stał się surowy. - Czy Alice albo Odette znowu coś ci powiedziały?

Nie umiała spojrzeć mu w oczy.

- Mam za sobą długi dzień, i tyle. I jeszcze tak wiele do zrobienia.

Kiedy próbowała prześliznąć się obok niego, stanął jej na drodze. Umieściwszy szkicownik pod pachą, Michael przejął od Bryony ciężar poskładanych prześcieradeł i przerzucił je bezceremonialnie na stół w korytarzu.

- Michaelu, proszę - powiedziała ściszym głosem i przebiegła wzrokiem korytarz na piętrze. - Chcesz, żebym straciła pracę?

- Oczywiście, że nie. Ale chcę, żebyś była ze mną szczerą, Bryony. Mogę znów porozmawiać z Estherą...

- Nie! - Pozbawiona stosu pościeli, które stanowiły jej barierę, czuła się teraz taka bezbronna i obnażona. Cofnęła się nieco, ramionami mocno obejmując zębra. - Jest, jak jest, i nic, co byś mógł powiedzieć, tego nie zmieni. - Podejrzewała, że jego ingerencja pogorszyła tylko tę sytuację.

Odwrócił się gwałtownie. Złapał za balustradę wychodzącą na hol na parterze, a jego ramiona uniosły się i opadły w zrozpaczonym westchnieniu.

- Ta nasza przyjaźń nie układa się zbyt dobrze, prawda? Bryony nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź, przynajmniej nie taka, którą on mógłby chcieć usłyszeć.

- Staralam ci się to już kiedyś wytłumaczyć.

- Tak, to prawda. Ale ja nadal uważam, że się myliłaś. Chciałaby się mylić w tej kwestii. Tak bardzo by chciała.

Ale nawet jeśli Michael nie chciał przyznać, że wszystko

ich dzieliło, ona widziała to aż nazbyt wyraźnie. Bez słowa wzięła prześcieradła i czmychnęła w stronę drzwi prowadzących do pokoju pani Heath. Kiedy odwróciła się, żeby zamknąć je za sobą, zobaczyła, że Michael patrzy za nią z tą samą bezdenną rozpaczą, która kiedyś o mało nie odebrała jej oddechu.

- W samą porę. - Ostry ton Dancy zaskoczył Bryony. -Czekałam na ciebie, żebyśmy mogły zdjąć pościel z łóżka, zanim będę musiała zejść na dół po panią H.

- Przepraszam, coś mnie oderwało od moich obowiązków. - Bryony posłała skruszony uśmiech w stronę wysokiej, ciemnoskórej kobiety i przeszła do sypialni. - Czy ona nadal przyjmuje tego swojego księdza?

- Tak, zdaje się, że zaprosiła księdza Dempseya, coby został na kolację. - Dancy stanęła po drugiej stronie łóżka, żeby pomóc Bryony wytrzepać prześcieradło.

- To dobrze. Cieszę się, że będzie miała jakieś towarzystwo. Dobrze jej to robi.

- To twoja obecność jej dobrze robi. - Dancy przeszła na koniec łóżka i upychała prześcieradło. - Kiedym ja z nią zostawała, to zachwycała się tylko o tych historiach, coś je jej czytała. - Zniżyła głos. - Aż mi żal, żem się nie nauczyła czytać.

Bryony uniosła wzrok i popatrzyła na nią, nadal jednak przetrzepując poduszki.

- Nie umiesz czytać?

- Nie aż tak dobrze jak ty. Znam alfabet i potrafię składać proste słowa na tyle, coby sobie poradzić w życiu. - Dancy bez większego zapалу uniosła ramię i sięgnawszy do kołdry, wygładziła ją na łóżku. - Najmowałam się jako pomoc

domowa od czasu, jak mogłam już poradzić sobie z miotłą. Nie miałam w ogóle czasu na naukę.

- A ile masz lat, Dancy... jeśli mogę zapytać?

- Pięćdziesiąt siedem. Abo przynajmniej tak mi się wydaje. A to tylko dlatego, że jestem pewna, że miałam jakieś dziesięć lat w osiemdziesiątym trzecim. - Rzucając w stronę Bryony pełne sceptycyzmu spojrzenie, Dancy pocierała palcem ucho, jakby zastanawiając się, czy powinna mówić dalej. Kiedy już podjęła decyzję, w jej głosie dało się odczuć brzemie smutku. - To wtedy banda białych wtargnęła do naszego domu, mówiąc, że podobnie jak mój tata wyraził się źle do jednej z ich kobiet i wyciągnęli go na zewnątrz. - Zaśmiała się paskudnie. - Myślisz, że teraz mamy ciężkie czasy? Ni ma nic gorszego, niżli patrzeć, jak wieszają ci tatę na drzewie i nie móc nic zrobić.

Bryony nie wiedziała, co powiedzieć. Nie umiała się odnieść do koszmarnych przeżyć, których doświadczyła Dancy i wiele innych osób z jej rasy. Czowała tylko, jak jej serce płacze nad ich losem.

Skończyły ścielić łóżko bez słowa, a potem Bryony pomogła Dancy porozkładać mydło i ręczniki, a także świeżą koszulę nocną, szlafrok i klapki w łazience pani Heath.

Kiedy wieczorne cienie wydłużały się coraz bardziej, Dancy włączyła jedną z lampek przy łóżku i rzekła:

- Powinnaś wracać do domu, zanim zrobi się jeszcze ciemniej.

Bryony była doszczętnie zmęczona, nie miała siły, by spierać się z kimkolwiek. Najbardziej jednak bała się zejść na dół do kuchni, żeby zabrać stamtąd swój sweter. Nie mogła nawet znieść myśli, że będzie musiała stać się obiektem

złośliwych spojrzeń Odette. Kiedy już była w połowie drogi do drzwi, zatrzymała się i odwróciła do Dancy.

- Dobrze się dogadujemy, prawda?

Kobieta ze zdziwieniem rozwarła usta, patrząc na Bryony, jakby jej wyrosła druga głowa. Zaraz potem na jej twarzy wymalował się wyraz współczucia.

- Ta osławiona obieraczka ziemniaków na dole nadal patrzy na cię złym okiem?

- Nie rozumiem tego, Dancy. Co takiego zrobiłam Odette? Albo Alice?

- To nie o ciebie chodzi. Przecie one po prostu chronią swoje sprawy.

- Ale ja im nie zabieram ani ich pracy, ani jedzenia z ich talerzy.

Dancy poprawiła szczotkę na toalecie, a potem poprowadziła Bryony w kierunku salonu. Popchnęła ją lekko w stronę sof, a sama usiadła naprzeciw niej.

- Są rzeczy w tym domu, o których nie wiesz. I lepiej, żebyś o nich nie wiedziała.

Siedząc ze ściśniętymi w pięści rękami, Bryony westchnęła:

- Mówisz do mnie jakimiś zagadkami.

- Posłuchaj mnie, moje dziecko. - Dancy przykryła dłonie Bryony swoimi ciemnymi dłońmi, które odróżniały się od jej jasnej skóry nawet w słabym wieczornym świetle. -Widzisz, każdy jeden tutaj pracuje dla rodziny Heathów już od bardzo dawna. I podobnie będzie przez wiele najbliższych lat. Ale ty, kochana - to nie twoje życie. Wkrótce susza ustąpi i znowuż zbiory będą dobre i ciebie nie będzie już tu-tej. Wrócisz do domu, do dziadzia, aż pewnego dnia zakochasz się w jakimś przystojnym białym chłopcu. Weźmiecie

ślub i pewnież pojedziecie do wielkiego miasta, gdzie on będzie doktorem albo prawnikiem, albo kimś innym ważnym, a ten czas, co robiłaś pranie i szorowałaś ubikacje w domu Heathów będzie tylko odległym, dalekim wspomnieniem.

Kiedy Dancy mówiła, Bryony potrząsała głową. Jak mogła żywić jakkolwiek nadzieję na inne, *lepsze* życie, gdy każdy jej dzień był taką walką? To prawda, jej ojciec zmarł z honorem na wojnie, nie został powieszony jak jakiś zbrodniarz. Ale nic już nie było takie samo od dni, kiedy dowiedziała się, że tata stracił życie pod ostrzałem niemieckiej artylerii, a tornado zabrało im mamę. Wtedy myślała, że umrze z tego całego żalu.

Ale nie wolno jej było ulec i poddać się. Bryony miała siostry, o których musiała pamiętać. I dziadka.

- Mylisz się, Dancy - odparła, a plecy miała sztywne, jakby połknęła kij od miotły. - To *jest* moje życie. I nigdzie się nie wybieram.

W niedzielny poranek Michael zszedł na dół na śniadanie i zobaczył, że rodzice są już w jadalni. Miał nadzieję, że zdąży przyjść na tyle wcześnie, żeby uniknąć spotkania z nimi, zwłaszcza z ojcem, ale najwidoczniej oni też wstali z samego rana. Tata był ubrany w wyprasowaną białą koszulę i brązowy jedwabny krawat, a mama wyglądała bardzo elegancko w swoim ciemnoniebieskim, wełnianym kostiumie, który doskonale podkreślał kolor jej oczu. Oczu, które wydawały się wyjątkowo radosne tego dnia, co było niewątpliwie zasługą radosnej wizyty księdza Dempseya, którą złożył jej poprzedniego wieczoru. Matka Michaela

zawsze była duszą towarzystwa. Kiedy on i Miranda dorastali, ich mama regularnie urządzała kolacje, na które zapraszała do domu różnych gości. Mocno też angażowała się w różne wydarzenia charytatywne i często podejmowała się prawie stukilometrowych wypraw do Little Rock na spotkania komitetu.

- Michaelu, mój drogi - zaczęła matka, poklepując lekko dłonią w krzesło obok siebie. - Jak się pospieszysz i zjesz bez ociągania, możemy wszyscy razem jechać na mszę.

Najwyraźniej jej pamięć dzisiaj nie była w najlepszym stanie. Ostatni raz, kiedy jego noga postąpiła w ceglanym budynku kościoła katolickiego, to było wtedy, gdy całą rodziną wybrali się do Brinkley, zanim wstąpił do armii. Żeby jednak nie dodawać jej zmartwień, odparł jedynie:

- Obawiam się, że nie dzisiaj. Będziecie musieli pojechać beze mnie.

Jej twarz spochmurniała.

- Znów źle się czujesz?

- Oczywiście, że nie - wtrącił ojciec Michaela z gniewną miną, nie przerywając mieszania swojej kawy z mlekiem. - Nasz syn po prostu jak zawsze robi z siebie odludka.

Michael nie chciał wdawać się w kłótnię, więc tylko odwrócił się bokiem i bez słowa nakładał na talerz jajecznicę i kielbaski wieprzowe. Celowo zajął miejsce na drugim końcu stołu, byle jak najdalej od rodziców.

Mama zmięła serwetkę i odłożyła ją obok talerza, mówiąc:

- Popatrz, co zrobiłeś, Sebastianie. Przepróż natychmiast naszego syna.

Ojciec sączył powoli kawę, a potem odstawił kubek. Rozciągnął usta w wąskim uśmiešku i posłał pełne szacunku

spojrzenie w stronę żony. Wyciągnąwszy rękę, poklepał jej dłoń i wyszeptał:

- Proszę, nie kłopot się już, najdroższa. Zbierajmy się, dobrze? - Wycelował srogi wzrok w Michaela i dodał: -Zaufaj mi, z pewnością dopilnuję, by rozwiązać tę kwestię z naszym synem później.

Michael patrzył ponuro, jak jego rodzice opuszczają jadalnię. Ręka taty troskliwie otaczała drobne plecy mamy. Można było wiele zarzucić Sebastianowi Heathowi, ale nie to, że był nieczułym małżonkiem. Michael podejrzewał, że ojciec lekceważył zawodzącą pamięć matki tylko dlatego, iż kochał ją zbyt mocno, by zaakceptować to, że być może właśnie ją traci.

Jeśliby tylko kochał swoje dzieci z podobnym oddaniem.

Gdy Michael kończył pić kawę, do jadalni weszła Odette, by posprzątać po śniadaniu.

- Czy wystarczyło jedzenia dla panicza?

- Jest więcej, niż potrzeba, dziękuję. - Michael odsunął krzesło i wstał. Bryony błagała go, żeby nie mieszał się ponownie, ale udręka, którą widział wczoraj na jej twarzy, nie pozwalała mu stać biernie. Podeszedł do Odette, kiedy stała koło kredensu i zaczął:

- Odette, chciałbym, żebyś odpowiedziała mi na jedno pytanie.

Odwracając się, żeby stanąć na wprost niego, zrobiła wielkie oczy ze zdumienia. Położyła dłonie na szerokich biodrach.

- Cóżem nie tak zrobiła, paniczu Michaelu? Czy jajka były nie tak, jak panicz lubiał? Abo kawa za mocna?

- Myślę, że doskonale wiesz, iż to nie ma nic wspólnego ze

śniadaniem - odparł, choć rzeczywiście w tym momencie jajka i kielbaski leżały mu ciężko na żołądku. - Zawsze uważałem cię za dobrą i uczciwą osobę, dlatego nie rozumiem w ogóle twojej postawy wobec Bryony. Może spędza więcej czasu na opiece nad mamą, ale pracuje tak samo ciężko jak wszyscy. Dlaczego wciąż traktujesz ją tak nieżyczliwie?

Odette wydeła usta. Skupiła całą uwagę na stojących na kredensie półmiskach, przekładając pokrywy i zbierając sprzęty. Kiedy w końcu się odezwała, Michael musiał mocno nadstawiać ucha, żeby wychwycić jej szept.

- No, nie umim inaczej. Ona nie jest stąd, a poza tern...
-Zacisnęła usta i potrząsnęła opryskliwie głową.

- Poza tym co? Skończ, co zaczęłaś mówić.

- To... to właśnie to, co powiedziałam. Ona nie jest jedną z nas, i tyle. - Nerwowymi ruchami dłoni Odette poskładała półmiski na szeroką srebrną tacę. - A teraz proszę mi pozwolić zrobić, co trzeba, albo nie zdążę do miasta, coby iść ze swoją rodziną na nabożeństwo.

Michael cofnął się, choć nie był wcale zadowolony z odpowiedzi, którą uzyskał. Zanim służąca zniknęłaby w kuchni, musiał podjąć jeszcze jedną próbę.

- Proszę, Odette, czy mogłabyś wyświadczyć mi tę przysługę i postarać się być miłszą dla Bryony?

Wyładowana taca zachwiała się na jej biodrze i Odette rzuciła okiem w stronę Michaela.

- Myślę, że mogem spróbować. W zasadzie ona jest całkiem miła dla Callie.

Michael przypomniał sobie ten dzień, w którym obserwował, jak Bryony i Callie tańczą w deszczu, i to wspomnienie rozweseliło jego serce.

- Tak, to prawda. I dogaduje się też dobrze z Dancy. Więc jeśli ty i Alice mogłybyście się troszkę postarać... - Lekko wzruszając ramionami, posłał Odette pełen nadziei uśmiech.

Wysunąwszy nieco podbródek, Odette wymamrotała:

- Tak, proszę pana. - A potem szybko opuściła pokój.

Z ręką przytkniętą do brzucha, Michael zamknął oczy. Musiał chociaż na chwilę wyjść z domu i zaczerpnąć świeżego powietrza. Czasem zastanawiał się, czy więcej cierpienia sprawiały mu następstwa zatrucia gazem musztardowym podczas wojny, czy męcząca atmosfera panująca w tym domu. Doprowadzało go do szału, że nie potrafił zdobyć się ani na chęć pozostania tutaj, ani na siłę, by stąd wyjechać.

Dał sobie jeszcze chwilę, by uspokoić żołądek, a później powoli wspiał się na górę, do swojego pokoju. Tam narzucił na siebie znoszony supełkowy sweter, po czym wepchnął do torby szkicownik i pudełko kredek. Niedługo potem wędrował już w dół rzeki.

Zatracił zupełnie poczucie czasu i miejsca, kontemplując niuanse jesiennego liścia, cienkiej jak papier kory brzozy i delikatnych płatków dzikich astrów. Podążał ścieżką przez las i doszedł do pola, którego brązowe ściernisko przypominało o suszy. Wzdłuż pola rozciągała się droga gruntowa i w oddali widać było chmurę kurzu wzniecaną przez przejeżdżający samochód.

Czuł, że brakuje mu tchu od wędrówki na przełaj i stwierdził, że łatwiej będzie iść drogą niż wracać tą samą trasą, którą przyszedł. Zanim dotarł do drogi, kurz pokrywał już jego nogi od podeszw półbutów po kolana. Spróbował choć trochę strzepnąć brud, a potem z grubsza ocenił okolicę,

nie do końca pewny, gdzie tak naprawdę doszedł. Dom musiał być po lewej stronie, ale jeszcze nie miał ochoty tam wracać. Poprawił ramiączko torby trochę wyżej na ramieniu i odwrócił się w przeciwnym kierunku.

Przeszedł już jakieś pół kilometra, kiedy dotarł do dróżki otoczonej z obu stron zaoranymi polami. Na jednym rosły chyba ziemniaki, ale pędy nie wyglądały zbyt okazale. Na drugim znajdowało się coś w rodzaju roślin pastewnych, które wcale nie były w lepszym stanie. Michael przypuszczał, że to ziemie należące do jego ojca i uprawiane przez któregoś z dzierżawców. Plony były tak nędzne, że sam nie wiedział, jak ta rodzina w ogóle przeżyje zimę.

Myślami powędrował do Wielandów i teraz zastanawiał się, jak oni sobie radzą. Czy Nels otrzymał pomoc lekarską, której wymagało jego serce? Pewnie nie. Najprawdopodobniej będą woleli wydać ostatnie pieniądze na jedzenie.

Michael poczuł, że burczy mu w brzuchu i ze wstydem uświadomił sobie, że on nawet nie wie, co to znaczy tak naprawdę głodować. Nawet pomimo spowodowanych suszą braków żywności w całym stanie, kuchnia Odette była zawsze dobrze zaopatrzona. Czy to było uczciwe, że bogaci mogli wciąż tak dobrze żyć, kiedy ludzie, od których zależał ich dobrobyt, musieli cierpieć niedostatek?

Zagubiony w tych rozmyślaniach, nie zauważył nawet, jak daleko zaszedł tą dróżką, aż podniósł głowę i dojrzał przed sobą pobielany drewniany domek. Zardzewiały czarny pick-up stał zaparkowany obok chylącej się obory. Chciał już niezauważenie zawrócić z tej ścieżki, by dotrzeć z powrotem do głównej drogi, kiedy gdzieś z drugiego końca domu doszedł do niego kobiecy głos.

Rozpoznał go od razu - to była Bryony śpiewająca wesoło *Deszczową piosenkę*.

Z rękami pełnymi mizerycznych rzep Bryony zamknęła bramkę do warzywniaka. Susza nadal się przedłużała, ale przynajmniej jesienne temperatury nie były już takie straszne. Dobry Boże, gdyby tylko spadł jakiś porządny deszcz!

- Cześć, Bryony.

Z zaskoczeniem podniosła wzrok i wykrzyknęła:

- Michael! Co ty tutaj robisz?

- Sam do końca nie wiem. - Jego nieśmiały uśmiech rósł, kiedy przeszedł przez zaniedbane podwórko. - Spacerowałem w okolicy i nagle znalazłem się tutaj.

Drzwi werandy skrzypnęły i z domu wyszedł dziadek.

- Z kim rozmawiasz, Bryony? Wydawało mi się, że słyszałem męski głos.

- Dziadku, to jest Michael Heath. Przyszedł tu akurat, żeby... hm, jeszcze w zasadzie nie doszliśmy do tego po co. - Zmrużyła jedno oko i wycelowała zaciekawione spojrzenie w kierunku Michaela. Tutaj, na jej własnym podwórku, wydawał się zupełnie inny. I ona czuła się całkiem inaczej, tak jakby rzeczywiście mogli zostać przyjaciółmi. - Właśnie miałam ugotować rzepy i podać obiad na stół. Jesteś głodny?

Na jego twarzy pojawił się jakiś dziwny wyraz. Może nie przepadał za rzepą. A może zachowała się głupio, że w ogóle wyszła z taką propozycją. Ale wydawała jej się... na miejscu.

- Rose smaży też kurczaka. Chociaż, kiedy ona gotuje, nigdy nie wiadomo, co z tego będzie.

- Bryony! - Dziadek kiwnął głową, starając się przekazać jej bez słów, że być może ich gość wcale nie chciał zostać u nich na niedzielny posiłek. - Na panicza Heatha pewno czeka obiad w domu.

- W zasadzie - zaczął Michael, podchodząc bliżej - chętnie do was dołączę. Pod warunkiem, że pozwolicie mi coś pomóc.

Bryony wskazała ręką w stronę werandy.

- Zawsze się przyda dodatkowa para rąk w kuchni. Gotowałeś kiedyś rzepeę?

- Raczej nie.

Skinąwszy lekko głową, dziadek przytrzymał drzwi dla Michaela i wskazał, gdzie jest kuchnia. Zatrzymał Bryony na werandzie na słowo.

- A więc to ten chłopak Sebastiana, ten artysta, o którym nam tyle opowiadasz? Nie jestem taki pewien, coby to był dobry pomysł spoufalać się z synem zwierzchnika.

- Ja też nie jestem, dziadku. Ale on ma w sobie coś... Jakiś rodzaj pustki, która prosi się o wypełnienie. Myślę, że Bóg przyprowadził go do nas z jakiegoś powodu i chciałabym się dowiedzieć z jakiego.

Gdy weszła do kuchni, zobaczyła, że Michael zapoznaje się właśnie z Rose, robiąc unik przed skwierczącą nogą kurczaka, którą dziewczyna akurat przekładała na półmisek. Rose nabrała gwałtownie powietrza, kiedy tłuszcz prysnął na spodnie Michaela.

- Ojej! Przepraszam. Mam dwie lewe ręce, jeśli chodzi o gotowanie.

- Nic się nie stało. To moje turystyczne spodnie - uspokajał kobietę, kładąc swoją torbę na krześle.

- Bryony mówiła, że rysujesz kwiaty i rośliny. Czy masz ze sobą jakieś szkice, żeby nam pokazać?

Bryony wrzuciła rzepy do zlewu i zakomenderowała:

- Jak zjemy. Najpierw nauczę Michaela, jak przyrządzić rzepę.

Zarówno dziadek, jak i Rose popatrzyli na nią krzywo, a potem wymienili między sobą powątpiewające spojrzenia. Bryony zignorowała ich i poleciała Michaelowi, by zdjął sweter i podwinął rękawy koszuli. Zaraz potem szorował już bulwy i płukał liście rzepy. Kiedy ochlapał sobie okulary, zaczęła się śmiać, zdjęła je z jego nosa i wytarła w swój fartuch.

Gdy wręczała mu je z powrotem, przechylił głowę i przyglądał jej się uważnie, a potem rzekł:

- Dobrze jest znów widzieć, że się uśmiechasz.

- Chodzi ci o wczoraj? - Położyła nóż i deskę do krojenia na blacie, a potem skinęła w stronę dziadka i Rose. - Jestem znów ze swoją rodziną. Oni zawsze potrafią mi poprawić nastrój. Chciałabym tylko, żeby Larkspur mogła być tu z nami.

- Larkspur to ta siostra, która jest w college'u?

- Tak, kształci się na nauczycielkę. - Głos Bryony wypełnił się tęsknotą. - Jestem z niej taka dumna.

Michael podał jej rzepy, które umył, i zaczęła kroić jedną. Najpierw na pół, a potem w kostkę wielkości jednego kęsa. Następnie wręczyła mu nóż i odsunęła się trochę na bok.

- Myślisz, że dasz radę? Uśmiechnął się szeroko i odparł:

- Chyba tak.

Nie powiedziała, że ona także się cieszy, widząc go znów uśmiechniętego. Kiedy pracował, napełniła garnek wodą i postawiła na

kuchni. Potem wzięła ostry nożyk i zabrała się do obierania przywiedłego ziemniaczka.

- Podczas gotowania rzepy dorzuca się ziemniaka, żeby pozbyć się goryczy.

- A liście?

- Podsmażymy je na smalcu, kiedy rzepy będą się gotować.

- Brzmi... smakowicie. - Niepewność malująca się na twarzy Michaela słabo współgrała z tym, co mówił.

Dziadek nakrywał do stołu, Rose zadymiała kuchnię swoim wysmażonym na czarno kurczakiem i w ten sposób wkrótce obiad był już podany na stole. Próbując gotowanej rzepy, Michael najpierw skrzywił się nieco, ale zaraz stwierdził, że to najlepsze rzepy, jakie kiedykolwiek jadł. Pochwalił nawet Rose za jej wkład we wspólny posiłek.

Bryony uśmiechnęła się w duchu, widząc oblane rumieńcem oblicze siostry.

- Muszę przyznać, Rose, że stara Henrietta nie wyszła tak całkiem źle.

Michael uniósł ze zdumienia brew i zapytał:

- Henrietta?

- Jedna z naszych niosek. Tylko że przestała już znosić jaja, więc dzisiaj rano dziadek... - Głos ucichł, gdy Michael zrobił się bardzo blady i przyłożył serwetkę do ust.

- Wybaczcie - zaczął się tłumaczyć, odchrząkując - pierwszy raz zdarza mi się jeść kurczaka, który miał imię. To trąci trochę... kanibalizmem.

Dziadek i Rose dołączyli do śmiejącej się już Bryony.

- Zapewniam cię, że Henrietta przeżyła dobre i długie życie - oświadczyła Bryony. - Wielokrotnie miała zaszczyt przyczynić się do tego, żeby nasze brzuchy nie były puste.

Rose zarżała ze śmiechu, dodając:

- Nawet taki twardy stary ptak jak Henrietta może się całkiem dobrze i smacznie usmażyć. Jeszcze kawałeczek?

- Dziękuję, najadłem się. - Michael dziobał resztki udka kurczaka na talerzu.

Kiedy skończyli jeść, Bryony wstała, żeby posprzątać ze stołu. Michael natychmiast również się podniósł, jedną ręką przytrzymując oparcie jej krzesła. Ten uprzejmy gest sprawił, że poczuła ciepło wypływające na twarz i obdarowała go wdzięcznym uśmiechem. Zwracając się w stronę dziadka, który nawet nie drgnął, poruszyła brwiami i rzuciła:

- Wygląda na to, że mamy w domu prawdziwego dżentelmena.

Z błyskiem w oku dziadek zwlekł się z krzesła, mówiąc:

- Rosie, moja droga, pozwól, że ci pomogę.

- Ależ, dziękuję ci, miły panie. - Trzepocząc rzęsami, Rose czekała, aż dziadek odsunie jej krzesło, a potem wstała i obdarzyła go całusem w policzek. Mrugnęła do Bryony. - Wiesz, a jednak *da się* nauczyć starego psa nowych sztuczek.

- Hm. W takim razie, kiedy wy, młode pętaki, będziecie sprzątać kuchnię, to stary pies przeniesie swój pełen brzuch do salonu na drzemkę.

Bryony przystanęła w drodze do zlewu z naręczem brudnych naczyń.

- Wstrzymaj się, dziadku, żeby jeszcze zobaczyć rysunki Michaela. Rosie, przynieś ścierkę i przetrzyj stół.

Dziadek zaczął coś zrzędzić pod nosem, ale zakasał rękawy razem z Michaelem i Rose, żeby pomóc Bryony pozmywać naczynia i posprzątać w kuchni. Następnie znowu wszyscy zebrali się wokół stołu i czekali teraz, aż Michael

wyciągnie swój szkicownik.

Kiedy kładł go na blacie, zerkał po kolei na każdą osobę i Bryony dostrzegła w jego oczach jakąś niepewność. Położyła rękę na jego przedramieniu i rzekła:

- Jest dobrze.

Kiwnął głową, ale nadal stał sztywno.

- Chyba poczekam na werandzie, jeśli nie będziecie mieli nic przeciwko.

Gdy wziął swój sweter i wyszedł na zewnątrz, Bryony westchnęła. Przepraszając dziadka i Rose, starała się wyjaśnić najlepiej, jak umiała, niechęć Michaela do dzielenia się swoją sztuką.

- Wydaje mi się, że zachowuje to tylko dla siebie, żeby nie doświadczać lekceważenia. Bóg sam jeden wie, jak wiele ma go od własnego ojca.

Usta dziadka skrzywiły się w niemiłym grymasie.

- Nie dziwi mnie to.

Bryony otworzyła na pierwszej stronie i patrzyła, jak oczy dziadka i Rose otwierają się ze zdumienia. Rose wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć delikatnych żółtych kwiatków na rysunku.

- Wyglądają jak prawdziwe.

- Wasza babcia hodowała takie - skomentował dziadek zachrypniętym głosem. - Każdej wiosny kratownica z tyłu domu pełna była jaśminu karolińskiego.

- Pamiętam - wyszeptała Bryony. - Wydaje się, że to było tak dawno temu.

Dziadek pokiwał głową, a jego wzrok powędrował w stronę okna. Bryony nie musiała nawet odwracać się, żeby zobaczyć w pamięci obraz nagiej kratownicy ze zniszczonymi

i połamanymi listewkami. Na początku, kiedy przybyły na farmę, mama zajęła się klombami babci i przez parę lat te stare miejsca skąpane były w różnorodnych barwach posadzonych tam roślin. Ale od śmierci mamy nic już nie było takie samo i choć życie na farmie toczyło się dalej, susza stopniowo wszystko wycieńczała.

8.

Larkspur zastukała delikatnie w otwarte drzwi pokoju kierownika studiów.

- Profesorze Keene? Nie przeszkadzam? Ciemnowłosey, szykowny profesor uniósł wzrok znad biurka zarzuconego otwartymi książkami i stronami w nieładzie.

- Panna Linwood. Proszę wejść. Właśnie czytałem pani esej na temat wiersza Williama Wordswortha *By the sea*. - Pomachał czerwoną kredką w jej stronę i uśmiechnął się. - Doskonała praca.

- Naprawdę? Dziękuję bardzo. - Czują, jak serce w niej zabiło mocniej, i weszła do gabinetu. - Krótko mówiąc, wydaje mi się, że piękno tego wiersza tkwi w jego prostocie.

- Dokładnie tak. - Profesor Keene odłożył na bok kredkę i złożył ręce na zagraconym blacie. - Co zatem sprowadza panią do mojego gabinetu?

- Zastanawiałam się, czy miał pan okazję popytać w sprawie, którą przedstawiłam panu w zeszłym tygodniu.

- Dotyczącą listu od pani siostry - doprecyzował profesor, zapraszając gestem Larkspur, by usiadła, podczas gdy

on przerzucał sterty pism. - Owszem. Rozmawiałem z profesorem DeMarco z wydziału przyrodniczego i on podał parę namiarów na wydawnictwa uniwersyteckie we wschodnich stanach.

- To wspaniale! - Larkspur nieomal podskoczyła na krawędzi swojego krzesła.

- Aha! Tutaj to mam. - Wręczył jej trochę pogniecioną kartkę.

- Proszę wybaczyć plamy. Spotkaliśmy się z profesorem DeMarco na kawie.

Larkspur wetknęła kartkę do torebki.

- Nic się nie stało. Wiem, że Bryony będzie niezmiernie wdzięczna za tę pomoc.

Kiedy nadal siedziała, wcale nie zbierając się do wyjścia, profesor posłał jej pytający uśmiech.

- Czy coś jeszcze?

- Ja, hm... to znaczy, znajoma wspominała o pańskim dyskusyjnym kole literackim i miałam nadzieję, że...

- Przykro mi. Koło jest przeznaczone dla studentów drugiego roku i wyżej. - Z zaciśniętymi wargami, profesor pocierał szczękę. - Chociaż, patrząc na ten wnikliwy esej, który ostatnio pani napisała, mógłbym rozważyć dopuszczenie wyjątku...

Nadzieja wdarła się do serca Larkspur. Złapała kurczowo torebkę obiema rękami i rzekła:

- Być może nie będę w stanie zbyt wiele udzielać się w dyskusji, ale taka okazja, żeby uczyć się od innych, jest dla mnie nie do przecenienia.

Profesor Keene wstał i obszedł biurko, a potem stanął obok Larkspur. Kiedy ujął jej dłoń, by pomóc jej wstać, była pewna, że słyszał, jak wali jej serce.

- Spotykamy się w najbliższą niedzielę wieczorem. W ramach przygotowania proszę przeczytać *Ode Against Pleasure* Katherine Philips.

- Tej siedemnastowiecznej angielskiej poetki? Cóż za ciekawy wybór. - Kiedy w oczach profesora błysnęło zdumienie, uśmiechnęła się w duchu, ciesząc się, że jej eklektyczne nawyki czytelnicze przynosiły teraz korzyści. - Z niecierpliwością czekam już na niedzielę.

- Ja również. - Nie puszczając jej dłoni, profesor Keene odprowadził ją do drzwi. - Proszę mi dać znać, co wyniknie z korespondencji pani siostry z tymi wydawcami.

- Och, oczywiście. - Larkspur o mało co nie zapomniałaby o liście, który będzie musiała dziś wieczorem napisać do Bryony. Poklepała dłonią torebkę. - Dziękuję raz jeszcze... za wszystko.

Przez parę następnych dni po nieplanowanych odwiedzinach w domu Bryony Michael zastanawiał się, czy już naprawdę postradał zmysły. Jego wątpliwości podyktowane były świadomością tego, jakich wyborów zwykł dokonywać przez ostatnie dziesięć lat. Każdy, kto unikał kontaktu z innymi ludźmi tak stanowczo jak on, mógłby być zaniepokojony.

I teraz z lekką obawą zauważył, z jakim zapałem oczekiwał każdego dnia na przyście Bryony do ich rezydencji. Nawet przestawił się na wcześniejsze pobudki, żeby wypatrywać jej przez okno sypialni, a potem starał się znaleźć gdzieś w pobliżu tylnego korytarza, kiedy codziennie zgłaszała się do Esthery, tylko po to, żeby się z nią przywitać.

Nic oficjalnego, tak żeby nikt nie mógł podejrzewać, że robi to specjalnie - jak przynajmniej mu się wydawało.

Ale nie potrafił się powstrzymać. Bryony obudziła w jego duszy coś, czego nikt nie dotykał od lat. Może to ten jej melancholijny uśmiech albo lekko fałszujące podśpiewywanie podczas pracy... Z pewnością miało to też wiele wspólnego z tym, jak zachwycała się jego rysunkami. Przy każdej okazji starała się być gdzieś blisko, gdy tylko jego matka prosiła o pokazanie ostatnich szkiców. Jej oczy wypełniał wtedy jakiś tęskny smutek, a kąci jej otwartych ust unosiły się lekko, kiedy wzdychała z rozkoszą. Myśl o tym, że jego opracowania mogą wzbudzić taką instynktowną reakcję w drugim człowieku, napełniała go jednocześnie zachwytem i pokorą.

Kiedy śledził, jak szła podjazdem w piątkowy poranek, zauważył, że zerknęła w stronę jego okna. Uśmiechnęła się promiennie w tym kierunku, prawie tak, jakby miała nadzieję spotkać się z nim wzrokiem. Wtedy poczuł, że serce zabiło mu szybciej. Pomachał jej nieśmiało, a potem zamknął żaluzje i zszedł na dół.

Do czasu, gdy dotarł do tylnych drzwi, ona już była w środku. Skinęła w kierunku werandy, a potem uniosła pięć palców i poklepała dłonią w nadgarstek. Nie miała zegarka, ale zrozumiał, o co jej chodziło. Narzuciwszy na siebie cienką kurtkę, która wisiała na stojącym wieszaku w tylnym korytarzu, wyszedł na zewnątrz, jak gdyby miał po prostu ochotę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Parę minut później na tarasie pojawiła się Bryony z miotłą. Zamiatła deski podłogi zdecydowanymi ruchami, zatrzymując się co parę kroków, by ściągnąć pajęczyny z ram okiennych. Michael przeszedł na południowy kraniec domu,

żeby czekać na nią tam, gdzie najmniej prawdopodobne było, że ktoś mógłby ich obserwować.

Gdy Bryony wyszła z za rogu, jej oczy rozbłysły. Oparła kij miotły o ścianę, a potem rozejrzała się na wszystkie strony, zanim wyjęła kopertę z kieszeni swetra.

- Mam wspaniałe nowiny, Michaelu! Tak bardzo nie mogłam się doczekać, żeby ci to powiedzieć, że prawie w ogóle nie spałam w nocy.

Nie potrafił sobie wyobrazić, co mogło wywołać u niej taki entuzjazm. Może jakiś nieoczekiwany przyływ pieniędzy? Jakiś niespodziewany spadek od zmarłego krewnego, dzięki czemu nie będzie musiała już tu dłużej pracować? Michael wzdrygnął się, uświadamiając sobie swoje egoistyczne myśli. Wetknął ręce w kieszenie kurtki i zmusił się do uśmiechu.

- W takim razie powiedz mi od razu, o co chodzi.

- Dostałam odpowiedź od mojej siostry z college'u. - Trzymając kopertę przy piersi, Bryony westchnęła długo i jeszcze szerzej się uśmiechnęła. - Wysłała mi nazwy i adresy dwóch wydawnictw uniwersyteckich, które mogłyby być zainteresowane twoimi rysunkami. Michaelu, musisz się od razu z nimi skontaktować!

Obrócił się w prawo, potem w lewo, a następnie przeciągnął dłoń w dół po twarzy.

- P-przecież mówiłem ci, że te rysunki są tylko dla mnie.

- Ale pokazywałaś je twojej mamie i mnie. Dlaczego nie innym ludziom? - Bryony przysunęła się do niego i uniosła wzrok na jego twarz. - Bóg nie dał ci po to talentu, żebyś chował go w szufladzie. Proszę, Michaelu. Napisz tylko do tych ludzi. Albo może lepiej zadzwoń do nich i opowiedz

im o swoich szkicach. Zapytaj, czy mógłbyś im przesłać jakieś przykładowe rysunki.

Czy to rzeczywiście Bóg dał mu ten talent? Michael zaprzeczył ruchem głowy.

- Ile razy mam ci to tłumaczyć, Bryony? Maluję tylko po to, żeby nie oszaleć. I tyle.

- Nie, to *nie* tylko tyle. - Otworzyła usta, by mówić dalej, ale zaraz zamknęła je bez słowa. W jej oczach błysnęły łzy. - Twoje rysunki przywróciły mi coś, o czym już prawie zapomniałam. Coś wyjątkowego. Coś pięknego. Sprawily, że nadal pragnę mieć nadzieję.

Jej łagodne słowa unosiły się w przestrzeni między nimi. Szukał wzrokiem jej spojrzenia, a pragnienie, by pogłodzić jej policzek i zetrzeć wilgotne ślady, było nie do zniesienia. Gdy ujął w dłonie jej twarz, zadrżała, ale nie odsunęła się.

- Bryony...

- Proszę, Michaelu... - Przykryła jego dłoń własną i skłoniła się w jego stronę, wpatrując się w niego błagalnym wzrokiem. - Dla mnie. Zrób to dla mnie.

Czuł w sobie ból. Nie mógł przełknąć. Cierpiał, kiedy z powrotem opuścił rękę. Nadal czuł na dłoni ciepłą wilgoć jej łez. Nie mógł dobyć z siebie żadnego głosu, więc opuścił tylko brodę i skinął z rezygnacją. Teraz nie liczyło się już to, czego on chciał. Jeśli ta jedna drobna rzecz mogła uszczęśliwić Bryony, zrobi to, i to z ochotą.

Jej twarz rozjaśniła się i wetknęła kopertę w jego rękę.

- To dobra decyzja, Michaelu. Czuję to w głębi serca. Potem, obracając się na pięcie, chwyciła za miotłę i pilnie

zabrała się do dalszego zamiatania. W jednej chwili zniknęła za rogiem, przechodząc na zachodnią werandę.

Michael stuknął kopertą o otwartą dłoń. Jego niema zgoda wystarczyła za obietnicę, teraz jednak musiał jej dotrzymać.

<~^>®<-^

Pomiędzy praniem a prasowaniem razem z Callie, polerowaniem sreber z Alice i wymienianiem się opieką nad panią Heath z Dancy, Bryony prawie nie miała chwili, żeby rozpałmiętywać swoje spotkanie z Michałem na werandzie. To dobrze, bo kiedy ujął w dłonie jej twarz, wyobraziła sobie - całkiem niedorzecznie! - jak to byłoby pięknie, gdyby pochylił się i ją pocałował.

- Bryony, moja droga - rzekła pani Heath, poklepując kolano Bryony.

Wyrwana z rozmyślań, starała się odnaleźć miejsce, w którym przerwała lekturę *Szkarłatnego godła odwagi*. Siedziały w małym salonie na dole obok przyjemnie trzaskającego ognia w kominku.

- Przepraszam. Na czym skończyłyśmy? Pani Heath uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Zdaje się, że to było: „tysiąc mil od pola bitwy”. Bryony, jesteś taka nieobecna dzisiaj. Czy źle się czujesz?

- Nie, nie. Po prostu uciekły mi myśli i tyle. - Uciekły do tych miejsc, gdzie nie powinno ich być. Odwróciła kilka stron i powiedziała: - Już prawie kończymy ten rozdział. Potem przyniosę pani popołudniową herbatę.

- Doskonale. - Pani Heath rozluźniła się na swoim fotelu, a Bryony podjęła dalsze czytanie.

Zanim doszła do końca strony, drzwi do salonu otworzyły się. Gdy zobaczyła, że w wejściu stoi Michael, jej głos zadrżał.

- Wybaczcie, że przeszkadzam - rzucił, wchodząc do pokoju. - Mamo, muszę na chwilę pożyczyć Bryony.

- Teraz? To najmniej odpowiedni moment, Michaelu. Nie wspominając nawet, że to niezbyt grzeczne z twojej strony.

- Przepraszam, ale pojawił się... problem w... jadalni. Nie zajmie nam to długo.

Zmarszczka na czole mamy pogłębiła się.

- Czy Alice nie może pomóc? Zapytaj jej. Na miłość boską, nie narzucaj się tak naszemu gościowi!

Wymieniwszy się zmartwionym spojrzeniem z Michaeliem, Bryony włożyła zakładkę w książkę i wstała.

- Alice jest dzisiaj bardzo zajęta, pani Heath. Chętnie zobaczę, co Mich... znaczy, pani syn... - Poczła nagle uderzenie ciepła na twarzy i nie umiała znaleźć odpowiednich słów, by dokończyć zdanie.

- Dobrze więc. Idź i sprawdź, co tam jest takiego niecierpiącego zwłoki. - Pani Heath gestem dłoni wygoniła ich za drzwi.

Bryony zatrzymała się w korytarzu i zapytała:

- Nie powinniśmy poprosić kogoś, żeby posiedział z nią, aż wrócę?

- Już posłałem po Callie. Będzie tutaj za chwilę. Michael nie zdążył jeszcze dokończyć zdania, kiedy zza jego pleców wyłoniła się dziewczyna i skierowała do niego grzeczne pytanie:

- Życzy sobie pan czegoś, paniczku Heath?

Odwrócił się do niej z uśmiechem przepelnionym ciepłem i życzliwością, tak innym od powściągliwych spojrzeń, którymi obdarzał pozostałych służących.

- Chciałbym, żebyś została z moją mamą na chwilę. Jeśli

zapyta, dlaczego tu jesteś, powiedz, że przyszłaś doglądnąć ognia w kominku. I nie spiesz się z tym.

- Rozumiem, proszę pana. - Callie dygnęła szybko, a potem weszła do salonu.

Chwilę później Bryony była już prowadzona korytarzem w stronę jadalni. Kiedy tylko weszli do środka, Michael zamknął drzwi po obu stronach. Mierzwiąc włosy sztywnymi palcami, przemierzał pokój jak nerwowy zwierz swoją klatkę, aż Bryony chwyciła go za ramię i zatrzymała w miejscu naprzeciw siebie.

- Co cię opętało, Michaelu Heacie? Jeszcze nigdy nie widziałam, żebyś był tak podenerwowany.

- Podenerwowany nawet w połowie nie oddaje tego, co czuję w tym momencie. - Wzniósł wzrok do góry. - Zrobiłem to, Bryony. Zrobiłem to, o co prosiłaś. I chcę zobaczyć moje rysunki.

Bryony poczuła przechodzące przez niego dreszcze i natychmiast go puściła. Zacisnęła razem dłonie, żeby powstrzymać się i nie objąć mężczyzny w pełnym euforii uścisku.

- Och, Michaelu, to wspaniale! Który wydawca? Co powiedzieli?

Opadł na stojące najbliższej krzesło i ściągnął okulary. Tarł oczy, jakby nie mógł uwierzyć w to, czego właśnie dokonał.

- Stwierdziłem, że jeśli naprawdę mam to zrobić, to nie wytrzymam wysyłania listów i czekania na odpowiedź. Więc zadzwoniłem pod pierwszy adres z listy. Bardzo miły mężczyzna zadał mi kilka pytań, aby ocenić zakres mojej wiedzy z botaniki, a kiedy wydawał się usatysfakcjonowany odpowiedziami, poprosił mnie, żebym przesłał mu próbki moich prac.

Zaciskając oczy, Bryony wzniosła do nieba modlitwę dziękczynną. Michael tego naprawdę potrzebował. Może sam nie zdawał sobie jeszcze z tego sprawy, ale Bryony była o tym głęboko przekonana. Zamknął się w sobie, odcinając się od świata na zbyt długi czas. Publikacja jego wyjątkowo pięknych rysunków mogła mu wreszcie przywrócić wolność.

- Bryony.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że on stoi tylko parę centymetrów od niej. Wstrzymała oddech. Michael sięgnął po jej rękę. Jego głos zmienił się teraz w niski szept:

- Bryony, to wszystko mnie przeraża. Jak ja w ogóle... Przykładając palec do jego ust - tak ciepłych i miękkich, sprawiła, że zamilkł.

- Krok po kroczeniu, tak to zrobisz. Nie bój się, Michaelu. Zobaczysz, że sobie poradzisz.

- Na pewno? - Jego oddech parzył jej palec i opuściła rękę. - A co, jeśli ja nie jestem przekonany, czy w ogóle tego chcę?

- Nie mów tak. - Czas strząsnąć z siebie urok jego bliskości i zacząć myśleć praktycznie. Zwiększyła przestrzeń między nimi i powiedziała: - Najpierw musisz wybrać, które z twoich rysunków wyślesz. Dobrze byłoby mieć tu różnorodność - kwiaty, drzewa, trawy, krzewy - tak żeby naprawdę ukazać twój talent.

- Nie. Nie mogę. - Kręcąc głową, złapał za oparcie krzesła. Bryony zacisnęła wargi i rzekła:

- Jak to *nie możesz*? Oczywiście, że możesz i zrobisz to.

- Chodziło mi o to, że nie mogę wysłać szkiców pocztą. Co jeśli coś się z nimi stanie? Jeśli zginą albo zniszczą się, albo...

Wyraz paniki w jego oczach ścisnął serce Bryony. Oczywiście, bał się ryzykować utraty rysunków, w które włożył tyle

z samego siebie. Rozmasowywała skronie, odpowiadając:

- W takim razie możesz zrobić tak. Wybierz te rysunki, które chciałbyś wysłać, zrób mniejsze kopie każdego z nich, tak samo precyzyjne, a potem je wyślij. Chyba dałbyś radę to zrobić, prawda?

Gryząc dolną wargę, na dłuższą chwilę utkwiał w niej spojrzenie, a następnie w zamyśleniu skinął.

- Wydaje mi się, że tak.

- Dobrze, dobrze. - Bryony ujęła go pod rękę i podprowadziła w stronę drzwi. - W takim razie bierz się do pracy. Przecież nie chcesz, żeby wydawca musiał czekać.

Zanim zdążyła złapać za klamkę, drzwi otworzyły się do wewnątrz i oboje z Michaeliem musieli szybko odskoczyć. Po drugiej stronie stał ojciec Michaela.

- Co tu się, na Boga, wyprawia?

- Nic, tato. Zupełnie nic. - Michael ostro odchrząknął, podczas gdy Bryony niepostrzeżenie cofnęła rękę z jego przedramienia. Sebastian Heath patrzył raz na niego, raz na nią.

- Więc dlaczego oboje wyglądacie, jakbyście coś zawinili?

- To moja wina, proszę pana - Bryony pisnęła słabym głosem. Zlekceważyła delikatne błaganie w oczach Michaela, szukając w głowie jakiejś wiarygodnej wymówki. - Musiałam porozmawiać o moim niepokoju, jeśli chodzi o... o panią Heath. Weszliśmy na chwilę tutaj, żeby porozmawiać...

- I zostawiłaś moją żonę samą?

- Callie przy niej jest. Osobiście tego dopilnowałem. - Michael wszedł pomiędzy ojca i Bryony. - Jeśli pozwolisz, Bryony właśnie wracała do salonu, a ja mam parę swoich spraw w moim pokoju.

- Niewątpliwie - odparł pan Heath, a Bryony skuliła się, widząc szyderczy uśmiech, który wykrzywił jego twarz. - Pewnie kolorowanie kolejnych pięknych obrazków.

Choć nic nie zmieniło się w postawie Michaela, Bryony wyczuła, że jego krótkotrwała pewność siebie właśnie ulatuje. Nie mogła na to pozwolić. Przeszła obok Michaela i stanęła teraz twarzą w twarz z panem Heathem.

- Jak może pan dyskredytować w ten sposób swojego syna i jego talent! Tylko dlatego, że pan nie potrafi namalować liścia, który wyglądałby tak realnie, jakby można było go dotknąć, albo kwiatu tak pięknego, że da się poczuć jego zapach, jakby rósł tuż pod nosem...

- Bryony. - Palce Michaela zacisnęły się wokół jej łokcia.

- Nie skończyłam jeszcze. - Odepchnęła go, nie spuszczając wzroku z zaskoczonyj twarzy swojego pracodawcy. - Powinien pan szanować swojego syna za to, kim jest, a nie za to, kim pan chciałby, żeby był. Najwyższy czas, żeby...

- Bryony! - Tym razem desperacja bijąca z głosu Michaela zatrzymała ją na chwilę.

Pełne zdumienia spojrzenie Sebastiana Heatha zmieniło się teraz w wyraz uniesionych brwi, spod których widoczna była pogarda.

- Panno Linwood. Najwyraźniej nie docenia pani swojego miejsca w tym domu - nie wspominając o dzierzawionej przez pani rodzinę ziemi - na tyle, na ile mnie pani o tym uprzednio przekonywała.

Zacisnęła mocno usta, starając się ze wszelkich sił ostudzić wrzący w niej gniew.

- Doceniam, proszę pana. Przyrzekam panu, że tak jest. Ja... ja tylko...

Michael interweniował, rzucając:

- To jakieś nieporozumienie, tato. Proszę cię, nie rób nic pochopnie.

Przez najbliższe parę sekund jedynym dźwiękiem rozdzierającym ciszę był nierówny oddech Bryony świszczący przy każdym jej wdechu i wydechu.

W końcu Sebastian wycodził przez zaciśnięte zęby:

- W takim razie proponuję, młoda damo, byś trzymała język za zębami i natychmiast wróciła do swoich obowiązków.

Bez słowa, a tym bardziej nie wając się nawet zerknąć w stronę Michaela, Bryony przemknęła obok pana Heatha i wybiegła przez drzwi.

W korytarzu przed salonem oparła się ciężko o ścianę, żeby uspokoić rozszalałe bicie serca, zanim wróci do opieki nad panią Heath.

- Głupia dziewczyno! - wyszeptała pod nosem, przytykając pięści do oczu. Niezależnie od tego, jak bardzo pragnęła, żeby Michael odnalazł swoją drogę i uciekł od ojcowskiej kontroli, nie mogła sobie pozwolić na to, by ryzykować bezpieczeństwem swojej rodziny. Nie, kiedy ta praca była jedynym, co ratowało ich od głodu i utraty dachu nad głową.

- Nie miała nic złego na myśli, tato. Proszę, zostaw już tę kwestię. Nie rób nic Bryony ani jej rodzinie.

Ojciec Michaela wszedł głębiej do jadalni i pocierał dłonią kark. Westchnąwszy z cierpieniem, skrzyżował spojrzenie z synem.

- Gdyby nie to, że jest taka dobra dla twojej matki...

- A jest, i ty dobrze o tym wiesz... - Muskając palcami złożony papier, który bezpiecznie schowany był w jego kieszeni, Michael obserwował profil ojca. Bryony broniła go przed ojcem, a teraz on musiał upewnić się, że ona nie ucierpi z tego powodu. - Z pewnością zauważyłeś, o ile poprawiło się zdrowie mamy od dnia, gdy Bryony zaczęła spędzać z nią więcej czasu. Jej pamięć jest teraz dużo lepsza. Wróciła jej sprawność umysłu i wydaje się teraz szczęśliwsza.

- Wiem, wiem. - Ojciec Michaela zwiesił głowę. - Przyznaję, że zbyt długo lekceważyłem tę sytuację, ale nie mogę znieść myśli, że twoja matka od nas odchodzi.

- Ja także.

Ojciec spojrzał mu prosto w oczy i rzekł:

- Dlatego właśnie naciskam tak na ciebie, żebyś przejął zarządzanie plantacją. Jestem siedem lat starszy od matki i bliżej mi do przejścia do wieczności. A kiedy mnie już nie będzie, wszystko spocznie na twoich barkach...

- Daj spokój, tato! Nawet tak nie mów.

- Nie, posłuchaj mnie. Plantacja Brookbirch to dziedzictwo twojej matki, a przed nią twojego dziadka i pradziadka. Wszedłem do rodzinnej firmy, poślubiając twoją matkę... - Na moment uciekł wzrokiem, a jego usta skrzywiły się w podkówkę. - I nie lekceważę swoich obowiązków. Zamierzam dopilnować, żeby plantacja pozostała w rodzinie, a skoro ty jesteś jedynym dziedzicem...

- Ale nie jestem - wycedził Michael. - Miranda jest wciąż twoją córką i pomimo, że nie umiała dobrze ocenić sytuacji, nie zasługuje na to, co jej wyrządziłeś.

Ojciec zacisnął dłonie tak mocno na oparciu krzesła, że aż pobielały mu knykcie. Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

- Nie zamierzam więcej z tobą o tym rozmawiać, więc posłuchaj mnie uważnie. Twoja siostra sama jest sobie winna swoich grzechów i hańby, którą sprowadziła na tę rodzinę. Zasluguje na wszelkie nieszczęścia, jakie na nią spadną.

Nie dając nawet Michaelowi szansy na odpowiedź, wyprostował się raptownie i ciągnął dalej:

- Rano jadę do Little Rock na spotkanie stowarzyszenia plantatorów. Domyślam się, że nie ma nawet sensu pytać cię, czy zechciałbyś też pojechać.

- Nie, sir. Nie ma sensu.

Gdy tylko ojciec wyszedł z pokoju, Michael przycisnął pięść do brzucha i oparł się o kredens. Choć bardzo kochał matkę i wiedział, że powinien szanować rodowe dziedzictwo, co miał zrobić z takim spadkiem, którego nie chciał ani nie potrzebował?

I gdzie teraz mogła być Miranda? Po tym, jak tata ją wyrzucił, Michael całkowicie stracił z nią kontakt. Nie wiedział też zupełnie nic o tym, co stało się z meksykańskim służącym, którego uczucia sprawiły, że oboje zostali wygnani. Czy w końcu wzięli ślub, czy też może się rozeszli? Michael mógł tylko żywić nadzieję, że Mirandzie udało się jakoś przyzwoicie poukładać swoje życie.

W takim wypadku wyszła na tym lepiej niż on. Podejrzewał, że nikt nie uważał *za przyzwoite życie* narzucenie sobie bycia samotnikiem.

Wyjął kawałek papieru z kieszeni spodni i przeczytał adres zanotowany podczas rozmowy telefonicznej, którą wcześniej przeprowadził. Bryony miała rację - *powinien* to zrobić. Zanim zdążyłby wymyślić sobie kolejne wymówki, poszedł szybko na górę poszukać swoich przyborów do rysunku.

9.

Przez kilka kolejnych dni Michael siedział za zamkniętymi drzwiami swojego pokoju, skrupulatnie kopiując wybrane rysunki na papierze listowym, by móc je wysłać pocztą do wydawcy. Bryony zaproponowała, by wybrał różne rodzaje roślin, co też uczynił. Wśród wybranych szkiców uwzględnił roślinę o nazwie *Bryonia alba*, ponieważ Bryony miała dla niego coraz większe znaczenie, a także ostróżkę i różę na cześć jej sióstr. Z niecierpliwością wyobrażał sobie uśmiechy, które spodziewał się zobaczyć w odpowiedzi na taki dobór.

Mocna szara koperta była już zaadresowana, a w środku znajdował się list motywacyjny razem z rysunkami. Michael przemierzał teraz podłogę koło okna sypialni, wypatrując chwili, kiedy Bryony będzie wychodzić po pracy we wtorkowy wieczór. Cienie robiły się coraz dłuższe, gdy wreszcie dojrzał, jak idzie ścieżką przez ogród w kierunku drogi. Dał jej czas, żeby minęła pierwszy zakręt, a potem chwycił swój sweter i wetknął kopertę pod pachę. Cicho wyszedł frontowymi drzwiami i spieszenie ruszył za nią.

- Bryony! - zawołał wystarczająco głośno, by mogła go usłyszeć, ale żeby się nie przestraszyła.

Obróciła się szybko i zapytała:

- Michaelu, to ty?

- Skończyłem, Bryony. - Szedł tak długimi krokami, że po chwili się z nią zrównał. - Mam już rysunki gotowe do wysłania do Nowego Jorku.

- Naprawdę, Michaelu? To wspaniale! - Nawet pomimo spowodowanych zmęczeniem cieni pod oczami wydawało się, że zaraz rozpromieni się z zachwytu. Zerknęła w kierunku koperty. - Czy to ta przesyłka?

Potwierdził ruchem głowy.

- Czy mógłbym ci pokazać rysunki, które zamierzam wysłać?

- Jeślibyś tego nie zrobił, musiałabym wyrwać ci kopertę siłą, żeby je zobaczyć.

- Trochę cierpliwości. Nie możemy zniszczyć mojej ciężkiej pracy. - Z pełnym niepokoju uśmiechem Michael otworzył kopertę i wysunął szkice.

Nie zawiódł się, widząc, jak entuzjastycznie zareagowała Bryony.

- Och! Ach! Są idealne, po prostu doskonałe. - Patrzyła na każdy rysunek dwa razy, a potem pochyliła się nad tym przedstawiającym jej imienniczkę, a jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. - Kiedy je wyślesz?

- W zasadzie... to miałem nadzieję, że będę mógł cię prosić o tę przysługę. - Włożył ostrożnie kartki do koperty, a potem wyjął garść monet z kieszeni. - Ciężko mi się wymknąć, nie wspominając o tym, że nie chciałbym wzbudzać zainteresowania ojca, więc pomyślałem sobie, że...

- Rozumiem. - Skinąwszy wolno głową, Bryony wzięła kopertę i pieniądze. Nawet pomimo jej spuszczonego wzroku, potrafił sobie wyobrazić rozczarowanie, jakie malowało się w tych oczach. Dorosły mężczyzna, który nie potrafił sprzeciwić się ojcu, a tym bardziej wybrać się na pocztę, żeby wysłać list... Chyba nikt nie oceniał go surowiej niż on sam.

Wyciągnął rękę po kopertę.

- Nie powinienem był ci się narzucać.

- Bzdury. Poproszę dziadka, żeby zawiózł to na pocztę jutro z samego rana. - Na jej oblicze powrócił uśmiech. - Ale wcześniej muszę jemu i Rose pokazać te rysunki. Szkoda, że Lark nie może ich zobaczyć.

Poczucie ulgi i wdzięczności sprawiły, że Michael rozluźnił spięte ramiona.

- Kiedy twoja siostra przyjedzie do domu, może mógłbym przyjść i pokazać moje szkicowniki.

- Zawsze będziesz u nas mile widziany. - Przyciskając do siebie kopertę, Bryony wysunęła przed siebie jedną stopę, a po niej drugą. - Powinnam już iść, zanim zrobi się jeszcze ciemniej.

Michael zrobił krok w przód.

- Przykro mi, że musisz sama wracać do domu.

- Przywykłam już. - Wzruszyła ramionami i kosmyk włosów opadł jej na policzek.

Michael poczuł piekący ból w piersi. Zbliżył się jeszcze bardziej. Ona nie poruszyła się i stała tak z otwartymi ustami. Czy umiała czytać jego wzburzone myśli?

- Bryony - zaczął, a jego głos był tak zmieniony, że ledwo sam mógł go poznać. Miał wrażenie, że język mu zeszywniał, usta wyschły zupełnie jak pył na drodze pod ich

stopami. - Wiem, że zupełnie nie mam prawa, ale tak bardzo chciałem... Uciekła wzrokiem w bok.

- Proszę, Michaelu, nie...

Ale musiał, inaczej rozpadłby się na tysiące przepęlnionych tęsknotą odłamków. Pochylając się bliżej, ujął jej policzki w dłonie i czule dotknął ustami jej warg. Nie było w tym żądania ani poszukiwania czegoś, po prostu chciał spróbować, jak ona smakuje. Pocałunek nie trwał nawet chwili, ale to był najcenniejszy moment w całej wieczności - wspomnienie, którym można się rozkoszować, pielęgnować je w sobie i chronić.

Opierając swoje czoło o czoło Bryony i rękami obejmując jej łokcie, Michael westchnął łagodnie.

- Wybacz mi.

- Nie, nigdy. - Bryony przeszyły dreszcze, ale nie odsunęła się. Nadal przyciskała kopertę mocno do piersi. - To znaczy, chodziło mi o to, że nie mam ci czego wybacząć. Ja... ja też tego pragnęłam. - Uniosła ramiona, wyprostowała się i spotkała się z nim wzrokiem. Nawet w otaczającym ich półmroku mógł dojrzeć smutek w jej oczach. - Ale oboje wiemy, że to nie powinno było się stać. I nie może się powtórzyć.

- Bryony...

Cofając się, uniosła otwartą dłoń w jego kierunku.

- Tak właśnie myślę, Michaelu - to znaczy, panie Heath. Wzdrygnął się.

- Nie możemy być przyjaciółmi, tak jak nie możemy być... ze sobą - mówiła drżącym głosem. - Cieszę się, że będę mogła pomóc w wysłaniu pana listu, ale gdy przyjdę jutro do

pańskiego domu, byłabym wdzięczna, gdyby pozwolił mi pan wykonywać moje obowiązki bez... bez... - Jęknęła sfrustrowana, obróciła się na pięcie i szybko zniknęła w mroku.

Michael złapał się kurczowo za pierś. Rześkie nocne powietrze nagle przyprawiło go o trudności w oddychaniu. A może to słowa, które Bryony rzuciła mu na pożegnanie, tak bardzo zmroziły jego serce? Jak jedna kobieta mogła sprawić, że czuł się zarazem tak bardzo męski i tak niewiarygodnie słaby?

Panie Heath - powtórzył w myślach. Jeszcze nigdy ten tytuł nie brzmiał tak gorzko.

- Nie zajmie mi to długo, dziadku - rzuciła Rose, wysiadając z pick-upa. - Spotkamy się zaraz w sklepie z paszami.

Dziadek pochylił się ku otwartym od jej strony drzwiom.

- Jeśli Heath dał Bryony za mało pieniędzy na przesyłkę, nie dopłacaj nic z naszych, pamiętaj.

- Nie martw się. Pewnie jeszcze zostanie mi reszta, którą Bry mu odniesie. - Machając na pożegnanie dziadkowi, Rose weszła po schodkach do sklepu wielobranżowego.

W środku minęła rząd półek, skrzynek i beczek, idąc prosto w stronę małego okienka pocztowego z tyłu sklepu.

- Jest tam kto? - zawołała, naciskając dzwonek.

- Zaraz przyjdę - usłyszała w odpowiedzi od Joego, sprzedawcy sklepu, który wychylił się z zaplecza. - Dzień dobry, panno Rosie. Co panienkę sprowadza?

Wsunęła szarą kopertę w okienko, mówiąc:

- Do Nowego Jorku, proszę. Ile płacę?

Joe poprawił okulary, by odczytać adres, a potem przeniósł

wzrok na lewy górny róg koperty. Zmrużył oko i zerknął na Rose.

- Michael Heath? Dlaczego wysyła panienka coś za niego?

- Po prostu mu pomagam. Podał to do nas przez Bryony wczoraj wieczorem. - Rose udawała, że ogląda worek ryżu na najbliższej półce. Zerknęła na cenę. - Naprawdę aż tyle? Dałabym głowę, że ryż był o centa tańszy w zeszłym tygodniu.

- Zawsze wszystko drożeje, jak są braki. A wy jak sobie ostatnio radzicie?

- Jakoś wytrzymujemy, tak jak i cała reszta hrabstwa. Dziadek zasadził ziemniaki po zbiorach bawełny. Ale jak nie będzie deszczu... - Rose wzruszyła ramionami.

- Znam to. Wszędzie niedobrze, co nie? - Joe położył kopertę na wadze. - Czternaście centów wystarczy. A w zasadzie, co ten chłopak od Heathów tu wysyła?

- Ej, Joe, to chyba nie twój interes, co? - Rose mrugnęła do niego okiem, podając mu dziesięcio- i pięciocentówkę.

Wyciągnął centa z kasy i położył w okienku.

- Po prostu byłem ciekaw. Nie w kaźden jeden dzień mam coś większego, co leci do Nowego Jorku. - Opierając przedramiona na ladzie, pochylił się bliżej i dodał ściszym głosem: - Powiedz, widziałas w ogóle panicza Heatha gdzieś w okolicy? Mówią, że prawie w ogóle nie pokazywał się tu-tej, od kiedy wyszedł ze szpitala psychiatrycznego, gdzie leczył się po wojnie.

- Raz go spotkałam - odpowiedziała chłodno Rose. - Wydaje się naprawdę miły - stwierdziła, choć od wczoraj zaczęła mieć wątpliwości, gdy zobaczyła, w jakim stanie jej siostra wróciła wieczorem. Bryony tłumaczyła, że ma czerwone

oczy, bo jest zmęczona po całym dniu pracy, ale Rose była prawie pewna, że to od płaczu.

A jeśli to Michael Heath był temu winny, Rose chciała wiedzieć dlaczego.

Odwróciła się do wyjścia, a potem zatrzymała się jeszcze na chwilę, zerknęła przez ramię na Joego i zapytała:

- Był w szpitalu psychiatrycznym? Na pewno?

- Tak ludzie gadają. Spędził tam całe lata, zanim wyleczył się z nerwicy frontowej. Na dodatek chorował jeszcze po zatruciu gazem. - Joe cmoknął. - Smutne, bardzo smutne, co ta wojna wyrządziła naszym chłopakom.

- Tak, rzeczywiście smutne. - Od czasu, gdy pierwsza wojna światowa zabrała jej tatę, Rose nie potrzebowała, żeby jej o tym nawet przypominać. Miała zaledwie cztery lata, kiedy wysłano go do Francji. Obecnie zostały jej już tylko mgliste wspomnienia uśmiechniętego, jasnowłosego mężczyzny, który brał ją na kolana.

Cóż, teraz była dziewczynką swojego dziadka, a farma stała się całym jej życiem. Najwyższy czas skończyć już te po-gaduszki z Joem i iść do sklepu z paszami.

Zastała tam dziadka, jak pakował worek ziarna na skrzynię ładunkową swojego pick-upa. Pomagał mu jakiś wysoki gość w ogrodniczkach i słomkowym kapeluszu. Kiedy mężczyzna popatrzył w stronę Rose, zatrzymała się i z zaskoczeniem zawołała:

- Caleb Wieland?!

Na twarzy Caleba rozlał się pełen zachwyty uśmiech.

- Ha, to ja! Rosie Linwood, serce cieszy się na twój widok! Odwzajemniła uśmiech i podeszła do niego, rozkładając ramiona, żeby objąć przyjaciela z dzieciństwa. A potem,

nie wiadomo czemu, nagle uświadomiła sobie, że ubrana jest w okropnie zakurzone dżinsowe ogrodniczki oraz że nie miała czasu, żeby uczesać rano włosy i tylko splotła je w warkocz, który ukryła pod starą tweedową czapką.

Za późno. Wpadła już prosto w ramiona Caleba, a on uściskał ją ze wszystkich sił.

- Hej, wy, starczy na razie - skwitował z uśmiechem dziadek. - Będziecie mieć mnóstwo czasu potem. Rosie, musimy wracać do domu. Caleb, pozdrów ode mnie swoich, a jeśli twój tata będzie czegoś potrzebował, wiesz, że nie mieszkamy daleko.

- Oczywiście, sir. - Caleb zwolnił nieco uścisk, ale nadal mocno obejmował ramiona Rose. - Możliwe, że któregoś dnia będziemy prosić o pomoc przy pompie do studni, jeśli będziecie mieli chwilkę. - Wokół kącików jego oczu pojawiły się drobne zmarszczki wynikające ze zmartwienia. - Znaczy, jak nam się uda wygrzebać jakieś pieniądze na części.

- Wpadnij do nas i poszukamy czegoś w mojej szopie. Może znajdziem coś, co by wam się przydało.

Pożegnali się i dziadek z Rose ruszyli w stronę farmy. Po paru kilometrach jazdy w milczeniu dziadek zauważył:

- Caleb wygląda całkiem całkiem, nie uważasz?

- Mhm. - Rose postukiwała krótkim paznokciem w drzwi auta. - Myślisz, że zostanie tu na jakiś czas?

- Tak mi się zdaje. Jego tata nie jest w formie, żeby zajmować się farmą, więc teraz to spadnie na Caleba.

Rose nieznacznie westchnęła.

- To niedobrze. Znaczy, nie to, że wrócił, ale szkoda, że musiał opuścić college. Jest bystry, tak jak Larkspur. Mógł zostać lekarzem albo prawnikiem, albo kimś ważnym.

- Rolnictwo też jest ważne. - Dziadek zwolnił, zjeżdżając na drogę gruntową. - Ktoś musi uprawiać pszenicę, żeby można było wyprodukować chleb, który wylądzuje na stołach bogatych ludzi.

Rose zmarszczyła czoło, kiedy mijali kolejne pole z uprawami tak spalonymi i wysuszonymi, że nawet trudno było domyślić się, co tam rosło.

- Cóż, jeśli nie spadnie wkrótce uczciwy deszcz, bogacze też nie będą jadać lepiej od nas.

Bryony sama nie wiedziała, jak udało jej się przeżyć kolejne parę tygodni. Chyba tylko dlatego, że trzymała cały czas głowę spuszczoną, skupiała się na swoich codziennych obowiązkach i nie pozwalała sobie na jakąkolwiek myśl o Michaelu.

Nie, o *panu Heacie*. Dostyc tej poufałości, nawet w myślach. Pod żadnym pozorem nie mogła ryzykować utraty pracy.

- Bryony, jesteś potrzebna na górze. - Panna Esthera podparła się pod boki i rozglądała się dookoła biblioteki, gdzie Bryony ścierała kurze. - Jeszcze tu nie skończyłaś? Zajmuje ci to już ponad godzinę.

- Przepraszam, to duże pomieszczenie. Jeszcze tylko kilka półek i tyle.

- To będzie musiało poczekać. Dancy zabrała panią Heath na górę na drzemkę. Ma parę innych obowiązków i trzeba, żebyś posiedziała przy pani przez chwilę.

- Dobrze, oczywiście. - Bryony pozbierała przybory do sprzątania i ruszyła za panną Estherą.

Pospiesznie skoczyła do magazynu z przyborami, a potem

weszła tylnymi schodami, zatrzymawszy się tylko na chwilę, gdy z gabinetu rozległ się tubalny głos starszego pana Heatha:

- Michaelu, gdzie ty jesteś?!

Bryony skuliła się. Wcześniej, kiedy odkurzała półki w bibliotece, Michael przyszedł, szukając jakiejś książki. Nerwowo zaproponowała, że przejdzie posprzątać gdzie indziej, a potem skończy tam, ale on przeprosił, że przeszkadza i wyszedł. Najwyraźniej te nieuniknione chwile, kiedy zdarzało im się wpaść na siebie w ciągu dnia, były dla niego równie niewygodne, jak dla niej.

Gdyby tylko jej nie pocałował!

Gdyby tylko nie było to dla niej tak przyjemne. Albo gdyby codziennie od tamtego dnia nie przeżywała tego na nowo. Lub gdyby nie wyobrażała sobie życia, w którym to, co ich różni, nie miałyby znaczenia i nie stałoby między nimi.

- Michaelu, czy ty mnie słyszysz? - krzyczał pan Heath teraz już z wejściowego holu. - Zejdź natychmiast na dół.

Gdzieś na piętrze trzasnęły drzwi i w korytarzu rozległ się odgłos zbliżających się kroków.

- Doskonale cię słyszę, tato. Tak samo jak wszyscy w całym domu. O co te krzyki?

- Po prostu zejdź na dół od razu. Musimy porozmawiać. W pierwszym odruchu Bryony chciała już się ulotnić, gdy

tylko dotarła na szczyt schodów, ale zaraz pomyślała, że jeśli ktoś nie zatrzyma tego przekrzykiwania się, z pewnością zbudzą panią Heath, a kiedy ona się zdenerwuje, ciężko będzie ją ponownie uspokoić. Michael przechylił się ponad barierką i rzucił jeszcze:

- Dobrze, idę. Mów trochę ciszej. - Rzucił okiem w stronę drzwi pokoju mamy i wydawał się jednocześnie zaskoczony

i zażenowany, kiedy zauważył, że stoi tam Bryony. Skrzywił usta i niedostrzegalnie skinął głową, a potem oddalił się w stronę głównych schodów.

Za plecami Bryony otworzyły się drzwi i ze środka wyjrzała Dancy.

- Co to za rozgardiasz? Kolejna akcja pana Heatha?

- Na to wygląda. - Bryony zawahała się w drzwiach, w duchu pragnąc pójść tam i dowiedzieć się, co tak bardzo zdeenerwowało Sebastiana Heatha. Westchnąwszy z rezygnacją, odwróciła się do Dancy i rzekła:

- Panna Esthera powiedziała, że mnie potrzebowałaś.

Dancy wyglądała na naprawdę wykończoną i tylko wciągnęła Bryony do pokoju dziennego, a potem zamknęła za nimi drzwi.

- Toż ci powiem, ta pani to mnie normalnie wykończy na śmierć dzisiaj. Jak na chwilę stąd nie wyjdę, to osiwieję do wieczora.

- Przyszedłabym zmienić cię wcześniej, ale panna Esthera kazała mi sprzątać na dole. Coś mi się zdaje, że wpadła już w szal porządków przed Świętem Dziękczynienia. - Bryony popatrzyła tęsknie w stronę szezlonga pani Heath. Może będzie mogła choć na chwilę dać odpocząć nogom, jeśli pani jeszcze trochę pośpi w sypialni.

- W tej rodzinie robi się strasznie wymyślne przyjęcie z okazji Święta Dziękczynienia. Zawsze jest mnóstwo resztek, także dla służących. - Dancy dodała ciszej. - Ale tera nie wspominaj ani słówkiem o tym, jak się obudzi, bo inaczej zaczniesz od nowa nawijać o tych wszystkich planach i przygotowaniach i nie będziesz miała jak wrócić na noc do swoich.

Bryony rzuciła zaniepokojone spojrzenie Dancy.

- Przyjdiesz później, prawda? Pokojówka uniosła brwi i podeszła do wyjścia.

- Może tak, a może nie.

- Dancy!

- Och, przecież wiesz, że przyjdę. - Machnęła niedbale dłonią.

- Za miesiąc albo dwa!

Zanim Bryony zdążyła wydać kolejny okrzyk, Dancy wyszła szybko, zamknęła za sobą drzwi i tylko z oddali było słychać jej śmiech.

Na szczęście Bryony wiedziała, że tylko się z nią droczyła. Podczas tych tygodni, które przepracowała tutaj, ich przyjaźń rozkwitała, przeobrażając się we wzajemną troskę i szacunek. Bryony dowiedziała się już, że rodzina Dancy zajmowała się hodowlą ryżu pod Stuttgartem i że podczas tej suszy, każdy cent, który zarobiła u Heathów, przekazywała, żeby tylko im ulżyć.

Bryony zbyt dobrze rozumiała jej położenie.

Tłumiąc ziewnięcie, popatrzyła znowu na szezlong. Pani Heath zwykle spała przynajmniej przez godzinę, czasem dwie. Zatem jeśli Bryony odpoczęłyby sobie te dziesięć minut, może mogłaby z siebie wykrzesać potem tyle energii, żeby jakoś dotrzeć do końca dnia. Walcząc z wyrzutami sumienia, przysiadła na jasnozielonym welwetowym siedzisku. *Tylko na dziesięć minut* - przypominała sobie stanowczo, a potem mruknąwszy z zadowolenia, pozwoliła, by jej głowa opadła na wyściełane oparcie.

- Bryony. Obudź się!

Starła się unieść powieki, co było jednak trudniejsze niż ciągnięcie za sobą worka wypełnionego zbieraną bawełną. Spała tak głęboko. Przecież to niemożliwe, żeby było już rano.

Ale... nie była w swoim łóżku i to z pewnością nie był jej pokój.

- Bryony.

Siłą otworzyła oczy i kilkakrotnie mrugnęła, żeby pozbyć się ospałości. Kiedy dostrzegła, że stoi nad nią Michael, resztki snu natychmiast uleciały z jej głowy i w panice usiadła szybko.

- Ojej! Przepraszam! Która jest godzina?

- Wydaje mi się, że wpół do piątej. - Usiadł na drugim końcu szezlonga, opierając łokcie na kolanach. Wzrokiem omiatał cały pokój.

Nadal próbując się ogarnąć, Bryony walczyła z wsuwkami w koczku. To było takie głupie i nieodpowiedzialne tak sobie pozwolić na sen. Gdyby znalazł ją ktoś inny niż Michael...

Zerknęła na zamknięte drzwi sypialni.

- A pańska mama?

- Nadal odpoczywa.

- Powinnam sprawdzić, co u niej - powiedziała Bryony, zrywając się na równe nogi.

Michael pochwycił ją za nadgarstek, zapewniając:

- Wszystko dobrze. Proszę, usiądź.

- Aleja...

- Proszę. - W jego oczach widać było tak usilną prośbę, że poczuła, jak ściska ją w żołądku. - Nie mam z kim się tym podzielić. Z nikim innym nie chcę.

Z pewnym ociąganiem usiadła obok niego, a poczucie winy spowodowane drzemką na szezlongu pani Heath, które i tak wystarczająco długo udawało jej się tłumić, odezwało się w niej na nowo. Skupiła się na postrzępionej krawędzi ułamanego paznokcia kciuka.

- Czy to ma coś wspólnego z tym, co pana ojciec wykrzykiwał wcześniej?

- To wszystko jest z tym związane. - Michael przygarbił się. - Dzisiaj przyszedł list od wydawcy uniwersyteckiego.

Bryony wzięła głęboki wdech.

- Och, Michaelu! - Nie przejęła się nawet, że znów jej się wymasknęło i zwróciła się do niego po imieniu. - I co napisali? Czy to dobre wiadomości?

- To chyba zależy... - Wyciągnął kopertę z kieszeni koszuli i drżącymi rękami rozłożył przed nią list. - Tutaj. Sama przeczytaj.

Przebiegła wzrokiem tekst, potem jeszcze raz, a jej serce łomotało coraz głośniejsze i szybciej z każdym słowem.

- Twoje rysunki mi się podobają. I chce je opublikować! - Nie zastanawiając się nawet, uścisnęła jego dłoń. - Michaelu, to wspaniałe wiadomości!

- Tak? - Skierował na nią wzrok, w którym było tyle samo oczekiwania co przerażenia. - Nie wiem, czy jestem gotowy na... na coś takiego.

- Oczywiście, że jesteś. - Bryony mocniej ścisnęła jego rękę, by przekazać mu jak najwięcej otuchy, a potem ponownie skupiła się na liście. Chciała chłonąć każdy szczegół.

W ostatnim paragrafie znajdowały się informacje o botaniku, któremu wydawnictwo zleciło napisanie artykułu do

ich kwartalnika. *Proszę możliwie jak najszybciej skontaktować się z dr. Hazletonem w sprawie ilustracji, które będą potrzebne do jego artykułu - czytała w liście. Będziemy potrzebować z pańskiej strony wielkoformatowego rysunku o jakości nadającej się do publikacji, nie później niż do 31 stycznia 1931 roku.* Redaktor zaproponował znaczne wynagrodzenie za każdy rysunek płatne po zaaprobowaniu prac i zakończył prośbą o telefoniczne potwierdzenie warunków umowy.

Bryony złożyła z powrotem list i uniosła go w palcach, pytając:

- Dzwoniłeś już do niego? Michael zaprzeczył ruchem głowy.

- Ale dlaczego... - I w tym momencie wiedziała już dokładnie czemu. - To przez ojca.

- Nie czytał listu, zobaczył tylko logo uniwersytetu oraz adres zwrotny w Nowym Jorku i doszedł do wniosku, że aplikowałem na uczelnię. Chciał się upewnić, że nie będę oczekiwał od niego pokrycia kosztów czesnego - wyjaśnił i parsknął. - On uważa, że to już trochę za późno dla mnie, żeby starać się jeszcze rozwijać w innych dziedzinach poza prowadzeniem plantacji.

- Ale powiedziałaś mu, że się myli... prawda?

- Powiedziałem mu, że ten list to nie jego sprawa, ale że nie musi się martwić moim pójściem do college'u. - Odwróciwszy wzrok, Michael dodał szeptem: - Tak jakbym w ogóle mógł to zrobić.

Poczucie porażki w jego głosie i postawie zakłuło boleśnie Bryony. Odkładając list na bok, obróciła się, żeby spojrzeć mu prosto w twarz i ujęła obie jego dłonie.

- Mógłbyś zrobić, co tylko byś chciał, Michaelu Heacie.

Wszystko. Jesteś bystry i utalentowany i jesteś dużo lepszym człowiekiem niż twój ojciec. Nie pozwól, żeby cię ograniczały jego ciasne poglądy. Nie dawaj mu rządzić tą jedną rzeczą, która daje ci tyle szczęścia.

Na jego czole pojawiły się zmarszczki, kiedy posłał w jej stronę dziwny uśmiech.

- Dziękuję ci, Bryony. Dziękuję, że we mnie wierzysz.

Przez jeden oszałamiający moment obawiała się, że mógłby ją znów pocałować, a ona przecież obiecała sobie, że to się więcej nie może zdarzyć. Gwałtownie podniosła się i pociągnęła go za sobą.

- Idź już i zadzwoń od razu, żeby zdążyć przed końcem pracy w wydawnictwie. Powiedz mu, że z przyjemnością przyjmujesz takie warunki i nie możesz się doczekać współpracy z doktorem Hasslewoodem... Hazelbergiem...

- Hazletonem. - Michael zaśmiał się krótko, a potem westchnął. - Jak to z tobą jest, Bryony Linwood? Jak ty to potrafisz zrobić, żeby załagodzić najbardziej drażliwe kwestie i sprowadzić je do prostych rozwiązań?

Wzruszyła ramionami.

- Chyba po prostu mam takie praktyczne podejście do życia.

Gdyby tylko umiała znaleźć proste rozwiązanie na jej uczucia do Michaela Heatha.

10.

Dla Michaela nie liczyło się teraz nawet to, że czuł większą pewność siebie w związku z możliwością publikacji jego prac, ale najważniejszy był fakt, że Bryony w końcu przestała go unikać. W ciągu kilku najbliższych dni korzystała z każdej możliwości spotkania, żeby cicho zapytać, jak mu idzie przygotowywanie rysunków, a on z radością opowiadał jej o postępach. Przynajmniej połowa ilustracji, których potrzebował doktor Hazleton, dotyczyła tych gatunków, które Michael już kiedyś szkicował i skatalogował. Musiał jedynie skopiować rysunki, czasem uzupełniając je o jakieś dodatkowe elementy lub szczegóły charakterystyczne dla danej pory roku. Wykonywał to wszystko na papierze w specjalnie określonym przez wydawcę typie i rozmiarze. Nawet zakupienie odpowiednich materiałów nie przysporzyło mu większych trudności. Michael regularnie prosił Jeremiaha, żeby kupował mu różne materiały do rysunku, kiedy tylko odwoził jego ojca do Little Rock w interesach. A na Jeremiahu, który był wzorem dyskrecji, mógł spokojnie polegać bez obaw, że zdradzi się z tymi drobnymi wyprawami dla panicza Michaela.

Jedynym aspektem, który nie podobał mu się w tej inicjatywie, był fakt, że potrzebował na to dużo czasu, a to uniemożliwiało mu zbyt częste słodkie chwile przebywania w obecności Bryony. Kiedy tylko wiedział, że ojciec wyjechał z domu, zostawiał drzwi do swojego pokoju lekko uchylone i nasłuchiwał jej głosu. Znów nuciła sobie podczas pracy, dzięki czemu łatwo mu było się zorientować, kiedy wypełniała jakieś obowiązki na piętrze. Wtedy wychodził na korytarz pod pozorem chęci rozprostowania nóg lub dopytania się o zdrowie matki, a jeśli upewnił się, że w pobliżu nie ma żadnych wścibskich spojrzeń, proponował Bryony oglądnięcie swoich ostatnich szkiców. Odczuwał radość, gdy zdarzało się, że ich dłonie się zetknęły albo ich spojrzenia skrzyżowały na chwilę dłużej. Im więcej takich momentów, tym lepiej.

Dobry Boże, czyżby zakochał się w tej kobiecie? Powinien być ostrożny, ponieważ gdyby inni służący to zauważyli, mogliby zacząć coś mówić, a jeśli taka plotka dotarłaby do uszu ojca...

Kredka, którą trzymał w palcach, zamarła w połowie ruchu. Tata nie może nawet podejrzewać, jakiego rodzaju uczucia Michael żywił wobec Bryony. W przeciwnym wypadku z pewnością szybko i boleśnie zakończyłyby tę sprawę.

Zmiótł na bok resztki rysika i podniósł ostatni rysunek w stronę światła. *Rhaphiolepis indica*, zwany indyjskim głogiem - kwitnący krzew, któremu nie straszny upał i susza. Stosując się do wskazań doktora Hazletona, Michael wykonał dokładne studium liści, owoców i kwiatów.

Teraz już miał pierwsze pięć rysunków gotowych do wysłania w zaadresowanej twardej kopercie, która czekała na

biurku. Bryony zgodziła się spotkać z nim później w jednej z ogrodowych alejek, kiedy będzie wychodziła do domu. Jej dziadek znowu weźmie przesyłkę i przekaże na pocztę w Edenie, ale ponieważ jutro było Święto Dziękczynienia, najwcześniej zostanie ona wysłana w piątek.

Kiedy Michael wsunął kartkę do koperty, by dołączyć ją do pozostałych rysunków, zaczął się zastanawiać, jak Bryony ze swoją rodziną zamierzała spędzić ten świąteczny dzień -o ile w ogóle będzie miała czas, biorąc pod uwagę wielką fetę, jaką zaplanowała jego matka. Ona i tata zaprosili całą plejadę znajomych i krewnych na kolację, a Michael cieszył się, że jego mama czuła się na tyle dobrze, żeby zajmować się tak ogromnym wydarzeniem. Miał tylko nadzieję, że w tym roku to nie przekroczy jej możliwości.

Śpiewny sopran Bryony dotarł do jego uszu od strony korytarza na piętrze: *Przyjdźcie, wszyscy z dziękczynieniem, przyjdźcie...*⁷.

Serce Michaela wypełniło się szczególnym dziękczynieniem. Podszedł cicho do drzwi i otworzył je pełen nadziei, która jednak szybko ulotniła się, gdy zobaczył, że parę kroków za Bryony idzie jego ojciec.

- Dzień dobry, paniczku Heath - przywitała się grzecznie, rzucając mu drżący uśmiech, a zaraz potem czmychnęła w stronę tylnych schodów.

Michael szybko pozbierał się, co nie było takie łatwe pod wycelowanym w niego okiem ojca, i zapytał:

- Jak się czuje matka?
- Dosyć dobrze. Właśnie omawialiśmy kolejne szczegóły

⁷ Cotne, Ye Thankful People, Come - chrześcijański hymn często towarzyszący świętowaniu Dnia Dziękczynienia w Stanach Zjednoczonych.

jutrzejszego przyjęcia - odparł ojciec, unosząc lekko brew. - Masz jakieś wypieki na twarzy. Może to ja powinienem zapytać o *twoje* zdrowie.

- Czuję się dobrze. Idealnie.

- Cieszę się. - Wskazując ręką na drzwi pokoju syna, ojciec podszedł bliżej. - Jest parę kwestii, które powinniśmy omówić, a skoro już wyłoniłeś się ze swojego schronu na tak długi czas, wydaje się, że nie będzie lepszego momentu.

Michael poczuł ciężar w piersi. Przełknął i wydusił z siebie:

- Miałem właśnie...

- Proszę, Michaelu, nie traktuj mnie jak głupca, twierdząc, że masz coś ważniejszego do zrobienia. - Ojciec przeszedł obok niego i sięgał już do klamki.

Michael obrócił się, a w głowie rozpaczliwie próbował sobie przypomnieć, czy zostawił na wierzchu kredki i szki-cowniki albo, jeszcze gorzej, kopertę zaadresowaną do wydawnictwa.

Ojciec wszedł zamaszystym krokiem do pokoju dziennego. Usadził się wygodnie w ulubionym fotelu Michaela i wyciągnął jedną nogę, opierając ją na otomanie. Z całą nonszalancją, na jaką było go teraz stać, Michael poszedł do stołu pod oknem i odwracając się plecami do ojca, przełożył kopertę. Z rękami w kieszeni, powoli zwrócił się ku niemu, czekając na to, co ma do powiedzenia.

- Chyba nie zamierzasz tam tak stać i się gapić? To nam zajmie chwilę.

Michael niechętnie przeniósł się na sofę stojącą naprzeciw ojca. Pociągnął za łańcuszek lampki stołowej, świadomy, że zapadający zmrok oznaczał, że Bryony już niedługo ruszy do domu.

- Proszę, wyjaśnij zatem, jaki jest powód twojej tak nagłej wizyty.

- Czy my nie możemy chociaż raz po ludzku porozmawiać? - zapytał ojciec z iskierką bólu w oczach, której już dawno Michael u niego nie widział. - Wiem, że wydaje ci się, iż mnie w ogóle nie obchodzi to, co jest ważne dla ciebie, ale mylisz się. Jesteś moim synem, Michaelu, i zawsze chciałem dla ciebie tego, co najlepsze.

Michael gładził palcem plecioną wypustkę zdobiącą obicie sofy.

- Raczej tego, co *tobie* się wydaje najlepsze dla mnie. Niezręczna cisza wypełniła pokój. Ojciec Michaela gwałtownie wypuścił powietrze przez zaciśnięte usta.

- Wiele nad tym myślałem w ciągu ostatnich paru dni i stwierdziłem, że zbyt pochopnie potępiłem twoją chęć podjęcia dalszej edukacji.

- Tato...

- Nie, posłuchaj mnie. Te wszystkie lata, które spędziłeś w szpitalu, były dla ciebie taką przeszkodą, której do tej pory sobie nawet nie uświadamiałem. Myślę, że dobrze by ci zrobiło, gdybyś teraz poszedł do szkoły.

A więc chodziło o tę kopertę z uniwersytetu, którą przechwylił tata. Michael zaprotestował:

- Mówiłem ci już, że ten list nie miał nic wspólnego z pójściem na studia.

- Pamiętam dobrze, co powiedziałeś: *Me twoja sprawa* -tak to chyba dokładnie ująłeś. I to właśnie dało mi do myślenia. - Tata opuścił nogę na ziemię i usiadł prosto, składając ręce między kolanami. - Nowe perspektywy oraz pomysły to dokładnie to, czego ci potrzeba, żeby wyjść z tej swojej

skorupy. Przyznaję, że mając trzydzieści dwa lata, wykraczasz już poza typowy wiek studencki, ale mimo to uważam, że takie doświadczenie dużo lepiej przygotowuje cię do podjęcia twoich obowiązków tutaj, gdy nadejdzie odpowiedni czas.

- Czy to do ciebie nie dociera, tato? - nieomalże wykrzyczał Michael, zrywając się na nogi. - Nie nadaję się do zarządzania plantacją. Nigdy się nie nadawałem.

- Teraz to mówisz. I wierz mi, dobrze to usłyszałem. Ale po paru latach w college'u, gdy zdobędziesz dyplom, który mógłbyś mieć już dawno, gdybyś nie był takim rozjuszonym, zadufanym dzieckiem wiele lat temu, wyruszając na wojnę...

- Czas już na ciebie. - Michael zamaszystym krokiem podszedł do drzwi i otworzył je szarpnięciem. - Nasza rozmowa dobiegła końca.

Widać było, że przez jakiś czas w ojcu wszystko wrzało, a potem z trudem powstał i obdarzył Michaela miażdżącym wzrokiem.

- Bóg wie, że próbowałem, synu. Ale jeśli upierasz się, żeby pławić się w tym swoim zgorzknieniu nad czymś, co wydarzyło się wiele lat temu, nie mogę już chyba nic zrobić, żeby cię powstrzymać.

Gdy tylko ojciec znalazł się za progiem, Michael trzasnął drzwiami z hukiem. Czuł, jak skręca go w żołądku. Zdjął nerwowo okulary i z wściekłością tarł oczy. *Bóg wie...* - przypomniało mu się. Michael jednak już sam nie był pewien, co Bóg wie i czy w ogóle zwracał jakkolwiek uwagę na to, co się dzieje pod dachem tego domu.

Zaraz potem jego wzrok spoczął na gotowej do wysłania kopercie, którą miał przekazać w ręce Bryony. Z pewnością Bóg postawił ją na jego drodze z jakiegoś powodu.

Obudziła w nim uczucia, których nie spodziewał się już doświadczać. Iskrę nadziei. Obietnicę uzdrowienia. Okazję, by znów *być*.

Wyrzucając z pamięci spotkanie z ojcem, złapał sweter, chwycił za kopertę i ruszył prosto w kierunku tylnych schodów.

<-^®^

Bryony przemierzała tam i z powrotem alejkę ogrodową, zanurzoną w mroku od czasu, gdy słońce skryło się za horyzontem. Nie znosiła wracać do domu w ciemności, ale jeśli Michael zaraz nie zejdzie, pewnie będzie ją to czekać. Zerknęła zza krzewu w stronę werandy. Panna Esthera włączyła już lampy na zewnątrz i długa weranda była skąpana w bladej bursztynowej poświacie.

- Gdzie ty jesteś, i Michaelu? - szeptała sama do siebie.

Kiedy spojrzała za siebie, schodząc wcześniej na dół, wiedziała, że pan Heath na pewno ma wiele spraw do poruszenia z Michaeliem. Czyżby zatrzymał go na długą rozmowę ojca z synem? Bryony modliła się, żeby umieli jakoś we dwójkę rozwiązać kwestie, które mieli do omówienia, ale jednocześnie martwiła się, jak kolejna konfrontacja wpłynie na kruche poczucie własnej wartości Michaela.

Za plecami usłyszała chrzęst żwiru. Gdy tylko rozpoznała Michaela, westchnęła z ulgą.

- Gdzie ty byłeś? Wszystko w porządku?

- Dobrze, dobrze - zapewnił, ale wcale nie wyglądał dobrze. Wydawał się być czymś strapiiony.

- Chodzi o twojego ojca? Co się stało po tym, kiedy was razem widziałam?

- To nieistotne. - Michael wcisnął w jej rękę kopertę. -Przepraszam, że musiałaś przeze mnie czekać. Robi się ciemno. Powinnaś już iść.

Drżąc od chłodu wieczornego powiewu, Bryony otuliła się kołnierzem swojego swetra i rzekła:

- Jesteś smutny. Nie musisz udawać przede mną. Nieznaczny uśmiech przekradł się na jego usta. Sięgnął po jej dłoń.

- *Byłem* smutny. Ale już nie jestem. Nigdy nie jestem smutny, gdy jestem z tobą.

- Michaelu, rozmawialiśmy już o tym. - Z pewnym ociąganiem wyjęła rękę z jego uścisku i ścisnęła sztywną, dużą kopertę. Obróciła się do niego bokiem. - Masz rację, powinnam już iść.

- Pozwól, żebym odprowadził cię kawałek. Obiecuję, że będę się zachowywał jak dżentelmen.

Błaganie w jego głosie sprawiło, że poczuła ucisk w gardle i zgodziła się. Przeszli przez ogród i wyszli na wąską drogę kilka metrów od domu. Konary drzew splatające się ponad ich głowami były już prawie całkiem nagie. Opadłe liście, suche i brązowe, gnane wiatrem, przemykały w poprzek drogi i szeleściły pod ich stopami.

- Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie znów ujrzę Lark. - Bryony aż zadrżała ze zniecierpliwienia. - Powinna już być w domu, jak wrócę.

- To straszne, że będziesz musiała jutro pracować - powiedział Michael ściszonego głosem.

Przypomnienie o tym fakcie sprawiło, że Bryony zgarbiła się bardziej. Nie będzie miała nawet połowy dnia wolnego, jak wcześniej obiecała jej panna Esthera. Kazano jej przyjść

wcześnie rano, żeby pomóc Odette w kuchni, a potem miała być w gotowości, żeby serwować kolację i posprzątać po niej. Te godziny, które miała nadzieję spędzić, wypytując siostrę o życie w college'u, skurczą się do nielicznych chwil w ciągu kolejnych dni, kiedy tylko Bryony nie będzie zbyt zmęczona, by utrzymać powieki otwarte. Poczwała, jak ramię Michaela otarło się o jej ramię.

- Stałaś się taka milcząca. Co się stało?

Nie umiała pohamować rozpacz w głosie, kiedy wyjaśniała mu, jak panna Esthera zatrzymała ją tuż przed wyjściem.

- Nie widziałam Larkspur od września, a teraz też prawie w ogóle nie będę miała okazji się z nią zobaczyć.

- To niesprawiedliwe. Porozmawiam z Estherą, kiedy tylko wrócę.

- Nie, proszę. - Bryony zatrzymała się w pół kroku i zwróciła się twarzą do niego. - Naprawdę, Michaelu. Ostatnio sprawy zaczynają się lepiej układać. Nie dawaj Odette czy Alice żadnych powodów, by mogły przestać mnie lubić.

Michael ściągnął brwi. Zanim zdołał wykrzesać z siebie odpowiedź, za plecami Bryony rozległ się dźwięk silnika samochodowego, a światła omiotły drogę. Michael złapał rękę Bryony i odciągnął ją szybko na bok, kiedy pojazd, hamując ostro, zatrzymał się tuż przed nimi.

To było auto dziadka. Szyba od strony kierowcy opuściła się i Rose wytknęła głowę przez okno.

- Wskakuj, Bry!

- Co ty robisz, Rosie? Czy dziadek wie, że jedziesz za kierownicą?

- Jasne, że tak. Pozwolił mi po ciebie pojechać. - Rose

uśmiechnęła się szeroko i pomachała. - Cześć, Michael. Jak się masz?

- Rose! - Bryony obdarowała ją gniewnym wzrokiem. Siostra teatralnie wywróciła oczami, dodając:

- Przepraszam. *Panie* Heath.

- Bryony, w porządku - szepnął jej koło ucha Michael. -Cześć, Rose. Właśnie odprowadzałem twoją siostrę kawalek w stronę domu.

- Właśnie widzę. - Z gardła Rose dobył się dziewczęcy chichot. Odwróciła się do kogoś siedzącego w kabinie pick-upa i słychać było jeszcze więcej śmiechów.

Bryony podeszła bliżej.

- Kto tam jest z tobą, dziadek?

- Eee... nie. - Rose odchyliła się i obok niej pokazała się druga twarz.

- Larkspur! - Bryony rzuciła się do okna, żeby wyściskać jasnowłosą siostrę. Ledwie zauważyła, że Michael zdążył w ostatnim momencie uchronić kopertę przed całkowitym zgnieceniem.

- Hej, wy! Zmiażdżycie mnie! - wychrypiała Rose. - Wsiadaj do auta, Bry. Będziecie mieć jeszcze mnóstwo czasu na te ckliwości potem.

Lark uwolniła się z objęć Bryony, wtrącając jeszcze:

- Chwileczkę. Najpierw proszę mi przedstawić tego kawalera Bryony.

Pałące gorąco w jednym momencie pokryło twarz Bryony. Za żadne skarby świata nie odważyłaby się teraz spojrzeć w stronę Michaela.

Podszedł bliżej i przez okno wyciągnął rękę do Larkspur.

- Witam. Michael Heath, do usług.

- Miło mi poznać. - Kokietyjny uśmiech Lark aż ociekał słodyczą. - A więc ty jesteś tym artystą, o którym pisała mi Bryony. Czy dała ci te kontakty, które dostałam od mojego profesora?

- Dała, dziękuję bardzo. - Michael uklonił się grzecznie, a potem odwrócił się w stronę Bryony i wręczył jej kopertę. - Zatem do zobaczenia jutro?

Teraz z kolei ona przewróciła oczami.

- Wiesz, gdzie będę.

Michael podprowadził ją jeszcze do drzwi pasażera i pomógł wsiąść obok Larkspur. Choć była szczęśliwa, że może zobaczyć się z siostrą, nie wspominając o tym, jak bardzo cieszyła się, że nie musi wracać do domu po ciemku, mogłaby się jednak obejść bez dwóch par ciekawskich oczu sióstr, które obserwowały to wyjątkowo dziwne pożegnanie.

Drzwi zamknęły się i Michael na krótką chwilę oparł dłoń o szybę, a potem zszedł z drogi, żeby Rose mogła zawrócić pick-upem.

- Wielkie nieba! - Lark stuknęła Bryony w ramię. - On jest nawet przystojniejszy, niż sobie wyobrażałam!

- Przestań natychmiast. - Wpatrzona przed siebie, Bryony oparła ręce na leżącej na jej kolanach kopercie. Tak bardzo nie mogła się doczekać ponownego spotkania z siostrą, a teraz pragnęła tylko zniknąć.

- A ty jeszcze chodzisz pracować do tego domu i codziennie możesz spędzać z nim czas? Powiedz, że *to* nie jest męczarnia!

Rose zwolniła na zakręcie i rzuciła:

- Nie dokuczaj jej, Lark. Bryony pracuje dużo ciężiej niż

ktokolwiek z nas. Gdybyś tylko widziała, jak jest zmęczona, gdy wraca codziennie wieczorem, i rzadko kiedy w ogóle ma dzień wolny...

- Wiem, przepraszam. - Lark otoczyła ramieniem Bryony i uścisnęła ją. - Tak się cieszę, że mogę cię zobaczyć, kochana. - W jej głosie brzmiała teraz nutka śmiechu. - Ale musisz przyznać, że przystojniak z niego.

Co do tego, nie było żadnych wątpliwości.

- Jest też bardzo miły. I nie mogę się doczekać, kiedy pokażę ci te rysunki. - Bryony poklepała kopertę. - Och, Lark, dziękuję ci bardzo za to, że dowiadywałaś się w sprawie tych wydawnictw uniwersyteckich. Nawet nie umiem opisać, jak wiele zmieniło to w życiu Michaela.

- Z pewnością też wiele zmieniło w twoim, Bry - zwróciła uwagę Rose. - Jeszcze parę tygodni temu, kiedy wracałaś do domu, ciągnąc brodą po ziemi, bardzo się martwiliśmy o ciebie z dziadkiem.

Pochyliwszy się do przodu, Larkspur spojrzała na Bryony.

- Bry, o czym ona mówi?

- Byłam po prostu zmęczona, i tyle. - Odwróciła twarz w stronę szyby, choć prawie nic nie było widać poza jej własnym zamazanym odbiciem. Patrzyły na nią oczy pełne tęsknoty, a jej usta drżały na wspomnienie tamtego pocałunku.

Ciasny, wykrochmalony kołnierzyk eleganckiej koszuli nieznosnie uwierał Michaela w szyję. Nie nosił krawata od miesięcy i pewnie nie założyłby go dzisiaj, gdyby nie musiał wyglądać sztywnie wobec zaproszonych przez rodziców gości.

To znaczy... jeśli w ogóle ktoś może nazwać szykownym dziesięcioletni brązowy garnitur z serży.

Ksiądz Dempsey, który do tej pory podziwiał olejny pejzaż nad kominkiem, odwrócił się i zajął wysoki fotel obok Michaela.

- Czy wspominałem już, że ostatnio wyglądasz bardzo dobrze?

- Dziękuję, proszę księdza. - Michael łyknął kawy, a potem ostrożnie wsparł filiżankę i spodek na kolanie. Po drugiej stronie pokoju jego matka rozmawiała z kuzynką i jej mężem, którzy przyjechali z Memphis. Tata wybrał się na wycieczkę gdzieś pośród wiejskiego krajobrazu z zaprzyjaźnionym plantatorem, niewątpliwie oplakując kiepski stan dzierżawy. Żona jego rozmówcy przyjechała z paskudnym bólem głowy i poprosiła, czy by nie mogła się położyć na chwilę w pokoju gościnnym. Michael stwierdził, że w jego przypadku wymówka z bólem głowy nie przejdzie, a nie chciał ryzykować kolejnej pogadanki taty.

- Wiesz, że zawsze na ciebie czeka miejsce podczas mszy. - Korpulentny, siwowłosy kapłan pochylił się w jego stronę i mówił dalej ściszym głosem: - Martwię się o ciebie, mój chłopcze. Ile to już czasu minęło, od kiedy po raz ostatni wyspowiadałeś się i przyjąłeś komunię?

Michael z przymusem zaśmiał się szorstko.

- Zbyt dużo, proszę księdza. Z pewnością zbyt dużo.

- To nie jest dobre dla zdrowia twojej duszy. Pismo uczy, że jeżeli wyznajemy nasze grzechy, Bóg, który jest wierny i sprawiedliwy, odpuści je nam i oczyści nas z wszelkiej nieprawości. Jednakże, jeśli mówimy, że nie zgrzeszyliśmy, czynimy Go kłamcą i nie ma w nas Jego nauki.

- Jestem przekonany o tym, jak liczne są moje grzechy. - Ta rozmowa zmierzała w kierunku, który niepokoił Michaela. Gdyby tylko nie zabrzmiało to niegrzecznie, chętnie znalazłby jakąś wymówkę, aby odejść. - Proszę księdza, doceniam księdza troskę o moją duszę, ale Bóg i ja... różnimy się bardzo w wielu kwestiach.

- Łatwo to naprawić w modlitwie pełnej skruchy. - Ksiądz Dempsey uśmiechnął się łagodnie i wstał. - I będę się szczerze modlić za ciebie, synu, za twoje zdrowie na ciele i uzdrowienie twojej strapionej duszy.

Michael pochylił głowę, gdy kapłan dyskretnie uczynił nad nim znak krzyża. Kiedy tylko ksiądz Dempsey odsunął krzesło, żeby usiąść obok matki Michaela i pozostałych gości, Michael wykorzystał moment i wyśliznął się z pokoju.

Odstawił filiżankę i spodek na stojący na jednej nodze stolik w korytarzu, a potem oparł się o poręcz, czekając, aż uspokoją się jego nerwy. W takich chwilach jak ta naprawdę tęsknił do monotonnej rutyny sanatorium. Tak daleko od domu nie musiał się martwić odwiedzinami znajomych czy rodziny i nawet podczas świąt pielęgniarki nigdy nie robiły problemu, jeśli nie chciał się zadawać z innymi pacjentami.

Z drugiej strony jego lekarz zawsze miał wiele do powiedzenia na temat jego umiłowania samotności.

- Nerwica frontowa nie zniknie tak sama z siebie, sierżancie Heath. Musi pan chcieć wyzdrowieć.

Problem z wyzdrowieniem polegał przede wszystkim na tym, że zwiastował powrót do domu, a przez długi, długi czas dom był ostatnim miejscem, w którym Michael pragnął się znaleźć. Najbardziej przekonany był o tym w momencie,

gdy lekarz oświadczył, że jest już sprawny i osobiście odprowadził go na dworzec na najbliższy pociąg do Little Rock. Atmosfera jego powrotu była tak przewidywalna - mama otaczająca go taką opieką, jakby nadal był inwalidą, i tata od razu wypychający go do aktywnego zaangażowania w prowadzenie plantacji. Te dwie skrajności tylko pogorszyły jego wewnętrzny przymus wyobcowania się.

Tak było do czasu pojawienia się Bryony. Nadal trudno mu było uwierzyć, że zdołała go przekonać, żeby wysłał swoje rysunki do publikacji. Ale ona wierzyła w niego, widziała w nim coś, czego on sam nie miał odwagi dostrzec. Gdyby tylko teraz on potrafił przekonać Bryony, żeby dała szansę temu, co się między nimi zrodziło. Oczywiście, ich zupełnie odmienna sytuacja materialna stanowiła pewien problem, ale jego siostra porzuciła wszystko dla mężczyzny, którego kochała. Dlaczego więc on i Bryony nie mogliby, a nawet nie powinni szukać sposobu, żeby być razem?

Miał tylko nadzieję, że Miranda była szczęśliwa po podjęciu swojej decyzji, bezpieczna i miała się dobrze, gdziekolwiek się znajdowała. I że los był dla niej łaskawszy niż jej własny ojciec. Jeśli mowa o tym, by ktokolwiek miał tu wyznawać swoje grzechy...

Zanim jego żołądkiem na nowo wstrząsnęły konwulsje, Michael wtoczył się po schodach. Może chwila ciszy w jego apartamentach pozwoli mu opanować się na tyle, żeby przetrwać to wielkie przyjęcie. Kiedy jednak dotarł do holu na piętrze i odwrócił się w stronę swoich drzwi, zobaczył, że były uchylone.

Nowe zmartwienie ścisnęło jego serce. Wchodząc do pokoju dziennego, wiedział od razu, że ktoś tu był wcześniej.

Szafka, w której trzymał swoje przybory do rysunku była otwarta i miał wrażenie, że brakuje sporo szkicowników. Parę luźnych stron leżało rozrzuconych na stole pod oknem, tak jakby ktoś przeszukiwał jego prace. Z pewnością nikt ze służących nie odważyłby się naruszyć jego prywatności w ten sposób. Zatem ojciec? Mało prawdopodobne.

Matka - przeszło mu przez myśl. Przyciskając dłoń do czoła, westchnął gwałtownie. Powinien się być domyślić, że będzie chciała popisać się dziełami syna wobec zaproszonych gości. W porządku, o ile tylko tata był poza domem. Ale dokąd ona mogła je zabrać? Nigdzie na dole nie zauważył ani śladu swoich rysunków.

Więc to by było na tyle wytchnienia w tej godzinie przed kolacją. Nie spocznie, dopóki nie znajdzie tych szkicowników i nie upewni się, że nie będą na widoku, gdy ojciec wróci.

Tylko Bryony była w stanie mu teraz pomóc. Zszedł tylnymi schodami i przeszedł łącznikiem do kuchni. Zanim jeszcze dotarł do środka, dookoła niego roznosiły się już zapachy - faszerowany indyk, bataty, fasolka, drożdżowe bułeczki, ciasta. Odette wykrzykiwała komendy dla Callie, Alice i Bryony, które mieszały w garnkach na kuchni, przyrządzały sosy, liczyły talerze i wykladały półmiski.

Zawołał Bryony po imieniu, kiedy ta opłukiwała i osuszała duży porcelanowy półmisek. Odłożyła go na stół i szybko podeszła do niego ze ścierką przewieszoną przez ramię.

- Nie powinienes tu być - powiedziała, zatykając za ucho kosmyk włosów z czoła. - To istny dom wariatów!

- Widzę. - Michael przesunął się, kiedy Alice przebiegła obok z drewnianą łyżką, z której kapła jakaś biała maź.

- Przepraszam, ale chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła.
- Nerwowym szeptem wyjaśnił swoje obawy dotyczące zaginionych szkicowników.

- Właśnie mam zanieść parę rzeczy do jadalni. Postaram się w takim razie tam rozejrzeć. - Bryony wygoniła go ręką za drzwi. Wyglądała na bardzo zmęczoną i zdenerwowaną.

Michael wrócił na korytarz i miał już sam zacząć swoje poszukiwania, kiedy z salonu dobiegł go gromki głos jego ojca. Po powrocie z przejażdżki tata ze swoim znajomym głośno rozprawiali o tym, jak prezydent Hoover radzi sobie z kryzysem wywołanym suszą.

- Sebastianie, proszę - wtrąciła matka. - Dzisiaj jest dzień, by oddawać Bogu dzięki za błogosławieństwa, którymi nas obdarzył. Zostaw politykę na kiedy indziej. Poza tym - zaczęła w momencie, kiedy Michael dotarł do zdobionego łukiem przejścia - po kolacji mam wam coś wspaniałego do pokazania.

11.

- To najbardziej smutne Święto Dziękczynienia, jakie do tej pory mieliśmy - skwitowała Larkspur, odsączając ugotowaną rzepę na cedzaku, a buchająca para pokryła mgłą okno nad zlewem.

- Nie najbardziej smutne - wyszeptała Rose, sięgając do szafki po miskę.

Uśmiechając się czule w stronę siostry, Larkspur przerzuciła zawartość cedzaka do miski.

- Wiem, Rosie. Nic nie może być gorsze od tamtego roku, gdy straciłyśmy mamę. Chciałam po prostu powiedzieć, że to straszne, że Bry nie może być tutaj z nami. Jeszcze nigdy nie spędzałyśmy świąt osobno.

- Wróci do domu wieczorem. I może nie będą jej kazali stawić się zbyt wcześnie jutro rano, kiedy już będzie po wielkich uroczystościach. - Rose wetknęła łyżkę między rzepy i zaniósła miskę na stół. - A gdzie dziadek? Umieram z głodu!

- Tam gdzie co roku o tej porze. - Westchnąwszy z żalem, Larkspur kiwnęła głową gdzieś w stronę miasta.

- Ach... cmentarz. Zdaje się, że możemy jeszcze chwilę poczekać z kolacją.

Larkspur zajrzała do piekarnika, wypuszczając falę ciepła do pomieszczenia.

- Królik wydaje się już gotowy. Powinien być smaczny i miękki, tak powoli zapiekany w sosie własnym.

- To nie to samo jednak, co utuczony, soczysty indyk.

- Powinnaś dziękować za pułapki dziadka, bo w przeciwnym razie w tym roku mielibyśmy bezmięсны Dzień Dziękczynienia.

Na dźwięk chrzęstu opon na żwirze siostry popatrzyły w stronę okna wychodzącego na tył domu. Dziadek zaparkował swojego starego czarnego pick-upa obok stodoły, wysiadł i po chwili słychać było jego ciężkie kroki, kiedy zmierzał do domu. Zatrzymał się na werandzie przed drzwiami, patrząc w dal.

Serce Larkspur momentalnie ścisnęło się żalem na widok rozpaczki malującej się na zmęczonej twarzy staruszka. To było coś więcej niż ciągle żywy żal nad ukochanymi najbliższymi, którzy już odeszli. Jego oblicze odzwierciedlało jej własne uczucia - to przekonanie płynące z głębi serca, że nic już nigdy nie będzie lepiej. Miała nadzieję, że college stanie się dla niej ucieczką i w pewnym sensie tak było. Zamieniła niekończącą się harówkę na farmie na świat książek, zajęć i inspirujących rozmów z rówieśnikami i wykładowcami. Jakże bardzo lubiła te niedzielne spotkania kółka literackiego u profesora Keenea, zwłaszcza po tym, jak serdecznie powitał ją na forum grupy.

Ale życie studenckie miało też swoje wyzwania. Tego dnia, kiedy otrzymała list potwierdzający przyjęcie na uczelnię,

Larkspur postanowiła, że nie chce obciążać rodziny jakimikolwiek dodatkowymi wydatkami. Już od chwili przyjazdu do akademika, zaczęła poszukiwania dorywczej pracy. Praca w lokalnym sklepie spożywczym nie była zbyt dobrze płatna, ale godziny nie kolidowały z jej zajęciami i czasem na naukę. Zawsze na koniec zmiany była przemęczona do granic wytrzymałości, przez co miała ogromną trudność, żeby wstać następnego dnia rano na pierwsze wykłady.

- Wchodzi do środka - rzuciła Rose, szturchając Larkspur, żeby odsunęła się od okna. - Przybierz bardziej pogodny wyraz twarzy, dobrze?

Zanim dziadek wszedł do kuchni, Larkspur zdążyła już wyjąć królika z pieca i ustawić naczynie na podstawce na środku stołu. Razem z Rose nakryły blat najpiękniejszym, wykonanym koronką obrusem babci - tym, którego zawsze używali podczas specjalnych okazji. Porcelanowe nakrycia należące do mamy zdobiły miejsce każdego stołownika.

- W samą porę, dziadku. - Rose ujęła go pod ramię. - Kolacja na stole.

Z dziwnym skrzywieniem ust krótko skinął i rzekł:

- Królik pachnie wybornie.

- Z naszej Rose rośnie wspaniała kucharka - powiedziała Larkspur, wysuwając krzesło zza stołu. - Uszczknęłam kawałek ciasta brzoskwiнового, które upiekła dziś rano. Będziemy mieć ucztę. - Nie wspomniała, że Rose użyła ostatniego słoika konserwowych brzoskwiń z piwniczki oraz prawie całego cukru, jaki mieli w domu. Wyglądało na to, że wszystko się coraz szybciej kończyło.

Na początku dziadek odmówił nad jedzeniem modlitwę dziękczynną, a potem napełnili swoje talerze i jedli, jakby

w ogóle nie musieli się martwić o to, co będą mieć na następny posiłek. Larkspur odrzuciła myśli o tym, czego im brakowało, i zamiast tego starała się skupić na tym, by cieszyć się po prostu chwilami z rodziną. Czas mijał zbyt szybko i wkrótce będzie już jechać autobusem z powrotem do Arkadelphii.

- Jeszcze ciasta, dziadku? - zapytała Rose, sięgając po jego talerzyk deserowy.

Głaszcząc pełny brzuch, dziadek odsunął krzesło od stołu.

- Dwa kawałki to więcej, niż potrzeba. Zostawmy coś dla Bryony.

Larkspur podniosła się, żeby posprzątać talerze.

- Mam nadzieję, że dostanie coś dobrego do zjedzenia u Heathów. Przynajmniej tyle mogliby zrobić, żeby wynagrodzić służącym pracę w święta.

- Zakładam się, że mieli faszerowanego indyka ze wszystkimi dodatkami. - W głosie Rose wybrzmiała lekka nutka niechęci. - I pewnie prawdziwe ciasto dyniowe.

Larkspur chrząknęła, przekładając reszkę sosu z królika do mniejszej miski.

- Zaraz mi powiesz, że *ty też* byś chciała pracować dla Heathów, tylko po to, żeby móc jeść te ich wykwintne potrawy.

- Przykryła miskę ściereczką, a potem mrugnęła do siostry znad ramienia. - A może wpadł ci w oko przystojny syn pana Heatha.

- Nie bądź śmieszna. Jest dla mnie za stary. - Uśmiechnęła się figlarnie do siostry. - Ale nie dla Bryony. Widziałaś, jak na siebie patrzyli wczoraj wieczorem?

Dziadek uderzył dłonią w stół.

- Dostyc takiego gadania. Bryony doskonale zna swoje

miejsce. Spodziewam się, że chłopak Heatha też swoje zna. Nie ma nic między nimi i nigdy nie będzie.

- Ale dziadku, wydawało mi się, że go polubiłeś - rzuciła Rose. - Byłeś taki uprzejmy, gdy jedliśmy wspólnie niedzielny obiad.

Larkspur uniosła brwi ze zdziwieniem. Właśnie wypełniła miskę wodą i o mało co nie upuściła jednego z talerzy mamy prosto w mydliny.

- Michael Heath był tutaj na niedzielnym obiedzie?

- I pokazywał nam swoje przepiękne rysunki. A właśnie... - Rose przeszła do kredensu, na którym Bryony położyła kopertę przyniesioną poprzedniego dnia do domu. - Bry powiedziała, że możemy obejrzyć jego rysunki, zanim wyślemy je jutro pocztą.

Pchana ciekawością, Larkspur szybko wytarła ręce i podeszła do Rose. Michael musiał mieć prawdziwy talent, skoro tak ważne wydawnictwa uniwersyteckie z Nowego Jorku zleciły mu wykonanie ilustracji do swojego czasopisma. Ponieważ Larkspur odegrała kluczową rolę w kwestii nawiązania kontaktu z wydawcą, była szczególnie zainteresowana wynikami tego całego przedsięwzięcia.

Rose ostrożnie wyjęła ochronną teczkę, w której schowane były rysunki. Jeden po drugim, rozkładała je na kredensie i obie z Larkspur wydawały serię ochów i achów nad każdym obrazkiem.

- Są w najdrobniejszych szczegółach tak dobre, jak opisywała Bry - skomentowała Larkspur. - Nie mogę uwierzyć, że dotąd nie zrobił nic z takim talentem. Ale to wygląda...

- Wiem. - Rose wodziła palcami nad rysunkiem głogu indyjskiego. - Wygląda, jakby było prawdziwe.

- Boże jedyny! Ten żonkil wygląda, jakby był prawdziwy.

Bryony starała się powstrzymać drżenie dłoni, kiedy nalewała kawy do filiżanki księdza Dempseya. Po sutym posiłku Heathowie zaprosili gości do salonu na deser i kawę, a kiedy tylko z talerzyków zniknęło ciasto, pani Heath przyniosła szkicowniki Michaela z sobie tylko wiadomego miejsca, w którym je uprzednio ukryła. Teraz siedziała na sofie obok księdza, a na kolanach miała rozłożony jeden z bloków.

- Nasz chłopak ma prawdziwy talent, zgodzi się ksiądz ze mną? - Pani Heath przewróciła na następną stronę. -A proszę popatrzeć na ten. Nieomal czuć, jak pachnie ta glicynia, jakby rosła w tym pokoju.

Przechodząc pośród kolejnych gości, Bryony proponowała im kawę. Michael stał koło okna ze wzrokiem przykutym do osoby matki, a jego usta zniekształcał pełen napięcia uśmiech.

- Dolać panu kawy, sir? - Bryony skinęła głową w stronę filiżanki i spodka, które Michael postawił na parapecie.

- Poproszę.

Stojąc plecami do reszty pokoju i nalewając kawę, Bryony wyszeptała tylko:

- Przepraszam. Odette dała mi tyle zajęć, że nie miałam okazji poszukać tych szkicowników.

- W porządku. - Odwróciwszy się w stronę okna, Michael uniósł filiżankę i spodek. - Przynajmniej na razie, póki tata i pan McIlroy rozmawiają w gabinecie.

- Może jeśli podam im tam kawę i deser, to zatrzyma ich na dłużej.

- Mogłabyś? Warto... W korytarzu rozległ się głośny rechot i pan Heath pojawił się w drzwiach ze swoim towarzyszem.

- Cóż za wycucie czasu - skwitował, wprowadzając do salonu znajomego. - Dziewczyna jest akurat tutaj z kawą.

Dziewczyna - powtórzyła w myślach i stłumiła pełen urazy dreszcz. Gdy skrzyżowała swoje spojrzenie ze wzrokiem Michaela, w jego oczach dostrzegła przeproszący wyraz. Opanowała się i przeszła do małego stolika, gdzie ustawiła serwis kawowy. Kiedy napełniła dwie filiżanki, zaniosiła je panu Heathowi i jego znajomemu. Żaden z nich nie zaszczycił jej niczym więcej poza sztywnym skinieniem.

Ponieważ termos z kawą był już prawie pusty, a ona i tak nie mogła nic zrobić, by pomóc Michaelowi, Bryony stwierdziła, że powinna wrócić do kuchni. Może w końcu będzie miała chwilę, żeby przegryźć kawałek indyka z puree ziemniaczanym. Obsługa dostała pozwolenie, żeby jeść w turach, a Bryony, jako najmłodsza stażem, nie miała jeszcze do tej pory okazji na swoją kolej. Burczało jej w brzuchu, kiedy szybko szła łącznikiem. Czuła przepyszne zapachy już odkąd przysła do pracy o wpół do siódmej rano i jeśli miałyby czekać jeszcze dłużej, chyba przekreśliłyby się od skurczów głodowych.

Odette przejęła od niej serwis kawowy i zapytała:

- Wszystko tam dobrze?

Bryony miała nadzieję, że tak. Cokolwiek by się wydarzyło pomiędzy Michaelem a jego ojcem w sprawie szkiców, i tak nie mogła tam w żaden sposób pomóc. Poza tym musiała coś zjeść, bo inaczej nie da rady wytrwać do wieczora. Z talerzem pełnym skrawków indyka, farszu, puree

ziemniaczanego oraz fasolek, usiadła na jednym z krzeseł przy końcu długiego dębowego roboczego stołu. Smakując potrawy, mruzczała z zachwytem i coraz szybciej pałaszowała.

Callie przeszła obok ze stertą brudnych talerzy.

- Zwolnij, Bryony, bo się pochorujesz.

- Ale to takie dobre - wymamrotała z pełnymi ustami.

-Najlepszy indyk, jakiego próbowałam od czasu... Trzasnęły drzwi. Głośne, pełne gniewu głosy dobiegły z zewnątrz, a po chwili ktoś przebiegł przed oknami kuchennymi.

Bryony upuściła widelec i wymieniła zaskoczone spojrzenia z Callie, a potem obie skoczyły do okna, żeby zobaczyć, o co to całe zamieszanie.

- To pan Heath - stwierdziła Callie. - Co on wrzuca do tego pieca do spalania?

- Och, nie! Proszę, nie! - Bryony czuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Zakryła usta obiema dłońmi, bojąc się, że zaraz wyrzuci z siebie wszystko, co przed chwilą zjadła. -On chyba nie... och, Boże, nie pozwól, żeby to zrobił!

Odette dołączyła do nich przy oknie.

- O cóż to się znów rozchodzi?

Bryony próbowała odpowiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie słowa. Nabrała gwałtownie powietrza, kiedy zobaczyła, że Michael zatrzymał się na trawniku, kilka metrów od kuchennego okna. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała ciężko, kiedy patrzył, jak ojciec wrywa strona po stronie zawartość jego szkicownika. Płomienie stawały się coraz wyższe, sięgając już ponad ceglane wykończenie pieca, a kawałki błyszczącego popiołu unosiły się w górę pośród szarego dymu.

- Dobry, dobry Boże - mamrotała pod nosem Odette. -Jego tata w końcu to zrobił... To dobije tego chłopaka.

- Biedny panicz Michael. - Głos Callie zmienił się w łkanie. - Musimy coś zrobić. Musimy to jakoś zatrzymać!

Odette otoczyła ręką ramiona Callie.

- Nie mogę tego zrobić, słoneczko. Te ludzie muszą to sami między sobą rozwiązać.

Ale tego nie zrobią - dodała w myślach Bryony. Wiedziała, że nie uda im się, dopóki Sebastian Heath będzie dzierżyć władzę w tym domu. Z łomoczącym sercem wybiegła przez drzwi prosto w stronę pieca do spalania.

- Stop! - wykrzyczała, szarpiąc Sebastiana Heatha za ramię. - Proszę przestać!

Mężczyzna odtrącił ją, jakby była jakąś naprzykrzającą się muchą. Wyrwał kolejną garść stron ze szkicownika i wrzucił ten plik w ogień.

- To cię nauczy, żeby nie knuć za moimi plecami. Ostrzegalem cię, Michaelu. Nie mów, że nie!

Dym nieznośnie gryzł Bryony w oczy. Obróciła się, szukając wzrokiem Michaela. Dlaczego on tam tak po prostu stał? Dlaczego nie walczył o to, by powstrzymać ojca?

Starła się wyrwać kartki z ręki pana Heatha, ale tym razem odepchnął ją na tyle mocno, że potknęła się i upadła. Przez łzy spostrzegła kolejny szkicownik leżący u jego stóp. Podczołgała się do niego, ale on wykopał go spoza jej zasięgu.

Ktoś złapał ją z tyłu i postawił na nogi.

- Daj spokój, Bryony - powiedział Michael zachrypniętym głosem nad jej lewym uchem, kiedy odciągał ją do tyłu, z dala od płomieni. - Jest już za późno. To koniec.

- Ale twoje rysunki... nie możesz na to pozwolić! - Szamotała się z nim, ale Michael trzymał ją mocno. Mogła tylko patrzeć z przerażeniem, jak ojciec Michaela wrzuca ostatni szkic w rozdziawioną paszczę pieca, a pomarańczowe płomienie liżą powietrze niczym oddech łakomego, wygłodniałego potwora.

Gdy Sebastian w końcu odwrócił się od pieca, podszedł do nich, a Bryony zacisnęła ręce w pięści i potrząsała nimi w jego kierunku.

- Jak pan mógł?! Jak...

- Dostyc, Bryony. - Ściskając ją mocniej za ramię, Michael zmusił ją, by się uspokoiła.

W końcu złamała się i opadła bez sił na niego. Nie mogąc znieść widoku mężczyzny, który tak bezwzględnie pogardzał talentem własnego syna, schowała zalaną łzami twarz w ramionach Michaela.

Za jej plecami rozległ się twardy jak stal głos Sebastiana:

- Proszę wracać do domu, panno Linwood. Nie potrzebujemy już pani tutaj.

Kiedy te słowa przenikały do jej wnętrza, jej serce ogarnęła jakaś martwota. Natychmiast ustały łzy i teraz czuła jedynie pełne niedowierzania zdziwienie. Nie potrafiła nawet zmusić się, żeby wziąć pełen oddech. Cóż teraz pozostało jej rodzinie?

Michael głaskał jej włosy, które wypadły z upięcia.

- Nie martw się, Bryony. Będzie dobrze. Dopilnuję tego.

- Ale jak? Michaelu, to jest tyran. Musisz... Uciszył ją, przykładając palec do jej ust.

- Proszę. Po prostu wracaj do domu. - W jego głosie był jakiś sztuczny spokój. - Czy Esthery przewidziała dla ciebie

na jutro jakieś obowiązki?

- Tak, ale teraz...

- W takim razie przyjdź o zwykłej godzinie. - Ręką obejmując ją w pasie, Michael pokierował ją w stronę otwartych drzwi kuchennych.

Kiedy byli już przed progiem, stanęła jak wryta.

- Michaelu...

- Zaufaj mi, Bryony. Proszę. Nie miała wyboru.

- Jak ja mam tam wrócić po tym wszystkim, co on zrobił Michaelowi? - Pochylona nad stołem kuchennym dziadka, Bryony otuliła się rękami. Choć tak bardzo potrzebowała tej pracy, nie mogła znieść myśli, że miałyby spędzić choćby jeden dzień dłużej zatrudniona przez człowieka, który tak okrutnie traktował własnego syna.

Dziadek stał za nią i rozmasowywał jej ramiona.

- Nie musisz tam już nigdy wracać. Damy sobie radę... jakoś. - Wahanie w jego głosie zdradziło Bryony, że on sam nie wierzył w swoje słowa.

- Zjedz trochę ciasta brzoskwiniowego, Bry. - Rose podsunęła jej pod nos talerzyk i widelczyk. - Zachowaliśmy taki duży kawałek specjalnie dla ciebie.

Bryony próbowała się uśmiechnąć.

- Wygląda wspaniale, ale nie mogę, nie teraz. Larkspur przechadzała się pomiędzy zlewem a tylnymi drzwiami.

- Co sobie może myśleć taka osoba jak Sebastian Heath? Kiedy powiedziałam wam, że moim marzeniem jest zostać

nauczycielką i że chcę iść do college'u, wcale się nie oburzaliście. Wspieraliście mnie i motywowaliście na każdym kroku.

- Bogaci ludzie tak mają - skwitowała Rose z szyderczym uśmiechem, choć wydawała się bardzo zadowolona z pudełka resztek z kolacji, które Odette wetknęła w ręce Bryony, kiedy ta opuszczała posiadłość Heathów.

- *Nie wszyscy bogaci.* - Westchnąwszy głęboko, Bryony spojrzała w stronę okna, ale teraz miała przed oczami tylko pustkę, którą widziała w oczach Michaela, gdy patrzył, jak ogień trawi jego prace. Odrętwienie, które sparaliżowało ją, kiedy była w jego ramionach, wkrótce zmieniło się w furję. Trzęsa się z wściekłości przez całą drogę powrotną do domu, a łzy płynęły po jej twarzy w takiej obfitości, że wystarczyłyby do wypełnienia każdej studni w hrabstwie.

Larkspur stanęła obok krzesła Bryony i złożyła pocałunek na jej czole.

- Jesteś okropnie zmęczona, Bry. Zrobiłaś tak wiele z troski o nas. Pozwól, że teraz ja się zajmę tobą.

Bryony czuła, że nogi ma bezwładne jak z waty, więc pozwoliła, żeby siostra podźwignęła ją i zaprowadziła do sypialni. Tam Larkspur wyswobodziła siostrę z burego mundurka służącej i przebrała ją w miękką flanelową koszulę nocną. Długimi, delikatnymi ruchami rozczesała włosy Bryony i to miłe uczucie powoli rozgoniło troski dnia i ukołysało ją do stanu, w którym nie musiała już o niczym myśleć. Gdy przyłożyła głowę do poduszki, a Larkspur przykryła ją kołdrą, sen przyszedł niemal natychmiast. Zdążyła jedynie pomyśleć, że marzy o tym, by nigdy nie musieć się budzić i stawiać czoła jutrzejszemu dniowi.

Ktoś jednak był wytrwały.

Kiedy pukanie do zewnętrznych drzwi jego apartamentów nie ustawało, Michael obrócił się na bok i jęknął. Gdyby tylko mógł nabrać tyle powietrza, żeby krzyknąć, wyrzuciłby z siebie, żeby, kimkolwiek był ten intruz, zostawił go w spokoju.

- Michaelu? - rozległ się głos matki.

O, *Panie, spraw, żeby sobie poszła* - wzniósł rozpaczliwą modlitwę.

- Michaelu, mam nadzieję, że jesteś ubrany, bo właśnie wchodzimy do pokoju.

Kiedy próbował się podnieść do pozycji siedzącej, kolejny atak kaszlu przeszył jego pierś. Przez ten kaszel nie mógł spać przez większą część nocy. Ale to z własnej winy za to, że stał, patrząc, jak jego całe życie idzie z dymem. Położył się z powrotem, a płuca bolały go nieznosnie. Nie czuł się tak słaby i bez tchu od czasu ostatniego ataku zapalenia płuc.

Dwie pary kroków zadudniły w pokoju dziennym. Zaraz potem drzwi sypialni otworzyły się i pojawiła się ciemna twarz Odette.

- Tak jak myślałam, pani Heath. Jest wciąż w łóżku i kiepsko wygląda.

- Na litość boską! - Matka skoczyła w stronę łóżka. Pochyliła się nad nim, a jej twarz poznaczona była zmartwieniem, kiedy kładła chłodną dłoń na jego czole. - Nie wydaje mi się, żeby miał gorączkę - rzuciła przez ramię.

- Nie jestem chory, po prostu... zmęczony - wychrypiał Michael przez wyschnięte gardło. Znów zakaszłał.

- Przynieś mu trochę wody, Odette. - Choć tak wąła, matka Michaela zdołała podnieść go do pozycji półsiedzącej i przetrzepała jego poduszkę.

Odette wróciła po chwili, trzymając szklanę pełną wody. Michael z wdzięcznością upił kilka łyków, ale ten wysiłek go wykończył. Oparł głowę o zagłówek i zamknął oczy.

- Muszę tylko jeszcze trochę się przespać.

- O, biedactwo, moje biedactwo! - lamentowała matka, głaszcząc jego dłoń. - Tyle razy ci powtarzałam, żebyś trzymał się z dala od pieca, kiedy tata pali jakieś śmieci. Zobacz, jak ten cały dym poszkodził twoim płucem.

Bez wątpienia określenie *śmieci* to było właśnie to, jak ojciec postrzegał jego rysunki. Z wysiłkiem uchylił jedną powiekę i patrzył na matkę, zastanawiając się, jak wiele z tego wszystkiego, co wydarzyło się wczoraj, w ogóle do niej dotarło. Wszystko zaczęło się tak niewinnie - matka rozmawiała o szkicach Michaela, z dumą pokazując je księdzu Dempseyowi. Kiedy tata to zauważył, na początku tylko rzucił mu gniewne spojrzenie i dalej rozmawiał z panem McIlroyem.

Potem nagle jakaś pojedyncza kartka sfrunęła na podłogę. W momencie, kiedy matka ją podnosiła, Michael wiedział już, co to było... list z wydawnictwa uniwersyteckiego. Może gdyby nie wpadł w panikę i nie zaczął domagać się zwrotu papieru, ojciec nigdy by się nie dowiedział. Ale tata musiał zauważyć coś nietypowego w reakcji syna. Przechwycił list i zaczął go czytać, a jego twarz z chwili na chwilę oblewała się coraz intensywniejszą purpurą.

- Co?! - wrzasnął ojciec. - Teraz sprzedajesz swoje rysunki jak jakiś... jakiś... lichy pismak?!

Na szczęście goście wykazali więcej dyskrecji niż ciekawości i z grzeczności opuścili szybko pokój. Ksiądz Dempsey, który wychodził jako ostatni, nie krył swojego zaniepokojenia coraz gorszym stanem matki. Ona nie rozumiała, czemu tata tak bardzo się zdenerwował i wszelka jasność umysłu, którą wykazywała jeszcze przed chwilą, zabawiając gości, zmieniła się teraz w płaczący się bełkot.

Jakimś cudem Michaelowi udało się wstrzymać zagniewanie ojca na tyle długo, żeby przekonać go, by pozwolił Dancy odprowadzić matkę na górę do jej pokoju. Ale kiedy tylko zostali sami w salonie, ojciec wybuchł na nowo, wymawiając mu, że marnuje czas na głupie bazgrały, zamiast poświęcić się i przyuczyć do prowadzenia rodzinnego interesu. Zaraz potem, zebrawszy wszystkie szkicowniki, które matka przyniosła do salonu, krzyknął na Jeremiaha i kazał mu przynieść resztę bloków z pokoju Michaela oraz wszystkie kredki i inne materiały do rysunku.

Parę chwil później tata wrzucał wszystko w płomienie, a Michael stał, nadaremnie próbując uspokoić Bryony, jednocześnie tłumiąc własne rozdzierające uczucia. Musiał to zrobić, zanim zostałyby z niego krwawa miazga, a jego pobita dusza została by boleśnie obnażona.

- Pani pozwoli chłopakowi odpocząć, pani Heath. - Łagodne słowa Odette sprawiły, że Michael otworzył oczy. Jej okrągła twarz wyrażała współczucie i kucharka tylko smutno potrząsnęła głową.

Matka otuliła dłonią jego policzek, mówiąc:

- Jesteś pewien, że dasz sobie radę, synu? Odette może przynieść ci tu na górę śniadanie. Poproszę, żeby przygotowała dla ciebie gorący kubek herbaty z miodem.

- Może później. - Michael starał się, by w jego głosie wybrzmiała otucha, bo nie miał nic do powiedzenia na pocieszenie. Gestem nakazał Odette, by odprowadziła matkę do wyjścia, ale zaraz potem zawołał służącą do swojego łóżka. Cicho zapytał tylko:

- Czy Bryony wróciła dzisiaj?

- Nie, proszę pana. Została wyrzucona, pamięta panicz? - Zacisnęła mocno usta. - Muszem powiedzieć, że się nie ucieszyła, kiedy zobaczyła, że odchodzi. Dobrze pracowała. Nie doceniałam jej.

Michael powoli pokiwał głową z wdzięcznością, zauważając wysiłek, jaki kosztował tę upartą kucharkę, by przyznać się do błędu.

- Odette, potrzebuję dwóch rzeczy. Po pierwsze pošlij kogoś po Bryony, żeby dać jej znać, że nadal ma tutaj pracę. Jeśli powiesz jej, że moja matka jej potrzebuje, powinna przyjść. Upewnij się, że zrozumiała, jak bardzo jest to ważne.

- Tak, psze pana, ale jak panicz tera sprawi, żeby panicza tata znowuż ją zatrudnił?

- To jest moja druga prośba. - Kaszel wstrząsnął piersią Michaela i podniósł się trochę na swoim siedzeniu. - Poproś ojca, żeby przyszedł tu do mnie na górę. Powiesz mu, że jestem gotów uczynić to, o co mnie prosił.

12.

Kiedy już wypła kubek słabej kawy i zjadła kawałek ciasta brzoskwiowego, na które nie miała wczoraj ochoty, Bryony ubrała się w dżinsowe ogrodniczki, robocze buty i solidne rękawice. Pomimo zapewnień Michaela, które składał jej, trzymając ją w ramionach, stwierdziła, że nie zniesie już ani godziny pracy w domu państwa Heath. W takim wypadku, mogła równie dobrze zająć się obowiązkami na farmie. Dziadek i Rose już od dłuższego czasu byli zavaleni ogromem prac i kiedy oni starali się zebrać w bele to, co zostało z siana po suszy, Bryony postanowiła wysprzątać kurnik.

Uzbrojona w wiadro i szufłę, przeszła przez drucianą bramkę, zamykając ją zaraz za sobą. Jedna z ich najlepszych niosek, gderliwa stara kura, której brakowało połowy dzwonków pod dziobem, kroczyła dostojnie pod drabinką prowadzącą na grzędę. Łypnęła jednym okiem w stronę Bryony, jakby chciała spytać: *Gdzie śniadanie?*

- Wybacz, Cornelio, dzisiaj znów tylko resztki... i lepiej, żeby ci się to podobało, albo skończysz tak jak Henrietta. -Z kieszeni ogrodniczek Bryony wyjęła garść wyschniętych

łodyg rzepy i kruchą krawędź swojego ciasta. Zanim zdążyła rzucić jedzenie na ziemię, Cornelia i jej trzy inne koleżanki już biły się o to, kto dostanie największy kawałek.

Podczas gdy kury dziobały resztki, Bryony zaczęła zmiatać ich odchody z kurnika. Napelniła całe wiadro i właśnie szła wyrzucić to na kompost za oborą, kiedy zauważyła drobną kobiecą postać zbliżającą się od drogi. Do czasu, gdy opróżniła wiadro i ruszyła z powrotem w kierunku kurnika, rozpoznała, że tą osobą była Callie. Dziewczyna uśmiechnęła się i pomachała w jej kierunku, wołając:

- Cześć, Bryony!

Bryony odstawiła wiadro, próbując się uśmiechnąć, mimo że jej żołądek ścisnęły mdłości.

- Co cię tu sprowadza? Nie powinnaś być w rezydencji?

- Odette przysłała mnie z wiadomością dla ciebie. - Kuląc się w zimnym porannym powietrzu, Callie przeszła przez podwórko i stanęła na wprost Bryony. - Mówiła, żebyś wróciła do pracy, tak jak dawniej, i...

- Poczekaj, *Odette* tak powiedziała?

- Zgadza się, powiedziała, żebyś przyszła najszybciej, jak dasz radę. Mam ci przekazać, że... - Rozglądając się na boki, Callie wygięła usta, jakby chciała przypomnieć sobie dokładne słowa. Popatrzyła na Bryony i uniosła podbródek. - Mam ci przekazać, że pani Heath bardzo cię potrzebuje i żebyś się nie przejmowała tym, co pan Heath mówił wczoraj, bo panicz Michael obiecał, że teraz już wszystko będzie dobrze.

Bryony usilnie starała się wyobrazić sobie, jak to możliwe, że teraz wszystko miałyby być dobrze, ale nie potrafiła - nie po tym, jak Sebastian Heath zniszczył jedyną piękną i ważną rzecz w życiu syna. Złapała wiadro na kurzyniec

i skierowała się w stronę kurnika.

- Przykro mi, Callie, że przyszłaś taki kawał drogi na darmo, ale postanowiłam już, że skończyłam z pracą u Heathów.

- Ale musisz wrócić... - Doganiając ją, Callie chwyciła Bryony za ramię. - Nie słyszałaś, że pani Heath cię *potrzebuje*? Odette mówiła, że panicz Michael powiedział jej, że jeśli ci to powtórzę, na pewno ze mną wrócisz.

Z ręką na zasuwce bramki do zagrody, Bryony gniewnie spojrzała na dziewczynę.

- A więc to wszystko tylko dlatego, że Michael tak powiedział? Pan Heath wcale nie zmienił zdania, prawda?

- Odette mi nic nie mówiła. - Callie cofnęła rękę i zrobiła krok w tył. - Ale nie wysyłałaby mnie tu, gdyby to nie było uzgodnione z panem Heathem, nie sądzisz? Jeśli nie wrócisz, by zająć się panią, na pewno będę mieć nieprzyjemności.

Bryony nie rozumiała, dlaczego ktokolwiek mógłby winić za to Callie... skoro miała tylko przekazać wiadomość. Ale zaraz dotarło do niej, że przecież prawda jeszcze nigdy nie zatrzymała Sebastiana Heatha przed zrobieniem tego, co mu się uwidziało.

Ponownie odstawiła wiadro. Z miłym, acz pełnym stanowczości uśmiechem odwróciła twarz w stronę Callie i położyła obie ręce na chudych ramionach dziewczyny.

- Dlaczego jesteś tak przekonana, że pan Heath nie wyrzuci mnie, jak tylko się tam pojawię?

Zmrużywszy jedno oko, Callie wyprostowała się i odparła:

- Ponieważ panicz Michael tak obiecał, a on nie kłamie. Bryony nawet nie dopuszczała do siebie myśli, ile taka obietnica będzie kosztować Michaela... ile już go kosztowała. Zdjęła jedną rękawicę i potarła czoło.

- Nawet jeśli bym się zgodziła, nie dam rady przyjść dzisiaj. Już dawno nie miałam całego dnia wolnego i muszę pomóc dziadkowi i siostrze na farmie. Powiedz Odette i komu tam jeszcze chcesz, że przyjdę jutro z samego rana i ani chwili wcześniej.

Na twarzy Callie rozlał się wyraz ulgi. Pełna wdzięczności przytuliła Bryony.

- Chwała Panu! Strasznie mi Ciebie już brakowało.

Bryony odesłała dziewczynę w drogę powrotną i patrzyła, jak oddala się w podskokach. Wciąż jeszcze potrząsając z niedowierzaniem głową na ten nieoczekiwany zwrot wydarzeń, skończyła sprzątać kurnik, a potem zabrała się za przegrody w oborze. Praca na zewnątrz dobrze jej robiła i stanowiła miłą odmianę po ścieraniu kurzu, zmiotaniu podłóg i polerowaniu sreber. Bryony lubiła czas spędzony w towarzystwie pani Heath, nawet jeśli kobieta umysłem była gdzie indziej. Czasem, kiedy Bryony siadała na jednym z obijanych welwetem foteli, żeby czytać matce Michaela, wyobrażała sobie, że jest z powrotem w Memphis przy boku własnej mamy, zanim jeszcze wszystko się zmieniło.

Do południa Bryony uporała się już z oborą. Weszła do domu, żeby tam sprzątnąć i zastała Larkspur przy kuchni, jak mieszała zupę w garnku.

- Z kim rozmawiałaś wcześniej? - zagała Larkspur.

- Z Callie, służącą od Heathów. - Westchnąwszy ciężko, Bryony usiadła na najbliższym krześle. - Przyszła, żeby powiedzieć mi, że mogę dalej tam pracować.

Larkspur posłała jej zdumione spojrzenie i zapytała:

- To dobrze czy źle?

- Nie wiem. Każda godzina, którą tam przepracuję, płaca

dług dziadka, a wszystko ponad to, co jestem w stanie przynieść do domu... Bóg wie, że potrzebujemy każdego centa.

- Trudno się z tym nie zgodzić. - Krzywiąc ze zmartwieniem usta, Larkspur nabrała na łyżkę trochę zupy i patrzyła, jak cienka, wodnista strużka płynu wlewa się z powrotem do garnka. Odłożyła łyżkę na bok i dołączyła do Bryony siedzącej przy stole. Kiedy znowu się odezwała, w jej głosie słychać było opanowanie: - Dużo o tym myślałam. Mogę odłożyć studia na rok czy dwa, może znalazłabym gdzieś pracę...

- Nie! - Bryony trzasnęła dłonią w stół. - Skończysz ten college i będziesz najlepszą nauczycielką na świecie. Nawet się nie waż porzucać swoich marzeń.

Larkspur sięgnęła ręką ponad stołem i ujęła dłoń Bryony.

- Ale Bry, co z *twoimi* marzeniami? Kiedy przyjdzie kolej na ciebie, byś mogła być szczęśliwa?

Ścierając wilgotne ślady, które nagle naznaczyły jej twarz, Bryony na chwilę zacisnęła mocno powieki.

- Jestem szczęśliwa - zaczęła, bardzo starając się przywołać uśmiech na twarz - kiedy wiem, że moje siostry mogą wykorzystać każdą szansę na lepsze życie. Gdy mama umarła, przysięgłam sobie nad jej grobem, że będę się wami opiekować... i dziadkiem też. I zamierzam dotrzymać słowa, niezależnie od tego, co będę musiała jeszcze uczynić.

Zanim Larkspur zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Bryony dźwignęła się z krzesła i ucałowawszy siostrę w czoło, wyszła na zewnątrz. Lepiej żeby znalazła sobie jakieś zajęcie poza domem, gdzie nikt nie będzie mógł zobaczyć łez, których nie umiała powstrzymać.

Michael zdjął okulary i zaczął uciskać palcami grzbiet nosa. Czuł, że ból głowy nasila się coraz bardziej - i z faktu, że musiał siedzieć pod czujnym okiem ojca, i ze ślęczenia godzinami nad księgami rachunkowymi oraz magazynami z zakresu rolnictwa. Tak jak obiecał ojcu w zamian za to, by Bryony mogła nadal tu pracować, spędził ostatnie kilka dni, starając się ze wszystkich sił pojąć tajniki zarządzania plantacją.

- Przepraszam, tato. Muszę rozprostować nogi - wyrzekł, a w myślach dodał: *I uciec od tego wszystkiego choć na chwilę.*

Z drugiego końca biurka ojciec uniósł krytycznie wzrok i odparł:

- Tylko nie na długo. Musimy jeszcze przerobić umowy dzierżawy, które trzeba będzie przedłużyć.

- Kwadrans, dobrze? Dla ciebie także przyniosę kawy. -Może zastrzyk kofeiny pomoże mu przetrwać resztę dnia.

Zamykając za sobą drzwi do gabinetu, zatrzymał się, żeby stłumić napływ poczucia urazy. Wczoraj rano, kiedy ojciec wyjechał na chwilę, Michael zamknął się w gabinecie, żeby wykonać jeden trudny telefon. Z przykrością poinformował oficynę wydawniczą, że nie będzie mógł dokończyć zlecenia na ilustracje przyrodnicze, po czym został od razu zasypany pytaniami *dlaczego?*, na które jednak nie umiał dać zadowalającej odpowiedzi.

- Pojawiły się pewne... osobiste trudności - tłumaczył, bo nie mógł wyjawiać nic więcej.

Wydawca zaczął więc naciskać, żeby Michael wysłał przynajmniej te rysunki, które zdołał ukończyć i Michael zapewnił, że pierwsze pięć ilustracji zmierzało już do Nowego Jorku pocztą. Nie zależało mu nawet na tym, żeby jego nazwisko było wymienione w czasopiśmie. Świadomość tego, że

przynajmniej część jego dzieł przeżyła, była dla niego zupełnie wystarczająca.

- Przykro mi, nie powinienem był podejmować się zobowiązania, którego nie mogę wykonać - powiedział, kończąc. - Jedyne, co mogę teraz uczynić, to serdecznie przeprosić za to, że postawiłem państwa w takiej sytuacji.

Nie było sensu zadrećcać się, żałując i rozmyślając, czemu wszystko nie mogło się potoczyć inaczej. Jęknąwszy cicho, Michael odsunął od siebie myśli o rozmowie telefonicznej i poszedł dalej w głąb korytarza.

Kiedy zbliżał się już do małego saloniku, do jego uszu dotarł melodyjny głos Bryony. Musiała znowu czytać matce. Poczucie urazy zniknęło całkowicie i Michael czuł teraz tylko wdzięczność i ulgę, że Bryony zgodziła się wrócić. Dla swojego dobra, dla dobra jego matki, musiał wypełnić przyrzeczenie, które złożył swojemu ojcu.

Drzwi saloniku były uchylone, więc minął je szybko, nie chcąc przeżywać kolejnych tortur spowodowanych możliwością spotkania. Od kiedy Bryony podjęła swoje obowiązki w zeszły weekend, obiecał sobie, że postara się znów zachować dystans i starał się unikać przebywania w tej samej części domu, w której ona akurat pracowała. Miał jednak na nią oko z daleka, starając się dopilnować, by ani jego ojciec, ani nikt ze służby nie czynił jej pracy bardziej nieznośną niż i tak była.

- Michaelu, czy to ty? - Głos matki zatrzymał go w pół drogi.

Chciał udawać, że nie usłyszał i cicho się wymknąć, ale nagle jedną nogą stanął na skrzypiącej desce w podłodze na końcu korytarza. Skrzywił się i wstrzymał oddech.

- Bryony, biegnij i zatrzymaj go - zleciła matka. - Prawie w ogóle nie widziałam go od kilku dni.

Chwilę później Bryony nieśmiało zerknęła przez drzwi.

- Proszę lepiej wejść i przywitać się.

- Oczywiście. - Michael zbliżył się, poprawiając wygląd przed wejściem. Uciekł wzrokiem od szukających kontaktu oczu Bryony.

Odsunęła się na bok, żeby go przepuścić.

- Pójdę do biblioteki po kolejną książkę. Już prawie skończyliśmy *Wyspę skarbów*.

- O, to jedna z moich ulubionych. - Kiedy jego ręka otarła się o jej dłoń, a ona się wzdrygnęła, miał ochotę umrzeć. Śmierć z pewnością byłaby lepsza niż obecny stan rzeczy.

- Michaelu. - Ostry ton matki wyrwał go z makabrycznych rozważań. - Chodź tu, proszę, natychmiast i powiedz mi, gdzie byłeś do tej pory.

Zerknął na Bryony, ale ona zdążyła już przejść przez korytarz do biblioteki. I dobrze. Nie mieli sobie już nic więcej do powiedzenia. Biorąc szybki wdech, obrócił się i wszedł do małego salonu.

- Dzień dobry, mamó. Jak się miewasz?

- Czułabym się dużo lepiej, gdyby ktoś raczył mi powiedzieć, co się dzieje w tym domu - odburknęła. - Twój ojciec traktuje mnie jak dziecko, tak samo większość służących. Tylko Bryony okazuje mi odrobinę zaufania, jeśli chodzi o samodzielne myślenie, ale nawet ona nie chce mi dać jednoznacznej odpowiedzi.

Michael rozważał, co odpowiedzieć, przechodząc w stronę stojącego naprzeciw matki wysokiego, beżowego fotela obitego brokatem.

- Myślisz, że co takiego moglibyśmy przed tobą ukrywać?

Jej twarz spochmurniała, a czoło przecięła zmarszczka wyrażająca dezorientowanie. Bawiła się koronkowym mankietem na nadgarstku.

- N-nie do końca pamiętam, co się wydarzyło w Święto Dziękczynienia. Był taki cudowny dzień i nagle... twój ojciec bardzo się czymś zdenerwował. Tylko nie potrafię sobie przypomnieć czym.

- To nic ważnego, mamó. - Michael gwałtownie wstał i pochylił się, by ucałować ją w głowę. - Naprawdę zupełnie nie masz się czym martwić.

Popatrzyła na niego tak, jakby naprawdę chciała mu uwierzyć. Drżący uśmiech zagościł w kącikach jej ust i wyciągnęła rękę, ujmując jego dłoń.

- To nie jest odpowiedź, ale skoro tak mówisz, to mi ulżyło. A teraz, zanim Bryony znajdzie nam kolejną książkę, może pokazałbyś mi, co dziś narysowałaś?

Ta prośba przeszła go niczym ostrze sztyletu. Zdusił w sobie jęk rozpaczy.

- Nie miałem ostatnio zbyt wiele czasu na malowanie. Razem z tatą jesteśmy... - Przełknął gorycz, która podchodziła mu do gardła. - Mamy całkiem sporo spraw na plantacji, których należy doglądać.

- Ale twoje rysunki...

Me ma więcej żadnych rysunków! - chciał wykrzyknąć. Ale zamiast tego bez słowa poklepał dłoń mamy.

- Tata już na mnie czeka. Przyślę z powrotem Bryony.

Właśnie dlatego starał się zachować dystans przez cały tydzień. Stan umysłowy matki był zbyt delikatny, żeby mogła zmierzyć się z brutalną prawdą. Tak jak chronił Bryony,

musiał również trzymać matkę z dala od konfliktu między nim a ojcem.

Stał w korytarzu przez minutę, zanim odnalazł w sobie na tyle odwagi, by wywołać Bryony z biblioteki. Kiedy pojawiła się w drzwiach z jakimś zabłąkanym kosmykiem włosów na czole i nieśmiałym, ciepłym uśmiechem przebłyskującym w oczach, wiedział, że dla jej dobra mógł ciągnąć takie rozwiązanie przez wieczność.

Starając się wyglądać jak zwykle, zapytał:

- Jaką książkę w końcu wybrałaś?

- Ze względu na porę roku wzięłam *Opowieść wigilijną* Dickensa. - Bryony uniosła niezbyt grubą książkę. Zerkając ze smutkiem w kierunku gabinetu na końcu korytarza, dodała ciszej: - Dobrze jest sobie czasem przypomnieć, że zawsze jest nadzieja, nawet dla najbardziej bezdusznego Scroocea.

Akurat w tym momencie ojciec wyszedł na korytarz. Z wyrazem gniewu i zniecierpliwienia na twarzy, postukiwał palcami w drewnianą framugę.

- Michaelu, ja czekam.

- Już idę, tato.

Reszta tego popołudnia ciągnęła się bez końca, podobnie jak dalsza część tygodnia. Kilka razy, przechodząc obok drzwi salonu lub mijając korytarzem na piętrze apartament rodziców, Michael wyłapywał uchem urywki teatralnej interpretacji *Opowieści wigilijnej*, w której Bryony szczególnie akcentowała powtarzane przez Ebenezera Scroocea słowo głupstwo, którym podsumowywał wszystko, co tylko związane było ze Świętami Bożego Narodzenia.

Określenie *głupstwo* z pewnością adekwatnie oddawało

stosunek Michaela do Świąt Bożego Narodzenia w ciągu tych ostatnich kilku lat. Nie był zbyt świątecznie nastrojony w okopach, kiedy służył we Francji, ani potem, gdy leczył się w szpitalu. Pielęgniarki i sanitariusze starali się, jak mogli, żeby pacjenci mieli wtedy szczególnie radosny czas, a tata dwa razy przywiózł mamę w odwiedziny do Raleigh w okresie świątecznym. Nawet wypisali Michaela ze szpitala, żeby mógł uczestniczyć w pasterce w pobliskim kościele. Ale zarówno wtedy, jak i teraz, serce Michaela było aż nadto wypełnione goryczą. Jak jego ojciec mógł w ogóle śpiewać o dobroci wobec innych, kiedy sam odmawiał miłości i wybaczenia własnej córce?

Przez cały nadchodzący tydzień służący krzatali się przy rozpakowywaniu świątecznych ozdób i przystrajaniu domu. Patrząc, jak Alice układa zielone girlandy i świeczniki na gzymisie kominka, Michael zastanawiał się, jak Bryony ze swoją rodziną będzie świętować Boże Narodzenie. Pewnie nie tak ceremonialnie ani pretensjonalnie.

Ojciec pojawił się za nim w korytarzu i powiedział:

- Weź swój płaszcz, Michaelu. Będę na ciebie czekał w samochodzie.

- Gdzie jedziemy?

- Na farmę Wielandów. Nels miał właśnie atak serca.

Bryony zmierzała w stronę jadalni z haftowanym w gwiazdy betlejemskie obrusem, który dopiero co wyprasowała. Kiedy przypadkiem usłyszała słowa pana Heatha, zamarła. *Proszę, Panie, tylko nie Nels!* - wykrzyczała w myślach.

Wielandowie musieli już tyle znieść. Gdy tylko zobaczyła Michaela, który zaczął wchodzić po schodach, ruszyła szybko w jego stronę.

- Czy to prawda? - zapytała. - Czy z panem Wielandem wszystko będzie dobrze?

Michael zatrzymał się, jedną nogą stojąc już na pierwszym stopniu. Jego ręka na poręczy znajdowała się tak blisko jej dłoni. W oczach Michaela widać było współczucie.

- Niestety nie wiem nic poza tym, co właśnie usłyszałem od ojca.

- Opowiesz mi o wszystkim, jak tylko wrócisz?

- Oczywiście. - Zacisnął palce na jej dłoni i chociaż starał się uśmiechnąć, Bryony widziała w jego spojrzeniu niepokój. Już raz powstrzymał ojca przed wyrzuceniem Wielandów z ich farmy. Teraz, kiedy Nels jest tak chory, a może nawet zmarł lub jest umierający, czy Sebastian Heath zmieni tamtą decyzję?

Chwilę później Michael wrócił na dół i Bryony dogoniła go tuż koło frontowych drzwi, kiedy zakładał na siebie brązową tweedową kurtkę. Wetknęła mu w dłoń zwinięty pasek papieru.

- Daj to Jenny, proszę, i powiedz jej, że się za nich modlę.

Z pięścią przyciśniętą do ust, obserwowała go przez boczne okienko, aż LaSalle pana Heatha zniknął za pierwszym zakrętem drogi. Nie potrafiła się skupić na obowiązkach czy też przystrajaniu domu ani nawet na czytaniu pani Heath kolejnego rozdziału *Opowieści wigilijnej*, dlatego samotnie ukryła się w bibliotece. Pomieszczenie to zwykle nie było używane o tej porze dnia, więc zwinęła się w jednym ze skórzanych foteli i miała nadzieję, że w ciągu kilku najbliższych

minut nikt jej tu nie znajdzie, kiedy będzie wznosić płomienne modlitwy do Ojca Niebieskiego.

Modliła się za Nelsa Wielanda i jego żonę, Jenny. Prosiła, aby, jeśli Bóg wezwał do siebie Nelsa, pobłogosławił też Calebowi - ich jedynemu żyjącemu synowi - siłą i mądrością, by umiał przejąć obowiązki ojca jako głowy rodziny.

Modliła się też, żeby Jenny zrezygnowała ze swojej pełnej stoicyzmu dumy i przyjęła pomoc, którą Bryony zaoferowała im w napisanej naprędce notatce: *Zadzwoń do nas, Jenny - kiedy tylko zechcesz, w dzień czy w nocy. Nie musisz przez to przechodzić sama.*

Przypominając sobie te słowa, Bryony w myślach zaśmiała się sama z siebie. Czy nie było właśnie tak, że oni wszyscy musieli przechodzić przez życie sami? Bo kto mógł naprawdę być w skórze kogoś innego albo znać najbardziej skryte i ciemne miejsca w duszy drugiej osoby? Od jak dawna już Bryony ukrywała swój brak nadziei i rezygnację, z której nie potrafiła się otrząsnąć, przekonanie, że jej życie już nigdy nie będzie warte więcej niż ta szarobura harówka?

Na krótką chwilę Michael pomógł jej dostrzec na nowo piękno świata. Jego doskonałe rysunki przypomniały jej o ogrodzie mamy z czasów, kiedy drzewa i pola nie były spalone suszą, a kwiaty w obfitości rozkwitały feerią barw.

Ale nie tylko jego ilustracje obudziły w niej nadzieję. Chodziło też o empatię, którą w nim dostrzegala, o cichą życzliwość wobec matki, szacunek, z którym zwracał się do służących. Zwykłą i prostolinijną uwagę, którą ją obdarzał.

Och, nie chciała się nawet łudzić, że z tego zainteresowania mogłoby wynikać coś więcej. Ale mimo wszystko, miło było to wspominać. Delikatnie dotknęła palcem ust,

przywołując w pamięci ten jeden, niezapomniany pocałunek i po policzku pociekła jej pojedyncza łza.

- Bryony, tutaj jesteś. - Nieśmiały głos Callie zaskoczył ją. - Co ty tutaj robisz? Panna Esthera szuka cię po całym domu.

Zrywając się z fotela, Bryony szarpnęła spódniczkę i fartuszek, poprawiając je.

- Usiadłam tu tylko na minutkę. M-musiałam...

- Płakałaś. Co się stało? - Callie zamrużyła. - Czy znów Odette powiedziała ci coś niemiłego?

- Nie, nic z tych rzeczy. - Pociągnęła nosem i wytarła palcem policzek. - Przypadkiem zasłyszałam złe nowiny dotyczące znajomego, innego rolnika, który dzierżawi tu ziemię, więc przyszłam na chwilę, żeby się pomodlić.

Patrząc ponad ramieniem Bryony, Callie westchnęła długo ze smutkiem.

- Mój tata też jest religijnym człowiekiem, ale mama... niezbyt dobrze dogaduje się z Bogiem. Mówi, że był dla nas zbyt surowy, że jest okrutny i bezduszny, tak jak jej własny ojciec.

- Przykro mi, że miała tak ciężkie życie. - Bryony z chęcią skupiła się na czymś, co mogło ją odciągnąć od jej własnych zmartwień. - Nie rozmawiasz zbyt często ze swoimi rodzicami, Callie... Gdzie oni są?

- Mają farmę kawałek stąd, w górę rzeki. Tata jest dzierżawcą, tylko że nie wie im się zbyt dobrze. Jakiś czas temu mama przysłała mi wiadomość, że tata pojechał na północ w poszukiwaniu pracy.

- Słyszałam, że wielu ludzi tak robi. - Bryony posłała pełen współczucia uśmiech w stronę Callie i skierowała się

ku drzwiom. Najwyższy czas, żeby ruszyła tę swoją żalosną osobę i wzięła się do pracy.

Znalazła pannę Estherę, gdy ta próbowała rozmówić się z Alice w sprawie lampy, która stłukła się w jednym z pokoiów gościnnych.

- Przysięgam, że to był wypadek - zarzekała się Alice, wykręcając dłonie. - Zmiałałam między stolikiem nocnym a ścianą, ale tam w rogu jest tako ciasno no i łokciem...

Panna Esthery stała, cmokając językiem i podpierając się pod boki.

- Twoje wymówki nic dla mnie nie znaczą. Z każdego przedmiotu w tym domu trzeba się wytłumaczyć i koszt tej lampy będzie potrącony z twojej pensji.

- Ale Esthero, przecie wiesz, że mam tyle głów do wykarmienia.

- Dla ciebie *panno* Esthero. I powinnaś była pomyśleć o tym, zanim zachowałaś się tak nieuważnie.

Licząc na to, że odwróci trochę uwagę zagniewanej gospodyni, Bryony weszła do pokoju.

- Szukała mnie pani, *panno* Esthero?

Drobna, żylasta kobieta obróciła się, a w jej bursztynowych oczach błysnęły iskry.

- Gdzie ty się podziewałaś, Bryony? Dancy prosi o zmianę już od ponad godziny.

- Już tam idę, proszę pani. - Nie było sensu wdawać się w wyjaśnienia. - Ale może zanim pójdę, pozwoli pani, że poproszę Alice, aby spojrzała na obrus, który kazała dziś pani rozłożyć w jadalni? Zauważyłam parę wyciągniętych nitok na jednym końcu, a ponieważ Alice najlepiej sobie tu radzi z igłą i nitką, z pewnością potrafiłaby to naprawić od ręki.

Panna Esthera wyglądała tak, jakby właśnie połknęła cytrynę, ale przeniosła wzrok z Bryony na Alice i rzekła:

- Dobrze więc. Zajmij się tym, jak tylko posprzątasz po sobie ten bałagan - powiedziawszy to, uniosła ramiona i wyszła z pokoju.

Alice pochyliła się, by pozbierać resztki stłuczonej porcelany.

- Ta kobieta chyba połknęła dziś kij od szczotki. Panna Esthera potrafiła być wymagająca, to prawda, ale

Bryony rzadko widziała ją tak zdenerwowaną. To pewnie przez stres spowodowany przygotowaniem świątecznymi. Ostatnio wszyscy pracowali wyjątkowo ciężko.

- Pomogłabym ci, ale nie chcę, żeby Dancy czekała jeszcze dłużej.

- I tak mi bardzo pomogłaś. - Przechylając głowę w stronę Bryony, Alice przesłała jej uśmiech pełen wdzięczności, choć zmieszanej nieco ze skruchą. Nie były dla siebie ostatnio niemiłe, ale Bryony wiedziała, że kobietę jeszcze nie do końca opuściła niechęć, którą wobec niej żywiła.

Może po dzisiejszym dniu sprawy przybiorą lepszy obrót, gdyż bardzo ciężko było pracować dla Heathów, starając się jednocześnie, by nie podpaść reszcie służby. Dzięki Bogu za Callie i Dancy - jej jedyne przyjaciółki w tym miejscu.

Jeśli nie liczyć Michaela oczywiście.

Lecz, o Boże, cokolwiek było między nimi, na pewno trudno to było w jakikolwiek sposób nazwać. Bryony kiedyś uważała to za *przyjaźń*. Ale jeszcze żaden jej przyjaciel nie sprawił nigdy, że serce zaczynało jej bić szybciej. I nie był przyczyną tego, że chłodnymi nocami marzyła o gorących pocałunkach lub że skręcało ją w środku z niepokoju, dlaczego,

na miłość boską, prawie w ogóle się do niej ostatnio nie odzywał. Ta chwila, gdy złapała go w drodze do Wielandów, to była ich najdłuższa rozmowa od Dnia Dziękczynienia.

Ból przeszywał jej duszę. Teraz miała jeszcze jedno tragiczne wspomnienie związane z dniem, który powinien kojarzyć się z dobrymi chwilami i pełnymi wdzięczności sercami. Nawet kiedy będzie miała sto lat, nigdy nie zdoła zapomnieć tego smrodu, gdy piękne rysunki Michaela zmieniały się w dym i popiół.

Minęły już dwa miesiące, od kiedy Daniel wyruszył na północ, a Miranda nadal nie miała nadal od niego żadnych wieści. Czy udało mu się znaleźć pracę? Czy w ogóle jeszcze żył?

Nigdy ani przez chwilę nie wątpiła, że nadal ją kocha. Zawsze wiedziała, że poświęciłby wszystko dla rodziny. Ale jeśli nie prześle wkrótce pieniędzy...

Miranda oparła się o rozchybotany narożny słupek ogrodzenia ogrodu. Przekopała się przez wciąż malejącą kupkę rzepy w poszukiwaniu jakiejś drobnej sztuki, którą mogłaby ugotować na kolację. To, że chodziła spać głodna, stało się już normą, ale nawet jeśli będzie oszczędnie gospodarowała, zapasy jedzenia wystarczą tylko na jakiś tydzień.

A jak przetrwać resztę zimy? Jedyne Bóg wiedział, co będzie, jeśli w ogóle zwracał na to uwagę.

Słowa Daniela prześladowały ją coraz częściej: *Jeśli sytuacja się pogorszy, pójdziesz do swojego ojca.*

Chyba nie mogło być gorzej. Jej mąż wyruszył w nieznane, ona była bliska śmierci głodowej i... *dobry Jezu, dlaczego*

teraz...? znowu była w ciąży. Przez te wszystkie lata pragnęli kolejnego dziecka, mimo że wiedzieli, ile trudów będzie je czekało. Ale tłumaczyli sobie, że któregoś dnia świat się zmieni i kolor skóry lub okoliczności narodzin nie będą tak ważne jak to, co człowiek ma w sercu.

Tata źle ocenił wewnątrz Daniela. Mirandy też, jeśli spodziewał się, że może zastraszyć ją, żeby odwróciła się plecami do jedyne go mężczyzny, który kiedykolwiek sprawił, że czuła się potrzebna i wyjątkowa. Nigdy nie zapomni dnia, kiedy wyszła do stajni, żeby osiodłać swoją klacz, Belle, na przejażdżkę i zobaczyła, że zwierzę cierpi na ochwat. Skończyło się to tym, że przesiedziała pół dnia na beli siana, podczas gdy Daniel cierpliwie tłumaczył jej, dlaczego lucerna była dobra dla niektórych koni, a dla innych stawała się trucizną, i dlaczego Miranda powinna przestać karmić ją słodkimi przysmakami.

Miesiąc później, gdy jej koń miał już nową dietę i zaczął chodzić, Miranda zakochała się w cichym, łagodnym mężczyźnie, który opiekował się żywym inwentarzem oraz pracował razem z zarządcą terenów sportowych. Oczywiście na początku Daniel się opierał. Biedny meksykański robotnik bez grosza przy duszy i bogata biała dziewczyna? Cóż za życie mógł jej dać?

Och, a kiedy dowiedział się o tym tata, to było jakby ktoś spuścił sforę dzikich psów rodem z piekła. Wyrzucił z pracy Daniela i zakazał Mirandzie kiedykolwiek się z nim widywać.

Ale całe to jego wściekanie się i krzyki nie mogły sprawić, żeby dziecko pod sercem Mirandy zniknęło. Chwila, w której do taty dotarło, że będzie dziadkiem, czy mu się

to podobało, czy nie, była kroplą, która przelała czarę gorzkości. Tego dnia zupełnie wypędził córkę ze swojego domu i ze swojego życia.

}ednak zwykłym kłamstwem byłoby stwierdzenie, że miłość między Danielem a Mirandą bezboleśnie przeniosła ich ku nowemu wspólnemu życiu. Musieli toczyć wiele bojów. Nie mogli zostać w Edenie, więc Daniel przyjmował się do pracy na farmach to tu, to tam, do czasu, aż właściciel ziemski nieopodal England w stanie Arkansas wziął go na dzierżawcę. Życie nadal było ciężkie, ale mogli przeżyć, udowadniając każdego dnia, przynajmniej sobie samym, że miłość jest mocniejsza niż nienawiść.

Miranda jednak zaczynała wątpić, czy miłość wystarczy, żeby przetrwać, zwłaszcza w takim roku suszy i ubóstwa.

Gdzie jesteś, Danielu? Potrzebuję cię, kochanie, jak jeszcze nigdy w życiu - powtarzała w myślach.

Z jedną ręką na rosnącym brzuchu, Miranda przywołała w pamięci obraz umięśnionego mężczyzny o orzechowej skórze i uśmiechu, który zawsze wypełniał ją nadzieją. Daniel zasłużył na coś więcej niż oddawanie połowy plonów właścicielowi wydzierżawiającemu mu ziemię czy wyszarpywanie wszystkiego, co może dać mu ziemia, by mieć na życie. Powinien ujeżdżać konie, posiadać wspaniałego ogiera i całe stado klaczy zagrodowych, które dawałyby mu godne odznaczeń żrebaki przynoszące największe zyski na dorocznych aukcjach.

Miranda westchnęła i zaczęła się zastanawiać, co się stało z jej ukochaną Belle. Znając tatę, pewnie z czystej złośliwości sprzedał klacz do jakiejś fabryki kleju.

13.

Wydawałoby się, że dwa tygodnie przed świętami to najgorszy czas na pogrzeb. A jednak Bryony z dziadkiem i Rose stali razem, kiedy chowano Nelsa Wielanda w ziemi. W zeszły piątek Jenny znalazła go na podłodze, gdy upadł w szopie na narzędzia, ale on kazał jej czekać cały dzień, zanim pozwolił posłać Caleba po lekarza. Kiedy w końcu medyk przybył, niewiele dało się zrobić. Nels trzymał się jeszcze przez pięć dni, w którym to czasie jego żona i syn przygotowywali się na ostateczne rozstanie.

Rose ominęła grób i podeszła do Caleba, by wziąć go w objęcia, a Bryony ledwie powstrzymywała łzy. Kiedyś myślała, że Caleb i Larkspur mogliby się zejść, ale ona była zbyt pochłonięta książkami, a on miał w głowie jedynie żarty. Teraz, patrząc na swoją młodszą siostrę, która zachowywała się tak dorośle, i widząc ogrom odpowiedzialności, jaki przejęła na siebie Rose, gdy ona najęła się do pracy u Heathów, Bryony już widziała, jak w przyszłości będzie wyglądać jej rodzina. Lark pewnego dnia zostanie nauczycielką, a Rose wyjdzie za mąż i będzie bawić gromadkę dzieci.

A dziadek z każdym dniem wcale nie stawał się młodszy. Bryony zastanawiała się, jak długo jeszcze zdoła znieść ciężkie warunki pracy dzierżawcy. Jeśli ten stres go nie zabije, tak jak Nelsa Wielanda, z pewnością okaleczy na tyle, że będzie musiał zostawić to wszystko i stać się zależnym od innych - coś, na co dumny i samodzielny mężczyzna, taki jak George Rigby, nie będzie chciał pozwolić aż do śmierci.

Dziadek, ubrany w swój czarny, przeżarty przez mole wełniany garnitur, ten sam, który miał na pogrzebie mamy, ujął Bryony w tali.

- Chyba powinniśmy już przekazać Jenny nasze kondolencje i wracać.

Skinęła głową i otarła łzę rąbkiem chusteczki. Czekali jeszcze chwilę, kiedy inny sąsiad przekazywał wyrazy współczucia, a potem przeszli obok stosu grud ziemi przykrytej plandeką. Bryony zastanawiała się, w jaki sposób w ogóle ktoś dał radę wbić łopatę w tak twardy grunt.

- Dziękuję za waszą obecność. - Głos Jenny załamał się, kiedy sztywnymi dłońmi uściśnęła ręce dziadka i Bryony. - Nie mam pojęcia, co powinnam teraz zrobić. O Jezu, sama nie wiem!

- Dasz radę - oświadczył dziadek. - Dobry Bóg da ci na to wszystko siłę.

- Chwała Panu, że został mi jeszcze Caleb. - Puszczał dłoń dziadka, Jenny przyciągnęła bliżej siebie syna.

Rose przytuliła się do Caleba z drugiej strony.

- Odwiedźcie nas koniecznie. Dziadek złapał wczoraj wieczorem w pułapkę kolejnego królika, który już czeka, żeby go usmażyć.

Kiwając energicznie głową, Jenny zdusiła płacz i odparła:

- Chętnie. Wkrótce do was dołączymy. Ch-chciałabym tylko poczekać, aż grób... kiedy oni... - Zaszłochała rozpaczliwie i widać było, jak uginają się pod nią nogi.

Caleb pospiesznie ją złapał, a ona płakała dalej na jego ramieniu.

- Już dobrze, mamo. Wszystko będzie dobrze.

- W takim razie przyjdźcie, kiedy będziecie gotowi - wtrącił dziadek. Przywołał gestem Bryony i Rose, by poszły za nim do pick-upa.

Kiedy się odwrócili, Bryony kątem oka zauważyła dwie postacie stojące w milczeniu nieopodal bramy cmentarza. Mieli na sobie czarne trencze oraz fedory naciśnięte mocno na czoło i wyglądali jak para tajnych agentów. Wtedy jeden z nich zdjął kapelusz i obaj ruszyli do przodu.

Bryony zamarła, gdy rozpoznała w mężczyznach Michaela i jego ojca. Zdołała się opanować, zanim dziadek to spostrzegł, ale nie mogła już nic zrobić, by uniknąć spotkania. Dziadek zauważywszy ich, rzekł z kamienną twarzą:

- Dobrego dnia, Sebastianie. Michaelu. Rozumiem, że przyszlście przekazać wyrazy współczucia?

- Tak - odparł starszy pan Heath. Nawet jeśli poczuł się urażony faktem, że dziadek zwrócił się do nich po imieniu, nie okazał tego. Zapewne dziadek był już dzierżawcą na tyle długo, że takie formalności nie miały znaczenia.

Rose trzymała się z boku i pociągnęła za rękaw płaszcza Bryony. W jej szeroko otwartych oczach widać było niepewność co do tego, jak w ogóle powinna się zachowywać wobec Michaela. Tego dnia, kiedy przyszedł do ich domu i pokazywał im swoje rysunki, atmosfera była tak swobodna i przyjacielska. Teraz... wszystko się zmieniło.

Nic nie mogło świadczyć o tym lepiej niż sposób, w jaki Michael chłodnym wzrokiem przebiegł ponad Bryony, jakby w ogóle jej nie dostrzegł. Stał obok ojca z rękami głęboko wciśniętymi w kieszenie płaszcza, z wysoko uniesionym podbródkiem i wymijającym, ledwo dostrzegalnym uśmiechem.

Bryony jedną ręką ujęła Rose pod ramię, a drugą poklepała dziadka po ramieniu, mówiąc szeptem:

- Będziemy w aucie.

Odnosiła wrażenie, że dziadek ma w zanadru jeszcze kilka słów do właściciela plantacji i nie chciała znaleźć się na linii ognia.

W chwili, gdy wychodziły przez bramę, Rose zbliżyła się do niej i wyrzekła pełnym niedowierzania tonem:

- Nie rozumiem go, Bry. Zachowywał się tak, jakbyśmy były niewidzialne.

Bryony szarpnięciem otworzyła drzwi do samochodu. Puściła siostrę przodem, a potem sama wśliznęła się na siedzenie obok.

- Zachowuje się tak od Święta Dziękczynienia. To dla mnie wyjątkowo trudne.

- Jak ci się wydaje, co dziadek chciał powiedzieć panu Heathowi? Mam nadzieję, że nic takiego, po czym mogliby nas wyrzucić z farmy.

- Nie sądzę, żeby do tego miało dojść. - Jednak, patrząc w kierunku trzech ponurych mężczyzn, Bryony sama się mocno nad tym zastanawiała. Dziadek potrafił mówić bez ogródek pod wpływem gwałtownych emocji, a nie wyglądało na to, żeby w czymkolwiek ustępował teraz Heathom. To raczej Michael cofnął się nieco.

Niedługo później zobaczyła, jak Michael trącił ramię ojca i wskazał w kierunku Jenny i Caleba. Uchylili kapeluszy przed dziadkiem i rozeszli się.

Kiedy dziadek, powłócząc nogami, szedł w stronę pick--upa, Rose zadrżała.

- Tak się boję, Bry... o nas, o Caleba i jego mamę. Jeszcze nigdy nie mieliśmy tak ciężkiego roku.

- Damy sobie radę, kochana. - Bryony przyciągnęła siostrę w uścisku, starając się ją pocieszyć. - Musimy po prostu stawiać krok za krokiem i modlić się o lepsze czasy.

Dzień po pogrzebie Wielanda Michael zdecydował, że zje śniadanie w swoim pokoju. Był prawie pewien, że tego dnia w ogóle nie będzie schodził do gabinetu ojca. Wczorajszy dzień okazał się dla niego zbyt wyczerpujący. Rozdarty pomiędzy współczuciem dla Wielandów a świadomością, że tam przy grobie na pewno spotka Bryony, był już bliski tego, żeby wymówić się jakoś od pójścia z ojcem. Ostatecznie jednak nie znalazł żadnego sensownego wytłumaczenia, co rozwiązywało jego dylemat. Łatwiej było mu udawać posłusznego syna i dziedzica niż znosić kolejną reprimendę za widoczny brak zaangażowania w prowadzenie rodzinnego biznesu.

Cóż za farsa! Jakby w ogóle mógł wnieść coś wartościowego albo przynajmniej dokonać jakiejś znaczącej zmiany w sposobie, w który ojciec zarządzał plantacją Brookbirch. Sebastian Heath był już prawie pod kreską, a patrząc na ogólny stan gospodarki w Stanach od czasu zeszłorocznego

krachu na giełdzie i obecnej niekończącej się suszy, tata nie był skłonny do żadnych przejawów hojności.

Michael nalał sobie kolejną filiżankę kawy i starał się nie myśleć o tym, co Bryony powiedziałyby, gdyby dowiedziała się, jaki pakt zawarł z ojcem. Teraz liczyło się jedynie to, żeby zapewnić bezpieczeństwo jej i jej rodzinie.

Kiedy Callie przyszła po tacę, pospiesznie zmiął kawałek papieru, na którym coś sobie bazgrał. Dziewczyna zmarszczyła czoło, sprząając po jego śniadaniu, i skwitowała:

- Nie zjadł pan za wiele, paniczku Michaelu. Myślałam, że tosty francuskie, które przygotowuje Odette, to pana ulubiony przysmak.

- Były pyszne, jak zawsze. - Bawił się zwitkiem papieru wepchniętym głęboko do kieszeni spodni. - Chyba nie byłam dziś rano bardzo głodny.

- Rozumiem pana, po tym całym wczorajszym pogrzebie i w ogóle. Mnie również było niezwykle przykro z tego powodu.

- Znałaś Wielandów?

- Tylko przelotnie - odparła Callie i zacisnęła usta. - Skończył pan już kawę, s/r?

- Tak, dziękuję bardzo. - Michael odstawił filiżankę i spodek na tacę. Pomógł jej, przytrzymując drzwi, kiedy dziewczyna pospiesznie opuszczała pokój.

Nie minęło dziesięć minut, a w wejściu pojawił się ojciec Michaela. Zastukał trzy razy, a potem wparował do środka.

- Masz zamiar cały dzień tak się wylegiwać, czy możemy wreszcie wziąć się do pracy?

Michael zacisnął mocno zęby i dołożył wszelkich starań, by odpowiedzieć jak najgrzeczniej.

- Pochowaliśmy wczoraj jednego z naszych dzierzawców, tato. Czy jest coś tak pilnego, czego nie można odłożyć na później, żebyśmy teraz mogli przez chwilę jeszcze poświęcić się refleksji nad życiem tego dobrego człowieka?

- Przecież ty prawie w ogóle nie znałeś Nelsa Wielanda. Nie udawaj teraz, że przeżywasz żałobę.

- Nie muszę udawać. Odczuwam ból, jaki przeżywa jego rodzina, i ty też byś odczuwał, gdybyś tylko miał choć trochę współczucia w tym swoim zimnym jak kamień sercu. - To by było na tyle grzeczności. Michael odwrócił się, a w zaciśniętej pięści ukrytej w kieszeni nadal kurczowo trzymał zmięty kawałek papieru - swój pierwszy marny szkic od czasu Święta Dziękczynienia i jednocześnie ostatni. Czas nie potrafił wymazać z jego pamięci gryzącego zapachu palonego papieru, który nadal przewiercał jego nozdrza i zbierał się w jakąś nieznosną kulę w gardle.

Ojciec milczał tak długo, że aż Michael zerknął na niego przez ramię, żeby sprawdzić, czy nadal był w pokoju. W oczach taty wezbrało się nieskrywane cierpienie. Potrząsnął tylko powoli głową i wyszedł.

Ten człowiek był dla niego zagadką. Michael już całkiem zrezygnował z próby zrozumienia, jak ten sam mężczyzna, który tak bezczelnie siał spustoszenie w życiu swoich własnych dzieci, mógł tak niewzruszenie stać, nie mrugnawszy nawet okiem, gdy wczoraj na cmentarzu George Rigby rzucał wobec niego szeptem groźbę: *Lepiej, żebyś nie skrzywdził Jenny Wieland ani jej syna, albo będziesz musiał za to przede mną odpowiadać, Sebastianie Heacie.*

Zaraz potem tata podszedł do pani Wieland, okazując jej zaskakującą życzliwość. Zapewnił ją i chłopaka, że wciąż

mogą pozostać na farmie, przynajmniej przez zimę, aż podejmą decyzję, co robić dalej. A jeśli Caleb zamierzał nadal uprawiać ziemię, zaproponował, że przejrzą warunki dzierżawy Nelsa w okresie wiosennych siewów.

Następnie, gdy już odjeżdżali swoim LaSallem, tata prychnął, rzucając:

- Będę mocno zaskoczony, jak w ogóle uda im się przetrwać do Bożego Narodzenia. - Zanim dotarli do domu, wymienił jeszcze parę kolejnych rzeczy, które chciał sfinalizować do końca dnia, w tym rozwiązanie kwestii kilku innych dzierżawców, którzy prosili o przesunięcie terminu płatności. Rzucając swoje zwykłe: *nie śpię przecież na forsie*, tata ostrzegł Michaela, żeby nie wystawiał na próbę jego cierpliwości, prosząc go o wyrozumiałość.

A jednak do tej pory Michaelowi udało się wyperswadować ojcu wykonanie przynajmniej czterech kolejnych eksmisji. Nawet gdyby ratowanie dachu nad głową tych rodzin w ciągu najbliższych kilku miesięcy miało być jedynym, co uda mu się osiągnąć, to wystarczy, żeby wynagrodzić jego poświęcenie. Wolałby jeszcze zapewnić im wystarczającą ilość pożywienia, by mogli przetrwać zimę, ale ojciec nie był na tyle przychylny i Michael wiedział, że powinien się cieszyć tym, co i tak udało mu się uzyskać.

Przypomniawszy sobie to wszystko, stwierdził, że zarówno dla niego, jak i dla tych dzierżawców lepiej będzie, jeśli zaciśnie zęby i zejdzie na dół popracować z ojcem. Jeżeli zostanie cały dzień w swoim pokoju, nic nie zyska, no może poza gromadzeniem w sobie gorczy.

Gdy tylko wśliznął się do gabinetu, ojciec ledwie podniósł wzrok, by na niego spojrzeć. Skinął w stronę sterty papierów

na wąskim biurku, które ustawił dla Michaela po drugiej stronie pokoju.

- Korespondencja, którą powinieneś przejrzeć. Zdecyduj, co wymaga uwagi, resztę włącz do dokumentacji.

Chwilę później, kiedy Michael poradził sobie już z większością stosu i przełożył część papierów do szafy na dokumenty, od frontu domu dobiegł się przeraźliwy pisk:

- Och, Jezusie, ratunku! - wrzasnęła Odette. - Niech ktoś tu ejszybko przyjdzie!

Michael wymienił z ojcem wystraszone spojrzenia. Obaj pomyśleli dokładnie o tym samym - coś stało się mamie. Michael pchnął szufladę, zamykając ją z trzaskiem i tylko papiery latały w powietrzu, kiedy razem z ojcem pędzili korytarzem.

Michael dotarł do głównego holu przed ojcem. Drzwi wejściowe były otwarte i zimny wiatr hulał w domu. Odette klęczała nad kimś, kto leżał na podłodze... i nie była to matka. Więc, na miłość boską, któż to mógł być? Żołądek podszedł mu do gardła, gdy nagle uświadomił sobie, że to mogła być Bryony. Obszedł Odette i wykrzyknął:

- O, Boże... *MirandaV*.

- Ano, paniczu Michaelu, toż to ona. - Odette zerknęła w kierunku ojca Michaela i skuliła się.

Michael padł na kolana i wziął siostrę w ramiona. Nie potrzebował wiele sił, by ją dźwignąć. Czuł, jakby podnosił kłębek bawełny.

- Wezmę ją na kanapę. Przynieś jej coś do jedzenia, Odette. Sama skóra na kościach. I pošlij Jeremiaha po lekarza.

- Nie, czekaj! - Ojciec Michaela stanął w wejściu do salonu. - Ona nie jest mile widziana w tym domu. Jeśli chcesz

się bawić w opiekunkę tego włóczęgi, weź ją gdzieś indziej. Michael zacisnął szczęki i z niedowierzaniem gapił się na ojca.

- Zejdź z drogi, tato, albo mi pomóż...

- Sebastianie? - odezwała się zaniepokojonym głosem matka ze szczytu schodów. - Co tam się dzieje?

Michael wycedził przez ściśnięte zęby:

- Proponuję, żebyś zajął się matką. Lepiej by było, aby miała inne zajęcie, zanim nie poradzimy sobie z sytuacją tutaj.

Nie spuszczać z syna mrożącego wzroku, ojciec krzyknął:

- Wszystko jest w porządku, Fenello. Zaraz tam do ciebie przyjdę, kochanie. - A do Michaela dodał szeptem: - Podtrzymuję to, co powiedziałem. Nie zapominaj o naszej umowie, Michaelu. Chyba nie jesteś na tyle głupi, żeby wystawiać mnie na próbę.

Słyszając te słowa, Michael poczuł, jak wewnątrz rozrywa go cierpienie. Jak miał wybierać pomiędzy Bryony a swoją siostrą?

Wtedy Miranda jęknęła, a jej głowa zwiesiła się na jego ramieniu. Wiedział, że w tym momencie ona była najważniejsza. Co do reszty... wymyśli coś później.

Czajnik zagwizdał cicho i Bryony złapała za rękawicę kuchenną. Składanie ręczników i prześcieradeł z Callie zajęło jej dłużej, niż się spodziewała, i teraz już była spóźniona z podaniem popołudniowej herbaty pani Heath. Dzieliła obowiązki pomiędzy dotrzymywaniem towarzystwa pani

a pomaganiem innym służącym, dzięki czemu codzienność nie była zbyt monotonna, ale czasem miała wrażenie, że musi robić zbyt wiele na raz.

Dokładnie w momencie, kiedy sobie o tym pomyślała, Odette wbiegła do kuchni i Bryony o mały włos nie upuściłaby przykrywkę od ulubionego porcelanowego imbryczka pani Heath. Kucharka oddychała ciężko, a białka oczu wyróżniały się szczególnie na jej ciemnej twarzy. Ledwie zdążyła wyhamować tuż przed Bryony i rzuciła:

- Gdzie jest Callie?

- Wydaje mi się, że jeszcze w pralni. - Bryony odłożyła imbryczek na podstawkę i zapytała: - Odette, co cię, na Boga, aż tak zdenerwowało?

- Nie czas na pytania. - Potężna kobieta przytrzymała się solidnego dębowego stołu. Na jej skronie wystąpiły krople potu. - Herbatka pani Heath musi poczekać. Przyrowadź tu Callie i podgrzejcie resztę zupy, i weźcie chleb, co to go mielim na lunch dzisiaj.

- Ale dla kogo to? Czy ktoś...

- *Mówiłam* już, nie czas na wyjaśnienia. - Odette omiotła pełnym zmartwienia wzrokiem całe pomieszczenie, jakby chciała na szybko znaleźć w głowie rozwiązanie nurtującego ją problemu. - Muszem zająć się czymś innym, ale ty zanieśiesz tę tacę do salonu tak szybko, jak tyko się da, rozumisz?

- Ale herbata pani Heath...

- Poślij tam Callie. I upewnij się, coby poszła tylnymi schodami. Starczy, że tam z przodu dzieje się tyle. Jeszcze jej by tam brakowało.

Parę sekund później Odette pognała łącznikiem z powrotem w stronę domu, a Bryony, nic nie rozumiejąc, tylko

potrzęsnęła głową. Poszła w stronę tylnych drzwi i zawołała Callie. Dziewczyna wpadła do środka ze stertą poskładanych ścierek kuchennych na rękach. Bryony nalewając chochlą zupę do garnka na kuchni, opowiedziała jej o wszystkich instrukcjach wydanych przez Odette.

Callie schowała ścierki na półkę w spiżarni, a potem pokroiła trochę chleba i posmarowała kromki masłem.

- Boże jedyny, kto może aż tak bardzo potrzebować posiłku po południu?

- Nie mam pojęcia, ale Odette kazała się pospieszyć. - Gdy zupa się grzała, Bryony wzięła metalową puszkę z owsianymi ciasteczkami z rodzynkami, które pani Heath tak bardzo lubiła. Ułożyła sześć ciastek na talerzyku ze złotym obrąbkiem i umieściła go na tacy. - Przekaż Dancy, że przyjdę później, żeby ją zmienić.

Callie wyszła, a Bryony przygotowała kolejną tacę, na której ustawiła talerz z chlebem i miskę przyrządzonej przez Odette aromatycznej zupy jarzynowej na wywarze wołowym. Nadal nie mając pojęcia, dla kogo jest ten posiłek, popchnęła drzwi biodrem i wyszła z kuchni.

W ciemnym korytarzu spotkała zaabsorbowane rozmową Odette i pannę Estherę. W chwili, gdy tylko ją dostrzegły, od razu zamilkły.

Bryony miała już dość tych tajemnic, więc podeszła i zapytała:

- Czy któraś z was mogłaby mi wyjaśnić, o co tu chodzi? Panna Esthera pociągnęła nosem.

- Odette, weź tacę. Bryony, chodź ze mną.

Bryony nie miała wyboru, więc posłusznie przekazała tacę i ruszyła za drobną sylwetką gospodyni do jej gabinetu.

Panna Esthera usiadła na swoim miejscu przy dębowym sekretarzyku i wskazała gestem Bryony, by też usiadła. Złożywszy ręce na kolanach, zacisnęła usta, a potem wzięła głęboki wdech i powiedziała:

- Wydarzyło się coś wyjątkowo niefortunnego. Czy wiedziałas o tym, że Heathowie mają córkę?

- Nie przypominam... - I nagle do niej dotarło. - Pamiętam, że któregoś dnia pani Heath cały czas pytała o osobę o imieniu Miranda. Była bardzo zdenerwowana, że nie może jej odnaleźć.

Panna Esthera z zamkniętymi oczami pokiwała ponuro głową. Wzięła kolejny głęboki oddech, a potem skrzyżowała spojrzenie ze zdezorientowanym wzrokiem Bryony.

- Wygląda na to, że panna Miranda wróciła.

- Och, to wspaniale, prawda? Akurat na święta...

- Obawiam się, że *nie*... ani trochę. Pomiędzy Mirandą a jej ojcem panuje wielka niechęć. Wiele lat temu wydziedziczył ją i nie zniesie, by przebywała tu chociaż chwilę dłużej, niż to konieczne.

Bryony zagryzła mocno dolną wargę.

- Ta taca z jedzeniem... to dla niej?

- Ta biedna dziewczyna umierała z głodu. Tylko to może jej pomóc.

- A pan Heath nie pozwoli jej teraz zostać? Przecież to niemożliwe, żeby był aż tak okrutny. - I nagle ironia jej własnych słów sprawiła, że Bryony gwałtownie westchnęła i złapała się za serce. Po tym, co Sebastian Heath wyrządził Michaelowi w Święto Dziękczynienia, czy ktokolwiek mógł mieć jakieś wątpliwości, do czego zdolny był ten człowiek?

Panna Esthera wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Bryony. W jej

piwnych oczach widać było teraz jakąś surowość.

- Pracujesz tu już na tyle długo, że wiesz, jak się mają sprawy. Staramy się trzymać pana z dala od tego, do czasu, aż nakarmimy i odprawimy z powrotem pannę Mirandę, ale Bóg jeden wie, dokąd się stąd uda. Co gorsza, Odette twierdzi, że panienka jest w ciąży.

Bryony zmarszczyła czoło.

- A co z ojcem dziecka? Nie powinien się czuć odpowiedzialny za swoją rodzinę?

- Och, jest odpowiedzialny, uwierz mi. Najlepszy mąż i ojciec, jakiego może mieć kobieta. - Odwracając twarz, panna Esthera przytknęła dwa palce do drżących ust. - Daniel to dobry człowiek i najlepiej, jak potrafi, stara się zapewnić byt rodzinie.

Kiedy pojawiały się kolejne elementy tej historii, Bryony z trudem starała się złożyć to wszystko w jakąś sensowną całość. Panna Esthera musiała znać Daniela przez jakiś czas, skoro mogła z taką pewnością wypowiadać się na temat jego charakteru. Może on i Miranda żyli tu gdzieś nieopodal. Jeśli wielki kryzys i susza dotknęły ich tak samo boleśnie jak pozostałe rodziny w Arkansas, nic dziwnego, że Miranda była zmuszona wrócić do domu w poszukiwaniu pomocy.

Alice, która całe popołudnie sprzątała pokoje na piętrze, wpadła do gabinetu, pytając:

- Czy to prawda... wróciła?

- Uspokój się, Alice. Tak, to prawda. - Panna Esthera wstała. - Gdzie są Callie i Dancy? Czy pan Heath jest wciąż na górze z panią?

- Tak, psze pani. Jest, i z tego, co widziałam, wygląda na niezbyt szczęśliwego. Callie zniosła tam herbatę i wróciła

na dół dokończyć prasowanie. Dancy wyrzała na minutę od pani Heath, ale ta biedna kobieta jest okropnie rozdrażniona i biega jak kot z pęcherzem.

Wydawało się, że każdy tutaj pragnie ze wszystkich sił chronić Mirandę Heath. Każdy, z wyjątkiem jej własnego ojca. Bryony wstała i odsunęła krzesło.

- Co jeszcze mogę zrobić? Może spakuję trochę jedzenia, żeby jej dać na drogę?

Teraz Odette stanęła w wejściu i mały gabinet chyba jeszcze nigdy nie był tak zatłoczony.

- Panienska Miranda nie nadaje się do podróży. Panicz mówi, że jeśli ktoś się nią nie zajmie, może stracić dziecko.

Panna Esthera przytknęła w desperacji dłoń do czoła.

- Nie możemy jej tu trzymać, albo wszyscy stracimy pracę.

- Ja ni mam wolnego pokoju w domu - stwierdziła Alice. - W każdym razie, ten mój dostałby szału, gdybym przyprowadziła jeszcze jedną gębę do karmienia.

Bryony od razu wyobraziła sobie puste łóżko Larkspur. Zanim zdążyłaby znaleźć jakieś wymówki, odezwała się:

- Jedna z moich sióstr wyjechała do college'u. Miranda mogłaby zostać z nami do czasu, aż wy dobrzeje.

Wszystkie trzy kobiety natychmiast odwróciły w jej stronę głowy, a w ich oczach płonęła wdzięczność. Panna Esthera chwyciła ją za jedną dłoń, a Odette za drugą.

- To odpowiedź na nasze modlitwy - wyszeptała panna Esthera.

Odette żywiłowo pokiwała głową.

- Powinam była wiedzieć, że Bóg przysłał cię tutaj nie bez powodu. Mam nadzieję, że wybaczyłaś mi wszystką moją podłość.

Alice spuściła głowę.

- I moją - dodała cicho.

- Wybaczone i zapomniane. Cieszę się, że mogę pomóc. - Bryony miała tylko nadzieję, że dziadek i Rose nie będą mieli nic przeciwko temu pomysłowi. I tak robili już, co mogli, żeby pomóc Jenny Wieland. A teraz mieli przyjąć jeszcze bezradną, głodującą, ciężarną kobietę?

Ale tak się powinno robić dla sąsiadów. A skoro Sebastian Heath nie chce zająć się własną córką, Bryony nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby dziadek także miał się odwrócić od Mirandy, nawet jeśli będzie to oznaczało, że przez pewien czas będzie im jeszcze trudniej.

Odette musiała dostrzec w twarzy Bryony te obawy.

- Niczem się nie martw, słyszysz? Tu jest zawsze mnóstwo resztek. Będę dla ciebie coś odkładać, co byś mogła wziąć do siebie do domu.

Bryony uśmiechnęła się z wdzięcznością. Teraz ich zmartwieniem było tylko, jak przetransportować Mirandę na farmę. Panna Esthera posłała Alice, by znalazła Jeremiaha i powiedziała mu, żeby przyprowadził jedno z aut. Potem, kiedy Odette pognęła do kuchni spakować trochę jedzenia, panna Esthera i Bryony udały się do salonu.

Na widok Michaela tak czule pomagającego siostrze jeść, Bryony musiała powstrzymać łzy. Ta biedna dziewczyna wyglądała jak kościotrup ze skórą naciągniętą na każdej wystającej kostce. Tylko niewielki wzgórek pod cienką, spłowiałą sukienką wskazywał, że nosi pod sercem dziecko.

Kiedy Bryony i panna Esthera podeszły bliżej, Michael odłożył na bok tacę. Pomógł siostrze się położyć i okrył ją narzutą, a potem zwrócił się do panny Esthery:

- Nie dbam o to, co mówi mój ojciec. Musimy...
- Już wszystko załatwione - odparła Esthera. - Pójdzie do domu Bryony.

Michael skrzyżował spojrzenie z Bryony. Jabłko Adama na jego szyi drgnęło, ale nic nie powiedział. Bez ostrzeżenia pochwycił ją w ramiona i przytulił mocno. Nie była pewna, czy drżenie, które czuła, pochodziło od niego, czy to jej własne. Ale to nie było ważne, nie liczyło się dla niej. Tu i teraz, w jego ramionach, pomagając jego siostrze, wiedziała, że to było jej właściwe miejsce.

14.

Siedząc naprzeciw żony przy jej drogocennym antycznym stole, Sebastian cały czas pocierał kciukiem karbowaną mahoniową krawędź. Ledwie był w stanie usiedzieć, nieustannie zastanawiając się, co się dzieje na dole. Jednak nie śmiał schodzić, tym bardziej, że sam nie wiedział, co mógłby zrobić lub powiedzieć - czego by nie chciał.

Bóg jeden wiedział, że i tak już bardzo żałował. Ale nie miał pomysłu, jak się zachować, kiedy jego własne dziecko okazało jawny brak szacunku dla rodzinnego nazwiska, na którego godność tak ciężko pracował.

Fenella odłożyła filiżankę herbaty na tyle energicznie, że wyszczerbiła brzeg spodka.

- Gdzie jest Bryony? Zaprosiłam ją na herbatę, a ona się spóźnia.

W pobliżu kręciła się Dancy, która sprawnie przejęła od pani filiżankę i spodek, zapewniając jednocześnie:

- Na pewno przyjdzie, gdy tylko będzie mogła. *Psiakość z tym wszystkim!* - rzucił w myślach Sebastian.

Powinien być teraz na dole w swoim gabinecie, z nosem

zanurzonym w papierach, a nie przemierzać ograniczoną przestrzeń pokoju dziennego żony niczym tygrys w klatce. Wstał gwałtownie i rzekł:

- Dancy, idź na dół i zobacz, co się tam dzieje.

- Tak, proszę pana. - Szybko zerknąwszy na panią, pokojówka wymknęła się z pokoju.

Fenella wstała od stołu i patrzyła przez wschodnie okna. Wyczuwając jej narastający niepokój, Sebastian podszedł do żony i objął jej ramiona. Dom rzucał już długie cienie na ogrody, a rozwichrzone różowe obłoki przesuwwały się powoli po niebie.

Kiedy Fenella zadrżała, Sebastian podprowadził ją na szez-long i rozwinął szydełkowy koc.

- A może odpoczniesz nieco, kochanie? Zatrzymała się nagle i popatrzyła na niego.

- Czy to chodzi o Bryony? Jest chora? Czy coś się stało?

- Nic takiego. Wszystko z nią w porządku.

Z trudem udało mu się skłonić żonę, by ułożyła się pod kocem, kiedy nagle otworzyły się drzwi. Oczy Dancy błyszczały, gdy popatrzyła na Fenellę, a potem na Sebastiana. Rozwarła usta i zaraz szybko je zamknęła.

Sebastian pochylił się, aby ucałować żonę w czoło i zapewnił:

- Zaraz wrócę, kochanie. Odpoczywaj sobie.

- *Nie chcę* odpoczywać. - Fenella odrzuciła na bok koc. - Coś przede mną ukrywacie i żądam, żebyście mi powiedzieli co.

Wiedząc, że nie zbędzie jej tak łatwo jakąś daleką od prawdy wymówką, Sebastian pochylił się nad krawędzią szezlonga i ujął jej dłonie w swoje ręce.

- Nie chciałem cię martwić, najdroższa, ale okazało się, że... że przyszedł do nas jakiś żebrak.

- Żebrak? - Fenella zaczęła wstawać. - Muszę zejść na dół i zobaczyć, czego potrzeba.

- Nie ma takiej konieczności. Służba już sobie radzi z tą sytuacją. - Podnosząc znów koc, Sebastian ułożył żonę na poduszkach. - Lepiej, żebyś została tutaj ze mną, gdzie jesteś bezpieczna.

Fenella westchnęła.

- Jeśli pojawiłby się jakiś powód do niepokoju, powinniśmy posłać po szeryfa. - Wyciągnęła rękę w stronę Dancy, która wciąż czekała koło drzwi. - Gdzie dzieci? Idź i upewnij się, że są bezpieczne.

Supel w piersi Sebastiana pulsował od bólu.

- Dzieci mają się dobrze, kochanie. Odpocznij tutaj, a ja zobaczę co i jak.

Gdy poczuł, że kobieta zaczyna się odprężać, wstał i podszedł do Dancy. Stojąc plecami do żony, wyszeptał:

- Jak tam sytuacja?

- Odeszła, *sir* - odpowiedziała Dancy ze spuszczoneym wzrokiem. - Jeremiaś odwiózł ją samochodem.

- Dobrze... dobrze. - Sebastian wiedział, że powinien czuć ulgę, ale z jakiegoś powodu wcale tak nie było. Przeczesał sztywnymi palcami włosy. - A zatem w porządku. Przyślij tu Bryony z kolejną herbatą i ciastkami, zanim moja żona zacznie zadawać więcej pytań.

Widać było, że Dancy ciężko przełknęła, a potem cofnęła się o krok.

- To niemożliwe, proszę pana. Pojechała z Jeremiahem, żeby pomóc.

Sebastian zaklął pod nosem. Powinien był przewidzieć, że ponowne zjawienie się Mirandy w ich życiu całkowicie zakłóci wypracowany przez niego rytm tego domu. Szybko zerknął na Fenellę, upewniając się, że jest udobruchana, przynajmniej na jakiś czas. Miała zamknięte oczy i oddychała głęboko.

- Zostań z nią - polecił Dancy. Ruszył w kierunku drzwi, a potem zatrzymał się i wycelował palcem prosto w jej twarz. Warknął przez zaciśnięte zęby: - I jeśli chcesz mieć tu pracę, pod żadnym pozorem nie wspominaj przy niej imienia Mirandy.

- Ani słowa - dodał Michael, przewiercając wzrokiem najpierw Estherę, a potem Odette. Stali na frontowej werandzie, a popołudniowe niskie słońce świeciło przez nagie drzewa i oślepiało Michaela.

Obie kobiety stanowczo pokiwały głowami.

- Nie piśniem nic, paniczu Michaelu - zapewniła Odette. - Pański tata o niczem się nie dowie.

- Upewnij się też, że Alice i Callie również będą o tym pamiętać. Jeśli mój ojciec dowie się, gdzie przebywa Miranda, to może oznaczać kłopoty dla wszystkich zamieszanych w to osób.

- To nasza tajemnica. - Esthery splotła palce z Odette w geście solidarności. - I może być pan pewien, że Jeremiah też będzie po naszej stronie. Nikt z nas nie chciałaby wyrządzić pannie Mirandzie najmniejszej szkody.

- Ani paniczowi - dodała pośpiesznie Odette. - My wszyscy, co od dawna tu pracujem, kochamy panicza i pańską

siostrę jako własne dzieci.

Michael uśmiechnął się z wdzięcznością. Odesłał kobiety do domu, a potem odwrócił się i oparł o poręcz werandy, mając nadzieję, że parę wdechów świeżego, chłodnego powietrza pomoże oczyścić głowę i schorowane płuca. Gapiąc się w dal, gdzie znikła droga, żałował, że sam nie wszedł do samochodu i nie pojechał z Jeremiahem do domu Bryony. Pragnął spędzić więcej czasu z siostrą, mieć chwilę, by zapytać ją, gdzie była przez te wszystkie lata. Zastanawiał się, co się stało z dzieckiem, które nosiła pod sercem wtedy, kiedy tata ją wyrzucił, czy poślubiła mężczyznę, dla którego ze wszystkiego zrezygnowała.

Jednakże Michael doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeśli zostanie w cieniu i dopilnuje, by ojciec nie dowiedział się o ich planie. Po tym wszystkim, co Michael poświęcił dla Bryony, nie chciał ryzykować, że teraz skrzywdzi jej rodzinę z powodu tego, że zgodzili się przyjąć Mirandę.

A co tata powiedział mamie o tych popołudniowych zajęciach? Z pewnością nie prawdę. Z tego, co Michael wiedział, jego matka oczekiwała na powrót swojej zblakanej córki i to nie była wiadomość możliwa do przekazania kobiecie, której umysł był w gorszym stanie niż jej niemłode już ciało. Poza tym Sebastian Heath z pewnością wolał, by jego żona zapomniała, że w ogóle mieli córkę.

Gdy wieczorne zimowe powietrze zaczęło przenikać już przez jego wełniany sweter, Michael niechętnie wszedł do środka. W domu panowała martwa cisza, przerywana jedynie dobiegającym z piętra dźwiękiem fonografu matki, z którego Vernon Dalhart śpiewał półgłosem *The Prisoner's Song*. Urywki tekstu docierały do uszu Michaela - słowa

0 mężczyźnie, który pragnął uciec z więziennych murów
1 odnaleźć swoją prawdziwą miłość.

Z każdym upływającym dniem Michael był coraz bardziej przekonany, że jego prawdziwą miłością była Bryony. Niestety, ucieczka z jego *więzienia* nie była prosta. A teraz musiał chronić nie tylko ukochaną, ale też swoją siostrę. Mury stawały się coraz wyższe.

- Michaelu! - zawołał ojciec, wychodząc do holu. - Do gabinetu. Natychmiast.

Nie było sensu odkładać tego, co nieuniknione. Jęknąwszy w duchu, Michael poszedł za ojcem na koniec korytarza. Kiedy tata siadał za biurkiem, Michael cicho zamknął drzwi. Stał z rękami w kieszeniach, tak by nie kusiło go, żeby coś... albo kogoś udusić.

Ojciec podniósł wieczne pióro i bawił się nim w palcach. W końcu rzekł:

- Rozumiem, że ta kwestia została już rozwiązana?

- Ta *kwestia* ma imię. - Michael aż do bólu zacisnął szczękę. - Czyżby twoje serce zmieniło się w taki lód, że nie odczuwasz ani cienia niepokoju, co się stało z twoją córką?

- Miranda przestała być moją córką tego dnia, kiedy skalała nazwisko Heathów, oddając się najętemu mężczyźnie.

- Ciekawe, co cię denerwuje najbardziej: to, że miała dziecko z nieprawego łóżka, to, że zakochała się w meksykańskim imigrancie, czy to, że skierowała swoje uczucia do zwykłego służącego, a nie do syna jakiegoś bankiera, którego dla niej wybrałeś?

Ojciec Michaela spurpurowiał i odsunął krzesło od biurka. Podparł się rękami o blat i przechylił w kierunku syna.

- Jak będziesz siedział za tym biurkiem i usiłował zrobić

wszystko, co w twojej mocy, żeby zachować rodzinne dziedzictwo, *wtedy* będziesz mógł mnie osądzać. A teraz wynoś się, zanim nie zmienię zdania w kwestii tych ckliwych akcji charytatywnych, w które próbujesz mnie wmanewrować, grając mi na uczuciach.

Gniew zmieszany z nienawiścią wrzał w Michaelu niczym w rozpalonym kotle. Chciał powiedzieć ojcu, że *powinien* się wstydić za to, jak traktuje innych ludzi, zwłaszcza swoje dzieci, okazując im tyle okrucieństwa i pogardy. Ale ten człowiek miał zbyt wielką władzę - nie tylko nad Michaeliem, ale też nad innymi, na których Michaelowi zależało. Nie wyrzekłszy więc ani słowa, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Niewiele spał tej nocy. Poczucie wstydu wynikające z jego własnej słabości nie dawało mu spokoju. Gdyby tylko był silniejszy, odważniejszy, jak mężczyzna, a nie jak wypalona skorupa, którą stał się po wojnie, mógłby zrobić dużo więcej.

Chłodne zimowe słońce ledwie wyzierało sponad horyzontu, kiedy Michael włożył na siebie swoje turystyczne ubrania i wymknął się z domu głównym wyjściem. Postawił kołnierz, aby choć trochę ochronić się przed zimmem i skierował się na ścieżkę prowadzącą do rzeki. Następnie przeciął las i pola, idąc w stronę farmy Rigbyego. Dotarł tam dokładnie w momencie, kiedy Bryony wychodziła tylnymi drzwiami. Podniosła na niego wzrok i stłumiła okrzyk.

- Michael!

- Nie mogłem już dłużej wytrzymać. Jak Miranda?

- Śpi. I jest porządnie najedzona dzięki zapasom, które Odette nam wczoraj dała. - Drżąc, Bryony otuliła się szczelnie ciężkim wełnianym swetrem. - Wejdz do środka.

Dziadek już wstał. Ja muszę iść do waszego domu. I tak jestem spóźniona.

- Bryony - zaczął Michael, ujmując ją za ramiona. - Nawet nie wiem, jak mam ci dziękować.

Kąciki jej warg uniosły się wyżej w pełnym czułości uśmiechu, ukazując niewielki dołeczek w prawym policzku. Otworzyła już usta, by się odezwać, ale tylko westchnęła i lekko skinęła głową. Wydawało mu się, że dostrzegł, jak zawilgotniały jej oczy, ale szybko minęła go i ruszyła drogą, zanim zdążył powiedzieć coś jeszcze.

Gdy spojrział w stronę domu, zobaczył, że George Rigby stał w drzwiach wyjściowych oddzielony od niego jedynie moskitierą.

- Jest kawa - powiedział George, otwierając szeroko siatkowe drzwi. - Możesz czuć się jak u siebie w domu.

Michael nie był pewien, czy jego zaproszenie wynikało z gościnności, czy z obowiązku, ale nie zamierzał odmawiać. Wczoraj zrezygnował z kolacji, a dzisiaj nie miał nawet czasu na śniadanie. Uczucie ucisku w brzuchu pogłębiło w nim litość wobec siostry. Od jak dawna musiała żyć powietrzem i cierpieć głód wielokrotnie gorszy od jego własnego?

Kuchnia Rigbyego była ciepła i przytulna. Wyjątkowo miła odmiana od sztywnych ceremonii panujących w jadalni rezydencji Heathów. Kiedy Michael z Georgem weszli do środka, Rose odwróciła się od paleniska, a na jej twarzy pojawił się szeroki powitalny uśmiech.

- Dobrze, że jesteś. Pomożesz nam zjeść te zwały jajecznicy i szynki. Właśnie miałam iść sprawdzić, czy twoja siostra już się zbudziła...

- Michaelu! - Entuzjastyczny okrzyk Mirandy sprawił,

że natychmiast się obrócił. Chwilę później trzymała już go w objęciach, ściskając resztkami sił, jakie zostały w jej wycieńczonych kończynach.

Michael aż bał się ją przytulić, żeby przypadkiem nie połamać jej kości. Wspierając ją delikatnie, odgarnął dłonią kosmyki włosów z twarzy siostry. Jej oczy, podkrążone i zapadłe, mówiły wszystko o trudach, których doświadczała.

- Chodź, usiądź - powiedział, prowadząc ją do stołu. - Opowiedz mi wszystko... gdzie byłaś przez cały ten czas, jak sobie radziłaś... - Co za głupie pytanie! Wyraźnie widać było, że sobie *nie radziła*.

Z ust Mirandy dobył się lekki śmiech, przywodząc mu na myśl tę dawną żywotną, beztroską siostrę, którą tak kochał. Zawsze była odporna, nigdy nie bała się wyzwań ani nie przejmowała się konwenansami, zwłaszcza gdy wiązało się to z przeciwstawianiem się autorytetowi ojca.

- Och, mój kochany braciszku, jak ty wyrosłeś! - Uniosła rękę i pogładziła go po policzku. - Ale wojna odcisnęła na tobie piętno. Widzę to po twoich oczach.

- To nieistotne. Martwię się o ciebie, Mandy. Została z ciebie sama skóra i kości. - Jego wzrok spoczął na jej zaokrąglonym brzuchu. - I... jesteś w ciąży. Dalej jesteście razem z Danielem? Czy to on jest ojcem?

Miranda skierowała tęskny wzrok w stronę okna.

- Wyszłam za niego dzień po tym, jak tata mnie wyrzucił. Mój mąż jest dobrym i uczciwym człowiekiem. Kocham go z całego serca.

- W takim razie gdzie on teraz jest? Dlaczego nie opiekuje się tobą? - Michael nawet nie podniósł wzroku, kiedy Rose położyła na stole talerze pełne szynki i jajek.

Miranda jednak zwróciła na to uwagę. Westchnęła głęboko, wdychając smakowite aromaty, a potem przysunęła się do stołu i uniosła widelec, mówiąc:

- Och, Rose, wygląda wspaniale!

- Szynka ma delikatnie przypieczone boki, ale ja tak lubię najbardziej. - Rose podeszła od kuchni z dzbankiem kawy w ręce i napełniła kubki, które George przyniósł z szafki. - Jedzcie, póki jest ciepłe.

Michael nie dawał za wygraną mimo burczenia w brzuchu.

- Odpowiedz mi, Mandy. Gdzie jest Daniel? Jej usta zadrżały, a widelec brzęknął o stół.

- N-nie wiem. Wyjechał na północ w poszukiwaniu pracy dwa miesiące temu i od tamtego czasu nie mam od niego żadnych wiadomości. Boję się, że stało się coś złego.

George usiadł na krześle na wprost Michaela. Poklepał Mirandę po ramieniu i rzekł:

- Najpewniej nie miał jak posłać wiadomości. Ni ma co zakładać najgorszego.

Przyjazny ton mężczyzny najwidoczniej ukoił nieco jej obawy, bo skierowała wzrok na stojący przed nią talerz pełen jedzenia i westchnęła:

- Gdyby wiedział, że tak długo odwlekałam tę wyprawę po pomoc, byłby na mnie zły.

- I dobrze. - Michael starał się zelżyć szorstką odpowiedzią, posyłając jej braterski uśmiech. Uniósł widelec i dodał: -A teraz jedz, bo za chwilę będziesz musiała się ze mną bić o tę jajecznicę.

Na moment w oczach Mirandy zabłysła znajoma iskierka, a potem kobieta przypuściła zaciekły atak na talerz ze śniadaniem. Dopiero wtedy, krojąc na talerzu szynkę, Michael

uświadomił sobie, że ani razu nie wspomniała nic o swoim pierwszym dziecku. Ale teraz wahał się, czy powinien pytać, by nie wzbudzić w niej kolejnych bolesnych wspomnień. Będzie jeszcze mnóstwo czasu na pytania, gdy tylko odzyska siły.

Niedziela miała być kolejnym dniem wolnym i Bryony bardzo się z tego cieszyła. Sobota była niezwykle trudna, gdyż musiała wykonywać swoje obowiązki, jednocześnie unikając na każdym zakręcie Sebastiana Heatha i zastanawiając się cały czas, jak miały się sprawy z Mirandą. Jedną z lepszych stron ostatnich wydarzeń była cudowna odmiana w zachowaniu Odette i Alice. Nawet panna Esthera okazywała jej niespotykaną wcześniej życzliwość i szacunek.

Najwyraźniej ta zmiana wiązała się z ich stosunkiem do Mirandy i wdzięcznością wobec Bryony.

Miranda wciąż spała, kiedy Bryony na palcach przemierzała sypialnię, by ubrać się do kościoła. Według tego, co mówili Rose i dziadek, ta biedna kobieta od czasu przyjazdu do nich tylko jadła i spała. I pewnie to było dla niej najlepsze... podobnie jak czas, który mogła wczoraj spędzić z bratem. Odczuwając lekki dreszcz oczekiwania, Bryony uświadomiła sobie, że skoro teraz Miranda jest ich gościem, Michael będzie częściej ich odwiedzał.

Jej radość szybko jednak prysła. Podczas jego wizyt ona pewnie będzie ciężko pracować w rezydencji i teraz będą się widywać jeszcze rzadziej niż do tej pory.

Miranda poruszyła się i usiadła na łóżku.

- Dzień dobry.

- O, już się zbudziłaś. - Bryony kończyła zapinać guziki z przodu swojej ulubionej niedzielnej sukienki, malachitowej szmizjerki, która niegdyś należała do jej matki. - Zostawiliśmy dla ciebie pancakei. Podejrzewam, że nie wybierzesz się z nami do kościoła...

- To niezbyt dobry pomysł, zwłaszcza biorąc pod uwagę moją reputację w Edenie. - Wykrzywiła usta w pełnym żalu uśmiechu. Sięgnęła po pożyczony jej flanelowy szlafrok leżący w nogach łóżka.

Bryony spuściła głowę.

- Przepraszam, nie pomyślałam o tym.

- Nie masz za co. Ja już przywykłam do tych spojrzeń i plotek, ale nie widzę potrzeby, żebyście także wy musieli się z tym mierzyć. - Wstając z łóżka, Miranda wygładziła pościel. - Nie wiem, ile mój brat ci powiedział, ale ponieważ byłaś na tyle miła, żeby wziąć mnie pod swój dach, możesz pytać, o co tylko zechcesz.

- Nic ponad to, co sama chciałybyś nam powiedzieć. -Bryony usiadła na swoim łóżku, żeby zapiąć sprzączki niedzielnych butów. Kiedy podniosła wzrok, Miranda stała nad nią, a na jej ustach malował się wyraz zamyślenia.

- Kochasz go, prawda? -Co?

- Michael i ty. Kochacie się.

Z gardła Bryony dobył się wymuszony śmiech.

- Cóż, to chyba najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam. - Wyprostowała się i szybko podeszła do drzwi. -Będziemy w domu za parę godzin. Masz kawę... hm, w zasadzie to głównie cykoria, ale jest ciepła... a na kuchni podgrzewa się syrop do pancakeow.

Przeszła przez kuchnię, idąc prosto w stronę wieszaka, z którego zabrała sweter i torebkę.

- Dziadku, Rosie, jesteście gotowi do wyjścia? Ignorując ich zdezorientowane spojrzenia, wymaszero-

wała z domu i weszła do auta. Pewnie bardzo by żałowała tego pośpiechu, gdyby dzień okazał się jeszcze mroźniejszy. I tak już teraz jej oddech zmieniał się w kłęby pary. Ale po tak trafnym spostrzeżeniu Mirandy, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że nie znały się długo, Bryony potrzebowała trochę czasu w samotności, żeby się opanować. Najwidoczniej wcale nie potrafiła tak dobrze skrywać swoich emocji, jak jej się wydawało.

Okna pick-upa były już prawie całkiem zaparowane, kiedy dziadek z Rose wreszcie wyszli. Przesuwając się na środek, Bryony przetarła rękawem swetra szybę, a potem przez całą drogę do kościoła wpatrywała się przed siebie.

Ucieszyła się, gdy spotkali na nabożeństwie Jenny Wieland i Caleba. Kobieta bezgłośnie popłakiwała przez całą mszę, ale trzymała głowę wysoko, tak jak dumna żona farmera, którą zawsze była. Później, kiedy wyszli na zewnątrz do auta, dziadek wyjął małe przykryte pudełko spod plandeki i wręczył je Calebowi. Kiedy Jenny zajrzała pod ścierkę, krzyknęła:

- Och, George, nie możemy tego przyjąć! Skąd, na miły Bóg, wzięłeś tyle jedzenia?

- Zostaliśmy obdarowani, więc pozwól nam obdarować także was. Bez żadnych pytań i podziękowań, jasne? - Dziadek skinął na Caleba, by włożył pudełko do ich samochodu.

Bryony podejrzewała, że ofiarował Wielandom trochę jedzenia, które Odette podała dla Mirandy i nie sądziła, żeby Michael miał coś przeciwko temu.

Gdy zbliżali się już do farmy, Bryony poczuła, że zaczyna ją skręcać od środka. Jeśli Michael znowu przyszedł do nich, czy zdoła powstrzymać serce, by nie łomotało tak w jej piersi i nie zdradziło tych utajonych nadziei, które w sobie kryła?

- Na miłość boską, Bry. - Rose klepnęła dłonią w kolano siostry. - Cała skaczesz jak chmara pcheł. Co sprawiło, że jesteś taka roztrzęsiona?

- *Nie* jestem roztrzęsiona. - Bryony wcisnęła mocniej nogi w podłogę i zacisnęła ręce wokół kolan. - A poza tym pierwsze słyszę, żeby pchły gromadziły się *chmarami*.

- Hm, nieważne, jak się mówi. Ale ty *jestes* roztrzęsiona i nie mów, że nie. Chodzi o Mirandę? Martwisz się, że przez to, iż mieszka u nas, możesz stracić pracę?

Myślała już o tym kiedyś, ale pomaganie biednej kobiecie to było ryzyko, które chętnie podejmowała... nie tylko ze względu na swoje uczucia wobec Michaela. Zawsze wyciągnęłaby rękę do człowieka, który był w tak tragicznym położeniu. Poza tym była zdania, że potwory takie jak Sebastian Heath powinno się eliminować.

Dziadek zaparkował auto pod blaszanym dachem wiaty. Kiedy poszedł zajrzeć do obory do zwierząt, Bryony i Rose ruszyły już do domu.

Kuchnia była pusta i Bryony cicho westchnęła z ulgą. Przy- najmniej jeszcze przez chwilę będzie w stanie utrzymać nerwy na wodzy.

- Obierz ziemniaki, a ja przyrządzę kurczaka - rzuciła w stronę Rose, kiedy zdejmowały swoje wierzchnie okrycia. - Będziemy mogły dorzucić te tłuste kawałki szynki, żeby dodać aromatu...

Kobiece głosy i śmiechy dobiegające z salonu sprawiły, że przerwała i szybko odwróciła głowę w tamtą stronę.

- Kto tam jeszcze jest? - zapytała Rose.

- To nie może być Lark... za wcześnie na przerwę świąteczną.

- Jedynym rozwiązaniem, które Bryony potrafiłaby sobie wyobrazić, było to, że któraś ze służących państwa Heath przyszła, by przynieść jeszcze więcej jedzenia. Jeśli pójdzie tak dalej, to przeżycie zimy wcale nie będzie tak trudne, jak się tego obawiała.

Miranda zajrzała do kuchni.

- Właśnie wydawało mi się, że was słyszałam. - W jej oczach błyskały iskierki, których nie było jeszcze dwie godziny temu, a twarz rozpromieniał radosny uśmiech. Odwróciła głowę w stronę salonu i zawołała:

- Callie, chodź, przywitaj się.

- Ach, to Callie. - Bryony odkręcała pokrywkę słoika z fasolą szparagową. - Bardzo się cieszę, że będziesz ją mogła poznać, Rosie. Jest wyjątkowo kochana.

Dziewczyna stanęła u boku Mirandy, mówiąc:

- Nie mogę dłużej zostać, mam. Czekają na mnie... - Słowa Callie ucichły, kiedy skrzyżowała spojrzenie ze wzrokiem Bryony. Musiała dostrzec jej konsternację.

- Tak, to prawda - wyszeptała Miranda, otaczając dziewczynę w pasie. - Callie to moja córka. Moja i Daniela.

- Czeka. W takim razie jesteś... - Bryony oparła się biodrami o blat, starając się dotrzeć do sedna tego wszystkiego. - Na miłość boską, ty jesteś wnuczką Heathów i siostrzenicą Michaela!

- Oczywiście oni nic o tym nie wiedzą - odrzekła Miranda, robiąc krok w przód. - Proszę, obiecaj, że nic nie powiesz.

- Nie... nie, oczywiście, że nie. - Przez tylne okno Bryony widziała, jak dziadek powoli przemierza podwórko. Zerknęła na Mirandę. - Może jednak lepiej, żebyś mi powiedziała, kto i co wie, żebym przypadkiem się z czymś nie wygadała.

Miranda wymieniła spojrzenie z Callie i obie uśmiechnęły się przepraszająco w kierunku Bryony.

- Z osób pracujących u Heathów chyba tylko ty *nie* wiedziałaś - wyjaśniła Miranda. - Esthera i Odette wiedziały od samego początku. Jeremiah dowiedział się, kiedy Callie się urodziła, bo zawoził Dancy po położną dla mnie.

- Rozumiem. - Bryony gryzła dolną wargę. - A co z Alice?

- Alice się domyśliła, gdy wysłałam Callie do pracy. - Delikatnym, pełnym matczynej miłości ruchem Miranda zatknęła kosmyk ciemnych włosów za ucho dziewczyny. Jej ręka zawisała w wypełnionym troską geście, który wywołał ucisk w sercu Bryony. - Stwierdziłam, że nie będę musiała się aż tak bardzo martwić, jeśli ona będzie z ludźmi, których znam i darzę zaufaniem.

Rose, która do tej pory obierała ziemniaki, przysłuchując się całej tej rozmowie, teraz napełniła garnek wodą i postawiła go na kuchni. Sięgając po słoik fasolki, posłała Bryony ostre spojrzenie.

- To wszystko jest bardzo ciekawe, ale moje zapasy energii ze śniadania skończyły się jakieś dziesięć minut temu. Może ugotowałybyśmy obiad?

- Kurczak... o mało o nim nie zapomniałam! - Otrząsając się z zamyślenia, Bryony wyjęła patelnię z szafki. I tak nie miała pojęcia, co miałyby teraz powiedzieć Mirandzie i Callie. Sekrety i sekrety. Jaką dziwną, pomieszaną rodzinę

stanowili Heathowie.

Zanim dziadek wszedł do domu, Callie ruszyła już swoją drogą, a Bryony postanowiła, że zachowa te wszystkie odkrycia dla siebie do czasu, aż zjedzą i pozmywają po posiłku. Rose słusznie zauważyła, że ważne rozmowy zwykle przebiegają lepiej, kiedy nikomu nie burczy w brzuchu.

Gdy Miranda poszła się położyć do sypialni, a Rose wyszła zanieść skrawki dla kur, Bryony opowiedziała o wszystkim dziadkowi. Ku jej zaskoczeniu, wcale nie wydawał się zdziwiony.

- Od razu zauważyłem, że mają te same oczy - stwierdził. Uśmiechnął się ciepło. - Tak samo jak ty masz oczy po mamie.

To wspomnienie przeszło Bryony dreszczem. W zamyśleniu bawiła się pasemkiem włosów, które luźno opadło jej na ramię.

- W takim razie skoro to takie oczywiste dla ciebie, dlaczego Heathowie nie zauważyli podobieństwa?

- Callie jest służącą. Dopóki wykonuje swoją pracę, bogacze, tacy jak Heathowie, nie będą na nią zbytnio zwracać uwagi.

Ale Michael mógłby. Powinien. Przecież ma dobre serce i oko artysty. Musiał zauważyć w tej dziewczynie coś szczególnego.

A ponieważ Callie należała do rodziny, on też miał prawo wiedzieć.

15.

- Miałem prawo się o tym dowiedzieć! - Michael przechadzał się tam i z powrotem po zużytym dywanie w salonie George'a Rigby'ego. Jego siostra siedziała w bujanym fotelu i chusteczką wycierała poznaczoną łzami twarz. - Twoja córka... a *moja siostrzenica*... prała i prasowała moje koszule oraz podawała mi posiłki przez ponad rok, a ja nic o tym nie wiedziałem!

Miranda wydmuchała nos i odpowiedziała:

- Nie chciałam, żeby rodzice się dowiedzieli, więc zobowiązałam Estherę i Odette obietnicą, że nic nie powiedzą, tobie także.

- Ale dlaczego, Mandy? Dlaczego posłałaś swoje dziecko na służbę do jej własnej rodziny? Ona zasługuje na coś więcej.

Miranda parsknęła.

- Wierz mi, Michaelu, nawet w tych ciasnych pokoikach służby na górze moja córka miała dużo lepsze życie niż ze mną i z Danielem w ciągu minionych lat.

Przywołując w pamięci obraz wycieńczonej siostry, która

jeszcze dwa dni temu leżała słaba na podłodze ich domu, Michael wiedział, że nie może się z nią nie zgodzić.

- Mimo to... - Zdjął okulary i chwycił się za grzbiet nosa. - Wolałbym wiedzieć. Powinienem być wiedzieć, powinienem był rozpoznać własną siostrzenicę.

Przechodząc przez ten niewielki pokój, Miranda podeszła do niego i otoczyła go ramionami, a następnie przytuliła się do jego piersi.

- Narobiliśmy sobie w życiu okropnego bałaganu, prawda, braciszku?

Po raz kolejny nie mógł zaprzeczyć. Uścisnął ją mocniej i poczuł jej delikatnie wypukły brzuch.

- Czy gdybyś miała wybierać po raz kolejny, zrobiłabyś to samo?

Przez chwilę milczała, a potem odrzekła:

- W pewnej mierze tak. Nie żałuję ani jednej chwili, którą spędziłam z Danielem. A Callie... jest moim promyczkiem. Ale są dni, kiedy żałuję, że pozwoliłam, by tata miał ostatnie słowo. Żałuję, że nie postawiłam na swoim i nie zmusiłam go do tego, żeby nas przyjął.

Michael zaśmiał się sarkastycznie.

- A jak właściwie chciałybyś to zrobić? Mówimy tu o naszym ojcu. O człowieku, który sam tworzy zasady, pamiętasz?

Miranda przechyliła lekko głowę i wpatrywała się w twarz Michaela.

- Trzyma cię w szachu, prawda?

- To nieistotne, dopóki... - Kątem oka wychwycił jakiś cień przemykający korytarzem. Podniósł wzrok i zobaczył Bryony patrzącą na niego z zagadkowym wyrazem twarzy.

Przez chwilę stała bez ruchu, a potem powoli potrząsnęła głową i wycofała się.

Jak wiele z tego wszystkiego słyszała? Lub widziała? Pytania Mirandy kłuły go boleśnie, a Bryony z łatwością mogłaby odczytać odpowiedź w jego oczach.

- Daj mi minutkę. - Michael delikatnie wysunął się z objęć siostry, by pójść za Bryony. Wszedł do kuchni dokładnie w momencie, gdy łąpała za sweter i wybiegała na zewnątrz.

Była już w połowie drogi do obory, kiedy w końcu zdołał ją dogonić. Złapał ją za nadgarstek, a ona obróciła się i rzuciła mu lodowate spojrzenie. Jej głos przepełniony był cierpieniem i wyrzutami. Rzuciła tylko:

- Dlaczego? Puścił jej dłoń.

- Naprawdę musisz wiedzieć?

- Chyba tak. - Bryony otuliła się ramionami. - Proszę, Michaelu. Powiedz, że nie porzuciłeś wszystkiego, nad czym tyle pracowałeś, o czym marzyłeś...

- Marzę o tobie, Bryony. Tylko o tobie. Dniem i nocą, aż doprowadza mnie to do szaleństwa. - Przysunął się do niej. Każdy nerw, każdy mięsień palił go od potrzeby, by wziąć ją w ramiona.

- Stój. Stój! - Wyciągnęła jedną rękę i oparła na jego piersi, zatrzymując go. - Nie mogę być powodem, dla którego porzucisz sztukę. Nie pozwolę ci zakuwać się w kajdany życia, którym pogardzasz.

Michael zacisnął palce na ramieniu Bryony i delikatnie opuścił jej rękę. Drugą dłonią otulił jej policzek.

- To nie była twoja decyzja, Bryony. Jeśli mogę zrobić coś honorowego dla kogoś, na kim tak bardzo mi zależy, i dzięki

temu znów poczuć się jak mężczyzna, z przyjemnością to uczynię.

Skrzywiła się, a po jej twarzy obficie płynęły łzy. Wtuliła się mocniej w jego dłoń, a on przyciągnął ją bliżej i dotknął ustami jej warg. Słona słodycz przeniknęła go całkowicie. Ale nawet kiedy go całowała, wyczuwał w niej jakiś opór, wycofywanie się i zaprzeczanie tym uczuciom, które były tak oczywiste.

Przerwała pocałunek i dalej stykając się z nim czołem, dotknęła jego ust opuszkami palców.

- Jesteś mężczyzną, Michaelu Heacie, najlepszym, najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

- Przystojnym? - Nie mógł powstrzymać śmiechu powątpiewania.

- Tak, przystojnym. - Bryony pochyliła głowę, a jej lekko zachrypnięty śmiech ogrzewał jego szyję. Kiedy podniosła wzrok, w jej ciemnobrązowych tęczówkach migotały odblaski zimowego słońca i Michael miał wrażenie, że jego serce zaraz pęknie. - Chciałabym umieć wyrazić to słowami tak dobrze, jak ty umiesz malować, bo dzięki temu mogłabym ci na wiele sposobów mówić o twoim pięknie i już nigdy byś w sobie nie zwałpił.

Poczuł piekący ból w piersi. Splótł swoje palce z jej palcami i uścisnął. Powiedziałby jej tu i teraz, że ją kocha, że nie potrafi sobie wyobrazić życia bez niej, gdyby tylko miał pewność, że ona całkowicie się od niego potem nie ode-tnie.

Chwila przeciągała się coraz bardziej, a żadne z nich nie odzywało się ani nie poruszało, aż w końcu Bryony wysunęła dłoń z jego uścisku i popatrzyła w stronę domu.

- Przyszedłeś zobaczyć się z Mirandą. Idź więc i pobądź z nią, póki możesz.

W milczeniu skinął głową i ruszył w kierunku werandy, ale ona nie poszła za nim. Kiedy otworzył drzwi moskitiery, odwrócił się, żeby zobaczyć, jak Bryony pochyla się i podnosi zeschnięty liść. Obracała łodyżkę w palcach, a potem zmięła go w pięści. Trzymając w dłoniach pokruszone brązowe kawałki, westchnęła i oddaliła się w stronę jałowych pól.

Palce Michaela pobielwały od siły, z jaką ścisnął klamkę. Zagubiony w swoich rozmyślaniach, a może raczej użalający się nad samym sobą, prawie nie zauważył, że George Rigby obserwuje go ze środka werandy.

- Ona ma złote serce, ta mała. - Wskazując ruchem głowy na Bryony, George popatrzył na Michaela spod przymrużonych powiek. - Nie mam ochoty patrzeć, jak cierpi jeszcze bardziej niż do tej pory, a przeszła już wiele.

- Ja też nie. - Michael wszedł na taras, pozwalając, żeby drzwi moskitiery zamknęły się za nim z trzaskiem. - Zależy mi na niej, panie Rigby. Bardziej nawet, niż potrafię wyznać.

- A zatem traktuj ją odpowiednio. - George skinął krótko i powłócząc nogami, odszedł do kuchni.

Michael został jeszcze na werandzie, a słowa starszego mężczyzny odbijały się w nim echem. Niczego nie pragnął bardziej, niż sprawić, by Bryony była szczęśliwa, ale podejrzewał, że jedyna rzecz, która najbardziej by ją uszczęśliwiła, mogłaby jednocześnie mieć katastrofalne skutki dla tych, których kochała. Dla jej dobra, dla dobra jej rodziny. Nie mógł ryzykować.

Bryony trzymała się z dala od domu do czasu, aż zobaczyła, że Michael już wychodzi. Nie wypowiedział tego na głos, nie przyznał prawdy, ale ona wiedziała. W głębi serca wiedziała dokładnie, w jaki sposób Sebastian Heath trzymał syna w szachu. Michael zdecydował się porzucić sztukę i pracować u boku ojca jedynie po to, by chronić Bryony i jej rodzinę.

Jak miała mu na to pozwolić - na takie *wyrzeczenie, zaprzeczenie* jego osobowości? Michael powinien być artystą, a nie ziemianinem zaprzątniętym prowadzeniem ksiąg rachunkowych. Wojna i jej następstwa już zabrały mu tak wiele, odciskając piętno na jego ciele i duszy. Prędzej czy później napięcie powodowane życiem zgodnie z żądaniami ojca złamie go zupełnie.

Ale czy ona nie robiła tego samego? Czy nie poświęcała własnych aspiracji i marzeń dla dobra swojej rodziny? Kiedy sobie to nagle uświadomiła, o mało nie upadła na kolana.

O, *Boże! Co ja mam robić? Czy taka jest naprawdę Twoja wola dla mnie... dla Michaela?* - posłała w myślach rozpaczliwą modlitwę.

Pod zamkniętymi powiekami zobaczyła obraz Jezusa przybitego do krzyża. *Bo tak Bóg umiłował świat...*

Miłość mogła być jedynym uzasadnieniem jakiegokolwiek poświęcenia. A z poświęceniem wiązała się nadzieja i oczekiwanie wyższego dobra. Bryony nie umiała sobie nawet wyobrazić, jakie błogosławieństwa ma przygotowane Bóg dla niej albo dla Michaela, albo dla ludzi, których kochali. Co innego mogła robić poza trwaniem w wierze

i trzymaniem się tego, na czym się tak dobrze znała - troszczeniem się o rodzinę najlepiej, jak potrafiła? Jeśli miało to oznaczać całe dnie pracy w rezydencji Heathów i wieczorne powroty do obowiązków na farmie, zniesie to z podniesioną głową.

Tak też minął kolejny tydzień, nie wyróżniając się szczególnie niczym od kilku minionych, poza tym tylko, że musiała się dodatkowo starać, żeby nie wyjawić prawdy o Callie. Nawet kiedy miała ręce pełne roboty przy praniu albo w kuchni, pilnowała języka na wypadek, gdyby pan lub pani Heath byli w pobliżu.

Nic się też nie zmieniło, jeśli chodzi o Michaela. Z tego, co wiedziała, spędzał całe poranki zamknięty w gabinecie z ojcem. Czasem wyjeżdżali gdzieś razem samochodem, zwykle sprawdzić sytuację u jakiegoś dzierżawcy albo na spotkanie z innymi plantatorami z okolicy. Zazwyczaj po południu Michael przebierał się w zwykłe ubrania, zakładał buty i mówił, że idzie się przejść, żeby rozprostować nogi. Tylko Bryony oraz inni służący wiedzieli, jaką trasą chodził - najpierw do rzeki, potem przez las i pola, aż do farmy Rigbyego.

W czwartek tydzień przed świętami Bożego Narodzenia Bryony spotkała go, gdy wracał drogą, a ona właśnie zmierzała w kierunku swojego domu. Słońce już zaszło i temperatura spadła lekko poniżej zera, więc Bryony szła opatulona płaszczem z postawionym wysoko kołnierzem i rękami wetkniętymi głęboko w kieszenie. Skupiła się na drodze przed sobą i na tym, jak bardzo jest jej zimno w stopy, tak że nie spostrzegła Michaela aż do momentu, gdy stał już na wprost niej. Przesłał jej chłopięcy uśmiech.

- Właśnie miałem nadzieję, że uda mi się na ciebie wpaść. Prawie w ogóle nie widziałem cię przez cały tydzień.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł? - Zerknęła nerwowo przez ramię.

- Tak, jestem przekonany, że to *bardzo* dobry pomysł. - Michael podszedł bliżej. Gdy wsunął ręce w kieszenie płaszcza Bryony i splótł swoje palce z jej, zadrżała, ale wcale nie z zimna.

- Michaelu... - W jego ciepłym oddechu tak blisko jej twarzy wyczuwała słodki zapach karmelu. - A co, jeśli ktoś będzie tędy przechodził?

Wzdychając z żalem, Michael puścił ją i odsunął się.

- Nie chciałem, żebyś czuła się skrępowana. Po prostu... tęskniłem za tobą.

Miała wrażenie, że jej kieszenie stały się teraz pustymi otchłaniami, a jej dłonie były jeszcze bardziej zmarznięte.

- Jak się dziś czuje Miranda? Wydaje mi się, że odzyskała trochę kolorów na twarzy, prawda?

- Z każdym dniem jest coraz silniejsza. Nie potrafię nawet opisać, jak bardzo czekam na te odwiedziny.

- Wiem, że również Callie bardzo się cieszy, mając tak blisko mamę. - Ich rozmowa przypominała zwykłą towarzyską wymianę zdań. Omijali jednak te kwestie, o których nawet ciężko było wspominać. Na przykład fakt, że Callie była służącą u własnych dziadków. Albo to, że łączyły ich uczucia, które sprawiały, iż gardło Bryony było tak bardzo ściśnięte, że nie była w stanie nawet przełknąć.

Zaczęła iść, by ukryć swoje roztrzęsienie. Gdy zdała sobie sprawę, że Michael zrównał z nią krok, przechyliła głowę i zerknęła na niego.

- Nie powinieneś skierować się w przeciwną stronę? Na pewno chcesz zdażyć na kolację.

- Obawiam się, że całkiem popsuł mi się apetyt po ciasteczkach, które dziś po południu piekła Rose. Poza tym cieszę się twoim towarzystwem.

Bryony zatrzymała się i popatrzyła na niego uważnie.

- *Rose* upiekła ciastka? Z czego?

- Przemyciłem z domu pod płaszczem trochę mąki, cukru i jajek. Swoją drogą, ciastka były przepyszne. Prawie wcale się nie spaliły. Ukryłem parę dla ciebie w spizarni. -Michael zaśmiał się cicho. - Rose i Miranda o mało co się nie pobiły o każdy okruszek. Dziadek też zjadł sporą porcję.

Wznosząc wzrok do nieba, Bryony potrząsnęła głową. Jakaś część w niej z rozkoszą myślała już o możliwości schrupania pełnego cukru ciastka, podczas gdy pozostała część walczyła z poczuciem winy i smutku wobec tylu biednych rodzin, które ledwie były w stanie przetrwać zimę. Jakby czytając w jej myślach, Michael posłał jej smutny uśmiech.

- To nic złego, żeby cieszyć się takimi darami, Bryony. Zwłaszcza po tym wszystkim, co zrobiłaś dla mojej rodziny i dla swojej też, zasługujesz na każdą chwilę przyjemności.

- A co z tobą, Michaelu? - Gryząc wargę, Bryony spojrzała mu głęboko w oczy. Nie umiała już odsuwać dłużej od siebie myśli, które cały czas ją prześladowały. - Jakimi darami ty się możesz cieszyć?

Zdjął okulary i zaczął starannie wycierać szkła chusteczką, którą wyciągnął z wewnętrznej kieszonki. Jak tylko skończył, skrzyżował spojrzenie z Bryony, przechylił lekko głowę i uśmiechnął się.

- Dla mnie darem jest słuchanie twojego śpiewu, kiedy

pracujesz gdzieś w pobliżu. Zatrzymanie się pod drzwiami, by posłuchać, jak czytasz mamie. Wyglądanie przez okno każdego poranka i wieczoru, żeby obserwować, gdy idziesz drogą.

- Michaelu...

- A największy dar? - Zbliżył się do niej, dłońmi delikatnie obejmując jej nadgarstki. - Siedzieć przy stole kuchennym u ciebie w domu z kubkiem mocnej, gorącej cykorii twojego dziadka i rozmawiać o zwykłych, codziennych sprawach. Nawet gdy ciebie nie ma, wyczuwam twoją obecność. Tam czuję się jak u siebie, a już nie pamiętam, kiedy ostatnio doświadczyłem takiego stanu.

Bryony uwolniła jedną rękę i starła strużkę płynącą po jej policzku.

- Kiedy tak mówisz, robi mi się smutno.

- Nie smuć się ze względu na mnie. - Jęknąwszy cicho, Michael zerknął przelotnie w stronę rezydencji Heathów. - Życie jest jakie jest, ale ja postanowiłem, że będę doceniał każdy okrucz radości, gdziekolwiek tylko się da. - Na jego usta powrócił uśmiech. - Tak jak w tych chwilach spędzonych z tobą.

Nieśmiało przysunęła się bliżej niego, obejmując jego pierś i kładąc głowę w zagłębieniu ramienia. Wdychała przesiąknięty świeżym powietrzem zapach jego wełnianego płaszcza i zrobiło jej się miło, kiedy poczuła, że jego ramiona zamknęły się wokół niej.

Kocham cię, Michaelu Heacie - rzekła w myślach. Ile by dała, żeby móc wypowiedzieć te słowa na głos! Ale nie, nie można pozwolić, by to zaszło tak daleko. Przecież to tylko płonne nadzieje. Chociaż siostra Michaela twierdziła, że nie

żałuje, iż zakochała się w najemnym pracowniku, nie skończyło się to dla niej dobrze - została wyrzucona z domu, wykluczona z rodziny, a teraz jej córka pracowała jako pokojówka i nie wiadomo było, gdzie podziewa się jej mąż.

- O czym myślisz, Bryony? - wyszeptał Michael, łaskocząc ją oddechem.

Opierając mocno dłonie o jego pierś, wyprostowała się i odparła:

- Jest już późno. Powinnam wracać do domu. I ty też. Widziała po jego minie, że jej nie wierzył, ale skinął tylko głową i powiedział:

- Oczywiście. Nie powinienem cię zatrzymywać dłużej.

- To chyba... do zobaczenia jutro. - Bryony wetknęła ręce w kieszenie płaszcza.

Michael uczynił to samo, odpowiadając:

- Z pewnością. Uważaj na siebie, jak będziesz wracać.

- Dobrze. Ty też.

Żadne z nich nie poruszyło się. A potem Michael powoli pochylił się w jej stronę i Bryony wstrzymała oddech, gdy jego usta zbliżały się do jej warg. Pocałunek był lekki jak puch, ale na długo pozostawił uczucie muśnięcia ciepłem.

- Do jutra - wyszeptał, a następnie odwrócił się i powoli odmaszerował drogą.

Kiedy Bryony w końcu weszła do domu, było prawie wpół do ósmej. Cała jej rodzina wraz z Mirandą zasiadła już do kolacji.

- Twoja porcja czeka w piekarniku - powiedziała Rose.

- Wróciłaś później niż zwykle. Wszystko w porządku?

Bryony odpowiedziała wymijającym *mhm*, wieszając swój płaszcz przy wejściu. Umyła ręce nad zlewem, następnie znalazła rękawicę kuchenną i przyniosła swój talerz do stołu. Usiadła ze zmęczeniem, a potem niewidzącym wzrokiem zapatrzyła się w wyschnięte udko kurczaka i kupkę zieleniny. Rose trąciła ją pod stołem w kolano.

- Obiecuję, że smakuje lepiej, niż wygląda. Bryony uniosła widelec i starała się uśmiechnąć.

- Przeszłaś już długą drogę w sztuce kulinarnej, Rosie. Słyszałam, że nawet piekłaś ciastka dziś po południu.

Znaczące spojrzenia, które wymieniali między sobą Rose, Miranda i dziadek sprawiły, że Bryony z brzękiem odłożyła widelec.

- Dobrze, tak, spotkałam po drodze Michaela. I cieszę się, że nikt inny nie szedł tamtędy, bo...

Rose uniosła brwi i uśmiechnęła się szeroko.

- Bo co, Bry? Zobaczyłby, że się całujecie?

- Hej, Rosie, dzieciaku - przerwał jej dziadek. - Nie drocz się z siostrą.

Policzki Bryony płonęły. Spuściła głowę i złapała z powrotem za widelec, a potem nabrała pełną szufkę zieleniny.

- Chciałam powiedzieć - rzekła, wycelowując ostry wzrok w stronę Rose - iż mogliśmy wzbudzić jakieś podejrzenia, że Michael przychodzi tu spotykać się z Mirandą.

- Mhm. - Rose nie zapomniała jej wcześniejszego zdania. Miranda odchrząknęła i wtrąciła:

- Może ja pozmywam po kolacji, Rose. A ty przynieś te ciasteczka, które Michael zachomikował dla Bryony w spiżarni.

Dziadek podziękował i zaczął tłumaczyć się wieczorną modlitwą, ale zanim odszedł, uściskał Bryony. Jego łagodny wzrok wyrażał współczucie i zrozumienie.

Rose stuknęła małą puszką obok miejsca Bryony.

- W lodówce jest trochę mleka. Hermiona przestała już dawać, ale Caleb dzisiaj rano przywiózł pół kwarty od ich krowy.

- To miło z jego strony. - Bryony nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy wgrzyzała się w kurczaka. Teraz sytuacja się odwróciła. - Popatrz tylko... Caleb Wieland poświęcił czas w ciągu pracowitego dnia, żeby przebyć taki szmat drogi tutaj i przywieźć ci pół kwarty mleka.

Rose wywróciła teatralnie oczami i zaczęła zbierać kolejne brudne talerze.

- Nawet sobie nie wyobrażaj nie wiadomo czego. Po prostu chciał nam podziękować za jedzenie, które im podarowaliśmy.

-Aha.

Kiedy Bryony kończyła kolację, Rose i Miranda szybko posprzątały w kuchni. Potem Rose dołączyła do dziadka w salonie, a Miranda usiadła na krześle po lewej stronie Bryony. Szczupła ciemnowłosa kobieta nadal miała sińce pod oczami, ale wyglądała dużo lepiej niż tydzień temu.

Bryony odsunęła swój talerz na bok i otworzyła puszkę. Cztery kruche ciasteczka zawinięte w czystą białą serwetkę pachniały słodko skarmelizowanym cukrem. Bryony sięgnęła po jedno i ugryzła, rozkoszując się chrupiącą słodyczą.

- Chcesz trochę mleka? - zapytała Miranda, podnosząc się z miejsca.

- Może później. - Bryony skinęła na Mirandę, żeby nie

wstawiała. - Teraz mój zmysł smaku jest już w zupełności dopieszczony. Gładząc ręką swój brzuch, Miranda westchnęła.

- Gdyby nie to, że Michael zapewnia nam mnóstwo jedzenia, czułabym się bardzo winna, tak się wam narzucając. Przynajmniej w ten sposób mogę obdarować waszą rodzinę.

Serce Bryony ścisnęło się. Odłożyła resztę ciasteczka na złożonej serwetce, a jej głos zmienił się w nabożny szept.

- Michael powiedział mi dzisiaj o tym, w jaki sposób on czuje się obdarowany. Słuchając tego, pomyślałam ze wstydem, jak często ja narzekam na swoją sytuację.

Miranda popatrzyła na nią podejrzliwie.

- Od kiedy tu jestem, jeszcze nie słyszałam od ciebie słowa skargi.

- Och, ale gdybyś mogła czytać mi w myślach! - Śmiejąc się sama z siebie, Bryony odłamała kawałek ciastka i wrzuciła do ust. Przeżuwała powoli, pozwalając by okruchy rozplływały się w buzi. Tymczasem w głowie przeżywała słodczy spotkania z Michaelem. Czowała jego dłonie splecione z jej dłońmi. Smakowała pełne czułości ciepło jego ust.

Wyprostowała się gwałtownie i parę razy zamrugła oczami, tym bardziej ciesząc się, że nikt nie potrafi teraz czytać jej myśli, choć dziwny uśmiech Mirandy sugerował, że mogła coś podejrzewać.

Sięgając nad krawędzią stołu, Miranda dotknęła ramienia Bryony.

- Michael cię potrzebuje, Bryony. Proszę, daj mu szansę.

- Nie - powoli odparła Bryony. - Michael najbardziej potrzebuje powrócić do rysowania. Bez sztuki jest jakby niepełny, brakuje mu najważniejszego elementu w nim samym.

Teraz Miranda patrzyła na nią z zaskoczeniem.

- Nie rozumiem. Twierdzisz, że mój brat jest artystą? Bryony zacisnęła usta.

- Nie powinno mnie dziwić, że nic ci nie powiedział. Nie po tym, co zrobił wasz ojciec.

- W takim razie może lepiej, żebyś ty mi o tym od razu opowiedziała.

Gdy Bryony opisywała piękne rysunki, które wyszły spod palca Michaela i to, jak dostał zlecenie, by wykonać ilustracje do artykułu w publikacji uniwersyteckiej, oczy Mirandy robiły się coraz większe i przepełnione dumą.

- Już prawie zapomniałam o tym, że jako chłopiec często rysował obrazki dla mamy. Przypinała je na ścianach swojego pokoju dziennego na górze, aż tata stwierdził, że jest ich zbyt dużo i zerwał je wszystkie. Ale mama zawsze je zachowywała i przypinała w swoim sekretarzyku.

Bryony z łatwością potrafiła sobie wyobrazić, jak Sebastian zdiera te dziecięce rysunki ze ściany i to jeszcze bardziej raniło jej serce i wzbudzało współczucie dla Michaela. Ze ściśniętym gardłem opowiadała dalej w surowych słowach, jak ojciec Michaela wziął wszystkie jego szkicowniki i przybory do rysunku i wrzucił do pieca.

- Ale w tych płomieniach nie spłonęły tylko jego rysunki. Tamtego dnia stracił swoją nadzieję.

Teraz już Miranda musiała tłumić ciche łkanie. W oczach kobiety tliło się przerażenie, a jej usta drżały od gniewu, który z trudem powstrzymywała.

- Jak mógł? *Jak on mógł?!*

Bryony nie miała już apetytu na ciastka, więc zamknęła puszkę. Pociągnęła nosem i ukradkiem otarła łzę.

- Zanim poszłam do pracy do twojego ojca, dziadek starał się mnie ostrzec, że on potrafi być wyjątkowo surowym człowiekiem. Ale to, co wyrządził tobie i Michaelowi... nigdy nawet nie śniłam, że ktokolwiek mógłby być tak okrutny dla własnej rodziny.

- Nie rozumiem go. Nigdy nie zrozumie. - Spuszczając wzrok, Miranda otuliła dłonią brzuch, jakby chciała go chronić.

- Kiedy tylko dowiem się czegoś od Daniela, zabieram Callie i jedziemy do niego, gdziekolwiek by nie był. I mam nadzieję, że daleko, jak najdalej od Edenu w Arkansas.

- To nie powinno być tak. Nic z tego nie jest tak, jak trzeba. - Bryony odsunęła krzesło i przeszła do ciemnego okna, w którym widziała swoje rozmazane odbicie. - Michael potrzebuje sztuki. Twoje dzieci potrzebują miłości dziadków. - Zwróciła twarz w stronę nieba i zamknęła oczy. *O, Panie, dlaczego nie możesz tego naprawić?* - spytała błagalnie w myślach.

- Jeremiahu, potrzebuję twojej pomocy. - Michael dopadł służącego w pokoju dla służby naprzeciw gabinetu Esthery.

Kamerdyner podniósł wzrok znad buta, którego właśnie pastował.

- Czegóż to panicz potrzebuje w ten piękny sobotni poranek i dlaczegóż ma taką poważną minę?

Sięgając po krzesło po drugiej stronie stołu, Michael usiadł z szeroko rozstawionymi nogami, ręce opierając na udach.

- Nie prowadziłem samochodu od czasu, gdy wozilem swojego dowódcę we Francji. Najwyższy czas, żebym znowu spróbował i chciałbym, żebyś mnie nauczył.

Z pełnym zamyślenia wyrazem twarzy Jeremiaś pogładził palcami swoją szpakowatą brodę.

- Pański tata nie ma nic przeciwko?

- Nie wspominałem mu o tym, ale wątpię, żeby miał jakieś obiekcje. Przecież oczekuje, że aktywnie się zaangażuję w zarządzanie plantacją Brookbirch. - Michael uśmiechnął się wymownie, co zwykle gwarantowało mu przychylność Jeremiaha w jego chłopięcych inicjatywach. - Powiedz tylko *tak*, a pomogę ci z tymi wszystkimi butami.

- Wie panicz, jak dobić targu. - Jeremiaś przesunął na środek stołu poplamioną ścierkę i puszkę pasty do butów. -Tylko proszę nie mówić tacie, że mi panicz pomagał.

- To będzie nasz sekret. - Michael wziął jeden z wytartych beżowych półbutów ojca i przymierzył się do podeszwy z ostrą szczotką.

Pracowali przez jakiś czas w pełnym życzliwości milczeniu, przerywanym jedynie sporadycznymi uwagami Jeremiaha na temat sztuki pastowania butów. Michael śmiał się w duchu, bo każdy w domu wiedział, że to najmniej lubiana czynność kamerdynera.

W przeciągu niecałej godziny skórzane buty błyszczały tak, że można się było w nich przeglądać. Jeremiaś odłożył na miejsce przybory i razem z Michaelem umyli ręce w łazience dla służby. Kiedy kamerdyner odnosił buty do apartamentów pana, Michael wziął swój płaszcz i parę minut później spotkał się z Jeremiahem w garażu.

Nie mogło być lepszego czasu, gdyż mama zdołała przekonać tatę, żeby zawiózł ją do Brinkley na spotkanie z jakimiś ich znajomymi z kościoła i oboje byli poza domem. Michael przeglądnął pojazdy w garażu i błyszczący zielony

Chevrolet Superior przykuł jego wzrok. Wskazał na niego Jeremiahowi i zapytał:

- Myślisz, że poradziłbym sobie z tym?

Marszcząc czoło z powątpiewaniem, Jeremiah zaprzeczył ruchem głowy.

- Może na razie nie, ale zobaczę, jak szybko sobie panicz przypomni naukę jazdy. Lepiej, cobym nie musiał się martwić, że cała moja wypłata pójdzie na naprawę takiego eleganckiego samochodu.

Trochę rozczarowany Michael wziął kluczyki, które wręczył mu Jeremiah, i skierował się w stronę Forda T. Usiadł za kierownicą i czekał, aż służący wyjaśni skonsternowanemu ogrodnikowi, dlaczego pożyczają jego auto.

Po kilku szarpnięciach przy wysprzęglaniu Michael zdołał wreszcie wyjechać na wstecznym z garażu bez uszczerbku dla auta i swojej dumy. Niedługo po tym już sunęli, trzęsąc się na wybojach przy całkiem niezłej prędkości. Michael zerknął na siedzenie obok i zobaczył, że Jeremiah wstrzymuje oddech, kurczowo trzymając się uchwyty na drzwiach, tak jakby od tego zależało jego życie. Zaśmiał się w duchu i jeszcze mocniej dodał gazu. Jeremiah zagwizdał cicho, po czym rzekł:

- Zwolnij galopu, paniczu! Nie uśmiecha mi się spotykać ze Stwórcą kołami do góry w rowie.

Michael zwolnił do bardziej przyzwoitej prędkości i zapytał:

- Czy masz coś przeciwko, żebyśmy pojechali do Edenu? Chciałbym wpaść do sklepu.

- Tylko proszę uważać na innych. W mieście ruch jest dużo większy niż na wiejskich drogach.

Po kilku zakrętach byli już na głównej drodze przecinającej Eden.

- Jeśli panicz potrzebował czego z miasta, trza było mi powiedzieć i bym kupił. - Jeremiaś parsknął. - Dużo łatwiej niżli straszyć mnie tak, zem się postarzał o dwajścia lat. Ni mam już tyle w zapasie.

- Znając cię, Jeremiahu, to sam pewnie miałbyś radochę, jakbyśmy pędzili jakieś sto siedemdziesiąt na godzinę. - Michael posłał kamerdynerowi serdeczny uśmiech, za co od razu został zrugany, że oderwał wzrok od drogi i mało brakło, a wjechałby w ciągnięty przez osła wóz farmerski.

Eden nie zmienił się wiele od czasu, kiedy Michael po raz ostatni podróżował przez miasto, czyli tego dnia, gdy ojciec przywiózł go do domu ze stacji dwa lata temu. Tak naprawdę, miasto niewiele urosło nawet od 1916 roku, gdy wyjeżdżał, by wstąpić do wojska. Głównymi ośrodkami był sklep wielobranżowy oraz magazyn z paszami i nasionami, a także stacja benzynowa i mały kościół, pełniący teraz również funkcję szkoły podstawowej dla okolicznych dzieci, które nie musiały zostawać w domu, by pomagać na farmie.

Oczywiście Michael i Miranda otrzymali wykształcenie w prywatnej szkole z internatem. To było nie do pomyślenia, żeby latorośle Sebastiana Heatha miały chodzić na lekcje z dziećmi dzierżawców i połowników.

Michael zahamował przed wejściem do sklepu i zgasił silnik. Jeremiaś wszedł za nim do środka, obserwując spod uniesionych brwi, jak panicz przechadza się alejkami. Czytając ceny produktów, Michael skrzywił twarz. Widział w księgach rachunkowych, ile ojciec płacił służącym w domu i teraz uświadomił sobie, że przy tych cenach nie mogli sobie

pozwolić na zbyt wiele. Nic dziwnego, że tak wiele rodzin farmerów musiało toczyć zaciekle bój, by mieć co włożyć do garnka.

Łysiejący sprzedawca kręcił się w pobliżu niego i w końcu zagadnął:

- Pan jest synem Sebastiana Heatha, prawda? Tym, co to pojechał na wojnę.

- Zgadza się. - Michael dźwignął worek z mąką. Sprzedawca wyciągnął rękę.

- Na imię mi Joe. Miło pana w końcu poznać. Tak, sir, to ja miałem tę przyjemność, by wysłać pańską pocztę do tej śmiesznej szkoły w Nowym Jorku. - Z jego szeroko otwartych oczu była ogromna ciekawość, która sprawiła, że to stwierdzenie stało się pytaniem.

Szczęki Michaela mimowolnie się zacisnęły. Zanim zdołał wydusić z siebie odpowiedź, Jeremiaś odkaszlnął donośnie i podszedł bliżej.

- Paniczu, chyba czas wracać, nie sądzi panicz? Opanowując swoje emocje, Michael uścisnął dłoń Joego.

- Za chwilę, Jeremiahu. - Obdarzył sprzedawcę chłodnym uśmiechem i rzekł do niego: - Jeśli możemy, Joe, chciałbym porozmawiać o stanie kont naszych dzierżawców.

Joe zmrużył oczy.

- A o co dokładnie pan pyta, panie Heath? Bo jeśli się rozchodzi o prywatność klientów, mam swoje zasady.

- Bez wyjawiania żadnych poufnych informacji. Jednak może moglibyśmy omówić korzystną dla obu stron umowę. - Wciąż się uśmiechając, Michael wziął mężczyznę za ramię i podprowadził go do lady. - Gdyby tylko mógł pan rzucić okiem na zeszyt...

W tym momencie nawet Jeremiaś był już zaintrygowany. Siwiejący służący dołączył do nich koło kasy.

- Cóżes to panicz tutaj wyprawia?

- Dobry uczynek - odparł, a następnie poprosił sprzedawcę, by podliczył saldo rachunków wszystkich rodzin dzierżawiących od Heathów. Kiedy Joe podał mu wynik, Michael głośno wciągnął powietrze przez zęby. - Aż tyle?

- Byłoby dużo wincej, alem musiał już przestać zapisywać na kredyt, abo bym poszedł z torbami. A i tak większość z nich nigdy nie będzie mogła spłacić tych długów. Susza nieźle nas urządziła.

Pochyliwszy nisko głowę, Michael mocno oparł dłonie na blacie.

- Joe, zrobimy to tak. Otwórz rachunek na mnie, na moje imię, nie na ojca, i przerzuć wszystkie długi naszych dzierżawców na ten rachunek. Nie obiecuję, jak szybko uda mi się to spłacić, ale gwarantuję, że to będzie znacznie szybciej, niż jakby oni mieli to zrobić.

Twarz Joego przeciął grymas pełen niedowierzania, kiedy długo i intensywnie wpatrywał się w Michaela. Potem odwrócił na nową stronę, polizał końcówkę ołówka i u góry kartki nagryzmolił „Pan Michael Heath”. Poniżej, po stronie „winien” zapisał kwotę, którą przed chwilą wymienił.

Zanim Michael wyszedł ze sklepu, dodał jeszcze do swojego rachunku mąkę, cukier, suszone owoce, fasolę i wędzoną szynkę. Jak już zapakowali z Jeremiahem zakupy do samochodu, Michael wręczył klucze służącemu, mówiąc:

- Teraz lepiej ty prowadź. Muszę przemyśleć parę spraw.

- Jak to, na przykład, w jaki sposób panicz zamierza wyjaśnić tacie, co panicz tu nawyprawiał?

- A kto powiedział, że on musi o tym wiedzieć? Jeremiaś potrząsnął głową.

- Sam się panicz prosi o kłopoty, wie panicz o tern dobrze. Wiedział aż nazbyt dobrze. Ale nadchodziły święta i ci udręczeni rolnicy bez środków do życia zasługiwali na chwilę wytchnienia. Poza tym, pomimo wspaniałych zapewnień gubernatora Parnella i prezydenta Hoovera, Michael słyszał już w wiadomościach, że otrzymają tylko wątłą część obiecanej pomocy. Nawet wysiłki Czerwonego Krzyża wypadały mizernie, gdyż według filozofii Hoovera potrzebujący mieli polegać na wyrozumiałości sąsiadów.

Niezbyt korzystne rozwiązanie, kiedy „sąsiad” okazywał się bezdusznym dusigroszem, takim jak Sebastian Heath.

- Jedźmy na farmę Rigbyego - zarządził Michael, kiedy wyjeżdżali z miasta.

- Hmm, powinienem był się domyślić. - Iskierka w oku Jeremiaha łagodziła jego szorstki ton.

Usadziwszy się wygodniej na siedzeniu, Michael skierował wzrok w stronę okna, ale w głowie widział jedynie Bryony. Nadal słyszał jej śpiewny głos, kiedy czytała matce *Opowieść wigilijną*, gardłowym głosem akcentując za każdym razem *Bal Głupstwo*.

Michael wątpił, czy kiedykolwiek zobaczy przemianę serca tego sknery, jakim był jego ojciec, ale tata nie mógł go powstrzymać przed wypełnianiem jego własnych uczynków miłosierdzia. W zeszłym tygodniu przyszedł pocztą czek opiewający na kwotę, która była wysoką zapłatą za te pięć ilustracji, jakie przesłał do czasopisma przyrodniczego. Aż do dzisiejszego nagłego zrywu nie planował w ogóle ruszać tych pieniędzy, ale teraz miał okazję, by dzięki

nim zrobić coś dobrego. Przynajmniej na początek, bo jego własne finanse ograniczały się jedynie do niewielkiej renty wojskowej. Będzie musiał coś wykombinować, żeby spłacić dług, który teraz miał w sklepie, wiedział jednak, że na pewno uda mu się coś wymyślić. Od tego miał teraz zależeć jego szacunek wobec samego siebie.

16.

Nic nie mogło się równać z zapachem świeżej, czystej, dopiero co wyprasowanej pościeli. Bryony wciągała głęboko w nozdrza miłą woń, kiedy razem z Callie pracowały, składając i układając w stosach prześcieradła. Ponieważ pan i pani Heath byli w odwiedzinach u znajomych, Bryony spędziła większość dnia w pralni z Callie albo w kuchni, pomagając Odette przy świątecznych wypiekach.

Kiedy się nad tym zastanowiła, doszła do wniosku, że kuszące słodkie aromaty wypiekanych przez kucharkę ciast i ciasteczek jednak wygrywają z zapachem świeżej pościeli.

Dla Bryony był to z pewnością jeden z przyjemniejszych dni pracy. I nie chodziło o to, że nie lubiła podawać herbaty czy czytać pani Heath, ale kiedy kobieta traciła orientację i Bryony musiała udawać, że jest sąsiadką, która wpadła w odwiedziny, takie niezręczne sytuacje były dla niej męczące.

Callie złożyła razem rogi prześcieradła i rzekła: - Jeszcze pięć dni do świąt. Będzie wspaniale mieć mamę tak blisko siebie. - Heathów nie było w domu, więc mogła

mówić bez obaw. - W zeszłym roku nie dostałam wolnego nawet w Boże Narodzenie.

- Naprawdę? To straszne! - Bryony podała Callie koniec prześcieradła, który trzymała, a potem uchwyciła materiał w połowie i powtórzyła całą czynność od nowa. - Nigdy wcześniej nie myślałam o tym, że praca tutaj będzie obejmować także święta.

- Bogaci ludzie chcą, żeby im usługiwano każdego dnia w roku.

Spostrzeżenie Callie z pewnością nie dotyczyło Michaela. Mijając dzisiaj rano warsztat dla służby, Bryony zauważyła, jak razem z Jeremiahem pastował buty. Ci dwaj rozmawiali sobie jak starzy znajomi, śmiejąc się nawzajem ze swoich żartów. Później obaj odjechali samochodem ogrodnika, albo raczej to Michael odjechał, niezbyt wprawnie, jeśli Bryony wolno było to oceniać. Wycofując z garażu, ledwie zdołał ominąć najbliższe zarośla.

Westchnąwszy ze smutkiem, Callie odłożyła poskładane prześcieradło na wierzchu rosnącego stosu.

- Oczywiście chciałabym też wiedzieć, co z tatą. I jak ma przekazać mamie wiadomość, skoro nie wie, że ona teraz jest tutaj?

- Przykro mi, Callie. Naprawdę żałuję, że nie jestem w stanie ci pomóc. - Bryony wygładziła kolejne prześcieradło na desce do prasowania. Od pierwszego dnia, gdy spotkała tę młodą dziewczynę, zauważyła, że Callie nie mówi tak prostym językiem jak inni służący. Teraz już wiedziała dlaczego. Miranda sama uczyła Callie, przekazując jej podstawy arytmetyki, czytania, pisania i dykcji. Niezależnie od tego, jaką przeszkodą mogło być dla Callie jej pochodzenie,

Miranda chciała się upewnić, że nie będzie dodatkowo obciążona brakiem wykształcenia. Panna Esthera stanęła w drzwiach pralni, oznajmiając:

- Pan i pani przekazali właśnie wiadomość, że zjedzą dzisiaj kolację u przyjaciół. Mogę więc odprawić wszystkich, którzy wypełnili już swoje obowiązki. - Z rękami założonymi przed sobą, posłała im cierpki uśmiech. - Ponieważ wygląda na to, że wy dwie już prawie tu skończyłyście, jestem pewna, że z chęcią skorzystacie z chwili wolnego czasu dzisiaj po południu.

Callie rozpromieniła się i rzuciła w stronę Bryony:

- Mogę iść odwiedzić mamę!

- Na pewno bardzo się ucieszy. - Bryony zerknęła do wiklinowego kosza stojącego koło jej nóg. - W zasadzie powinnaś iść tam od razu. Ja skończę prasowanie i wkrótce do was dołączę.

Dziękując jej, Callie uścisnęła ją tak mocno, że nieomal połamała jej kości. Zerwała fartuszek i ściągnęła szybko płaszcz z wieszaka. Wychodząc, o mało nie udusiła panny Esthery w kolejnym uścisku i niedługo potem zniknęła za rogiem domu.

Panna Esthera weszła głębiej do pomieszczenia i zamknęła za sobą drzwi.

- Dobra i troskliwa z ciebie dziewczyna, Bryony. Callie ma szczęście, że jesteś jej przyjaciółką.

- To ona jest dla mnie darem, jedyna, która... - Bryony przerwała. To już dawno przebaczone i zapomniane.

- Nie musisz nic mówić, Bryony. Wiem, że na początku niektórzy z nas byli dla ciebie niemili. Nie chcę tu teraz kogokolwiek usprawiedliwiać, ale może teraz już rozumiesz.

- Panna Esthera pomogła wygładzić materiał rozpostarty na desce do prasowania. - Callie jest nam bardzo droga. Kiedy zostałam przyjęta jako pokojówka, część osób obawiała się, że zajmiesz pozycję, która należała się Callie.

Bryony odstawiła żelazko. Przewierciła wzrokiem pannę Estherę.

- Callie *należy się*, by była przyjęta i kochana za to, kim jest.

- Trudno się nie zgodzić. Jednakże... - Panna Esthera westchnęła ciężko, a jej piwne oczy pociemniały. - Pewnie domyślasz się, że ja też pochodzę z mieszanej rodziny.

- Zastanawiałam się nad tym - odparła Bryony, odwracając wzrok.

- Moi rodzice jednak nie pobrali się tak jak mama i tata Callie. Ojciec był właścicielem firmy produkującej tkaniny w Birmingham, w której zatrudniona była moja matka. Wmówił jej, że gdyby ona nie... - Uniósłszy brodę, kobieta wzięła gwałtowny wdech. - Wystarczy rzecz, że moje poczęcie nie miało nic wspólnego z miłością.

- Tak mi przykro - powiedziała Bryony. - Ale Callie ma dwoje rodziców, którzy ją kochają. Ma wujka, który zrobiłby dla niej wszystko. Jak jej rodzeni dziadkowie mogli się tak od niej odwrócić?

Smutny śmiech panny Esthery odbił się echem pośród surowych, kamiennych ścian.

- Żyjemy na południu. Co więcej trzeba tłumaczyć? Kobieta wyszła parę minut później, pozostawiając Bryony

sam na sam z jej wywróconymi myślami i poczuciem niesprawiedliwości. Czy Pismo Święte nie uczyło, że wszyscy byli jedno w Chrystusie? Dlaczego rasa, kolor skóry albo

klasa liczyły się aż tak bardzo? Dlaczego w ogóle były jakieś podziały pomiędzy dziećmi bożymi?

Do czasu, kiedy skończyła prasować i składać pościele, rosnąca frustracja zdążyła mocno ścisnąć jej wnętrzności. Nie mogła się już doczekać powrotu do rodziny, która kochała ją bezwarunkowo, do najdroższych ludzi, którzy dawali, dawali i jeszcze raz dawali. Nawet gdy sami niewiele mieli. Larkspur też powinna już być w domu, korzystając z przerwy świątecznej w college'u. Mały domek będzie przepełniony ciepłem i radosnymi głosami.

Bryony ułożyła stertę pościeli w bieliźniarce na piętrze, a potem chwyciła swój płaszcz wiszący w tylnym korytarzu, wzięła kopertę z tygodniowym wynagrodzeniem z gabinetu panny Esthery i wybiegła do wyjścia. Kiedy okrążała południowy róg domu, od strony drogi nadjeżdżał właśnie samochód ogrodnika. Jeremiaś zatrzymał się koło niej i spuścił szybę.

- Już do domu, panno Bryony?

- Tak. - Wyjaśniła, że wypuszczono ich wcześniej z tej okazji, że Heathowie wyjechali na cały wieczór.

- W takim razie proszę wskakiwać i pozwolić się odwieźć. Jak ma się dodatkowy czas wolny, szkoda marnować choćby jednej minuty.

To była niezaprzeczalna prawda. Bryony była na nogach przez cały dzień i niezbyt uśmiechała jej się długa droga do domu. Podziękowała mężczyźnie i pomknęła w stronę drzwi pasażera. Jeremiaś mrugnął do niej, gdy już się usadowiła.

- A właśnie wracam nazad od ciebie. Ależ tam świąteczne zapachy! Twoje siostry i panienka Miranda zdecydowały ostro wziąć się do pieczenia.

Bryony posłała sędziwemu kamerdynerowi uśmiech pełen wdzięczności.

- Pewnie przywiozłeś kolejne zapasy.

- O, nie ja, panienko. - Jeremiaś skierował samochód w wąską dróżkę. - To wszystko sprawka panicza. Wykupił dzisiaj niemalże cały sklep starego Joego. - Odkaszlnął, a potem wymamrotał coś, co Bryony nie do końca zrozumiała. Wydawało jej się, że brzmiało to jakby: „I to jeszcze nie wszystko”.

Przeszył ją skurcz niepokoju.

- Co on zrobił, Jeremiahu? Proszę powiedzieć, że nic, co by ściągnęło na niego gniew jego ojca.

Jeremiaś wbił wzrok przed siebie i zacisnął szczęki. To wystarczyło jej za odpowiedź. Zerknął szybko w jej stronę.

- Ten chłopak ma więcej serca niżli rozsądku, ale jak już co sobie umyśli, to ni ma bata, coby go zatrzymać.

Bryony nawet nie ważyła się zgadywać, w co wpakował się Michael. Zawsze bez wielkiego gadania starał się zrobić coś dobrego. Ale jego życzliwe serce i tak kosztowało go już bardzo wiele. Wystarczyło, że zamknęła na chwilę oczy i znów była tam, tego pamiętnego dnia, koło pieca do spalania śmieci.

Kiedy kamerdyner zahamował przed ostatnim zakrętem, Bryony wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

- Jeremiahu, czy mógłbyś mi pomóc zrobić coś dobrego dla Michaela?

- Z przyjemnością zrobię wszystko dla panicza. Co ma panienska na myśli?

- On powinien wrócić do malowania. Wiem, że jeśli tego nie zrobi, nigdy nie będzie naprawdę szczęśliwy.

Starszy mężczyzna potrząsnął głową.

- Wszyscy wiemy, jak to się skończyło. Jeśli jego tata się dowie...

- Nie dowie. - Bryony sięgnęła do kieszeni płaszcza i wyjęła kopertę ze swoją wypłatą. - Michael mówił, że czasami kupowałeś dla niego materiały do rysunku w Little Rock. Ile kosztowałyby szkicownik i pudełko tych kredek, które lubił?

Jeremiah zajrzał do koperty. Jego zmarszczone brwi mówiły, że to, co tam było, nie wystarczało.

- Mam jeszcze trochę odłożone w domu. Jeśli mógłbyś... Uciszył ją, lekko ściskając jej dłoń.

- W poniedziałek mam znowuż jechać z panną Estherą do Little Rock na zakupy, coby dostać to, czego ni ma w Edenie albo Brinkley. Będziem nieopodal sklepu dla artystów, więc zobaczymy, co się da tam kupić dla panicza.

Bryony wcisnęła mu w rękę kopertę.

- Proszę to wziąć. Jeśli będzie za mało, dopłacę później. Poznaczona ciemnymi plamami skóra wokół oczu mężczyzny ściągnęła się w radosnym uśmiechu.

- Przysięgłbym, panno Bryony, że panienska to ma wielkie serce podobnie do panicza Michaela. Bóg pobłogosławił nam tego dnia, gdy pojawiłaś się u Heathów.

W wigilię Bożego Narodzenia Larkspur zerwała się z łóżka bladym świtem, trochę przez to, że stara kanapa w salonie nie była najwygodniejszym miejscem do spania, ale przede wszystkim dlatego, że przygotowując śniadanie, Bryony niechcący upuściła garnek.

- Bryony, pozwól, że cię wyęcę - powiedziała, zawiązując pasek od szlafroka. - Nie ma powodu, żebyś miała dla nas gotować, skoro potem czeka cię cały dzień pracy u Heathów.

- I tak przygotowywałam dla siebie śniadanie. Przynajmniej tyle mogę dla was zrobić - odparła Bryony i ustawiła garnek z wodą na kuchni. - Zwłaszcza że nie chciałaś przyjąć mojego łóżka i pozwolić mi spać w salonie.

- Co my z tobą mamy zrobić, Bry? - Larkspur objęła siostrę w pasie. - Czy ty kiedykolwiek przestaniesz się martwić o nas wszystkich i zajmiesz się sobą?

- Hm, może jak już będziesz pełnoprawną nauczycielką, a Rosie poślubi jakiegoś mądrego i przystojnego mężczyznę, takiego jak Caleb Wieland. - Bryony odmierzyła owsiankę do gotującej się wody. - Wtedy zostanie tylko dziadek i ja. Będziemy mogli wyruszyć w rejs na Tahiti i wylegiwać się w hamakach owiewani bryzą znad oceanu.

Od tylnego wejścia dobiegł je szorstki śmiech dziadka.

- Kto się wybiera na Tahiti?

- Ty i Bryony, jeśli można jej wierzyć. Ale tylko jak pozbędziemy się jej teraz z kuchni i zmusimy, żeby w końcu zrobiła coś dla siebie, a nie tylko dla wszystkich innych. - Larkspur wyrwała drewnianą łyżkę z ręki Bryony i odgoniła ją. - A ty co, nie masz jakichś prezentów do spakowania?

Zagniewane zmarszczone brwi Bryony rozluźniły się. W jej oczach pojawił się błysk, jak u zakochanej na zabój nastolatki, i wybiegła z kuchni.

Dziadek odwiesił swój zużyty wełniany płaszcz i tweedową czapkę, a potem wziął kubek z szafki i napełnił go gotującą się na wolnym ogniu cykorią. Larkspur nie rozumiała, jak mógł pić taki gorzki, orzechowaty napój, ale ponieważ

zbiory były kiepskie, a ceny w sklepie wciąż rosły, prawdziwa kawa była poza ich zasięgiem. Uśmiechnęła się w duchu, myśląc o niewielkiej torebce ziarnistej kawy, którą przywiozła z Arkadelphii i zapakowała dla dziadka na świąteczny prezent. Nie było zbyt wiele paczek pod niewielką patykową choinką, którą w zeszły weekend dziadek ściał i ustawił pod oknem w salonie, ale przynajmniej mieli skromny, acz przytulny dom i pełne żołądki. Jak mogłaby narzekać w czasach, gdy tak wielu ludzi nie miało nawet tyle?

Owsianka w końcu zgęstniała i Larkspur napełniła miseczki. Niedługo potem Rose wpadła przez tylne drzwi. Jej policzki były zarumienione od zimna. Z rozkoszą wdychała domowe aromaty.

- Te rodzynki, które przywiózł nam Michael, będą pysznie smakowały w mojej owsiance.

- Ale tylko kilka, Rosie. Musimy zostawić trochę na cynamonowe bułeczki, które będą piekła na świąteczne śniadanie. - Larkspur wciąż była zaskoczona, ile wspaniałości Michael przywiózł im w zeszłą sobotę. Nie wspominając już o tym, że po powrocie z college'u zastała u siebie w domu jego siostrę. Miranda była dosyć miła, ale Larkspur martwiła się, jak się to wszystko skończy.

Oczywiście nie mogła nie zauważyć coraz poważniejszych uczuć, jakie Michael Heath żywił wobec Bryony, zresztą nie bez wzajemności. Bryony promieniała entuzjazmem, kiedy w poniedziałek wróciła po pracy i znalazła szkiecownik oraz komplet kredek, które Jeremiah kupił w Little Rock. Schowała te materiały do rysunku pod swoim łóżkiem i zobowiązała wszystkich, by ani słowem nie wspominali o tym Michaelowi, gdy ich odwiedzi.

Co faktycznie zdarzało się bardzo często. Przychodził codziennie, od kiedy Larkspur wróciła do domu, i nigdy nie zjawiał się z pustymi rękami. Najpierw te wszystkie artykuły spożywcze w sobotę po południu, potem w niedzielę kawał pieczeni, która została z jego rodzinnego obiadu. W poniedziałek to była puszka rodzynków i kolejny worek mąki, a wczoraj płócienny wór pełen batatów. Co by się stało, gdyby Sebastian Heath dowiedział się, gdzie znika całe jego jedzenie? Wystarczyło pomyśleć o okrucieństwie, które wyrządził własnemu synowi i córce. Larkspur nie chciała jednak nawet wyobrazić sobie, jakie nieszczęścia ściągnęłyby na siebie Bryony, gdyby on się dowiedział, że znów zachęciła Michaela do malowania... albo, co gorsza, o jej udziale w całej historii z Mirandą.

Siedząc już przy stole, Rose wmieszała niewielką łyżkę rodzynków do owsianki i podała puszkę Larkspur i dziadkowi.

- Wspominałam wam, że spotkałam wczoraj w mieście Caleba, kiedy poszłam odebrać pocztę? Mówił wyjątkowo dziwne rzeczy. Jego mama wysłała go, żeby spłacił choć trochę długu na rachunku w sklepie, a Joe powiedział mu, że nie mają nic do spłacenia. *Zero*. Kto mógł wyświadczyć im taką przysługę?

Zerkając spod przymrużonych powiek na Rose i Larkspur, dziadek rzekł:

- Jorgensen opowiadał, że przydarzyło mu się to samo.
- Gdybym nie wiedziała, jak kiepsko jest u nas - zaczęła Larkspur z figlarnym uśmiechem - podejrzewałabym, że to twoja sprawka, dziadku. Jak ci się wydaje, kto to mógł...
- Ja wam powiem dokładnie kto. - W drzwiach stanęła Bryony ubrana w swój mundurek służącej, z włosami ciasno

upiętymi w koku. Jej oczy mieniły się blaskiem zakochanej na zabój kobiety, tak że aż Larkspur poczuła ukłucie zazdrości.

To by było na tyle z rozmowy, którą planowała odbyć z siostrą przed swoim powrotem do college'u. Michael mógł być inny niż jego ojciec, ale Bryony i tak powinna być ostrożna, ponieważ bogaci ludzie, tacy jak Heathowie, mieli władzę nie tylko zabrać podstawowe środki do życia, ale też zniszczyć wszystko, na czym człowiekowi najbardziej zależy.

Ale przekonać Bryony, żeby zrezygnowała z ukrywania Mirandy w ich domu, zachowała dystans do Michaela i po prostu skupiła się na swojej pracy? Larkspur podejrzewała, że takie rady odniosłyby teraz taki skutek jak rzucanie grochem o ścianę.

Ojciec Michaela zerknął do pustej filiżanki po kawie.

- Co za głupi pomysł, żeby dać służącym cały dzień wolny.

- Pozwól, że ci usłużę. - Michael sięgnął po czajniczek z kawą stojący na kredensie i napełnił filiżankę ojca. - Zapewniam cię, że Odette przygotowała wcześniej tyle jedzenia, że ani przez chwilę nie będziemy głodni. - Uśmiechając się krzywo, dodał: - *Wesołych świąt, wujaszku Scrooge.*

Grymas, który wymalował się na twarzy ojca, powiedział mu dokładnie, co tata myśli o tym epitecie.

Kiedy Michael okrążył stół z imbryczkiem herbaty dla mamy, ona obdarzyła go promiennym uśmiechem.

- Myślę, że to był wspaniały pomysł. Najlepszy prezent, jaki mogliśmy dać służącym. Zasługują na to, by spędzić dzień Bożego Narodzenia ze swoimi rodzinami.

- Możemy podziękować naszemu kochanemu synowi za ten wielkoduszny gest dobrej woli. - Ojciec Michaela uniósł filiżankę, udając, że wznosi toast. - Domyślam się, że ty także podasz nam obiad?

- Jeśli nie uda mi się wyciągnąć cię do pomocy. - Ignorując kolejny gniewny grymas, Michael zajął miejsce i zaczął rozsmarowywać dżem truskawkowy na połówce bułki. Chciał już wziąć pierwszy kęs, ale odłożył bułkę na skraj talerzyka. - Czy to w ogóle możliwe, żebyśmy przynajmniej raz spędzili przyzwoicie święta w naszym domu, jeśli nie możemy być szczęśliwi?

Przez krótką chwilę Michael miał wrażenie, że dostrzegł w oczach ojca cień skruchy.

- To są szczęśliwe święta - oznajmił ojciec. Ujął rękę żony i popatrzył jej z miłością w oczy. - Jestem tu z moją piękną panną młodą i naszym synem, bohaterem wojennym...

- Tato...

- ...który wreszcie zajął swoje właściwe miejsce w rodzinie. - Uśmiech, który wycelował w kierunku Michaela, niósł w sobie raczej ostrzeżenie niż rodzicielską dumę. - Jakich lepszych świąt mógłbym pragnąć?

- Och, uwielbiam święta Bożego Narodzenia. - Twarz mamy wyrażała jednak jakąś tęsknotę. - Gdyby tylko... gdyby tylko Miranda wróciła do domu. Nie ma jej z nami już tak długo.

Michael rzucił ojcu znaczące spojrzenie, ale nic nie powiedział. Wmusił w siebie resztę bułki, która nagle w jego ustach smakowała jak papier, i to wcale nie była wina Odette. Popił posiłek kawą, odsunął krzesło i siląc się na miły ton, powiedział:

- Mamo, może przejdziemy do salonu i zapalimy lampki na choince?

- Tak, dobry pomysł! - Gdy Michael pomagał jej wstać, puściła oko do męża. - Pospiesz się, Sebastianie, kończ już kawę, żebyśmy mogli zobaczyć, jakie niespodzianki przyniósł nam święty Mikołaj.

Jej słowa ożywiły wspomnienia z dzieciństwa, kiedy jeszcze była z nimi Miranda i razem spędzali święta. W każdą wigilię cała rodzina udawała się do Little Rock na pasterkę w zabytkowej katedrze pod wezwaniem świętego Andrzeja Apostoła. Później spędzali noc w luksusowym hotelu, jedli cudowne świąteczne śniadanie w odświętnie udekorowanej hotelowej jadalni i wracali do domu. Michael i Miranda biegli na wyścigi z garażu do salonu, by zobaczyć, jakie skarby przyniósł im święty Mikołaj. Nawet jako nastolatki nie utracili tej dziecięcej gorliwości. Michael westchnął w duchu, żałując, że nie można powrócić do tych pięknych czasów.

Jak zawsze prawie całą przestrzeń pod choinką zajmowały prezenty, głównie dla mamy. Tata wydawał się nigdy nie mieć dość kupowania jej drogiej biżuterii, apaszek i różnych dzieł sztuki. Podczas gdy matka z radością wzdychała nad kolejną wysadzaną drogimi kamieniami bransoletką, ojciec Michaela wręczył mu podłużne pudełko owinięte w błyszczący papier. W środku znajdowało się srebrne pióro wieczne z wygrawerowanym imieniem i nazwiskiem syna.

- Na twoje biurko - powiedział ojciec z prawdziwą dumą w głosie. - To, że mogliśmy pracować razem przez te parę ostatnich tygodni było dla mnie... - Zacisnął usta i potrząsnął głową. - Słowa nie wyrażą tego, co to dla mnie znaczy, że znów mam przy sobie swojego syna.

Michael podniósł pióro z wyściełanego czarnym aksamitem etui i badał jego ciężar. Otworzył zatyczkę i ujął je w dłoni. Idealnie wpasowało się w zagłębienie środkowego palca tak wyżłobionego od chwytania kredek. Przełknąwszy z trudem, odłożył pióro do pudełka i zamknął wieczko.

- Jest... piękne. Dziękuję, tato.

- Będzie jeszcze jedna niespodzianka - orzekł ojciec. - Miałem nadzieję, że zdążą przed świętami, ale trzeba poczekać jeszcze jakiś tydzień. Nie będziesz już pracować przy tym rozlatującym się stole albo gdzieś po kątach. Zamówiłem nam podwójne biurko.

Michael poczuł nagły ucisk w piersi i zdołał jedynie skinąć. Bał się nawet odpowiedzieć cokolwiek, szczególnie ze względu na siedzącą obok matkę. Zamiast tego uklęknął pod choinką i wyciągnął prezenty, które spakował dla rodziców. Ponieważ jeździł samochodem dopiero od zeszłego weekendu, nie miał jak sam wybrać się na zakupy, ale poprosił Jeremiaha, żeby przy okazji ostatniej wizyty w Little Rock wyszukał dla niego egzemplarz najnowszej powieści Edny Ferber, *Cimarron*. Książka będzie nowością, którą mama razem z Bryony będą mogły się wspólnie cieszyć.

Jeśli chodzi o ojca, nie był aż tak kreatywny. Para beżowych rękawiczek z cielecej skóry i ciepły wełniany szalik wydawał mu się odpowiedni dla mężczyzny, który cenił sobie praktyczność.

- Cóż za wspaniałe święta, sami we czworo. - Mama wstała nagle i zaczęła zbierać pudełka, papiery i wstążki. - Tylko... Miranda jeszcze nie otworzyła swoich prezentów. To niemożliwe, żeby nadal bawiła się w swoim pokoju na górze. Czyżby zapomniała, jaki dzisiaj mamy dzień?

Tata podniósł się i otoczył mamę ramieniem. Powiedział powoli przez ściśnięte gardło:

- Mirandy nie ma, kochanie. Pamiętasz?

- Jest w internacie? Dlaczego nie przywiozłeś jej do domu? Michael nie mógł już dłużej tego znieść. Musiał wyjść, żeby nie wybuchnąć i nie wykrzyczeć całej prawdy, więc przeprosił i usprawiedliwił się, iż pójdzie sprawdzić, co Odette przygotowała im na uroczysty lunch. W kuchni bez trudu odnalazł pokrojone mięsa, przyprawy i chrupiący chleb, a także sałatkę z fasoli na zimno i dwa rodzaje ciast. Kucharka wyłożyła talerze, serwetki i sztucce na tacę, więc zostało tylko podać jedzenie na stół. Michael podjął decyzję, że kiedy tylko zjedzą, oświadczy, że musi zaczerpnąć trochę świeżego powietrza i poćwiczyć jazdę autem, a potem wymknie się do domu Bryony.

Nie mógł się już doczekać. Jego serce skakało z radości na samą myśl, że będzie mógł znowu z nią przebywać. I tylko dzięki temu, że wiedział, iż jego siostra była bezpieczna pod opiekuńczym okiem Bryony i jej życzliwej rodziny, był w stanie przetrwać ten trudny dzień. Wkrótce on też będzie świętował Boże Narodzenie w prawdziwej rodzinie wypełnionej miłością.

O Boże, dlaczego? Dlaczego wszystko w mojej rodzinie jest takie popaprane? - westchnął w myślach. Michael nie modlił się zbyt wiele od dnia, kiedy lata temu odszedł z domu. Przynajmniej nie było to nic poza takimi samymi zrozpaczonymi wołaniami, które wszyscy żołnierze wznosili ku niebu, gdy wojna we Francji rozgorzała na dobre. Po ataku gazem musztardowym, kiedy Michael leżał w szpitalu polowym na granicy śmierci, młody ksiądz bardzo długo

siedział obok niego. Kapelan Vickary był świadkiem najgorszych potworności, jakie jeden człowiek mógł wyrządzić drugiemu, a jednak mimo to nie stracił wiary w to, że Wszechmogący może wszystko poukładać na nowo.

Michael wiele by dał za to, żeby mieć choćby ziarenko takiej wiary. Prawie żałował, że wymówił się wczoraj wieczorem, kiedy rodzice namawiali go na pójście z nimi na pasterkę. Mając na uwadze stan matki, nie jeździli już do świętego Andrzeja, tylko do kościoła księdza Dempseya w Brinkley. Rodzice chcieli zabrać go tam też rok temu, podczas pierwszych świąt Bożego Narodzenia, które spędzał w domu po wojnie, ale Bóg wydawał się zbyt daleki przez tak długi czas, a Michael nawet nie miał siły, żeby udawać.

A jak ci się wydaje, co ty teraz robisz? Udajesz dobrego syna, podczas gdy twoją jedyną pociechą są potajemne odwiedziny w biedniejszej, ale szczęśliwszej rodzinie - usłyszał wyrzut we własnym sercu. Chciał bronić się, że ta dwulicowość miała służyć temu, by chronić ludzi, których kochał najbardziej, ale jeśli miałby być całkiem szczery, wiedział, że robił to także dla siebie. Ponieważ im dłużej ukrywał te wspaniałe chwile, które spędzał w towarzystwie Bryony i jej rodziny, a teraz także swojej siostry i siostrzenicy, o której nawet wcześniej nie wiedział, tym dłużej był w stanie znieść resztę.

Po przepysznej świątecznej kolacji, na której królował pieczony królik, kandyzowane bataty oraz fasolka szparagowa, i dla odmiany nie było ani śladu rzepy, Bryony pomagała siostronom pozmywać naczynia. Zarówno Miranda, jak i Callie

proponowały pomoc, ale Bryony nalegała, by raczej nacieszyły się sobą i tym wspólnym czasem.

Larkspur podała starszej siostrze talerz do opłukania, mówiąc:
- Powinnaś dać odpocząć nogom, kiedy tylko masz taką możliwość, Bry. Ani się obejrzysz, a będzie już jutro.

- Nie przeszkadza mi to. - Stuknęła się ramionami z siostrami. Po jednej stronie miała Lark, a po drugiej Rose. Potem wręczyła najmłodszej z nich talerz do wytarcia. - Wolę być tutaj z wami niż gdziekolwiek indziej.

Rose pochyliła się i uniósłszy brew, posłała Larkspur wymowne spojrzenie, komentując:

- Hm, myślisz, że ona mówi to serio? A może po prostu odlicza czas do przyjścia Michaela?

- Aż ty... - Tłumiąc pełen zmieszania chichot, Bryony prysnęła wodą prosto w twarz Rose.

Ochlapana krzyknęła i otarła policzki ścierką kuchenną, a potem zdzieliła tą samą ścierką ramię Bryony.

- Au! Hej, bo jeszcze cię wezmę przez kolano, jak będzie trzeba, młoda damo.

- To ty zaczęłaś! - Śmiejąc się, Rose odsunęła się tanecznym krokiem spoza zasięgu najstarszej siostry.

Larkspur skarciła obie nauczycielskim tonem:

- Dostyc, wy dwie. Ostrożnie, bo potłuczecie najlepszą porcelanę dziadka.

Choć dzielił je stół, Bryony kiwała się raz w prawo, raz w lewo, udając, że zaraz zaatakuje.

- Mogłabyś nam zaoszczędzić sporo czasu, Lark. Pomóż mi złapać tego małego urwisa.

- O, nie! Co to, to nie! Nie wrobisz mnie w wasze utarczki.

- Ale jesteś sztywniak! - Śmiejąc się niecznie, Bryony rzuciła się w stronę Rose i już prawie zdołała ująć ją za ramię, ale nagle straciła równowagę i wpadła wprost w objęcia dziadka, który właśnie wszedł do środka. Potknął się i zrobił krok do tyłu, podnosząc Bryony z powrotem do pionu.

- Dobry Boże! Co tu się wyprawia?

Wywracając oczami i wzdychając głęboko, Bryony wygładziła sukienkę, tłumacząc:

- Tak tylko się wygłupiamy. Nic się nikomu nie stało.

- Mam nadzieję, zwłaszcza uwzględniając, jakie goście właśnie przyszli - podsumował dziadek, zrzucając płaszcz.

Bryony rzuciła okiem na zegar wahadłowy. Było wpół do trzeciej.

- Nie wiedziałam, że Wielandowie przyjdą tak wcześnie.

- To nie oni. - Kącik ust dziadka uniósł się nieznacznie i starszek zmierzył Bryony wymownym spojrzeniem.

Serce skoczyło jej do gardła, a w głowie błysnęło tylko: *Michael*.

- Bryony, oddychaj! - Rose poklepała ją po ramieniu. Ale choć starała się, jak tylko mogła, nie była w stanie

wziąć oddechu. Jeszcze parę dni temu szkicownik i komplet kredek wydawał jej się idealnym prezentem, by przywrócić Michaelowi jego osobowość. Teraz, zastanawiając się, jak on zareaguje, była przerażona.

A on już tutaj był, stał za plecami dziadka w otwartych drzwiach z nieśmiałym uśmiechem na twarzy i tymi jasno-niebieskimi oczami patrzącymi na nią zza szkieł okularów.

- Mam nadzieję, że zdążyłem jeszcze na deser. - Obchodząc dziadka, podał Bryony naczynie przykryte ściereczką. - Przyniosłem ciasto.

17.

To niesamowite, jak to samo ciasto, którego próbował godzinę temu razem z rodzicami, mogło smakować o tyle lepiej tutaj, przy stole Georgea Rigbyego. Michael zgarnął więcej nadzienia bokiem widelczyka i włożył do ust, jęknąwszy z rozkoszą. I chociaż jeszcze nie do końca polubił smak cykorii, wcale nie przeszkadzała mu ta nutka goryczy uzupełniająca posmak prawdziwej parzonej kawy, którą Larkspur podarowała dziadkowi na święta. Michael poczuł się zaszczycony, że także jego poczęstowali takim wyjątkowym napojem.

- Jeszcze kawy, paniczu Mi... znaczy, *wujku* Michaelu?
- Policzki Callie oblały się odcieniami różu, ale usta rozciągały się w szerokim uśmiechu.

- Bądź ostrożna, Callie. - Miranda delikatnie dotknęła ręki córki. - Lepiej się nie przyzwyczajaj tak go nazywać, bo możesz się zapomnieć pewnego dnia, kiedy to będzie istotne.

- Wiem, mamó, ale to takie miłe, że nie musimy ukrywać prawdy. Przynajmniej nie tutaj, z dala od... - Smutny wzrok Callie wyrażał to wszystko, czego nie umiała wypowiedzieć

na głos. Żal do dziadków, którzy nie chcieli się do niej przyznać.

- Tylko połówkę, jeśli byłabyś tak dobra, Callie. - Michael odchylił się na oparciu krzesła. - A potem ty i twoja mama musicie otworzyć prezenty.

Miranda ściągnęła usta.

- Coś ty zrobił, Michaelu? Przecież wiesz, że nie miałyśmy za co kupić ci prezentu.

Chciał powiedzieć coś o tym, że spędzony z nimi świąteczny czas jest dla niego najlepszym prezentem, o jakim mógł marzyć, ale słowa utknęły mu w gardle. Zamiast tego potrząsnął głową i skupił się na picciu kawy.

Kiedy skończył, poszedł szybko do chevroleta i wrócił z podarkami. Jeremiaś przechowywał je dla niego w ukryciu w szafce służących. Na szczęście były na tyle niewielkie, że udało mu się je schować pod płaszczem, gdy wychodził z domu.

Bryony zaproponowała wszystkim, by przeszli do salonu. Ona i jej siostry przyniosły dodatkowe krzesła z kuchni, a dziadek dorzucił drewna do ognia w brzuchatym piecyku. Wkrótce wszyscy siedzieli w przytulnym pokoju. Michael usadowił się na kanapie między Mirandą i Callie, George w wyściełanym fotelu na biegunach, a panny Linwood zajmowały rząd kuchennych krzeseł. Wonny cedr, udekorowany pstrokacizną szklanych i drewnianych ozdób i zwieńczony odzianym na biało ceramicznym aniołkiem na czubku, stał dumnie pod oknem.

Michael wręczył Callie zapakowane w ozdobny papier pudełko, a drugie podobne podał Mirandzie.

- Tak bardzo chciałem zrobić jeszcze więcej... i pewnego

dnia mi się uda... ale obawiam się, że wyszedłem trochę z wprawy.

Miranda posłała mu wyrozumiały uśmiech, kiedy rozwiązywała wstążkę i rozrywała papier pakunkowy. Uniosła pokrywkę i zobaczyła szatkę do chrztu dla dziecka.

- Och, Michaelu! - wykrzyknęła, tuląc ubranko do piersi. - To twoje, prawda?

- Trochę pozółkło od starości, ale było używane tylko raz - odparł, puszczając do niej oko. Odwrócił się w stronę Callie, która wciąż patrzyła na jeszcze nieotwarty prezent, jakby w ogóle nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. - No dalej, otwórz.

W nabożnym skupieniu Callie zerwała wstążkę i papier, a potem wyjęła oprawiony w skórę tomik poezji Henrygo Wadswortha Longfellowa. Przekartkowując książkę, czytała na głos poszczególne tytuły, za każdym razem wzdychając błogo.

- Niestety książka też nie jest nowa - dodał przepaszająco Michael. - Miałem tylko rok albo dwa lata mniej od ciebie, kiedy mama mi ją podarowała.

- Będę się o nią troszczyć do końca życia... - Ze łzami w oczach Callie wstała i wyciągnęła ramiona w jego stronę, ale nagle się zawahała.

Zanim zdążyłaby się cofnąć, Michael pochwycił ją w uścisku, którego pragnienie wyczytał w jej postawie.

- W porządku, Callie. Jesteś moją ukochaną siostrzenicą i tutaj nie musisz nigdy udawać, że jest inaczej.

W pokoju rozległy się pociągnięcia nosem. Larkspur wstała i chwyciła Rose za rękę, mówiąc:

- Chyba, ee, powinniśmy iść i... coś sprawdzić.

- Och, tak, oczywiście. Dziadku, będziemy potrzebować twojej pomocy.

George zgodził się niechętnie i mruczając pod nosem, podniósł się z bujanego fotela.

- Zawsze coś z temi dziewczętami. Lepiej sprawdzić, o co chodzi.

Miranda otarła wilgoć z oczu rękawem koszuli, a potem poskładała szatkę do chrztu i starannie włożyła ją do pudełka. Ucałowała Michaela w policzek i uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Pójdę to odłożyć - powiedziała, wstając. - Weź swoją książkę, Callie, to będziesz mogła mi poczytać parę wierszy.

Kiedy wszyscy wyszli z salonu, Michael podniósł wzrok i zauważył, że Bryony nadal siedzi naprzeciw niego. Jej usta drżały i widać było, że nerwowo przełyka ślinę. Posłała mu niepewny uśmiech, a potem odwróciła wzrok.

W końcu dotarło do niego, że inni specjalnie zostawili ich samych. Teraz on też poczuł się zdenerwowany - zaniepokojony, zaintrygowany i ucieszony jednocześnie. Chciał już przesiaść się bliżej niej, żeby mogli porozmawiać... może wymienić pocałunki... ale wtedy nagle ona zeskoczyła z krzesła. Przeszła w stronę choinki i kiedy uklękła, gęste, ciemne pukle rozsypały się na jej ramionach. Wyglądała tak pięknie z profilu, z tymi zaróżowionymi policzkami i spódnicą skromnie okrywającą kształtne łydki.

Rzucając mu przelotne spojrzenie, sięgnęła głęboko pod postrzępione gałęzie i wyjęła duży, płaski prezent opakowany w pomarszczony brązowy papier przewiązany czerwoną wstążką. Nie podnosząc się z kolan, obróciła się i usiadła na podłodze u jego stóp. Położyła mu prezent na kolanach.

- Przepraszam za to nie najpiękniejsze opakowanie, ale skończył się nam świąteczny papier i tylko tak udało mi się to owinąć.

Michael uniósł w rękach podarunek, którego kształt oraz ciężar były mu aż nazbyt dobrze i boleśnie znajome. Poczul pieczenie w piersi.

- Bryony...

- Proszę, Michaelu, otwórz.

Wydawało mu się, że nie da rady, ale jakimś cudem zmusił niewspółpracujące palce i poluzował wstążkę, a potem rozerwał papier. Ręce drżały mu, gdy otwierał pokrywkę pudełka kredek i niepewnie przesunął palcem po wielokolorowym szeregu. Teraz miał wrażenie, że jeszcze trudniej niż otworzyć, będzie mu zamknąć to pudełko. Wyciągnął szkicownik i komplet kredek w kierunku Bryony, mówiąc:

- Ja nie mogę tego przyjąć.

- Oczywiście, że możesz. - Przysuwając się bliżej, włożyła mu je z powrotem w dłoń, a potem podniosła się na kolana i szybko usiadła na kanapie obok niego. - Michaelu, nie pozwól, żeby twój ojciec wygrał tę walkę. Nie pozwól mu dać się zastraszyć i nie porzucaj swojego pięknego, wspaniałego, podarowanego ci przez Boga talentu.

- On już wygrał, Bryony. - Chłód i sztywność ogarniały wnętrzości Michaela, tak że nawet promieniowanie rozgrzanego piecyka nie mogło go ogrzać. - Robię to, co muszę... dla ludzi, których kocham.

- Wiem, że tak jest, i wiem, dlaczego. - Głos Bryony stał się bardziej surowy. - Ale to nie musi się tak skończyć. Nadal możesz być *sobą*. - Sięgnęła po pudełko kredek i odłożyła je na bok, a jej głos wypełnił się tą samą czułością co jej gesty.

- Niech to będzie twoje bezpieczne schronienie, tak jak dla Mirandy i Callie. - Otworzyła okładkę szkicownika, ukazując białą stronę. - *Potrzebujesz sztuki, Michaelu. Potrzebujesz malowania, by żyć, tak jak powietrza, by oddychać.* - Wręczyła mu ciemnozieloną kredkę, zamykając jego palce wokół drewnianka, gdyż wydawało się, że on sam zapomniał, jak to się robi.

Wtedy, jakby w ogóle nad tym nie panował, jego ręka zaczęła się poruszać ponad kartką, a szelest kredki po papierze stał się hipnotyzujący. Pierwszy postrzępiony, ząbkowany liść nabierał kształtu, a po nim kolejny, i kolejny. Zmienił zieleń na umbrę paloną i dorysował wijącą się między liśćmi łodygę. Potem inny odcień zieleni i parę pociągnięć żółtym oraz jasnobrązowym. Używając czerwonego, brązowego i różowego, stworzył grono jagód ostrokrzewu.

Nie zdawał sobie nawet sprawy z płynących po jego twarzy łez, aż Bryony sięgnęła do kieszeni po chusteczkę i starła kroplę, która spadła na kartkę. Zatrzymał rękę i wpatrywał się w tę kobietę, ledwie pojmując głębię miłości, która przenikała teraz jego duszę.

- Jak... jak?

Przytuliła go i oparła głowę na jego ramieniu.

- Jeremiah mi trochę pomógł.

Zamknął oczy, a z jego piersi wypłynął cichy, przepęlniony bólem śmiech.

- No, tak.

Bryony uniosła głowę i jedną ręką ujęła jego policzek, nie pozostawiając mu wyboru poza spojrzeniem prosto w te łagodne, brązowe oczy, które były tak samo zalane łzami jak jego własne.

- Obiecuj mi, Michaelu Heacie. Obiecuj mi, że będziesz jeszcze malować. Więcej i więcej.

Nie mógł mówić, mógł jedynie kiwnąć głową... i pochylić swoje wargi, całując jej usta, by przekazać płynącą z głębi serca wdzięczność i dozgonną miłość.

<^®<-~>

To wszystko było nie tak. Zupełnie nie tak, jak trzeba. Pozwoliła sobie zakochać się w Michaelu i to mogło skończyć się tylko złamanym sercem. Choć teraz to wydawało się zupełnie nieistotne, bo Bryony nie mogła już zatrzymać tego, co się działo, nawet gdyby bardzo chciała. Z każdą chwilą, którą spędzała w jego towarzystwie, kochała go coraz bardziej. Uwielbiała to, jak czasem okulary zsuwały mu się z nosa, kiedy się nad czymś skupiał. Uwielbiała jego zapach - mieszankę wody po goleniu, wełnianych swetrów i strużyn kredek.

A teraz codziennie po skończonej pracy mogła oczekiwać na spotkanie z nim przy jej stole kuchennym, gdzie rozłożone miał przed sobą kredki i szkicownik, bo właśnie tworzył nowy rysunek. Na początku martwiła się, że Sebastian mógłby nabrać jakichś podejrzeń co do popołudniowych wypraw syna, zwłaszcza że coraz częściej zostawał na farmie do późna i nie wracał do domu na kolację. Gdyby ojciec Michaela odkrył, co tu się działo, byłiby wszyscy w niezłych tarapatach.

- Nie dowie się - zapewniał ją Michael parę dni po świętach. - Jeśli chodzi o mojego ojca, codzienna wycieczka do lasu albo przejażdżka autem po okolicy jest moją zasłużoną

nagrodą za wkład wymaganej ilości godzin we wdrażanie się w interesy plantacji.

W kolejny piątek, drugi dzień nowego roku, kiedy Bryony szła właśnie w stronę małego saloniku, żeby poczytać pani Heath, przed domem zatrzymał się samochód dostawczy. Granatowe litery na białym tle głosiły: „CLARKSON AND SONS, NAJLEPSZE MEBLE DLA DOMU I BIURA”. Czterech krzepkich mężczyzn odzianych w kombinezony w kolorze khaki wyskoczyło z samochodu i Jeremiaś wskazał im korytarz prowadzący do gabinetu pana Heatha.

Chwilę później z gabinetu wyszedł Michael ze skrzyżowanymi na piersi ramionami i zaciśniętymi wargami. Uchwycił przelotnie spojrzenie Bryony i tylko wstrząsnął głową, a potem zniknął za rogiem. Z gabinetu dobiegły ją szelesty i szurania, którym towarzyszyły wywrzaskiwane instrukcje pana Heatha. Gdy tylko zobaczyła, jak Jeremiaś wycofuje się z pomieszczenia, Bryony przywołała go na bok i zapytała:

- Co się tam dzieje?

- Przywieźli nowe biurko panu Heathowi. - Głośne westchnięcie wyrażało jego irytację. - Proszę mi wybaczyć, panno Bryony, ale muszę otworzyć stryszek nad garażem, żeby mogli tam przenieść poprzedni stół.

Zanim zdążyła zapytać, dlaczego wynoszą stary mebel, zamiast zostawić go dla Michaela, Jeremiaś wybiegł na zewnątrz.

Drzwi do saloniku otworzyły się.

- W samą porę - powiedziała Dancy, wychylając z sapnięciem głowę przez drzwi. - Pani Heath życzy sobie wpierw kolejny rozdział książki, co to ją czytacie, zanim pójdzie na

popołudniową drzemkę. Jezusieńsku, a ja, jak nie dam nogom odpocząć, to nie wiem, co się mnie zaraz zrobi.

Zerkając niespokojnie w kierunku Michaela, Bryony prosiła w duchu, żeby te nowe porządki Sebastiana, cokolwiek miały znaczyć, nie zniechęciły jego syna do rysowania... albo do regularnych odwiedzin po godzinach.

- Moja droga Bryony, nareszcie jesteś. - Pani Heath usiadła prosto, patrząc na Bryony, kiedy ta wchodziła do salonu. Potem jej twarz posmutniała. - Miałam nadzieję, że tym razem przyprowadzisz swoją babcie. Czy mówiłaś jej, jak bardzo chciałabym się z nią spotkać?

- Przykro mi. Babcia jest... - Bryony zagryzła wargę. Luki w pamięci pani Heath pogarszały się i wciąż były powodem takich dziwnych momentów i niewygodnych pytań. Tym razem Bryony udało się znaleźć zadowalającą i jednocześnie prawdziwą odpowiedź. - Ona jest z moimi rodzicami.

- Och, to dobrze. Violeta jest taką miłą i życzliwą osobą. - Pani Heath poklepała Bryony po ręce. - Tak jak ty, moja droga. Proszę, usiądź teraz i zobaczmy, jakie nowe przygody czekają Yanceya i Sabrę.

To było niesamowite, że ta kobieta zawsze pamiętała postaci i wydarzenia z dowolnej książki, którą w danym momencie czytała. Teraz to był *Cimarrón*, świąteczny podarunek dla pani Heath od Michaela. Ale któż mógłby przypuszczać, że taka wytworna kobieta tak bardzo pokocha opowiadanie o wyścigu po ziemię w Oklahomie?

Bryony podjęła lekturę w miejscu, gdzie zatrzymały się wczoraj, ale ciężko jej było się skupić ze względu na hałas dobiegający zza drzwi. Najchętniej odłożyłaby książkę i wyjrzała na zewnątrz, żeby dojrzeć ten wspaniały nowy

mebel, który zamówił pan Heath. To musiało być coś ogromnego, biorąc pod uwagę, jak trzęsła się podłoga pod czterema parami ciężkich butów, nie wspominając już o wszystkich posapywaniach i stęgnięciach.

Kiedy głośny łomot sprawił, że figurki wystawione na zdobionej witrynie brzęknęły, pani Heath wydała stłumiony okrzyk i zawołała:

- Mój Boże, czy to jakieś trzęsienie ziemi?

- Nie, proszę pani. To tylko mężczyźni przenoszący meble. Usta kobiety wygięły się w łuk, a na jej twarzy wymalowało się zdziwienie.

- Nie przypominam sobie...

- Jeremiaś mówił, że pan Heath dostał nowe biurko. - Jednym palcem zaznaczając stronę, Bryony zamknęła książkę. - Na pewno już niedługo skończą. Może poczekamy i dokończymy ten rozdział, kiedy się trochę uspokoi?

- Chyba tak będzie lepiej. - Zaniepokojona twarz pani Heath rozpromieniła się nagle w uśmiechu. - Ach, tak! To podwójne biurko dla Sebastiana i Michaela. Wiesz, teraz pracują razem. Kiedyś plantacja Brookbirech będzie należeć do Michaela i musi się wiele nauczyć.

Podwójne biurko. Nic dziwnego, że Michael był taki rozgorączkowany. Kolejna oznaka żelaznego uścisku, w jakim ojciec trzymał jego życie. Wkładając pomiędzy strony koronkową zakładkę, której używała wcześniej, Bryony zamknęła książkę i odłożyła ją na stolik obok.

- Zapewne chętnie się pani prześpi przed popołudniową herbata. Proszę pozwolić...

- Sebastian od razu przejął zarządzanie plantacją - przerwała jej pani Heath, wzrokiem błędząc gdzieś daleko. - Nie

miałam braci, sama rozumiesz, więc Brookbirch miało być dla mnie... ale tylko pod warunkiem, że wyjdę za męża, zanim mój ojciec umrze. - Jej głos stał się surowszy. - W przeciwnym wypadku mój funta kłaków niewarty starszy kuzyn odziedziczyłby wszystko.

Bryony nie była pewna, czy to były informacje przeznaczone dla jej uszu, więc nerwowo podniosła się z siedzenia.

Ale pani Heath jeszcze nie skończyła. Patrząc w stronę wysokich wschodnich okien, uśmiechnęła się smutno i kontynuowała:

- Sebastian nie miał zbyt wiele, gdy się poznaliśmy. Nic poza niezaspokojoną ambicją i bystrą głową do interesów. Kiedy po raz pierwszy zapytał, czy może się ze mną spotykać, mój tata stanowczo odmówił. „Sebastian Heath?” -mówił z niezadowoleniem. - „Ten biedny syn farmera nigdy nic nie osiągnie”. - Zaśmiała się cicho, wspominając tamte słowa. - Ale mój Sebastian był wytrwały i po krótkim czasie tata uświadomił sobie, że ten człowiek naprawdę kocha ziemię i nie tylko wie, jak sadzić i zbierać plony, ale rozumie też, w jaki sposób zwiększać zyski i umacniać plantację. Tata powiedział mi, że jeśli nie poślubię Sebastiana, to zostaje mi już tylko klasztor.

Do Bryony niewiele już docierało po tym, jak padły słowa *syn farmera*. Trudno jej było sobie wyobrazić Sebastiana Heatha w innej roli niż jako bogatego plantatora, którym się stał. Zgrzytnęła zębami i głośno westchnęła. On *wiedział*. Wiedział dokładnie, jak to jest żyć od sezonu do sezonu, nie mając pewności, czy kolejny grad lub susza nie pozbawi cię wszystkiego. Jak więc mógł się tak zmienić, że teraz lekceważył trudy swoich dzierżawców? Swojej własnej córki?

I pojawiała się jeszcze jedno pytanie: ile z tej przeszłości ojca było znane Michaelowi i Mirandzie? W ich rozmowach Michael nigdy nie wskazywał na to, żeby jego tata był kiedyś zupełnie kimś innym.

- Muszę przyznać - zaczęła powoli Bryony - że pan Heath stał się bardzo znany w tej okolicy.

- Oczywiście. - W oczach pani Heath błysnęła jakaś tęsknota, ale nadal wpatrywała się w okno. - Jak mówi Pismo Święte, żaden prorok nie jest mile widziany w swojej ojczyźnie. Gdyby Sebastian pozostał w Conway, nigdy nie zdołałby uciec od swojego pochodzenia. Tutaj miał szansę naprawdę stać się kimś.

Kimś? - odbiło się echem w sercu Bryony. Ona chyba wolałaby zostać nikim do końca swojego życia, niż stać się kimś takim jak Sebastian Heath.

- On zawsze czuł, że potrzeba wiele trudu, by zyskać szacunek dzierżawców - ciągnęła pani Heath. - Musiał być stanowczy, żeby nauczyli się, że nie można go wykorzystywać. - Kobieta mówiła coraz ciszej, prawie szeptem i Bryony nie wiedziała, czy to dlatego, że nagle uświadomiła sobie, iż w pokoju był ktoś jeszcze. - Ale dzieci nie mogą się o tym nigdy dowiedzieć. Uwielbiają swojego tatę i to by całkiem go dobiło, gdyby stracił u nich poważanie.

Bryony czuła, jak gniew rozdziera jej serce, i ledwie zdołała się powstrzymać, by nie wybuchnąć płaczem. Jak mężczyzna, który w ogóle nie zważał na szczęście dzieci, śmiał oczekiwać, że będą go za to kochać i szanować?

Musiała natychmiast opuścić ten pokój, zanim straci panowanie nad emocjami i zacznie wyrzucać z siebie te wszystkie przykre słowa, które się w niej kłębiły. Wstając na drżących

nogach, zwinęła dłonie w pięści.

- Proszę mi wybaczyć, pani Heath - rzekła drżącym głosem. - Źle się poczułam. Zaraz przyślę tu Dancy.

Siwowłosa kobieta obróciła się powoli w stronę Bryony i zwróciły się ku niej zdziwione oczy, teraz przesłonięte mgłą zapomnienia.

- Tak mi przykro, moja droga. W takim razie napijemy się razem herbatki kiedy indziej, gdy już się lepiej poczujesz. I... przyprowadź następnym razem babcię. Tak bardzo tęsknię za Violetą.

Ojciec Michaela stał po jednej stronie pokaznego podwójnego biurka i z podziwem przesuwając palcami po wypolerowanym mahoniu, który otaczał wprawioną wkładkę z ręcznie tłoczonych skóry.

- I jak? Co sądzisz?

Michael wątpił, by ojciec naprawdę chciał poznać jego myśli w tym momencie. Pociągnął za jeden ze zdobionych mosiężnych uchwytów i zajrzał do środka wykładanej drewnem dębowym szuflady.

- Jest... duże.

Ojciec wybuchnął pełnym dumy śmiechem.

- Tak, to prawda. Dobrze, że to pomieszczenie nie jest mniejsze, bo musielibyśmy wyburzyć ścianę. - Potarł dłonią o dłoń. - Przysuń sobie fotel i możesz zaadaptować swoją część.

- Tato, jest już po czwartej. Wydaje mi się, że wystarczy tych wrażeń jak na jeden dzień. - Michael niepewnie ruszył

w stronę drzwi. - Wkrótce się ściemni, a ja jeszcze muszę koniecznie rozprostować nogi.

Ojciec spojrział na niego surowo i przyciągnął swój wyściełany, skórzany fotel w stronę biurka, a potem ciężko usiadł.

- Te twoje przedłużające się wieczorne wyprawy stają się męczące.

- Mówiłem ci już, że po całym dniu garbienia się nad księgami rachunkowymi i publikacjami rolniczymi mam tak zmęczone oczy i cały jestem zeszywniały od szyi po kolana. Obiecuję, uporządkuję swoją część biurka jutro z samego rana.

- Już zapomniałeś? Jutro jest spotkanie stowarzyszenia plantatorów w Little Rock i tym razem nalegam, abyś wybrał się tam ze mną. To będzie dla ciebie bardzo kształcące. - Ojciec Michaela wyciągnął stos teczek z kartonowego pudełka i trzasnął nimi o blat. - To spotkanie jest bardzo ważne. Pojawiają się plotki o rosnącym niezadowoleniu wśród dzierżawców i połowników w związku z brakami żywności.

I to cię dziwi? - Michael nie mógł się powstrzymać od zri-postowania w myślach ostatniej wypowiedzi. Jęknąwszy pod nosem, zajął jednak miejsce po swojej stronie biurka. Choć pomysł udziału w spotkaniu nadętych plantatorów sprawiał, że coś skręcało go od środka, przynajmniej teraz miał wrażenie, że to może okazać się istotne. Być może będzie jedyny, ale ktoś musi zabrać głos w obronie borykających się z trudnościami farmerów. W sytuacji, kiedy Czerwony Krzyż prawie całkiem wykorzystał już swoje możliwości, gdzie jeszcze mogli szukać pomocy, jeśli nie u właścicieli ziemi?

Jednak to jedna sprawa spłacać po cichu cały nieuregulowany dług dzierżawców w sklepie w Edenie, a zupełnie inna

- odezwać się publicznie, kiedy niewątpliwie postawi swojego ojca w trudnym położeniu wobec pozostałych członków stowarzyszenia. Cokolwiek Michael miał zrobić lub powiedzieć, musiało to być jak najbardziej taktowne, ponieważ ryzykował, że tata odreaguje to potem na swoich dzierżawcach - zwłaszcza obawiał się o Bryony i jej rodzinę.

Sięgnął do pudełka stojącego u stóp. Jego ręka zamknęła się wokół wąskiego etui zawierającego grawerowane srebrne pióro wieczne i poczuł narastające uczucie mdłości. Musiał stąd jak najszybciej wyjść. Bardziej niż kiedykolwiek chciał uciec do domu Bryony. Ona miała pracować jeszcze jakąś godzinę, ale będzie tam Miranda.

A także jego szkicownik i kredki.

Gdyby tylko lekarz w szpitalu rehabilitacyjnym nigdy nie położył przed nim czystej kartki i nie kazał mu rysować, gdyby nigdy nie natknął się w szpitalnej bibliotece na starą książkę z ilustracjami przyrodniczymi, gdyby tylko Bryony nigdy nie pojawiła się w jego życiu...

Wsunął pióro do środkowej szuflady i cicho ją zamknął.

- Przepraszam, tato. Nie dam rady dzisiaj. Jak zaraz nie wyjdę na świeże powietrze, moja głowa eksploduje.

Ojciec podniósł wzrok znad dolnej szuflady, w której układał właśnie dokumenty. Jego zmarszczone brwi wskazywały na autentyczną troskę.

- Ależ oczywiście. Czasem zbyt mocno na ciebie naciskam, wiem. - Wskazał w kierunku drzwi. - Idź w takim razie. Wszystko będzie tu czekać, aż wrócimy z Little Rock.

Dziesięć minut później Michael wsiadł za kierownicę chevroleta i wycofał z garażu. Zdołał dostrzec Bryony przez okno kuchenne, ale była zbyt zajęta, żeby zauważyć jego wyjazd.

To nawet dobrze, gdyż teraz oboje musieli uważać, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Czas oczekiwania na jej powrót spędzi z Mirandą i swoim szkicownikiem.

Opuścił szybę do połowy i skierował samochód w stronę farmy Rigbyego, pozwalając, by chłodne wieczorne powietrze przegoniło resztki napięcia z całego dnia.

Sebastian wciąż zapełniał szuflady biurka i organizował swoje miejsce pracy, kiedy Odette ogłosiła czas na wieczorny posiłek. Dołączył do Fenelli w jadalni, pochylił się, by ucałować ją w czoło, a potem zajął swoje miejsce.

- Jak ci minął dzień, kochanie?

- Odwiedziła nas ponownie przemiała wnuczka Violety. Fenella złapała za złożoną przed nią serwetkę, kiedy Odette nalewała aromatyczną, złocistą zupę na ich talerze. - Czytamy właśnie *Cimarron*, wspominałam ci już o tym?

- O, to miło - odpowiedział Sebastian przez ściśnięte gardło. Każda oznaka zawodzącej pamięci żony przyprawiała go o ból serca. Uśmiechając się z przymusem, zanurzył łyżkę w zupie i skosztował. - Dynia? - zapytał, zerkając w stronę Odette.

- Nie, sir. Kabaczek.

Fenella cmoknęła i posłała mu karzące spojrzenie.

- Kochanie, nie odmówiliśmy dziękczynienia. Odchrząkując z zażenowaniem, Sebastian odłożył łyżkę i uścisnął jej rękę.

- Przepraszam, chyba się zapomniałem, ponieważ myślałem już tylko o swoim pustym żołądku. - Pochylił głowę

i wymamrotał pod nosem krótką modlitwę dziękczynną, mając nadzieję, że zarówno jego żona, jak i zawsze czujna kucharka będą zadowolone z jego pobożności.

Odette wróciła do kuchni i w milczeniu jedli dalej zupę. Fenella na koniec wytarła kąciki ust serwetką, a potem westchnęła, mówiąc:

- Zawsze tęsknię za dziećmi, kiedy nie mogą z nami zasiąść do stołu. Gdzie oni są dzisiaj?

- Podejrzewam, że mieli inne plany. - Najlepiej było zmienić temat. - Opowiedz mi o tej książce, którą czytacie. Czy podobałaby mi się?

- O, z pewnością! - Oczy Fenelli błysnęły w świetle żyrandola. - Yancey Cravat, główny bohater, trochę mi nawet ciebie przypomina.

Sebastian poczuł, że robi mu się ciepłej na sercu. Odnalazł pod stołem dłoń żony i uścisnął ją.

- Naprawdę? Jak to?

- Och, oboje jesteście przedsiębiorczy, wszystko sobie zawdzięczający - mówiąc to, puściła mu oko - i macie u boku mądre żony, które zawsze was nakierują na odpowiednią drogę.

Pomimo jej siwiejących włosów i zmarszczek przecinających jej oblicze, Sebastian nadal widział w niej tę piękną i pewną siebie kobietę, którą pokochał prawie czterdzieści lat temu. Wyszeptał przez ściśnięte gardło:

- Zawdzięczam ci wszystko, najdroższa.

Odette wróciła z drugim daniem i Sebastian natychmiast się opanował. To niebezpieczne pozwolić, by zdominowały go emocje. Zbyt duża odpowiedzialność spoczywała na jego barkach. Michael nie rozumiał nawet w połowie, po jak

trudnym terenie musiał poruszać się właściciel plantacji, by jego dzierżawcy byli udobruchani, a zbiory jak najlepsze.

I jeszcze ta cholerna susza! Nie tylko dzierżawcy cierpieli. Sebastianowi wystarczyło jedno spojrzenie na rachunki, żeby uświadomić sobie, że niedługo będzie musiał zacisnąć pasa, by utrzymać ziemię. Ponieważ dorastał w ubóstwie, wiedział dobrze, że musi odkładać pieniądze i dokonywać rozważnych inwestycji. Tylko dzięki temu zdołali do tej pory zachować to, co do nich należało. Ale jeśli sytuacja na rynku się nie poprawi i susza przeciągnie się na przyszłą wiosnę i lato...

- Sebastianie, co się stało? - Fenella zmarszczyła czoło ze zmartwieniem. - Prawie w ogóle nie tknąłeś obiadu, a przecież smażony kurczak z sosem to twoje ulubione danie.

Przesunął ręką po twarzy i wpatrywał się w doprawiony pieprzem kremowy sos tężejący już na ziemniakach. Coś dokuczliwie ścisnęło go w piersi. To była ta zaciekle determinacja, by za wszelką cenę odnieść sukces, by dowieść swojej wartości w rodzinie, do której się wzenił, a także zaimponować żonie, którą uwielbiał ponad życie.

Zmuszając się do śmiechu, odkroił kawałek mięsa i skwitował:

- Zamyśliłem się, i tyle. Och, ten kurczak rozpływa się w ustach, nieprawdaż?

- Odette to najlepsza kucharka, jaką kiedykolwiek mieliśmy. - Gdy Fenella upiła łyk białego wina, jej oczy przesłoniła jakaś chmura. Powoli zwróciła wzrok w stronę Sebastiana. - Dlaczego Miranda i Michael nie zeszli na obiad? Proszę, kochanie, zadzwoń po Violetę i poproś, żeby przyprowadziła ich z bawialni.

Kęs kurczaka stanął Sebastianowi w gardle. Przełknął go na siłę, popijając wodą, ale nadal odczuwał ból w tamtym miejscu. A razem z nim nadeszła świadomość, że się bał -bał się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

18.

W sobotni poranek, gdy Bryony przyszła do pracy, Callie od razu powiedziała jej, że Michael z ojcem jeszcze przed świtem wyjechali do Little Rock. Bryony zwiesiła głowę na myśl, że nie zobaczy Michaela przez cały dzień i dalej rozpamiętywała wczorajszą wieczorną wizytę. Przyjechała do domu dokładnie w momencie, kiedy on wybuchnął triumfalnym śmiechem, zbierając ostatnią lewą w grze w bezi-ka przeciwko dziadkowi i Rose. Widząc ten błysk w jego oczach i rozbawione oblicze, Bryony poczuła wzruszenie. Chciała na zawsze zapamiętać go właśnie takiego - szczęśliwego, niezależnego i beztroskiego.

Kiedy razem z Callie napełniały wodą pralkę elektryczną załadowaną tygodniowym zapasem ręczników, dziewczyna westchnęła ze smutkiem.

- Panna Esthera powiedziała, że będzie mi wolno odwiedzić mamę dopiero w przyszłym tygodniu. Nie mogę znieść myśli, że ona jest tak blisko, a ja muszę tutaj tkwić.

- Z pewnością wynika to z ostrożności panny Esthery. A mama kazała przesłać ci uściski. - Bryony dodała proszku

do prania. - Zbudziła się dziś wcześniej rano. Zanim zdążyłam się ubrać, na stole czekały już owsianka i bekon.

- A więc czuje się dobrze? To znaczy, że wszystko w porządku z dzieckiem i w ogóle?

- Na to wygląda. - Zostawiając pracującą pralkę, obie wyszły do kuchni. Były takie dni, gdy Bryony nie potrafiła stłumić w sobie zawiści, że bogaci ludzie mają tak łatwe życie. Pralka, oświetlenie elektryczne. Cały dom ogrzewany piecem, a nie piecykami na drewno, które były w stanie jedynie sprawić, by aż tak strasznie nie odczuwało się chłodu.

Callie zwolniła kroku. Spuściła wzrok i wyszeptała:

- Tak bym chciała, żebyśmy dostały jakieś wiadomości od taty.

Zatrzymując się, Bryony ujęła Callie za ramiona i pochyliła się, by spojrzeć jej prosto w oczy.

- Nie trać nadziei. Dziadek posłał wiadomość do naczelnika poczty w England i jeśli przyjdą jakiegokolwiek listy od twojego taty, niezwłocznie się o tym dowiemy - zapewniła ją Bryony, mając na uwadze, że tamto miasto w Arkansas było oddalone o jakieś sto kilometrów od miejscowości, w której Daniel miał farmę.

- O ile nie jest chory lub martwy. - Callie pociągnęła nosem i otarła łzy. - Przepraszam, Bryony. Nie umiem przestać o tym myśleć. Martwię się o niego. O mamę też.

- Wiem, kochana, wiem. - Bryony przygarnęła dziewczynę w uścisku. - Ale nie zapominaj też, że Bóg czuwa nad nim, tak samo jak nad tobą i twoją mamą. Pan przyprowadził twoją mamę w bezpieczne miejsce, prawda? To samo uczyni twojemu tacie.

W kuchni zastały Odette wyrabiającą ciasto na chleb.

- W samą porę. W piecu wyrastają dwa kolejne. - Ściszone głosem, mrugając do Callie, dodała: - A dodatkowy piekę, coby dać dla twojej mamy, kochaniutka.

Bryony spędziła resztę poranka zanurzona w mące i cieście po same łokcie, a aromat pieczonego chleba wypełniał całą kuchnię i sprawiał, że kiszki grały jej marsza. Gdy Odette owinęła w czystą ścierkę jeden z bochenków i wetknęła go w umówione miejsce, Bryony zaczęła się po raz kolejny zastanawiać, jak jej rodzina przetrwałaby zimę bez tych dodatkowych racji żywieniowych. Jedno było pewne, do tego czasu mieliby już serdecznie dość rzepy i dzikich królików.

Wczesnym popołudniem Dancy z niecierpliwością czekała na Bryony, by ta przejęła opiekę nad panią Heath.

- Niedobrze z nią dzisiaj - mówiła ze zbolałym wyrazem twarzy. - Tam i nazad każe szukać Mirandy, coby wzięła miarę na jej sukienkę do bierzmowania. O Jezusieńku, a to było jakie dwadzieścia lat temu!

Bryony już od chwili, gdy weszła do pokoju dziennego na piętrze, wiedziała, że coś było nie tak. Drobna kobieta wydawała się bardziej zdenerwowana niż zwykle, biegała po całym pokoju, wyglądając przez okna z każdej strony, jakby oczekiwała, że w każdej chwili może się ktoś zjawić.

- Proszę sobie usiąść... może poczytamy *Cimarrón* - próbowała ją zachęcić Bryony, składając koc na szezlongu i poklepując haftowany zagłówek.

Kobieta zatrzymała się w połowie kroku i przechyliwszy głowę, spojrzała na Bryony.

- Violeta? Och, dzięki Bogu, jesteś!

- Nie, proszę pani, ja...

- Sebastian pojechał do miasta i nie mogę znaleźć dzieci. Czyżby spały w pokoju dziecięcym?

Bryony zagryzła wargę. Chyba będzie mniej stresujące, jeśli teraz podejmie tę grę.

- Pani Heath, dzieci są całe i zdrowe, nie ma się czym martwić. - Otoczyła ręką ramiona kobiety i podprowadziła ją do szezlonga. - Proszę teraz usiąść i dać odpocząć nogom. Za bardzo się pani zamartwia i to panią męczy.

Jej kojący głos w końcu udobruchał panią Heath. Oparła głowę o zagłówek i zamknęła oczy, a Bryony okryła jej nogi kocem. Delikatnie głaszcząc, Bryony odgarnęła srebrzyste pasemka włosów z bladego, zmarszczonego czoła.

- Kochana Violeta, jesteś moją najlepszą przyjaciółką. - Nie otwierając oczu, pani Heath sięgnęła po dłoń Bryony i poklepała ją. - Co my byśmy bez ciebie zrobili?

Gdy kobieta drzemała, Bryony zajęła się poprawianiem rzeczy, które pani poprzestawiała, krążąc nerwowo po pokoju. Ledwie usiadła z gazetą znaną w sypialni, kiedy drzwi do apartamentów otworzyły się i do środka wpadł pan Heath. Widząc żonę, zatrzymał się natychmiast.

-Śpi?

Bryony wstała i odłożyła czasopismo na krzesło.

- Miała zły dzień - wyszeptała.

- Naprawdę? - Wnioskując po wyrazie jego uniesionych brwi i ściśniętych ust, Bryony domyślała się, że on miał jeszcze gorszy. Zaraz potem, jakby odsuwając od siebie troski, przeszedł cicho przez dywan i stanął koło szezlonga. Rzucił spojrzenie Bryony i zapytał: - Czyżby było gorzej niż zwykle?

- Niestety, obawiam się, że tak, proszę pana. Myślałam już, że w ogóle nie uda mi się jej uspokoić. - Bryony przełknęła,

zastanawiając się, jak wiele powinna mu powiedzieć. Potem stanowczo uniosła głowę i dodała: - Tęskni za dziećmi. -Najchętniej dorzuciłaby jeszcze: *ze szczególnym akcentem na liczbę mnogą.*

Pan Heath nie odpowiedział od razu. Wziął głęboki oddech, a później odwrócił się w stronę drzwi.

- Powiadom mnie, kiedy się zbudzi, to przyślę tu na górę Michaela. Będziemy w gabinecie. - Przybrał ponownie ponury wyraz twarzy i rzekł: - Obawiam się, że to był naprawdę *bardzo zły dzień.*

Serce Bryony ścisnęło się. Czyżby on i Michael znów się pokłócili? A może dowiedział się o Mirandzie?

Ale nie... gdyby odkrył, że Miranda przebywała w domu Bryony, powiedziała by coś... albo raczej z miejsca ją zwolnił. Nie pozostawało jej więc nic innego jak przeczekać do czasu, aż Dancy ją zmieni. Liczyła też, że może uda jej się na chwilę spotkać sam na sam z Michaeliem i będzie mogła go zapytać, co się stało. Nie spodziewała się, że w ogóle go dziś zobaczy, więc była szczerze zaskoczona, gdy razem z ojcem tak wcześnie wrócili ze spotkania.

Teraz to ona czuła się tak podenerwowana i niespokojna, jak wcześniej pani Heath.

Słyszając za plecami odgłos kroków ojca, Michael odwrócił się od okna w gabinecie i zapytał:

- Jak się miewa mama? Mam nadzieję, że nie niepokoiłeś jej nowinami.

- Oczywiście, że nie. - Marszcząc gniewnie czoło, ojciec

Michaela zapadł się w fotelu za biurkiem i wyciągnął przed siebie jedną nogę. Jego wzrok odpłynął gdzieś w dal, a znużenie odebrało mu resztę wigoru, pozbawiając go zwykle wyprostowanej postawy.

- Twoja mama odpoczywa. Według słów Bryony nie tylko my mieliśmy kiepski dzień.

Michael na moment zamknął oczy. Najchętniej poszedłby na górę i sam zobaczył się z matką, ale tata jasno zapowiedział, że muszą teraz omówić ich odpowiedź na zamieszki wywołane brakiem żywności w England. Wiadomość o tych zajściach przerwała spotkanie stowarzyszenia plantatorów i po tym, jak kilku właściciele ziem głośno wypowiedziało swoje niezadowolenie wynikające z niepowodzenia polityki antykryzysowej Hoovera, spotkanie zostało przerwane.

Michael odetchnął z ulgą, że Miranda nie mieszkała już w pobliżu England, gdyż w przeciwnym razie znalazłaby się pośrodku całej tej wrzawy. Mówiło się, że jakiś dzierżawca o nazwisku Coney dał się ponieść słusznemu gniewowi, kiedy uboga, głodująca kobieta zapukała do jego drzwi, twierdząc, że nie ma jak wyżywić dzieci. Obszedł kilku sąsiadów i pojechał do miasta, by prosić Czerwony Krzyż o pomoc, ale tamtejszy zarząd wykorzystał już wszystkie swoje środki. Gdy kolejni wzburzeni farmerzy zaczęli schodzić się do miasta, pojawiło się ryzyko, że dojdzie do nieprzyjemnych scen. Konflikt został zażegnany jedynie dzięki gestowi właścicieli sklepów, którzy zaczęli rozdawać żywność bez pobierania opłat.

- Eden nie przeżyłby czegoś takiego - podsumował ze znużeniem ojciec Michaela. - Tak jak i reputacja tej rodziny.
-Usiadł prosto, pocierając zmęczone oczy. - Choć niełatwo

mi to przyznać, może się okazać, że to twoje miłosierne podejście do naszych dzierżawców jeszcze nas uratuje. Teraz musimy zobaczyć, czy uda nam się zrobić coś więcej.

Zmrużywszy oczy, Michael usiadł powoli na swoim skórzanym fotelu przy biurku. Zdjął okulary i bawił się w palcach zausznikami. Trzeba mu było całej minuty, by dotarło do niego, że jego ojciec dostrzegł wreszcie zasadność jego hojności. Może i Sebastian Heath nie do końca pojmował, na czym polegała zwykła ludzka przyzwoitość, ale obawa o własne przetrwanie zwyciężyła.

Z namysłem wykonując każdy ruch, Michael położył przed sobą notes w linie, a potem wysunął środkową szufladę i wyjął z niej srebrne pióro wieczne. Otworzył je i popatrzył na ojca.

- Może spisujemy nasze pomysły?

Przez następną godzinę rozważali wszystkie możliwości. Założenie ośrodka na zbiórkę żywności w jednym z magazynowych pomieszczeń za garażem. Stworzenie własnego systemu talonów dla dzierżawców. Organizowanie wyjazdów na każdą farmę, przynajmniej raz w tygodniu, by określić i odnieść się do wszelkich naglących potrzeb.

Michael miał już kartkę zapełnioną do połowy, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Zobaczył, że po drugiej stronie stoi Callie, a jej uśmiech był mu szczególnie miły, gdy wiedział, że to jego siostrzenica. Odwrócony plecami do ojca, uśmiechnął się znacząco i zapytał:

- Tak, Callie, o co chodzi?

- Bryony kazała przekazać, że pańska matka zbudziła się i prosi panicza do siebie.

Spojrzał na ojca, a w jego oczach malowało się pytanie.

- Idź - odparł mężczyzna, sięgając przez biurko po notes. - Ja jeszcze dopiszę parę rzeczy i zaraz też tam przyjdę.

Bryony przywitała go w pokoju dziennym. Miała założone ręce i lekko przygarbione plecy. Zostawiając drzwi uchylone, wycofała się na korytarz.

- Muszę cię ostrzec, że ona czeka na małego chłopca, a nie dorosłego mężczyznę. Przez całe popołudnie wszystko jej się miesza.

Zmartwienie zacisnęło się stalowym uściskiem wokół jego piersi.

- Czy jak wejdziesz, to będzie jeszcze bardziej dezorientowana?

Bryony wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Może, kiedy cię zobaczy, to jakoś pomoże jej wrócić do rzeczywistości.

Jęknąwszy bezgłośnie, Michael oparł się na balustradzie ponad holem na parterze.

- Coraz bardziej się od nas oddala. Dzisiaj po raz pierwszy zobaczyłem autentyczne zmartwienie w oczach taty.

- Też to widziałam. - Bryony poczuła, że przy Michaelu ustępuje jej napięcie. Jego bliskość była dla niej zarówno pocieszeniem, jak i męczarnią. - Oczywiście nic o tym nie mówił, ale dostrzegłam u niego lęk, którego wcześniej nie było.

Michael nie umiał powstrzymać prychnięcia.

- Mój ojciec się lękał?

- Kocha ją i śmiertelnie boi się tego, że może ją stracić.

Michael odepchnął się od barierki, aby przejść na drugą stronę korytarza. Zaczął wpatrywać się w olejny obraz przedstawiający wazon róż. Dokładnie obserwował żywe

odcienie rózu i czerwieni na delikatnym czarnoniebieskim tle. Część kwiatów ukazana była w pełnym rozkwicie, inne były już zwiędnięte i stare. Artysta dodał też te przekwitłe, o zbrązowiałych na końcach płatkach, które leżały na stole obok wazonu. Bijący od rysunku smutek jeszcze bardziej pobudził w nim wewnętrzne pragnienie, by ukryć się w sanktuarium swojego pokoju i nigdy z niego nie wychodzić.

Nie mógł się jednak poddać, nie teraz. Być może jego przyszłość zmierzała obecnie w kierunku, którego sam nigdy by sobie nie wybrał. Nie był nawet pewien, czy zdoła to przetrwać, ale wiedział, że czas samotności dobiegł końca.

Westchnąwszy ze zdecydowaniem, odwrócił się od obrazu i rzekł:

- Idę tam. Zaczekaj tutaj, proszę.

Przynajmniej go rozpoznała. Jednak Michael musiał lawirować, by nie wyjawic prawdy o Mirandzie. Z całego serca pragnął powiedzieć, że jej córka wróciła do domu, nawet jeśli to była tylko krótka chwila, a teraz przebywa niedaleko stąd.

Gdy matka zaczęła się niecierpliwić i zrzuciwszy koc, na nowo przemierzała pokój jak dziki zwierz, zawołał Bryony. Zaraz potem weszła na piętro z herbatą na tacy.

- Trochę dziś później niż zwykle, ale pomyślałam, że to mogłoby pomóc. - Przeszła obok niego i postawiła tacę na stoliku pod oknami wychodzącymi na wschód.

Okazało się, że taka odmiana była właśnie tym, czego potrzebowała jego mama. Kiedy tylko zajęła swoje miejsce, spojrzała prosto w oczy Bryony i zapytała:

- Chwileczkę... ty nie jesteś Violetą, prawda?

- Nie, proszę pani. Violeta to moja babcia. - Bryony podała jej filiżankę. - Mam na imię Bryony, pamięta pani? Czytamy razem *Cimarrón*.

Uśmiechając się i patrząc przytomnym wzrokiem, matka Michaela skierowała spojrzenie na syna.

- Pamiętam. Podarowałeś mi tę książkę na święta, synu, prawda?

Zalało go uczucie ulgi.

- Tak, mamó. Zgadza się.

Zajął krzesło naprzeciw matki. Kiedy Bryony serwowała mu herbatę, posłała mu bardzo osobiste spojrzenie - zamglone łzami i tak wymowne.

Razem w trójkę delektowali się herbatą i ciasteczkami imbirowymi, a potem, akurat gdy skończyli herbatę, do pokoju wszedł ojciec Michaela. Wysunąwszy szczękę, stał z boku, jakby nie był pewien, czy powinien w ogóle zostać.

Michael nie umiał powiedzieć, co nim powodowało, być może jakiś błysk samotności, który dostrzegł w oczach ojca, ale wyciągnął w jego kierunku talerz z ciasteczkami i zaproponował:

- Zostały jeszcze dwa. Chodź, usiądź z nami.

Twarz matki rozpromieniła się i kobieta klasnęła w dłonie.

- O, tak, kochanie! Tak sobie tu miło rozmawiamy. Znasz Bryony, prawda? To ta przesłodka wnuczka Violety...

Bryony nagle stała się bardzo nerwowa i szybko się podniosła.

- Przyniosę więcej herbaty.

- Nie ma takiej potrzeby - powiedział ojciec Michaela i odkaszlnął. Następnie okrążył stół i odsunął dla siebie

jeszcze jedno krzesło. - Proszę zostać, panno Linwood. Nie chciałbym psuć tak wspaniałego przyjęcia.

- Przepraszam, ale nie mogę. Robi się późno i mam... parę spraw do zrobienia. - Bryony zebrała puste naczynia na tacę. Szybko dorzuciła jeszcze: - Zaraz odszukam Dancy i przyślę ją na górę.

Michael zsunął się z krzesła i odłożył serwetkę na stół.

- Jeśli pozwolisz, mamó, odprowadzę pannę Linwood do wyjścia.

- Dziękuję ci, mój drogi. - Poklepała dłoń męża. - Wychowaliśmy syna na dżentelmena, prawda, kochanie?

Tata obrócił głowę w stronę Michaela i zmrużył znacząco jedno oko. W milczeniu taksował go wzrokiem, a jego ocena przeciągała się nieznośnie. Potem mruknął pod nosem:

- W rzeczy samej.

Przez całą drogę do drzwi Michael czuł na sobie przeszywający wzrok ojca. Bryony celowo szła przed nim, ze wszystkich sił skupiając się na utrzymaniu w rękach tacy. Nie odwróciła głowy do momentu, aż zamknęły się za nimi drzwi, i nawet wtedy wcale się nie zatrzymała. Michael ledwie nadążał za jej pospiesznym truchtem w dół schodów.

Kiedy wreszcie dotarła na parter, obróciła się gwałtownie. Naczynia brzęknęły, gdy niechcący uderzyła Michaela tacą w brzuch. Złapał za rączki tacy, a jego palce zamknęły się wokół dłoni Bryony i oboje z trudem próbowali złapać oddech.

- On wie, Michaelu. Widziałeś, jak na ciebie popatrzył?

Z piersi Michaela dobyło się ciężkie westchnienie. Wprowadził Bryony do opustoszałego pokoju dla służby, a potem wyjął tacę z jej rąk i odstawił na stół. Ujmując ją za ramiona, popatrzył jej głęboko w przepelnione paniką oczy.

- Poradzę sobie z ojcem. Obiecuję ci, że cokolwiek *wydaje mu się*, że wie, nie przeszkodzi nam, byśmy mogli być razem.

- Nie mów tak. - Bryony wyszarpnęła się z jego uścisku. - Ryzyko jest zbyt duże... Miranda, Callie, twoje rysowanie.

Objął ją od tyłu, a jego policzek oparł się o rozwichrzony kok. Kiedy delikatnie wypuszczał powietrze ponad jej uchem, zadrżała i wtuliła się w niego jeszcze bardziej.

- A co z tobą, Bryony? Co z nami? Przywróciłaś mnie do życia, dałaś mi nadzieję, gdy nie miałem już nic. Nie mogę cię stracić.

Obróciła się i jeszcze mocniej przyłgnęła do jego piersi. Drżała na całym ciele od tłumionego łkania, a on głaskał jej włosy i składał czułe pocałunki na jej czole.

Ta bliskość otwierała go, budząc w nim pragnienia, które od tak dawna od siebie odsuwał. Jego oddech stał się nagle płytki, a puls przyspieszył do szalonego tempa. Trzymając dłoń na jej karku, odsunął się nieco i zajrzał w te brązowe głębie, którym nie mógł się oprzeć. Przesunął wzrokiem po poznaczonych śladami łez policzkach, idealnie zarysowanym nosie i wargach. Westchnąwszy z drzeniem, przycisnął wargi do jej ust i skosztował, jak smakują jej łzy. Na początku delikatny pocałunek stawał się coraz intensywniejszy, przeradzając się w głód, którego nie umiał opanować, a jej uległość mówiła mu, że ona pragnęła tego tak samo jak on.

- Nie... nie możemy - wyszeptała w jego usta. Wsunęła zaciśnięte w pięści dłonie między nich i oparła głowę na jego mostku.

Zmusił się, by oddychać głębiej i oderwać myśli od zakazanych obszarów.

- Nigdy cię nie skrzywdzę, Bryony. Proszę, uwierz mi.

- Wierzę - odparła, unosząc głowę. Uśmiechając się ze smutkiem, zwiększyła dystans między nimi i ujęła w dłoń jego policzek. - Ale czy nie widzisz, jak ryzykowną grę prowadzimy? Stajesz nad przepaścią, rozdarty pomiędzy dwoma światami i starasz się zachować to w tajemnicy. Co się jednak stanie, gdy prawda wyjdzie na jaw? Ile ludzi, z tobą na czele, będzie wtedy cierpieć?

Jakaś część w nim wiedziała, że ona ma rację. Zachowywanie pozorów męczyło go coraz bardziej, ale sam siebie przekonywał, że warto. Teraz widział wyraźnie, jak to podwójne życie zżerało Bryony. Po tym wszystkim, co zrobiła dla niego, dla jego rodziny, nie mógł na to pozwolić.

Gdy siłował się ze słowami, by odpowiedzieć jej cokolwiek i naprawić jakoś ten okropny bałagan, który zaczął się kumulować wokół nich, Bryony bez słowa ujęła tacę.

- Muszę już iść - rzekła beznamiętnie. Zanim zdołałby ją zatrzymać, wyszła szybko z pomieszczenia.

- Płakałaś. - Słowa Callie pełne były zarówno troski, jak i wyrzutu. - Powiedz mi natychmiast, czy pan Heath dowiedział się o mojej mamie?

- Nie, nic z tych rzeczy. - Bryony skupiała się, by nie upuścić filiżanki, którą płukała w wodzie z mydlinami. Wiedziała, że musi mieć czerwone i zapuchnięte oczy i miała tylko nadzieję, że jej wargi nie wyglądają tak samo.

Callie odstawiła kosz z poskładanym praniem, które zdjęła ze sznura, po czym szybkim ruchem zrzuciła z siebie sweter

i sięgnęła po ścierkę. Dołączyła do Bryony przy zlewie i zapytała:

- Dlaczego więc? Masz jakieś kłopoty?

- Callie Vargas, zadajesz za dużo pytań.

Za ich plecami trzasnęły drzwi i dziewczęta obróciły się w jednym momencie. Na wpół licząc, na wpół obawiając się, że to Michael, Bryony zgarbiła się nad zlewem, gdy spostrzegła, że to była Odette. Pulchna kucharka pogroziła jej

palcem, mówiąc:

- Proszę mi tu nie przyzywać nazwiska Vargasów na głos. Tutej to ona jest po prostu Callie i lepiej o tym nie zapominać.

To kolejny dowód na to, że przekroczono zbyt wiele granic, by zachować w sekrecie informacje o Mirandzie.

- Nie pomyślałam, przepraszam. - Odwracając się w stronę zlewu, Bryony opłukała spodek i podała go Callie.

Dobry Boże, była tak bardzo zmęczona! Nie tylko sprzątaniem, praniem i opieką nad panią Heath, ale zwykłym wysiłkiem, jaki kosztowało ją utrzymanie w ryzach tych wszystkich gwałtownych emocji. Oburzenia na Sebastiana Heatha za okrucieństwa, które wyrządził swoim własnym dzieciom. Bezsilności wobec pogarszającego się stanu pani Heath. Ciągłego niepokoju o bezpieczeństwo i dobrobyt swojej rodziny.

Frustracji i złości na Michaela za to, że przez niego pragnęła czegoś, czego nigdy nie będzie mogła mieć.

Odłożyły ostatnie umyte naczynia i Callie dźwignęła swój kosz z praniem, żeby zanieść go na górę. Ostatnim zadaniem Bryony na ten dzień miała być pomoc Odette przy kolacji. Gdy tylko obrała ziemniaki, zagniotła ciasto na bułeczki i nakryła do stołu, chwyciła za płaszcz i szybko skierowała się

w stronę wyjścia. Ogromna potrzeba, by znaleźć się w domu, wśród kochającej rodziny, uskrzydlała jej kroki pośród zapadającego zmroku.

Po raz pierwszy, odkąd Miranda pojawiła się w ich życiu, Bryony modliła się, by Michael nie zakłócał ich wieczoru. Przez niego nie umiała myśleć jasno, a teraz było to bardziej konieczne niż kiedykolwiek wcześniej.

Musiała być jakaś odpowiedź, być może nawet nie taka trudna. Najęła się do pracy u Heathów, pragnąc pomóc rodzinie, ale teraz każdy dzień pracy tutaj tylko zwiększał ryzyko dla jej najbliższych... oraz dla jej własnego serca.

Jeśli jednak zrezygnuje, w jaki sposób jej rodzinie uda się przetrwać? Zima nie przyniosła wyczekiwanego zakończenia suszy, a dziadka nie było stać na przetrwanie kolejnego roku niekorzystnych zbiorów. Radzili sobie, dopóki Miranda przebywała pod ich dachem i Odette przekazywała im dodatkowe porcje żywności. Co jednak się stanie, gdy wróci mąż Mirandy albo jeśli wyśle wiadomość, by razem z Callie dołączyły do niego na północy? Albo gdy Sebastian dowie się o wszystkim i raz na zawsze to ukróci?

A Larkspur, która kształci się na nauczycielkę? Bryony nie mogła ryzykować, że poświęci marzenie siostry dla takiego czegoś.

Kiedy skręciła w drogę prowadzącą już do domu, zobaczyła w oknach salonu błysk światła lampy i przypomniały jej się słowa psalmu: *Twoje słowo jest lampą dla moich stóp i światłem na mojej ścieżce*. Ostatnio miała wrażenie, że jej ścieżka jest wyjątkowo ciemna i usiana kamieniami oraz wybojami, gdzie jeden fałszywy krok wystarczał, by się przewrócić. Bardziej niż kiedykolwiek tęskniła za beztróskim

dzieciństwem w przytulnym domku w Memphis z mamą i tatą u boku, kiedy jej jedynym zmartwieniem było pilnowanie, żeby młodsze siostry nie zabrały jej lalki.

Zaraz po wejściu do domu dostrzegła zupełnie nowe powody do trosk.

Dziadek siedział przy stole w kuchni z poplamioną krwią tkaniną przytkniętą do boku głowy. Posłał Bryony mężne spojrzenie i od razu zaczął:

- Nie histeryzuj. To nic takiego znowuż.

- Nic takiego? Dziadku, jesteś ranny! - Bryony zrzuciła płaszcz na puste krzesło i podbiegła do niego. Ostro odsunęła jego rękę, żeby spojrzeć na ranę. - Co się stało? Kto ci to zrobił?

Miranda przyniosła czysty, mokry materiał i wymieniła ten zakrwawiony.

- Właśnie wróciliśmy z England. Ludzie tam dali się ponieść, starając się zdobyć jedzenie, i ktoś przez przypadek uderzył twojego dziadka trzonkiem grabi.

Bryony stłumiła okrzyk.

- Zostałeś uderzony *grabiami*?

- Mówiłem ci już, żebyś się uspokoiła. - Dziadek odepchnął palce Bryony, która próbowała zbadać ranę, i przytknął świeżą tkaninę do głowy.

- To moja wina - powiedziała Miranda. - Nie mogłam się doczekać, żeby sprawdzić, czy Daniel przesłał nam jakąś wiadomość, i chciałam wziąć parę rzeczy z domu. Twój dziadek zaproponował, że mnie podwiezie. Nie mieliśmy pojęcia, w co się pakujemy.

- Hm, mam nadzieję, że się opłaciło. - Całkiem osłabiona od tych wszystkich zmartwień, Bryony opadła na krzesło.

Usta Mirandy drżały.

- Tak. List od Daniela przyszedł wczoraj. Zawstydzona swoim wybuchem, Bryony dotknęła ręki

Mirandy.

- Dzięki Bogu! Czy ma się dobrze? Znalazł pracę?

- Tak, udało mu się. - Oczy Mirandy załśniły. - Dopiero gdy dotarł prawie do Milwaukee. Wszędzie jest niezwykle ciężko, ale w końcu zatrudnił się przy załadunku w fabryce konserw.

- To... to dobrze. To teraz wkrótce po was pośle.

- Nie od razu. Musi zaoszczędzić trochę pieniędzy na bilety kolejowe. - Miranda zainteresowała się ponownie raną dziadka, oglądając ją dużo delikatniej niż Bryony przedtem.

- Ale oczywiście możesz z nami zostać tak długo, jak tylko trzeba. - Mając nadzieję, że uda jej się ukryć poczucie ulgi, Bryony podeszła do kuchni, na której w garnku gotowała się gęsta zupa. Zamieszała ją i wciągnęła bogaty aromat ziemniaków, cebuli i resztek szynki - luksusów, bez których będą musieli się obejść, kiedy Miranda wyjedzie. - Wygląda smakowicie. Gdzie jest Rose?

- Zajęła się *moimi* obowiązkami - warknął dziadek. Miranda cmoknęła językiem.

- Proszę mi pozwolić zszyć tę ranę, panie Rigby. Zajmowałam się gorszymi przypadkami u Daniela.

Ulga, którą jeszcze przed chwilą odczuwała Bryony, zmieniła się nagle w budzącą obrzydzenie zazdrość. To był *jej* dom *i jej* rodzina. Miranda Heath Vargas zajmująca jej miejsce jako opiekunki tego domu i jej najbliższych, to było coś nie do pomyślenia!

Tak, jej reakcja była niedorzeczna i nieproporcjonalna, ale

Bryony nie umiała poskromić kłębiących się w niej uczuć. Jedną ręką złapała się za brzuch, a drugą ścisnęła mocno pulsujące skronie i szybko wybiegła do sypialni, zanim załapały się kolejną falą łez.

Chwilę później Rose weszła na palcach do pokoju i usiadła na krawędzi łóżka. Jej ogrodniczki pachniały słomą i obornikiem.

- Bry, źle się czujesz? Dziadek powiedział, że wybiegłaś z kuchni, jakby cię gonił sam diabeł.

- Jestem zmęczona, Rosie. Tak zmęczona, że chyba zaraz umrę.

Rose przyłożyła wierzch dłoni do czoła Bryony.

- Nie masz chyba gorączki. Chcesz, żebym przyniosła ci trochę zupy?

- Nie jestem głodna. - Pociągając nosem, Bryony otarła mokre policzki brzegiem poduszki. - Po prostu zostaw mnie samą, dobrze?

- Me zostawię cię! Bry, przerażasz mnie.

Bryony wiedziała, że jej najmłodsza siostra była zbyt uparta i że się nie podda, więc jęknęła tylko i przewróciła się na plecy. Wyciągnąwszy dłoń, zatknęła miedziany kosmyk włosów za ucho Rose i rzekła:

- Nie przejmuj się mną, kochana. To był ciężki dzień, i tyle. Siostra zacisnęła usta.

- Szkoda, że w ogóle musiałaś iść pracować u Heathów.

- Ja też wolałabym, żeby wiele spraw potoczyło się zupełnie inaczej. Ale tak nie jest i nie da się nic z tym zrobić.

- Bryony obróciła się ponownie na bok, twarzą do ściany.

- Idź zjeść kolację, Rosie, i już się więcej mną nie martw. Jutro znów będę sobą.

19.

Rose postawiła przed dziadkiem jego poranną porcję owsianki, a potem kolejny raz spojrzała w kierunku sypialni.

- Bry była wczoraj taka zmęczona. Nie mam serca jej budzić, ale jeśli zaraz nie wstanie, spóźni się do pracy.

- Daj jej pospać. - Dziadek łyknął cykorię. - Po śniadaniu weź auto i jedź do Heathów powiedzić im, że Bryony nie domaga. Dzisiaj będą musieli sobie poradzić bez niej.

Miranda usiadła przy stole naprzeciw dziadka.

- Tak bardzo chciałabym jakoś pomóc Bryony. Coraz bardziej odzyskuję siły dzięki waszej dobroci.

- Pomogłaś już i tak dużo. - Rose zasiadła nad swoją miską owsianki. - Bóg wie, ile ci zawdzięczam, że nie muszę sama gotować. Dzięki temu mam więcej czasu, żeby pomóc dziadkowi w obowiązkach na farmie.

- Raczej na tym, co zostało z tej marnej farmy - skwitował dziadek, prychnąwszy pogardliwie. - Coś mi się widzi, że nie będzie lepiej na wiosnę, przynajmniej jak nie spadną jakie porządne deszcze teraz i potem.

Rose nie lubiła, gdy dziadek mówił w ten sposób, tak samo

jak nie podobały jej się zmarszczki wokół jego oczu, wyrażające zmartwienie za każdym razem, gdy patrzył w niebo, wypatrując wciąż nieobecnych deszczowych chmur. Ciężko jej było zachować pogodę ducha, kiedy dziadek zdawał się z dnia na dzień coraz bardziej załamywać. A teraz jeszcze Bryony, która zawsze była podporą rodziny... Rose nie mogła patrzeć, jak bardzo jej siostra jest przybita i zniechęcona, bo ściągało to na nią lęki, których nawet nie chciała nazywać.

Przynajmniej na chwilę odgoniła te myśli od siebie, skupiając się całkowicie na śniadaniu. Gdy tylko wrzuciła naczynia do zlewu, złapała za płaszcz i podniszczoną wełnianą czapkę, a potem ruszyła w stronę auta. Piętnaście minut później zaparkowała przed rezydencją Heathów i zaciągnęła hamulec.

Rose nigdy nie widziała tego domu z bliska i teraz miała wrażenie, że górował nad nią niczym wspaniały pałac. Pewnie powinna zatrzymać się gdzieś z tyłu i poszukać wejścia dla służby, ale czuła, że ma takie samo prawo zastukać do drzwi frontowych jak każdy człowiek. Może i Heathowie byli bogaci, dzierżyli władzę nad sporą częścią hrabstwa Monroe, ale była pewna, że staruszek Sebastian naciągał na siebie gacie w tym samym czasie, co wszyscy inni.

Jakże była więc rozczarowana, kiedy to Jeremiaś, a nie sam Sebastian Heath, otworzył jej drzwi. Starszy kamerdyner uniósł brew, a w jego ciemnych oczach błysnął niepokój.

- Dzień dobry, panno Linwood. Co sprowadza panią tak wcześnie w ten niedzielny poranek? - zapytał grzecznie i czekał z zainteresowaniem na odpowiedź.

- Przyjechałam powiedzieć, że Bryony nie będzie dziś pracować. Źle się czuje i musiała zostać w domu.

- Tak mi przykro. Czy mógłbym coś...

Michael pojawił się za plecami Jeremiaha, przerywając mu:

- Co się stało Bryony?

Rose wiedziała dobrze, że jej siostra i Michael byli sobie bliscy. Zdjęła czapkę i zaczęła zwijać jej krawędź w dłoniach.

- Nie czuje się dobrze, proszę pana. To nic poważnego, po prostu chyba się przepracowała. - Posłała mu znaczące spojrzenie. - Zmartwiło ją też, że dziadek znalazł się wśród tych przepychanek z farmerami w England.

- On tam był? - Michael obszedł Jeremiaha i wyszedł na werandę, patrząc na Rose badawczo. - Czy ktoś z nim tam pojechał?

- Wziął ze sobą znajomą. Trochę się wystraszyli, ale wrócili cali i zdrowi. - Rose była bardzo dumna ze swojego wybiegu. - Przynajmniej udało im się załatwić to, po co tam pojechali. - Mrugnęła do niego. - Same dobre wieści.

- Rozumiem. - Michael spojrzał na Jeremiaha, a potem ponownie zwrócił wzrok na Rose. - A pani siostra? Czy czegoś potrzebuje? Trzeba wezwać lekarza?

- Najbardziej potrzebuje teraz odpoczynku. - Jeśli Rose miałyby być szczerą, jeden dzień odpoczynku to nawet za mało. - W każdym razie przyszłam, żeby wam o tym powiedzieć. Chyba już powinnam wracać.

- Poczekaj. - Michael pochwycił dziewczynę, by nie odeszła. - Jeremiahu, poproś Odette, żeby spakowała trochę jedzenia dla panny Linwood. Coś porządnego i zdrowego.

Starszy służący skinął i oddalił się pospiesznie.

Domykając za sobą drzwi, Michael popatrzył Rose prosto w oczy. Ściszył głos i zapytał:

- Czy naprawdę wszystko z nią w porządku?

Widząc głębokie zaniepokojenie kryjące się za tym pytaniem, Rose straciła nieco pewności siebie. Zobaczyła w pamięci zlaną łzami twarz Bryony, kiedy leżała wczoraj wieczorem na łóżku, a zmęczenie i beznadzieja przesłaniały jej zwykle radosne oblicze. Nie wiedząc, co odpowiedzieć, Rose wzruszyła tylko ramionami.

- Módl się wiele, a będzie lepiej.

- Co to za zamieszanie? - Ojciec zdążył zauważyć Michaela u stóp schodów.

- Przyjechała Rose Linwood, siostra Bryony. Bryony jest chora i nie może dziś pracować. Posłałem dziewczynie kosz jedzenia. - Michael uniósł głowę, zdobywając się na odwagę, by skonfrontować z ojcem swoje postępowanie. - Wydawało mi się, że przynajmniej tyle możemy dla nich zrobić.

- Znów te twoje miłosierne gesty. - Ojciec w zadumie skinął. - Gdy tylko z matką wrócimy z mszy, poproszę Odette, żeby spakowała kosze dla pozostałych dzierżawców. Razem porozwozimy je dzisiaj po południu.

Zaskoczenie odebrało mu mowę i Michael był w stanie jedynie niepewnie kiwnąć głową. Najwyraźniej wczorajsze zajścia w Edenie całkowicie otworzyły oczy tego człowieka na ciężką dolę dzierżawców i połowników w Arkansas.

Ojciec Michaela przemaszerował przez hol i zerknął w lustro w połączonych ramach, żeby poprawić krawat.

- Jesteś pewien, że nie chcesz jechać z nami do kościoła? Ksiądz Dempsey pyta o ciebie co tydzień.

Pierwszy raz od bardzo długiego czasu Michael zastanawiał się poważnie nad tym pomysłem. Bez wątpienia bardzo skorzystałby na radach spostrzegawczego przyjaciela rodziny i może pewnego dnia wybierze się na jakieś prywatne spotkanie z księdzem. Ale pomysł, by wmieszać się w całe zgromadzenie wiernych, wśród których było kilku znajomych, ale jeszcze więcej obcych, budził w nim zgrozę większą niż wyjazd do Edenu czy spłacenie długów farmerskich rodzin. I tak wiele wysiłku kosztowało go uczestnictwo we wczorajszym spotkaniu plantatorów.

Swoją odpowiedź skierował do lustrzanego odbicia ojca.

- Nie mogę, jeszcze nie teraz. Nie spodziewam się, że zrozumiesz, co by to dla mnie oznaczało, ale mam nadzieję, dostrzegasz, że naprawdę się staram.

- Widzę i doceniam to. - Tata zerknął na zegarek. Drgnęły mu kąciki ust i dorzucił: - Będziemy mieć jedną ważną sprawę, więc nie wypuszczaj się na żadną samotną wyprawę przed moim powrotem z mszy.

Michael skulił się w duchu, słysząc ton ojca.

- To zabrzmiało groźnie.

- Porozmawiamy po kościele. Idzie twoja matka. Chodźmy na śniadanie.

Krocząc po królewsku w dół schodów, matka trzymała się jedną ręką balustrady, a drugą opierała na ramieniu Dancy. Michael zauważył, że mama założyła wysadzaną granatami bransoletę, którą tata podarował jej na święta. Ponadto otaczała ją aura spokoju, która, jak sobie uświadomił, była charakterystyczna dla każdego niedzielnego poranka, tak

jakby oczekiwanie na nabożeństwo zastępowało wszelkie rozdrażnienie i problemy z pamięcią.

Godzinę później mama czekała już przed drzwiami wejściowymi, aż tata podprowadzi samochód. Palcami muskała rękaw swetra Michaela. Popatrzyła na niego jasnym i roziskrzonym wzrokiem, a potem poklepała go po ramieniu.

- Każdej niedzieli zapalam świeczkę i modłę się za ciebie i za twoją siostrę. Wiem, że niedługo pojedziesz tam z nami - wyszeptała i smutno westchnęła. - A któregoś dnia Miranda wróci do domu.

Tata zaparkował przed domem i Michael pomógł mamie wsiąść do LaSallea. Patrząc, jak odjeżdżają, zastanawiał się po raz kolejny, co jego ojciec mógł mieć na myśli. Ufał tylko, że to nie wiązało się z odkryciem, gdzie przebywała obecnie Miranda.

Miał też nadzieję, że to nie miało nic wspólnego z dziwnym wzrokiem, jakim ojciec mierzył go, kiedy wychodził na dół za Bryony wczoraj po herbacie u mamy. Bryony miała rację... Granica pomiędzy jego rzeczywistością a marzeniami, których nie chciał porzucać, była bardzo krucha. Jeśli nie będzie czujny, może wszystko stracić.

Przynajmniej teraz, kiedy jego rodzice pojechali na mszę, a połowa służby miała wychodne, chociaż przez chwilę nie musiał się mieć na baczności. W każdym innym czasie, nawet w swoim pokoju, nie był bezpieczny, bo nigdy nie był pewien, czy jego tata nagle nie wpadnie na górę i nie będzie chciał omówić jakiegoś aspektu zarządzania plantacją.

Najchętniej pojechałby na farmę Rigbyego, by zobaczyć, co u Bryony. To było do niej niepodobne tak ni z tego, ni z owego opuszczać pracę. Te jej wczorajsze łzy, ta rozpacz,

którą widział, gdy wychodziła z pracowni, tak bardzo go zmartwiła, że prawie w ogóle nie mógł spać zeszłej nocy.

Ale coś w środku mówiło mu, że powinien zachować dystans, dać jej czas odpocząć i może przemyśleć wszystko na spokojnie, czego żadne z nich nie miało okazji uczynić od paru ostatnich tygodni.

On także tego potrzebował. A najlepiej myślało mu się z kredką w ręce.

Dotarł do swoich apartamentów, po czym zamknął za sobą na klucz zewnętrzne drzwi, a potem małym kluczykiem, który nosił w kieszeni, otworzył dolną szufladę ukrytą w szafie na ubrania. Od świąt spędzonych u Bryony gromadził tam luźne kartki i ołówki. Nic tak poważnego jak szkicownik albo dobre materiały do rysunku, ale skrawki i końcówki ołówków, które podbierał z gabinetu, kiedy tata nie patrzył. Wyglądało na to, że gdy tylko prezent od Bryony rozpałił w nim na nowo pasję, nie umiał już tego w sobie zdusić i czasem późną nocą, gdy wszyscy byli w łóżkach, wyciągał jakiś kawałek papieru i szkicował, co tylko mu przyszło do głowy.

Tego ranka wyjął rysunek, który zaczął parę nocy temu po ostatniej wizycie Callie u Mirandy. Patrząc na te dwie kobiety o lekko odmiennym kolorze skóry, ale tak sobie bliskie i kochające, jak tylko matka i córka potrafią być, Michael zapragnął uchwycić to wspomnienie na papierze. Do tej pory nie próbował nigdy malować ludzi. Kwiaty, drzewa i krzewy wydawały mu się znacznie łatwiejsze i mniej wymagające niż większość osób, które znał. Nie był też zbyt dobry w malowaniu twarzy, ale rysy Mirandy i Callie były coraz bardziej rozpoznawalne po każdej kolejnej próbie. Pewnego

dnia, gdy opanuje już technikę, zacznie rysunek na porządnej kartce i potem poprosi Jeremiaha, żeby oprawił taki portret jako prezent dla siostry i siostrzenicy.

Miał przynajmniej parę godzin, zanim jego rodzice wrócą z kościoła, więc Michael z radością przyjął okazję do pod-szlifowania ostatniego szkicu. Kiedy tylko usłyszał silnik LaSallea na drodze, zgarnął kartki oraz ołówki i zamknął je w szafie. Wszedł do holu na parterze chwilę przed swoimi rodzicami.

Tata zadzwonił po Jeremiaha, żeby odwiózł auto do garażu, a potem odprowadził matkę Michaela do salonu i usadowił ją w wygodnym fotelu. Wyglądała na zmęczoną, ale zadowoloną. Gdzieś z tyłu domu wyłoniła się z Dancy i kiedy zajęła się matką, ojciec skinął na niego, wskazując mu gabinet.

Cały spokój, który Michael odzyskał w czasie samotności, zniknął w mgnieniu oka.

- Tato, jest niedziela. Chyba nie zamierzasz rozmawiać o interesach?

- To nie to, o czym myślisz, w żadnej mierze. - Ojciec zamknął drzwi i dodał: - Usiądź.

Michael sam nie był pewien, czy na pewno tego chce.

- Odette zaraz będzie wołać na obiad. Czy to nie może poczekać?

- Nie będzie lepszego czasu. - Ponury uśmiech wykrzywił usta taty, gdy wysunął fotel po swojej stronie biurka. - Mam nadzieję, że to nie zajmie nam długo.

Michael przełknął ciężko i usiadł. Czekał.

Ojciec wsparł ramiona na oparciu fotela, a ręce luźno opuścił na kolana. Wziął głęboki wdech, a potem wypuścił powietrze przez przymknięte usta.

- Nie będę owijał w bawełnę. Czy ty zabawiasz się z tą najemną służącą?

- *Zabawiam się?* - Michael z oburzeniem skoczył na równe nogi. - Jak śmiesz...

Zacisnął usta, obawiając się powiedzieć coś niewłaściwego. Patrząc na niego znacząco, ojciec bez słowa nakazał mu ponownie usiąść.

- Pozwól, że zapytam inaczej. Michaelu, czy ty żywisz jakieś uczucia do Bryony Linwood?

Nie było sensu kłamać, bo prawda i tak z pewnością wymalowana była we wszystkich rysach jego twarzy. Zacisnął dłonie na podłokietnikach.

- O cokolwiek mnie podejrzewasz, możesz być pewien, że cnota Bryony została nienaruszona. Błagam cię, tato, nie wyżywaj się na niej.

- Nie będę, o ile tylko nie zmusisz mnie do tego. Ale wiesz, co się stało z twoją siostrą, kiedy pozwoliła się uwieść najemnikowi. - Ojciec wyprostował się na siedzeniu i przeszył Michaela ostrym wzrokiem. - Nie powtórz błędu Mirandy.

W połowie tygodnia temperatury gwałtownie spadły, dlatego też po zakończonym dniu pracy w środowe popołudnie Bryony z ulgą powitała widok starego pick-upa dziadka oczekującego na nią na końcu podjazdu Heathów. Jej wytarty płaszcz zwykle wystarczał na zimy panujące w Arkansas, ale nie sięgał aż do palców stóp, które drętwiały już po krótkim spacerze drogą. Siedząca za kierownicą najmłodsza siostra rzuciła radośnie:

- Będziesz zachwycona, jak zobaczysz, co Miranda włożyła dziś do pieca. Zapiekaną pasterską! Od razu cię rozgrzeje.

- Mmm, brzmi wspaniale. - Bryony wetknęła zgrabiące palce w rękawy. - Mam nadzieję, że przekazuję ci tajniki swoich przepisów, żebyś mogła sama gotować, gdy odejdzie.

W aucie było ciemno, ale Bryony potrafiła sobie wyobrazić, jak jej siostra przewraca oczami.

- Stara się - powiedziała Rose. - Ale zapewniam cię, że jeśli tylko da się coś zepsuć, znajdę na to sposób.

Bryony była zbyt zmęczona, by ciągnąć tę rozmowę, więc tylko cicho zachichotała. Gdyby nie wyboista droga, z pewnością by zasnęła. Ile by teraz dała za takie leniwe dni, jak ta zeszła niedziela. Nie zamierzała zasnąć i opuszczać pracy, ale gdy dowiedziała się, że dziadek posłał Rose, żeby ją usprawiedliwiła u Heathów, nie robiła wielkiej awantury. Zwłaszcza że Miranda przyniosła jej śniadanie na tacy i pozwoliła pospać do południa. Nawet nie słyszała, kiedy dziadek i Rose wychodzili do kościoła.

Taki dzień wytchnienia przysłużył jej się na wiele sposobów. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo potrzebowała czasu dla samej siebie, żeby pomodlić się, pomyśleć nad tym, co miała przynieść jej przyszłość... lub nie.

Ocknęła się z zamyślenia, kiedy Rose zajechała obok obory i zgasiła silnik. Marszcząc brwi i zerkając w stronę domu, zapytała szeptem:

- Czy on tu jest?

Rose zacisnęła usta i zaprzeczyła ruchem głowy.

- Wyszedł akurat wtedy, gdy wyjechałam po ciebie. Chciał czekać, ale obiecał mamie, że wróci do domu na kolację.

/ bardzo dobrze. Im rzadziej się będą widywać, tym lepiej dla nich.

Tylko że strasznie za nim tęskniła. Przeżywała męczarnie każdego dnia, gdy szła do pracy, gdzie dzieliły ich jedynie ściany oraz drzwi, i w każdym momencie mogła się natknąć na niego z jego czułym uśmiechem przeznaczonym specjalnie dla niej. Drgnęła, uświadamiając sobie, jak często tego pragnęła, kiedy modliła się, by dla ich dobra, nie wydarzyło się nic podobnego.

Zanim Bryony i Rose odwiesiły swoje płaszcze, Miranda podała już kolację na stół. Nasycony cebulą zapach zapiekanki pasterskiej z przypieczonym z wierzchu puree ziemniaczanym sprawił, że Bryony aż zaburczało w brzuchu.

- Mam nadzieję, że będzie dobrze smakować z królikiem - powiedziała Miranda, zajmując swoje miejsce za stołem. - Ostatnio ciężko o wołowinę, ale te pułapki waszego dziadka bardzo dobrze się sprawdzają.

Senior rodziny odmówił modlitwę, a potem porozkładał solidne porcje na każdy talerz, mówiąc:

- I tak nie jest u nas tak źle w porównaniu z tym, co mają inne ludzie. Winniśmy być wdzięczni i cieszyć się z tych dodatkowych zapasów żywności.

- A, właśnie mi się przypomniało - zaczęła Rose, przeżuwając. Gdy przełknęła, ciągnęła dalej: - Spotkałam Caleba, kiedy odbierałam pocztę. Mówił, że pan Heath i Michael odwiedzili ich w niedzielę z olbrzymim koszem jedzenia.

Widelec Bryony zatrzymał się w połowie drogi do ust.

- Obaj? Razem?

- Caleb i jego mama ledwie mogli uwierzyć, ile dobroci tam było. - Rose nabrała kolejną porcję. - I Caleb mówił, że

słyszał, że inni dzierżawcy też otrzymali takie kosze. Z piersi Mirandy dobył się pełen niedowierzania śmiech.

- A Michael nawet słówkiem mi o tym nie pisał. Musiał nieźle nagadać tacie, żeby rozluźnić jego zaciśniętą pięść.

Dziadek odchrząknął i wtrącił:

- Bardziej niż pewne, że Sebastian chciał powstrzymać rozruchy z powodu braku żywności w Edenie, coby nie było tak jak w England. Może i on jest skąpy, ale nie głupi.

Bryony nie była do końca przekonana co do tego ostatecznego stwierdzenia. Jakie inne słowo poza „głupi” lepiej opisywało człowieka, który odrzucił jedno ze swoich dzieci i gardził talentem drugiego?

Z drugiej strony nikt nie mógł zaprzeczyć, iż Michael miał korzystny wpływ na sposób prowadzenia interesów przez jego ojca. Być może zarządzanie plantacją nie było tym, co sobie wymarzył, ale z pewnością dokonywał pozytywnej przemiany w życiu dzierżawców na plantacji Brookbirch.

Po kolacji Bryony pomogła przy zmywaniu, następnie wyprała swój mundurek służącej, a potem wczołgała się ciężko do łóżka. Śniło jej się, że Michael przyszedł pod jej drzwi z olbrzymim koszem przykrytym kraciastą serwetą. Jego ciepły uśmiech zapowiadał obfitość, ale kiedy odkrył serwetę, z kosza wyzierała jedynie czarna pustka, a ona czuła, że zaczyna się bezradnie staczać w przepaść.

Obudziła się zlaną zimnym potem, z trudem łapiąc powietrze.

- To tylko sen, Bry. - Rose pochyliła się nad nią, odgarniając włosy z jej twarzy. - Wszystko dobrze. Zapomnij o tym.

Bryony usiadła i zaczęła przecierać oczy. Gdyby z taką samą łatwością mogła wymazać obrazy z jej snu.

- Czy to już rano?

- Prawie. Twój budzik włączy się za jakieś dziesięć minut. - Rose założyła na siebie znoszony flanelowy szlafrok, który niegdyś należał do ich taty. Podała Bryony jej szlafrok i od zapalki zapaliła lampę naftową stojącą na komodzie. - A co ci się śniło?

- Jakieś głupoty - odparła Bryony. Słyszała, że dziadek przemieszcza się już po kuchni i ruszyła, by pomóc mu przy śniadaniu.

- Już jest kawa... albo przynajmniej to, co ma ją ostatnio imitować. - Dziadek zerknął ze smutkiem w stronę puszek, w której trzymał ziarna kawy podarowane mu od Larkspur na święta. Zmiał ostatnie zapasy wczoraj, więc od teraz musieli wrócić do zwykłej cykorii.

Bryony naląła sobie napoju do kubka, choć wiedziała, że to i tak nie otworzy jej oczu jak prawdziwa kawa. Potrzeba jej było naprawdę porządnego, mocnego kopniaka, żeby pozbyć się tych wytrącających z równowagi majaków sennych.

Choć prawdą było, że jej życie wydawało się właśnie taką głęboką, czarną przepaścią. Zupełną pustką i pogrążaniem się.

A może ten sen miał jej uświadomić coś innego? Na przykład to, że zmierzała w stronę nieznannej przyszłości i tylko Michael mógł jej wskazać drogę?

- Nie rób mi tego, Bryony! - Z kamienną twarzą Michael zastąpił jej wyjście z pokoju służących.

Spróbowała się roześmiać, ale zabrzmiało to raczej jak skowyt.

- Czego mam nie robić? Biorę po prostu środki czyszczące.

- Nie udawaj, że ja w ogóle nie istnieję. - Oparł prawą rękę o framugę drzwi, na wysokości jej głowy.

Udawanie jest jedynym sposobem na to, żebym mogła przeżyć pracę tutaj - chciałaby rzec. Oderwała wzrok od poplamionych atramentem palców Michaela, które świadczyły o tych wszystkich godzinach, jakie poświęcał na ślęczenie nad księgami rachunkowymi plantacji Brookbirch. Nie potrafiła spojrzeć na jego pełne wyrzutu oblicze, więc po prostu wbiła wzrok ponad jego ramieniem.

- Nie powinieneś tu być. Ktoś mógłby zobaczyć...

Trzasnął ręką mocno w ościeżnicę, tak że ona z zaskoczenia nagle zamilkła. Zamknął oczy i zacisnął dłoń w pięść. Drżał na całym ciele. Kiedy ponownie się odezwał, mówił już łagodniejszym tonem.

- Uplłynął prawie tydzień, odkąd po raz ostatni zerknęłaś w moją stronę. Widzę, że idziesz korytarzem, a potem znikasz w najbliższych otwartych drzwiach lub zawracasz w drugą stronę.

Wykrzesła z siebie na tyle odwagi, by spojrzeć mu prosto w oczy.

- Powiedz, czy ty nie robiłeś tego samego?

Zacisnął szczęki i Bryony wiedziała, że nie mógł zaprzeczyć. Wszedł głębiej do pokoju, zmuszając ją tym samym do cofnięcia się.

- Tylko po to, żeby cię chronić, Bryony... ciebie i mnie.

-Wziął wiadro z przyborami do sprzątanania z jej ręki i odstawił je na stół, a potem piętą zamknął drzwi.

- Michaelu... - Nie powinna, ale jednak się bała. Nie tego, że Michael ją wykorzysta. Obawiała się raczej swojej słabej woli.

Chciała być z nim sam na sam, rozpaczliwie tego pragnęła. Marzyła o pocałunkach, zapewnieniach o jego uczuciach szeptanych jej nad uchem. Pragnęła, by otaczał ją ramionami, przyciągał ją do siebie tak blisko, żeby mogła czuć bicie jego serca na swojej piersi, w której trzepotało jej własne stęsknione serce.

Ale on stał blisko drzwi, trzymając ręce przy sobie.

- Czy kochasz mnie na tyle, by mi zaufać?

Wymacała krawędź stołu, bo teraz szczególnie potrzebowała oparcia. Miała tak ściśnięte gardło, że zdołała jedynie kiwnąć głową w odpowiedzi.

- Dobrze. Tylko o to chcę cię prosić. - Sięgając za plecy, ujął klamkę i otworzył drzwi. Jego rysy stały się łagodniejsze i wyszeptał jeszcze: - Do zobaczenia dziś wieczorem.

Chwilę później już go nie było. Pozostawił po sobie jedynie wspomnienie tego uśmiechu i to okropne, tęskne zapewnienie: *Do zobaczenia dziś wieczorem.*

Perspektywa powrotu do domu na koniec dnia i spotkania się z nim wypełniała ją nadzieją, której nie miała prawa żywić. Cokolwiek kryło się w głębi i ciemności nieprzeniknionej przyszłości, nie liczyło się tak jak decyzje, które Bryony podejmowała tu i teraz. Zawsze była silna, zdeterminowana i niezachwiana w swoim oddaniu, by chronić i dbać o tych, których kochała. A na jej liście znajdował się obecnie także Michael. Nie wystarczało jej to, że zachęciła go, by wrócił do rysowania. Wymykał się do domu Bryony na godzinkę lub dwie, ale po skończonej wizycie i tak zostawiał szkicownik

i kredki. Te chwilowe ucieczki mogły ożywić jego duszę, ale nic nie zmieniały. Rozpalił się w niej na nowo gniew na myśl, ile szkód wyrządziło okrucieństwo Sebastiana Heatha jego synowi.

Dobrze znany stukot obcasów panny Esthery rozbrzmiewał w korytarzu. Kiedy zajrzała do pokoju służby i dostrzegła tam Bryony, ściągnęła w zaskoczeniu brwi.

- Dlaczego jeszcze nie jesteś na górze? Alice już od pół godziny sprząta.

Bryony chwyciła wiadro z przyborami do sprzątania oraz mopa z wieszaka na ścianie.

- Sprawdzałam, ile zostało środków do czyszczenia. Już idę na górę.

Stalowe spojrzenie kobiety nie onieśmiało już Bryony tak jak na początku, ale nadal nie miała ochoty podpaść zwierzchnicze. Minęła pannę Estherę i pognęła na górę tylnymi schodami. Przynajmniej dzisiaj to Alice przypadało mycie łazienek. Bryony miała się zająć ścieraniem kurzu, polerowaniem mebli i sprzątaniem podłóg w prywatnych apartamentach rodziny. Wiedziała, że Michael będzie w gabinecie z ojcem, więc postanowiła, że zacznie od jego pokoju i postara się szybko uwinąć. Uwzględniając jej rozchwiane uczucia, wolała nie ryzykować tak prędko kolejnego spotkania.

Gdy Bryony weszła do pokoju dziennego Michaela, jego przyjemny męski wystrój sprawił, że zatrzymała się na chwilę. Poranne słońce przeświecało przez wychodzące na południe okna i wyobraziła sobie Michaela siedzącego przy stole z rozłożonymi przed nim materiałami do rysunku. To było jego prawdziwe miejsce - nie w tajemnicy i narzuconym

sobie odosobnieniu, ale w wolności podążania za swoimi prawdziwymi talentami.

Westchnąwszy cicho, Bryony wzięła się do pracy. Kiedy tylko obeszła pomieszczenia z miotką do kurzu i ściereczką do polerowania, zebrała mniejsze dywaniki, żeby wytrzepać je na zewnątrz, a potem starła mopem nagie drewniane podłogi. Później tu wróci z ręczną szczotką do odkurzania, żeby zająć się dużym perskim dywanem w pokoju dziennym.

Podczas zmiatania pod szafą w sypialni Michaela wyciągnęła mopem pomięty skrawek papieru. Bryony schyliła się, by go podnieść i rozpoznała nagryzmołoną krzywym pismem Odette listę: *sól, mąka, smalec, jabłka, udziec na pieczeń...* Najwyraźniej to była lista zakupowa. Bryony miała już zмяć papier i upchnąć do kieszeni, żeby później go wyrzucić, kiedy zauważyła coś na odwrocie.

- Och... och! - Trzonek mopa uderzył o podłogę i Bryony wstrzymała oddech, wyglądając papier, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Szkic nie był zbyt piękny, ale nie było wątpliwości, kogo przedstawiał. To była Miranda i Callie, jedna obok drugiej. Widać było wyraźne podobieństwo między matką a córką, tak że nikt nie mógłby się pomylić.

- Bryony, gdzieś ty? - Alice wtoczyła się do pokoju dziennego i postawiła materiały do sprzątnięcia w drzwiach sypialni. - A, tuś jest. Pomóż mi z łazienkami, a ja wytrzepię za ciebie dywany... Bryony?

Uświadomiła sobie, że stoi z otwartymi ustami, zaciskając szkic w obu dłoniach. Nadal nie mogła ani się ruszyć, ani nic powiedzieć.

- Na litość boską, dziewczyno, wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. - Alice podeszła bliżej. - Co ty tam masz?

Trzęsącymi rękami Bryony wyciągnęła kawałek papieru, tak by Alice mogła go zobaczyć.

Służąca stłumiła okrzyk, a jej zaskoczony wyraz twarzy przerodził się teraz w pełen podziwu uśmiech.

- Czyż one nie są najpiękniejsze! Panicz Michael to narysował? Ależ on...

Z korytarza na piętrze dobiegły męskie głosy i obie kobiety zamarły.

- Tylko się nie ociągaj, Michaelu. - Z każdym krokiem głos Sebastiana był coraz donośniejszy. - Nie możemy się spóźnić na to spotkanie.

- Daj mi pięć minut. - Michael przeciął pokój dzienny. W drzwiach sypialni zatrzymał się na chwilę i patrzył to na Alice, to na Bryony. Jabłko Adama na jego szyi drgnęło.

- Przepraszam, wezmę tylko to, po co przyszedłem, i już nie przeszkadzam.

- Michaelu - z gardła Bryony dobył się zachrypnięty szept. Przyciskając rysunek do brzucha, skinęła szybko głową.

Jego wzrok spoczął na kartce i wiedziała dokładnie, w którym momencie domyślił się, co trzymała w dłoniach. Zaczął wycofywać się z pokoju. Nie udało mu się jednak, bo tuż za nim niemal od razu pojawił się ojciec.

- Pospiesz się, Michaelu. W banku nie będą czekać na nas cały dzień. - Potem dostrzegł Bryony i grymas niezadowolenia oraz zniecierpliwienia na jego twarzy pogłębił się. Odprawił kobiety machnięciem dłoni. - Możecie skończyć później. Spieszymy się.

Bryony nie pragnęła niczego bardziej, niż uciec przed badawczym spojrzeniem Sebastiana. Gdyby jednak teraz próbowała ukryć szkic, mogłaby tylko ściągnąć na siebie jego

uwagę, więc nonszalancko opuściła dłoń z kartką. Potem szturchnęła Alice i obie przemknęły w stronę drzwi.

I wtedy Bryony potknęła się na wiadrze, które zostawiła Alice. Kiedy starała się złapać równowagę, wypuściła z rąk szkic, który pofrunął ponad podłogą.

I wylądował dokładnie u stóp Sebastiana.

20.

Michael poczuł, jak serce podeszło mu do gardła. Skoczył w przód po szkic, ale nie był wystarczająco szybki. Jego ojciec schwycił kartkę i wyciągnął w stronę Bryony.

- Zgubiłaś jakiś śmieć.

Jej twarz nagle chorobliwie pobladła. Zerknęła nerwowo na Michaela i odparła:

- Tak, dziękuję panu.

- Nie ma sprawy, wyrzucę to. - Ojciec Michaela skinął w kierunku zewnętrznych drzwi i rzucił: - A teraz idź już. Spieszymy się.

Bryony nie poruszyła się. Wzrok miała przykuty do tego kawałka papieru.

Starając się wyglądać tak, jakby nic się nie stało, Michael wszedł pomiędzy Bryony a ojca i wyciągając rękę, rzekł:

- Ja to wezmę, tato. - Słyszał we własnym głosie napięcie, ale miał nadzieję, że tata tego nie zauważył. - Może już doprowadzisz auto przed wejście? Spotkamy się przed domem.

Właściwie dopiero teraz ojciec rzucił okiem na trzymany skrawek papieru. Zerknął na listę zakupową - tę, którą

Michael znał niemalże na pamięć, po tym, jak udało mu się chyłkiem wsunąć ją do kieszeni, gdy tylko znalazł ją któregoś popołudnia na siedzeniu chevroleta. Potem odwrócił na drugą stronę i...

- Co...

- To nic takiego. - Michael ponownie starał się odzyskać kartkę. - To tylko śmieć. Wyrzucę to.

Obracając się na pięcie, ojciec podszedł szybko do okna. Ponury wyraz jego twarzy stał się jeszcze bardziej surowy. Jego pierś unosiła się i opadała w miarowym rytmie.

- Tato...

Ojciec gwałtownie podniósł rękę, zatrzymując Michaela w pół kroku.

- To jest Miranda, co do tego nie ma wątpliwości. - Ojciec wyraził dezaprobatę gniewnym spojrzeniem. Michael sam nie wiedział, czy dotyczyło to osoby przedstawionej na szkicu, czy faktu, że jego syn znów rysował. Być może i tego, i tego. - A ta dziewczyna?

Uświadomiwszy sobie z zażenowaniem, że Bryony i Alice wciąż obserwują całą scenę, Michael w końcu zebrał się na odwagę. Już dawno powinien był powiedzieć ojcu prawdę. Nutka sarkazmu przebijała z jego głosu, gdy wycedził:

- Nie poznajesz swojej własnej wnuczki?

Mars na twarzy ojca jeszcze bardziej się pogłębił. Stuknął palcem we fragment szkicu przedstawiający Callie i wydusił z siebie:

- *To* jest ten mieszaniec, którego urodziła twoja siostra? Widziałeś ją? Gdzie?

Michael zrobił kolejny krok w przód. Jego głos drżał z oburzenia.

- Gdybyś nie był tak ślepy i całkowicie nie lekceważył wszystkiego, co nie dotyczy twoich własnych interesów, wiedziałbyś, że żyje i pracuje tuż pod twoim nosem.

- Kto? *Kto?*. - Ojciec obrócił się gwałtownie w stronę syna. Jego twarz była purpurowa od gniewu.

Zza pleców Michaela rozległ się błagalny skowyt Bryony:

- Michaelu, nie. Proszę!

Ojciec rzucił jej pełne niedowierzania spojrzenie.

- A więc nawet najemna służąca wie więcej niż ja? - Popatrzył ponownie na rysunek, ściskając górną wargę między opuszkami dwóch palców. - Czeka... Znam tę twarz. To pomoc kuchenna, którą Esthera zatrudniła jakiś czas temu... ta dziewczyna, co zajmuje się praniem.

- Callie. Ma na imię Callie. - Michael zignorował fakt, że Bryony szarpnęła go za ramię. Mierziło go już to chowanie się ze strachu przed despotyzmem ojca. - Gdy jej córka osiągnęła odpowiedni wiek, Miranda przysłała ją tu do pracy, ponieważ wiedziała, że Esthera i Odette się nią zaopiekują.

Miażdżąc kartkę w pięści, ojciec Michaela odwrócił się powoli do okna. Wycedził przez zaciśnięte zęby:

- Domyślam się, że wiesz o tym od dawna. Czy poza matką ja jestem jedyną osobą, która żyła w nieświadomości?

- Ja też nie wiedziałem, aż do czasu, gdy Miranda wróciła. Tato, proszę. - Michael położył rękę na ramieniu ojca. - Zrób to, co trzeba. Przebacz Mirandzie i uznaj Callie za...

- NIE! - Gromka replika poruszyła kryształkami stojących na komodzie lamp. Ojciec Michaela cisnął zmiętą kulkę papieru przez pokój i rzucił się do wyjścia. Zaraz potem trzasnęły drzwi.

Zapanowała ogłuszająca cisza. Michael patrzył w szoku i bezsilności na Bryony. Jakąś odległą cząstką świadomości zarejestrował, że Alice wyszła, pewnie po to, by powiadomić Estherę i Odette o tym, że prawda ujrzała światło dzienne.

- To moja wina - zakwiliła Bryony.

- Nie, nie. - Otrząsając się z osłupienia, Michael wziął ją w ramiona. - Wszyscy jesteście winni, bo myśleliśmy, że uda się zachować to w tajemnicy przed nim. A ja przede wszystkim zawiniłem moją bezdennie głupią nieostrożnością.

Bryony podniosła wzrok i spojrzała na niego swoimi ciemnymi oczami, wypełnionymi łzami i zmartwieniem.

- Jeśli on skrzywdzi Callie...

- Postaram się, żeby do tego nie doszło, jakiegokolwiek wysiłku by to nie wymagało. - Michael ucałował ją w czoło. - Lepiej pójde do niego. Dasz sobie radę?

Pokiwała głową, ale kiedy wypuszczał ją z objęć, wcale nie wyglądała na przekonaną. Gdy odwrócił się, by odejść, położyła mu rękę na ramieniu.

- Michaelu, obiecaj mi. Tak jak prosiłeś ojca, żeby zrobił to, co trzeba, ja teraz proszę ciebie.

Przekrzywił głowę, nie rozumiejąc.

- Znam cię, Michaelu. Wiem, że jesteś nastawiony na to, by chronić tych, których kochasz, tak samo jak ja. - Po jej policzku spłynęła łza. - Ale czasem... czasem musisz chronić także siebie.

Jej słowa przeszły go na wskroś, wzbudzając inny rodzaj gniewu gdzieś w głębi jego serca.

- Wszystko, co robiłem dotąd... - Zacisnął dłonie w pięści, dokładając wszelkich starań, by nie zacząć krzyczeć.

- Wszystko, co robiłem przez minione lata, było po to, żeby chronić siebie. Nie chciałem czuć, nie chciałem kochać, nie chciałem nawet żyć. Ale ty, Bryony... - Jego głos zmiękł, a na ustach pojawił się trwożliwy uśmiech. - Ty mnie obudziłaś, przywróciłaś do życia. Wciąż się uczę, nadal popełniam błędy, ale nie chcę się znowu stać zamkniętą skorupą człowieka.

<^®<~^

Michael wyszedł poszukać ojca, a Bryony jeszcze przez długi czas nie potrafiła zebrać się w sobie i zmusić do czegokolwiek. Stała tak w wejściu do sypialni i modliła się. Bóg z pewnością nie dopuściłby do tego, gdyby nie zamierzał wykorzystać tych wydarzeń do jakiegoś dobra. *Mój zamiar się spełni i uczynię wszystko, co zechcę* - mówił w Księdze Izajasza.

- O Boże - zapłakała, przyciskając złożone ręce do czoła.

- Błagam, daj tej rodzinie pokój. Daj uzdrowienie i miłość. Daj...

Zewnętrzne drzwi apartamentu otworzyły się z hukiem i Alice zajrzała do pokoju. Brakowało jej tchu i była cała czerwona na twarzy.

- Chodź szybko na dół, Bryony. Pan Heath wzywa do salonu wszystkich służących razem.

Bryony poczuła, jak w jej żołądku zaciska się supeł i ogarniają ją nudności. Bała się poruszyć, żeby nie zwrócić wszystkiego na drogocenny perski dywan.

- Co się dzieje? Gdzie jest Michael?

- Pan Heath kazał mu zatrzymać panią na górze, z dala od tego całego poruszenia. Wszyscy inni czekają w salonie

w szeregu jak na egzekucję. - Alice rozpaczliwie dawała Bryony znaki, by się pospieszyła. - Musim tam iść *natychmiast*. Pan nie jest w humorze, coby czekać choćby minutkę.

Tak jakby w ogóle liczył się jej wygląd, Bryony poprawiała wsuwki w koku i zatknęła luźne kosmyki za uszy. Kiedy Alice westchnęła ze zniecierpliwieniem, Bryony zmusiła dotąd niewładne nogi do marszu. W korytarzu zatrzymała się na chwilkę i zerknęła w stronę zamkniętych drzwi pokoju pani Heath. Po raz kolejny Michael będzie rozerwany pomiędzy stawieniem czoła ojcu a uchowaniem matki przed burzą.

Kiedy dotarły do salonu, Alice weszła chyłkiem do środka i zajęła swoje miejsce w szeregu obok Dancy. Stojący po drugiej stronie Jeremiaś miał wyjątkowo ponury wyraz twarzy i ręce sztywno opuszczone wzdłuż boków. Panna Esthera i Odette chroniły między sobą Callie, a w ich oczach prze-błyskiwał opór.

Po przejściu paru kroków Bryony zatrzymała się. Przeniosła wzrok z szeregu służących na Sebastiana Heatha, który stał plecami do nich, patrząc gdzieś w dal przez okno. Dłonie zwinięte w pięści opierał nisko na biodrach i widać było, że koncentrował się na powolnym oddychaniu.

Przekrzywił nieznacznie głowę w stronę Bryony i jego wzrok stał się jeszcze bardziej surowy.

- Proszę do nas dołączyć, panno Linwood. - Obrócił się, rzucając jej gniewne spojrzenie. - Już tego dnia, gdy pojawiłaś się z tym swoim słoikiem ogórków, powinienem był wiedzieć, że będą z tego same problemy. Najwyraźniej nie tylko przewróciłaś w głowie mojemu synowi, narażając na szwank jego przyszłość, ale też spiskowałaś z resztą tych szubrawców,

by dokonać rażącego oszustwa przeciw tej rodzinie.

- Ależ, proszę pana... - Jeremiaś zrobił krok w przód. - Nie może pan oskarżać Bryony za to, co się stało, zanim ona się tutaj zjawiała.

Sebastian obrócił się gwałtownie w stronę kamerdynera.

- Mogę i będę jeszcze rzucać wiele innych oskarżeń, zanim to wszystko się skończy. Sługusy niewarte funta kłaków... powinienem was wszystkich z miejsca wyrzucić i byłby spokój!

Łzy popłynęły po policzkach Callie. Bryony czuła, że krwawi jej serce na widok dziewczyny kulącej się za pulchnym ramieniem Odette.

Sebastian Heath... Ten biedny syn farmera nigdy nic nie osiągnie.

Wzburzenie rosło w niej, kiedy mimo drżących nóg, wyszła z szeregu w stronę pana Heatha.

- Proszę uważać na słowa, panie Heath, bo mogą się zwrócić przeciwko panu.

Gapił się na nią z aroganckim niedowierzaniem.

- Powiedziałbym raczej, że to ty powinnaś skorzystać ze swojej rady, panno Linwood. Wystarczy, że wezwę szeryfa i pani rodzina straci dach nad głową... szerokiej drogi.

Podeszła jeszcze bliżej niego, modląc się w duchu, by wystarczyło jej odwagi. Ściszyła głos do złowieszczonego szeptu i wyrzekła:

- Jeśli nie chce pan, żeby wszyscy tu obecni usłyszeli dokładnie, jak stał się pan właścicielem plantacji Brookbirch, radziłabym panu odesłać resztę do ich obowiązków, tak żebyśmy mogli porozmawiać na osobności.

- Co ty... - zaczął z oburzeniem Sebastian, rzucając w jej stronę nerwowe spojrzenie. Widząc uniesione brwi kobiety,

zacisnął szczęki, a potem powiedział do pozostałych służących:

- Wygląda na to, że panna Linwood i ja mamy parę spraw do omówienia. Proponuję, abyście wrócili do swoich obowiązków, zanim znów sprowokujecie mnie do tego, żebym was wszystkich odesłał z tego domu.

Służący rzędkiem wyszli z pokoju, a każda kolejna osoba posyłała Bryony zaniepokojone spojrzenie. Mogła im jedynie odpowiedzieć trwożliwym uśmiechem i mieć nadzieję, że poważają ją na tyle, by zaufać jej w tej kwestii.

Jeremiah, który wychodził jako ostatni, już przy drzwiach odwrócił się i z błyskiem zainteresowania spojrzał na nią jeszcze raz. Jego nieme skiniecie wyrażało aprobatę i dało Bryony tak bardzo potrzebną jej teraz zachętę do tego, by wykonać to, co zamierzała.

Michael już dawno nie był w takim potrzasku, czując się jednocześnie tak bezsilnym. Chyba ostatnim razem zdarzyło się tak wtedy, gdy niemieccy artylerzyści trzymali jego oddział w błotnistych okopach, tuż przed uderzeniem gazu musztardowego, który niedługo potem sprawił, że krzyczeli w agonii. Samo to wspomnienie wystarczyło, by odczuł w piersi piekący ból. Przyciskając jedną rękę do mostka, ostrożnie nabrał powietrza i starał się przybrać zainteresowany wyraz twarzy, gdy jego matka rozwodziła się nad ostatnimi wydarzeniami z *Cimarronu*.

- Powinieneś przeczytać tę książkę, gdy już ją skończymy z Bryony. - Zerknęła przez firanki okna wychodzącego na

północne ogrody. - Mam nadzieję, że ona przyjdzie dzisiaj. Przecież to już chyba pora na popołudniową herbatkę, czyż nie?

- Nie, mam, jeszcze nie było nawet południa. - Michael zerwał się z krzesła. Poszedł za ojcem, planując porozmawiać z nim na osobności, bo zbyt dobrze wiedział, do czego był zdolny Sebastian Heath, gdy był zdenerwowany. Ale zanim Michael zdołał go powstrzymać, tata zwołał całą służbę do salonu i nie zostawiając mu żadnego wyboru, kazał zająć się matką.

Docierał do niego z oddali dudniący głos perorującego ojca i Michael nie umiał już pohamować swojej ciekawości ani chwili dłużej. Przemknął w stronę drzwi i otworzył je. Powitała go grobowa cisza. Poczuł, jak strach ściska mu żołądek. Taka sama cisza panowała tuż przed tym, gdy gaz przeżarł jego płuca. Wszedł głębiej na korytarz i nasłuchiwał. Wstrzymując oddech, modlił się, by nie okazało się, że jego ojciec skazał siedmiu lojalnych pracowników, w tym jego siostrzenicę oraz kobietę, którą kochał, na śmierć głodową.

Na schodach rozległy się ciężkie kroki. Nie należały ani do ojca, ani do Bryony. Kiedy na górze pojawiła się Dancy, ze świstem odetchnął z ulgą.

Srebrnowłosa pokojówka podeszła do niego, potrząsając żałośnie głową.

- Och, paniczu Michaelu, tak mi przykro.

- Powiedz, co mówił mój ojciec - poprosił ściszym głosem. Zerknął szybko do pokoju dziennego i upewnił się, że matka zajęta jest czymś innym.

- Byli my wszyscy bliscy utracie pracy, aż Bryony wyszeptała co pańskiemu tacie. Nie zrozumielim, ale widać było,

że to go nie ucieszyło. Wyszli do gabinetu i zanikli za sobą drzwiami.

Michael nie miał bladego pojęcia, jaką to taktyką posłużyła się Bryony, by odwrócić uwagę rozjuszonego ojca. Stanowczo, acz delikatnie ujął łokieć Dancy i poprowadził ją do pokoju dziennego pani Heath.

- Zostań z mamą. Cokolwiek byś usłyszała, trzymaj ją tu na górze i dopilnuj, by zachowała spokój. - Widząc wielkie, wypełnione przerażeniem oczy służącej, ujął jej dłonie. - Wszystko będzie dobrze, Dancy. Nie wiem jeszcze jak, ale obiecuję, że będzie.

Bryony miała rację - był całkowicie nastawiony na to, by chronić tych, których kochał, nawet własnym kosztem. *Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich* - to było motto każdego z towarzyszy broni, gdy Michael służył podczas wojny. Poza tym zdaniem, jedynym fragmentem z Pisma Świętego, który zdołał zapamiętać po latach nauki w prywatnej szkole parafialnej, było przykazanie dane od Pana, by *miłować bliźniego swego jak siebie samego*.

Kiedy schodził na dół, dwa słowa powróciły echem w jego głowie: *miłować siebie*. Był wyjątkowo biegły, jeśli chodziło o chronienie siebie, a nawet poświęcanie samego siebie. Ale kochanie? Rozpoznawanie i odpowiadanie na swoje własne potrzeby, tak by mógł w pełni dostrzegać potrzeby innych? W którym momencie przestał zauważać swoją wartość?

I jak człowiek honoru powinien brać w obronę ludzi, których kochał, i jednocześnie bronić samego siebie?

Te dręczące myśli sprawiły, że zwolnił kroku, będąc już blisko gabinetu ojca. Wyobraził sobie Bryony po drugiej

stronie tych drzwi. Na pewno była spięta i patrzyła stalowym wzrokiem, nie bacząc na gniew, który niechybnie na siebie ściągnie przeciwstawiając się Sebastianowi Heathowi na jego własnym terytorium. W żyłach Michaela mocniej zapulsowała krew w neodpartym poczuciu potrzeby wtargnięcia do pokoju. To *on* powinien bronić Mirandy i Callie. Musiał zatrzymać Bryony, by nie ryzykowała bezpieczeństwem własnej rodziny.

A potem usłyszał głos Bryony - cichy, ale stanowczy - i wstrzymał oddech.

- To naprawdę niedobrze, panie Heath - ciągnęła Bryony opanowanym tonem, choć w środku drżała jak liść na wietrze. - Wygląda na to, że pańska pamięć jest w jeszcze gorszym stanie niż pamięć pana ukochanej żony. Może i ma trudności, by przypomnieć sobie czasem, jaki jest dzień, ale doskonale pamięta wydarzenia z odległej przeszłości.

Stojąc po drugiej stronie biurka, Sebastian oparł się o komodę, dosyć nieudolnie starając się zachować pozory obojętności. Jego przymrużone powieki i lekkie wysunięcie podbródka świadczyły bowiem o czymś zupełnie przeciwnym.

- Skoro najwyraźniej wydaje ci się, że masz przewagę, może mi powiesz, co takiego wiesz?

Wahanie Bryony trwało wystarczająco długo, by wzbudzić jego niepokój, gdy tymczasem ona starała się uspokoić swoje rozedrgane nerwy.

- Jeśli nie zarzuci pan kłamstwa pani Heath, mam podstawy sądzić, że jest pan dużo niższego pochodzenia niż

rodzina pańskiej żony. Pani mówiła mi, że jej tata uważał kiedyś, że nie uda się panu nigdy nic osiągnąć.

Teraz już wyraźnie zaczął się wściekać. Wyprostował się i jedną ręką przesunął po żuchwie, pytając:

- Fenella tak powiedziała? Kiedy?

- Jakiś tydzień temu. - Ze wzrokiem wbitym w ziemię, Bryony muskała palcami wypolerowane drewno biurka. - Tego samego dnia, gdy pan dostał ten wymyślny mebel. Pani Heath była taka dumna, że Michael będzie z panem pracował i uczył się wszystkiego, co konieczne, by pewnego dnia móc zarządzać plantacją.

Sebastian rozluźnił się nieco, a pełen zadowolenia z siebie uśmiech powoli wypierał niepokój.

- Niskie pochodzenie to nie przestępstwo, panno Linwood. Ono tylko sprawia, że człowiek jeszcze mocniej pracuje, by osiągnąć sukces.

- To prawda. Ale jak pana zdaniem Michael i Miranda przyjmą taką informację, że ich ojciec wyrastał w ubóstwie? Ze pański tata dzielił ciężki los farmera dzierzawiącego ziemię, tak jak mój dziadek albo Nels Wieland, niech spoczywa w pokoju, albo wszyscy ci, którzy w pocie czoła pracują w polu, by mieć co jeść, podczas gdy właściciele tej ziemi mieszkają w wielkich, pięknych domach i nigdy nie są zmuszeni...

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. W wejściu stał Michael. Miał otwarte usta i zmarszczone brwi. Jego pierś unosiła się w szybkim oddechu, kiedy patrzył to na Bryony, to na ojca.

- Czy to prawda? - zapytał głosem szorstkim jak papier ścierny.

- Michaelu... - Ojciec wyciągnął rękę.

- Pytam, czy to jest *prawda*? - Płomień gniewu i niedowierzania w oczach Michaela sprawił, że Bryony się wzdrygnęła.

- Synu, musisz mnie posłuchać.

- Nie, tato. Tym razem to *TY* mnie posłuchaj. - Michael obszedł biurko i stanął dokładnie naprzeciw Sebastiana. - Kiedy pomyślę o tym, co zrobiłeś Mirandzie... - Zawahał się, a wszystko się w nim gotowało. - Wyrzuciłeś ją, ponieważ zakochała się w ciężko pracującym człowieku, co do którego byłeś przekonany, że... pozwól, że przypomnę to dokładnie... *nigdy nic nie osiągnie*.

Sebastian otworzył usta, by mu odpowiedzieć, ale żadne słowa nie przychodziły. Wyglądał jak zapędzony w kozi róg spłoszony zwierzak, oszołomiony, przerażony i szukający jakiejś drogi ucieczki. Bryony przez chwilę nawet poczuła dla niego litość, ale jeszcze bardziej było jej przykro ze względu na Michaela. Nie powinien był nigdy w ten sposób dowiedzieć się prawdy.

Odwrócił się gwałtownie, zerwał z nosa okulary i przetarł dłonią twarz. Jego drżące westchnienie wypełniło cały pokój.

Podczas gdy Michael walczył, by się opanować, Sebastian skierował wzrok na Bryony.

- Mam nadzieję, że teraz jesteś zadowolona.

- Nie, proszę pana, nie jestem. - Podniosła podbródek, by choć przez chwilę powstrzymać łzy, które piekły ją pod powiekami z powodu Michaela. I z powodu Mirandy oraz Callie. - Ma pan tak wiele, a jednocześnie tak mało tego, co naprawdę się liczy. Ja przynajmniej, jak wrócę wieczorem do domu, będę wśród rodziny, która kocha i czeka na mnie. Szkoda, że pan nie może o sobie powiedzieć tego samego.

Sebastian odwrócił wzrok. Po jego zwieszonych ramionach widać było, że przeżywa poczucie porażki. Usiadł ciężko w swoim fotelu.

- Wynoście się, oboje. I zostawcie mnie w spokoju. Opierając dłonie na biurku, Bryony pochyliła się w jego stronę.

- Nie, dopóki nie dostanę zapewnienia, że nikt nie straci pracy. Łącznie z Callie... *jeśli* oczywiście nadal będzie chciała pracować dla własnego *dziadka*.

Wzdrygnął się na dźwięk jej surowego tonu.

- W porządku. Nikt nie straci pracy. - Rzucając jej dzikie spojrzenie, dodał: - Łącznie z *tobą*, choć wolałbym, żeby było inaczej.

Bryony nie była pewna, czy może polegać na tym zapewnieniu, ale w duchu westchnęła z ulgą. Teraz to Sebastian Heath powinien zastanowić się przez chwilę nad tym całym bałaganem, którego narobił sobie w życiu... i w życiu swojej rodziny. Obeszła biurko i czule ujęła Michaela za ramię.

- Chodźmy. Daję głowę, że Odette już tak się martwi, że pewnie potłukła kilka talerzy.

Michael posłał jej nieśmiały uśmiech, a potem zerknął przelotnie na ojca.

- Za moment do ciebie dołączę. I nie mów nikomu nic o tym, co powiedziała ci moja mama. Chcę sam to powiedzieć mojej siostrze i Callie.

Bryony skinęła i zapytała:

- Dobrze się czujesz?

- W końcu, tak - odparł, śmiejąc się cicho. A potem wziął ją w ramiona i trzymał mocno, jakby nie był w stanie jej puścić. Złożył na jej czole gorący pocałunek i wyszeptał

wtulony w jej włosy: - Dziękuję ci. - Jeszcze raz ją uściskał, a potem puścił i Bryony skierowała się w stronę drzwi.

Zanim zamknął za nią, kątem oka dostrzegła Sebastiana. Z pewnością nie miał już teraz żadnych wątpliwości, jeśli chodziło o uczucia Michaela do niej, ale w jego spojrzeniu nie było ani akceptacji, ani potępienia - tylko smutna, niema pustka.

Pomiędzy Michaeliem a jego ojcem zawisła cisza. Ale nie była ona pełna napięcia, przywodziła na myśl raczej wyciszenie. Całkowicie różniła się od skradającej się podstępnie ciszy z pola bitwy, kiedy ustał ryk karabinów i armat.

Jęknąwszy z wyczerpania, Michael opadł na fotel po swojej stronie ich podwójnego biurka. Złożył luźno ręce na kolanach.

- Teraz już jesteśmy sami. Chcę prawdy. Całej prawdy. Ojciec rzucił Michaelowi spojrzenie pełne nieskrywanej rozpacz.

- Po co? Żebyś mógł się chełpić, że wykryłeś oszustwo twojego staruszka?

- Nie, tato. Żebym mógł zrozumieć.

- A co tu jest do rozumienia? Dorastałem na farmie dzierzawcy, jak to trafnie ujęła panna Linwood. - Ojciec pocierał dłońmi o podłokietnik fotela. - I przez ostatnie czterdzieści lat robiłem, co mogłem, żeby wymazać te wspomnienia z pamięci.

Irytacja niczym szpony wbiła się w głowę Michaela.

- Ale najwyraźniej nie z pamięci mamy. Ona cię uwielbia, tato. A ty ją kochasz. Skoro jednak byłeś tak biedny...

- Jak to się stało, że w ogóle się spotkaliśmy? - Zerkając w stronę Michaela, ojciec zaśmiał się cynicznie. - Po prostu? Przez przypadek. Albo z Opatrzności Bożej, jeśli wolisz tak na to patrzeć.

Michael czuł, że prawda sięgała jeszcze głębiej. Utkwił wzrok w ojcu i czekał, aż ten będzie mówił dalej.

- Dobrze, dobrze. Jeśli tak bardzo chcesz usłyszeć pełną wersję, powiem ci. - Odchylając się do tyłu w fotelu, tata westchnął głośno i przeciągle. Jego oczy patrzyły gdzieś w dal i zaczął opowiadać.

Wszystko zaczęło się na dzierzawionej farmie w Conway. Sebastian Heath był najstarszym synem z siedmiorga dzieci. Odpowiedzialnym chłopakiem, który nie wzdragał się przed ciężką pracą. Gdy nie musiał pomagać rodzinie na farmie, podejmował różne prace w rezydencji właściciela ich ziemi, między innymi jako szofer, kiedy zwykły kierowca nie był dostępny.

Podczas jednej z takich wycieczek na spotkanie stowarzyszenia plantatorów do Little Rock, spotkał młodą damę Fenellę Gerhard, która towarzyszyła tamtego dnia swojemu ojcu. Dla Sebastiana to była miłość od pierwszego wejrzenia i chociaż Fenelli potrzeba było trochę więcej czasu, nie czuła się urażona jego wysiłkami zapoznania się z nią. Spotykali się w Little Rock za każdym razem, gdy odbywało się spotkanie plantatorów i wkrótce szukali także innych okazji.

Sebastian szybko zorientował się, że musi zdobyć nie tylko uczucia Fenelli, ale też akceptację jej ojca. Nie stać go było na college, ale chętnie czytał i studiował różne przedmioty, szczególnie zarządzanie w rolnictwie, dzięki czemu

miał nadzieję zaimponować Udellowi Gerhardowi, który żelazną ręką trzymał swoją własność.

- I to podziałało. - Ojciec Michaela zacisnął szczęki. - Gdy twój dziadek uświadomił sobie, że nie da się mnie zniechęcić oraz że może powierzyć mi nadzór nad swoją posiadłością, której byłem gotów pilnować z gorliwością porównywalną do jego własnej, chętnie udzielił mi błogosławieństwa, bym poślubił twoją matkę.

Dziadek ze strony mamy zmarł, zanim Michael mógł go poznać, ale słyszał na tyle dużo, by wiedzieć, że ten człowiek nigdy nie oddałby plantacji komuś, na kim nie mógłby polegać, bez pewności, że wszystko będzie świetnie prosperować. Te ziemie należały do rodziny od pokoleń.

- A jednak ukrywałaś to wszystko przed swoimi dziećmi, tak jakbyś, nie wiadomo dlaczego, wstydził się prawdy.

- Wstydził się? Na pewno nie tego, co udało mi się tu osiągnąć. - Tata zerwał się na nogi. Stojąc plecami do syna, przesuwał dłonią wzdłuż grzbietów licznych ksiąg rachunkowych ustawionych równo na półce nad komodą. - Ale jeśli wydaje ci się, że zyskanie szacunku twojego dziadka było trudne, wyobraź sobie, jak ciężko byłoby mi zająć jego miejsce, gdyby nasi dzierżawcy dowiedzieli się, że ich pan wcale nie zaczynał lepiej od nich?

- No nie wiem, może szanowaliby cię jeszcze bardziej. Mogę powiedzieć od siebie, że twoje dzieci na pewno by tak zrobiły. - Michael wstał, a wszelka cierpliwość, którą miał do tej pory, z minuty na minutę coraz szybciej się ulatniała. - Niestety, nie dałeś nam takiej szansy.

21.

Sebastian podniósł się na krzesło, jęknąwszy, gdy jego zeszywniałe mięśnie pleców odezwały się boleśnie. Już dawno nie spędził całej nocy przy biurku. Zwłaszcza że niegdyś to wynikało z potrzeby wzmożonej pracy, najczęściej w związku ze zbliżającymi się terminami złożenia zeznań podatkowych albo jakichś sprawozdań rolniczych.

A zeszła noc? Spędził ją na zastanawianiu się nad tym, co pozostało jeszcze z jego popadającego w ruinę życia.

Wieczorem w którymś momencie Odette przyszła z kolacją na tacy. Miska zupy stała nadal nietknięta i pokrywał ją teraz cienki kożuch. Zimna, wyschnięta bułka wystawała spod serwetki. Sebastian odsunął tacę na bok, a potem oparł łokcie na blacie i zaczął pocierać nieogolone policzki. Jego koszula śmierdziała potem, który obficie wydzielał się podczas całonocnych nerwowych rozmyślań. Czuł się teraz całkiem jak zasługująca na pogardę świnia, którą zapewne był w oczach własnych dzieci.

Drzwi do gabinetu skrzypnęły. Wyprostował się, gotów już odesłać intruza. W wejściu pojawiła się rozpromieniona

twarz Fenelli, a jej uśmiech był jaśniejszy niż poranne słońce prześwitujące przez żaluzje.

- Kochanie, czyżbyś znów pracował przez całą noc? - Pogroziła mu palcem, ale w jej głosie nie było potępienia, tylko pełna rozbawienia troska o męża wykazującego tak naganne zwyczaje. - Popatrz tylko na siebie... taki zarośnięty, cienie pod oczami, wymięte ubrania. Musisz wziąć prysznic i ogolić się, żebym pozwoliła ci zasiaść z nami do śniadania.

Gdyby cała ta sytuacja nie była tak potwornie żalosna, pewnie nawet by się roześmiał. Wstając, ujął jej dłonie i posadził ją w fotelu, z którego właśnie się podniósł.

- Fenello, skarbie, musimy porozmawiać.

- Ojej, wyglądasz bardzo poważnie. - Umościła się po królewsku i uśmiechnęła do niego. - Jeśli to coś w sprawach plantacji, wiesz, że nie mam głowy do takich rzeczy. Polegam na tobie i wiem, że poradzisz sobie ze wszystkimi problemami ze swoją zwykłą pewnością siebie.

Pewność siebie? W tej kwestii nie miał jej w sobie ani krztyny. Nie pierwszy raz od kiedy pamięć żony się pogarszała, modlił się o choćby chwilę jasności jej umysłu. Potrzebował jej mądrości, jej siły i zapewnienia, że decyzje, które podejmował w życiu, nie poszły na marne.

Oparł się o krawędź biurka i pochylił głowę. Bawił się nerwowo swoją złotą obrączką ślubną na palcu i teraz samotna, długa noc przemyśleń na nowo wróciła do niego z wszystkimi pytaniami i wątpliwościami.

- Fenello, powiedz, dlaczego za mnie wyszłaś? Kobieta cmoknęła, ujęła go za rękę i zmusiła, by spojrzał jej prosto w oczy.

- Po tych wszystkich latach, to ty nie wiesz jeszcze, jak bardzo cię uwielbiam?

- Ale jeśli twój tata nie wyraziłby zgody, jeśli nie byłby przekonany, że dam sobie radę z zarządzaniem plantacją...

- To i tak bym uciekła z tobą i cię poślubiła. - Na jego twarzy musiał wyraźnie odmalować się wstrząs, gdyż spojrzała na niego badawczo i zaśmiała się ze smutkiem. - Ty naprawdę tego nie wiedziałeś? Kochanie, nieważne było, czy bylibyśmy biedni, czy bogaci, czy mieszkalibyśmy w eleganckiej rezydencji, czy też w rozpadającej się chatce. Pragnęłam tylko życia z tobą.

Czyżby był zbyt skupiony na tym, by udowodnić swoją wartość, zbyt zajęty osiągnięciem sukcesów, by uświadomić sobie błogosławieństwo, jakim był przez cały ten czas obdarowany?

Fenella wstała i poklepała jego dłoń, jakby był niegrzecznym uczniakiem.

- A teraz już idź na górę i doprowadź się do ładu. Po śniadaniu musisz jechać do Little Rock i przywieźć dzieci do domu na weekend. Tak bardzo za nimi tęsknię, kiedy są w szkole.

Sebastian poczuł ukłucie w sercu, ale dzielnie przybrał na twarz uprzejmy uśmiech.

- Oczywiście, kochanie. Dla ciebie wszystko.

Bryony stała pod oknem kuchennym z płaszczem przewieszonym przez ramię i ściśniętym sercem. Była już prawie ósma, co najmniej dwie godziny po czasie, gdy normalnie

wyruszała do rezydencji Heathów. Ale zeszłej nocy bardzo źle spała, gdyż zamartwiała się tym, co mogło się teraz dziać między Michaeliem a jego ojcem.

Dziadek podszedł do niej i zadzwonił kluczykami od pick-upa.

- Jeśli jesteś zdecydowana tam iść, pozwól przynajmniej, cobym cię odwiózł. Za zimno dzisiaj na piesze wycieczki.

- Dziękuję, dziadku.

Tak jakby nie udawała się do Heathów w dużo mroźniej-sze poranki. Ale jeśli chodziło o wnuczki, dziadek nie był zbyt dobry w skrywaniu swojego niepokoju. Od razu, gdy Bryony wróciła wczoraj do domu, wiedział, że coś było nie w porządku, i nie pozwolił jej iść spać, dopóki wszystkiego mu nie wyznała. Miranda też słyszała większość tej historii, poza faktem o skromnym pochodzeniu Sebastiana. Bryony dotrzymała obietnicy złożonej Michaelowi i wyjawiała ten sekret tylko dziadkowi.

Teraz, gdy dziadek był tak rozsierdzony tym, że zadzierający nosa właściciel plantacji sam był zwykłym farmerskim synem, Bryony obawiała się, żeby czegoś nie wygadał. Dlatego też w czasie jazdy przypomniawszy mu ponownie, by tę informację zachował dla siebie.

- Nie pisnę ani słówka - zapewnił dziadek, prowadząc pick-upa na główny podjazd wiodący do domu Heathów. - Poza tern, tera jadę od razu do Brinkley po części do pługa i pewnie zajmie mi to większość dnia. - Z marsową miną posłał Bryony spojrzenie, które jasno wyrażało jego zatroskanie. - A może zahaczyłbym tu po ciebie w drodze powrotnej, tak na wypadek gdyby...

Bryony uścisnęła jego ramię z pokrzepieniem.

- Będzie dobrze, dziadku. Zajmij się swoimi sprawami, a ja swoimi.

Dziadek mruknął gardłowo, ale nic nie powiedział. Zajechał na utwardzony placyk za rezydencją, gdzie dziewczyna wysiadła, a potem się oddalił.

Michael właśnie przechodził przez trawnik, kiedy Bryony skierowała się w stronę domu. Przyspieszył kroku i porwał ją w objęcia.

- Tak się bałem, że nie przyjdiesz.

Teraz nie przejmowała się już nawet tym, że ktoś może ich zobaczyć. Sebastian mógł wcześniej żywić jakieś podejrzenia, ale po wczorajszych wydarzeniach na pewno nie miał wątpliwości co do powagi uczuć Michaela... i jej. Głaszcząc go po policzku, szukała jego wzroku.

- Wszystko u ciebie dobrze?

Z jego piersi dobył się cierpki śmiech.

- Zobaczymy po rozmowie z Mirandą. Właśnie tam idę.

- Powiesz też Callie?

- Pozwolę, by zadecydowała o tym Miranda. - Michael obdarował ją krótkim, ale pełnym uczuć pocałunkiem. - Uważaj dzisiaj na mojego ojca. Trudno przewidzieć, jak będzie się zachowywał... Mówiłem też Callie, żeby trzymała się od niego z daleka.

Myśl o tym, że Sebastian Heath płacił własnej wnuczce za pranie, gotowanie i sprzątanie, sprawiła, że Bryony wzdrygnęła się na nowo z oburzeniem.

- Jak to się wszystko teraz ułoży, Michaelu? Nic już nie będzie takie jak przedtem. Nie w twojej rodzinie. Nie dla pracujących tu osób.

- Wcale bym nie chciał, by tak było. - Michael odsunął

ją na wyciągnięcie ręki i trzymał za ramiona. - Naprawdę nie mam pojęcia, co z tego będzie, ale cokolwiek się wydarzy, ty i ja *będziemy* razem. Obiecuję. - Dał jej kolejnego buziaka, po czym puścił ją i poszedł swoją drogą w stronę garażu.

Bryony patrzyła z werandy, jak odjeżdżał zielonym chevro-letem, a potem weszła do domu. W tylnym korytarzu spotkała pannę Estherę.

- Bryony, dzięki Bogu! Straszny chaos tu panuje od samego rana. - Rzuciła niespokojnym spojrzeniem ponad jej ramieniem i wyjaśniła: - Chodzi o panią Heath. Od śniadania cały czas się zachwyca, że wreszcie jej dzieci wrócą do domu ze szkolnego internatu. Zawsze umiałaś sobie z nią poradzić. Mamy nadzieję, że uda ci się ją przywrócić do rzeczywistości i nieco uspokoić.

Natychmiast udzieliło jej się zdenerwowanie, więc szybko zdjęła płaszcz i powiesiła go na wieszaku przed pokojem służby.

- A gdzie jest pan Heath?

- Pojechał gdzieś chwilę temu, ale nikt nie wie dokąd. -Panna Esthera załamała ręce. - Pani myśli, że on pojechał do Little Rock po dzieci i teraz każe Dancy zapisywać jakieś uwagi dotyczące menu i zajęć na najbliższy weekend.

Rzeczywiście sprawy wymknęły się spod kontroli. Pani Heath musiała wyczuć napięcie panujące w domu i przez to znowu pomieszało się jej w głowie. A zniknięcie Sebastiana? Pewnie w ten sposób próbuje uniknąć tego, czemu prędzej czy później będzie musiał stawić czoła - pomóc żonie zrozumieć prawdę o jej córce i wnuczce.

Może jednak Bryony udałoby się uczynić to trochę łatwiejszym. Nie ze względu na Sebastiana, ale na wszystkich

pozostałych, którzy byli w to zamieszani. Zamiast skierować się prosto na górę, zajrzała do kuchni w poszukiwaniu Callie. Dziewczyna nerwowo przemierzała przestrzeń pomiędzy kuchenką a stołem, podczas gdy Odette wałkowała ciasto na deser.

- Nie ma się co nerwować, dziecko - tłumaczyła jej Odette.

- Lepiej będzie, jak wszystko wróci nazad, tak jak było dawniej, a ty zapomnisz wogle, że masz dziadka. On nie... - Widząc Bryony, kucharka przerwała.

- Sebastian Heath jesr dziadkiem Callie - podkreśliła dobitnie Bryony. - I udawanie, że jest inaczej, wcale tego nie zmieni. - Przywołała gestem Callie. - Chodź ze mną, kochana. Myślę, że nadszedł czas, żebyś się lepiej zapoznała ze swoją babcią.

Callie na początku wzdrygnęła się, ale Bryony chwyciła ją mocno za rękę i pociągnęła w stronę tylnych schodów. Zastukała do drzwi apartamentu pani Heath i nie czekając na odpowiedź, zajrzała do środka. Dancy siedziała przy biurku, pilnie notując w grubym bloczku składniki jakiegoś przepisu, które pani Heath recytowała, patrząc ponad jej ramieniem.

- Przepraszam, że przeszkadzam. - Bryony weszła do pokoju, lekko szarpiąc Callie za ramię, by ta podążyła za nią.

- Przeprowadziłam pani kogoś, pani Heath.

Dancy odetchnęła z ulgą. Odsunęła krzesło od biurka i pozbierała luźne kartki.

- Zaniosę te notatki pannie Estherze.

Kiedy tylko Dancy wybiegła, pani Heath przymrużyła oczy, patrząc na Bryony, i spytała:

- Violeta?

- Nie, proszę pani, jestem Bryony. Bryony Linwood. - Mówiła powoli, wyraźnie akcentując każde słowo. - Violeta to moja babcia.

- Och! - Twarz kobiety przysłoniła jakaś mgła. Przytknęła dłoń do czoła, dodając: - Ostatnio wszystko mi się miesza.

- To nic. Pamiętaj pani, to ja czytam pani po południu... - Bryony sięgnęła po książkę, którą odłożyła poprzednio na mały stolik. - Proszę zobaczyć... *Cimarrón*. - Kiedy po pani Heath widać było, że zaczyna sobie przypominać, Bryony poprowadziła ją na szeszlony i ułożyła wygodnie. - Pomyślałam, że mogłybyśmy poczytać trochę rano, jeśli miałyby pani ochotę.

- Cóż, właśnie byłam w trakcie robienia planów na... na... Bryony uciszyła ją, delikatnie poklepując kobietę po ramieniu.

- Proszę się nie martwić, odpowiednie osoby wszystkim się zajmą. A w międzyczasie, może Callie pani poczyta. - Ignorując niepokój bijący z oczu dziewczyny, Bryony delikatnie pchnęła ją w stronę krzesła stojącego obok szeszlony i wsadziła jej w ręce książkę. Pochyliła się nad uchem Callie i wyszeptała: - Możesz spędzić trochę czasu ze swoją babcią. Twój głos pomoże jej poznać ciebie, nawet jeśli nie będzie pamiętać.

Callie z wahaniem skinęła, a potem otworzyła na stronie, którą ostatnio zaznaczyła Bryony. Zerknęła na panią Heath i zaśmiała się niepewnie.

- Wygląda na to, że czytałyście rozdział piętnasty.

Bryony słuchała z drugiego końca pokoju i dostrzegała, jak z chwili na chwilę rośnie pewność siebie Callie. Dziewczyna

miała aksamitny głos o lekko południowym akcencie, jednak bardzo wytworny dzięki edukacji, o którą zadbała Miranda. Gdy tylko historia wciągnęła panią Heath, zmarszczki otaczające oczy i usta kobiety zaczęły się rozluźniać. Skupiając wzrok na Callie, oparła głowę o zagłówek i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

To był początek. Bryony mogła jedynie modlić się, żeby pewnego dnia pani Heath pokochała Callie, tak jak kochała swojego syna i córkę.

Michaela wcale nie zdziwiło, że Miranda była oburzona, gdy dowiedziała się o tym, iż ojciec zataił przed nimi swoją przeszłość. Grzmotnęła w stół dłonią zaciśniętą w pięść i rzuciła:

- I on miał czelność wywyższać się nad Danielem! Kiedy już minęły łzy wściekłości, Rose przyniosła trzy

kubki i naczynie z parującą cykorią.

- Ten człowiek jest głupcem, tylko tyle mogę powiedzieć.

Miranda wycierała policzki zmiętą chusteczką. Drżąc, łyknęła gorącego napoju i powoli zaczęła się opanowywać. Zaraz potem jej wzrok przepelnił się smutną tęsknotą.

- Proszę, Michaelu, czy mogę zobaczyć te rysunki?

- Nie mam ich tutaj. Są zamknięte w mojej szafie. - Zacisnął wargi. - Gdzie powinien być też ten mniejszy szkic, gdybym nie wykazał takiej nieostrożności.

- Mnie wcale nie jest przykro - powiedziała Miranda, unosząc głowę. - Cieszę się, że on w końcu wie. Może teraz...

Koło domu rozległ się ryk silnika. Rose podbiegła do okna.

- Hm... zdaje się, że mamy towarzystwo.

Michael stanął obok niej, a potem skierował zmartwiony wzrok w stronę Mirandy.

- To tata.

Skoczyła na równe nogi.

- Czy on wie, gdzie ja jestem?

- Nikt mu nie mówił, ale podejrzewam, że mógł się domyślić.

- Zdejmując swój płaszcz z wieszaka, Michael ruszył do drzwi.

- Zostań tu. Dowiem się, po co przyjechał.

W czasie, gdy Michael ubierał się i przechodził przez podwórko, ojciec nie ruszył się z za kierownicy. Kiedy zwrócił swoją twarz w stronę syna, Michael dostrzegł ból i zakłopotanie w jego obliczu. Zawahał się przez chwilę, a potem obszedł auto i wszedł na miejsce pasażera.

- Co tutaj robisz, tato?

Nie odpowiedział od razu, tylko zaciskał kurczowo ręce na kierownicy.

- Staram się sobie to wszystko poukładać. Próbuję zrozumieć, jak to się stało, że sprawiłem, iż moje dzieci odwróciły się ode mnie.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy.

- Pewnie już wiesz, że Miranda jest tutaj?

- Zdołałem się domyślić. Ta twoja panna Linwood ma zbyt miękkie serce. - Tata zaśmiał się cierpko. - Nie wspominając o tym, że nasze wydatki na jedzenie zwiększyły się prawie dwukrotnie w ciągu ostatniego miesiąca.

Twoja panna Linwood - te słowa ubodły Michaela. Nie miał w ogóle pojęcia, jak uda im się wybrnąć z tego bałaganu, ale zawsze będzie dziękował za ten dzień, gdy Bryony wkroczyła w jego życie.

Popatrzył na ojca i dostrzegł teraz jego przygarbione plecy, podkrążone oczy oraz wymalowane na twarzy poczucie porażki. Powoli niechęć zmieniała się we współczucie i dotknął ramienia ojca, mówiąc:

- Chodź do środka. Porozmawiaj z Mirandą.

- Ja... ja nie wiem, co mam jej powiedzieć.

- Zawsze możesz zacząć od „przepraszam”.

Dopóki ojciec rzeczywiście nie wysiadł z auta i nie ruszył powoli w stronę domu, Michael nie wierzył do końca, że tata podejmie tę próbę. Dogonił go i wprowadził do kuchni Rigbyego.

Z jedną ręką na ciężowym brzuchu Miranda odwróciła się od okna. Westchnęła ze zmęczeniem i rzekła:

- Cześć, tato.

Rose przemknęła obok, rzucając:

- Mam parę rzeczy do zrobienia w oborze. Czujcie się jak u siebie.

Ojciec nie spuszczał oczu z Mirandy.

- Tego dnia, gdy zjawiłaś się u nas w domu... ja nie wiedziałem.

- Że jestem w ciąży? - Miranda przekrzywiła głowę. - Czy to by coś zmieniło?

- Nie jestem całkowicie pozbawiony uczuć.

- W takim razie najwyraźniej miałeś nas wszystkich... Michael ostrym spojrzeniem uciszył siostrę, nie pozwalając jej dokończyć ciętej riposty.

- Myślę, że teraz powinniśmy wszyscy próbować słuchać się nawzajem, a nie oskarżać.

Oboje, ojciec i siostra, spuścili głowy na znak zgody.

- Dobrze. - Przechodząc powoli w stronę stołu, Michael

wysunął sobie krzesło, a potem czekał, aż ojciec i Miranda dołączą do niego.

Rozmowa, która nastąpiła potem, nie w całości była grzeczna, ale Michaelowi udawało się odwozić ich od najgorszych utarczek słownych. Nakłonił ojca, by nie komentował, tylko po prostu wysłuchał, jak Miranda opisywała swoje życie od dnia opuszczenia domu i poślubienia Daniela - wszystkie radości i trudy. Odmalowała obraz kochającego męża i oddanego ojca, inteligentnego i pracowitego mężczyzny, zdecydowanego, by zapewnić możliwie najlepsze życie swojej żonie i córce.

- Wiedziałam, na co się decyduję, tato. I niczego bym nie zmieniła, chyba że... - Miranda niepewnie sięgnęła po rękę taty. - Chyba że otrzymałabym twoje błogosławieństwo, by poślubić Daniela.

Ojciec potrząsnął szorstko głową.

- Nie tego chciałem dla ciebie. - Powoli przeniósł wzrok na Michaela. - Dla żadnego z was.

Najwyraźniej chodziło mu o Bryony. Michael odsunął się trochę od stołu.

- To nie chodzi o to, czego *ty* chcesz dla nas. Chodzi o to, czy dasz nam wolność, byśmy mogli żyć własnym życiem.

Ojciec odchrząknął.

- Wybory, których dokonała twoja siostra, doprowadziły ją na skraj śmierci głodowej. Teraz domyślam się, że ty poślubisz Bryony Linwood i skończysz w jakiejś ruderze. Ona będzie sprzątać domy u zamożnych ludzi, a ty całymi dniami rysować te swoje piękne obrazki.

Michael poczuł, jak skręca go od środka, ale nie dał się sprowokować tą pokrętną logiką ojca. Spokojnie odparł:

- Nie, tato, to *ty* naraziłeś dobro Mirandy, kiedy postanowiłeś ją wydziedziczyć. Miałeś wystarczające środki, by zapewnić jej i Danielowi solidny start w życiu, ale pozwoliłeś, żeby twoje wąskie horyzonty i duma zwyciężyły. - Chwycił ojca za ramię.
- Teraz masz szansę, żeby to naprawić. Nie tylko dla Mirandy, ale dla twoich wnuków.

- Callie. - Ojciec zamknął oczy i spuścił brodę. - Nie mogę uwierzyć, że nie wiedziałem.

- To bardzo bystra i piękna dziewczyna - rzekła Miranda.

- Gdybyś tylko...

Krzesło ojca zaszurało po podłodze. Wstał sztywno.

- Usłyszałem już wszystko, co mieliście do powiedzenia. Teraz muszę pomyśleć... i przemodlić to.

Michael odprowadził ojca do drzwi i patrzył, jak wsiada do LaSallea, a potem odjeżdża. Odwrócił się w stronę Mirandy z pełnym smutku uśmiechem.

- Długo mi to zajęło, przyznaję, ale zaczynam wierzyć, że modlitwa to jedyny sposób, by przejść przez to wszystko.

- Najwyższa pora, żebym ja też zaczęła się więcej modlić.

- Unosząc brwi, Miranda przyjrzała mu się uważnie. - Czy mówiłam ci ostatnio, jak bardzo jestem z ciebie dumna, bracie?

- Teraz już nie musisz być dla mnie taka miła. - Michael wziął głębszy wdech i dodał: - Muszę wracać i zobaczyć, jak się miewa matka.

Miranda zdławiła płacz.

- Tak bardzo chciałabym się z nią zobaczyć.

- Zobaczysz się. Już niedługo, obiecuję.

Obejmując ją serdecznie, ucałował siostrę w czoło i pożegnał się.

Gdy tylko dotarł do rezydencji, poszedł od razu na górę, ale zatrzymał się zaskoczony, kiedy dostrzegł, że u szczytu schodów siedzi Bryony. Widać było, że płakała. Usiadł obok niej i wziął ją w ramiona.

- Powiedz mi, co się stało.

- Nic... i wszystko. - Pociągnęła nosem i wytarła policzki brzegiem fartuszka. Skinąwszy szybko w stronę apartamentów jego matki, posłała mu eteryczny uśmiech.

- Idź, sam zobacz. To jest cudowne!

Teraz już zupełnie nie wiedział, o co chodzi. I był wyjątkowo zaintrygowany. Przeszedł do drzwi, które były lekko uchylone i cicho je otworzył. Widok, jaki zastał, ścisnął jego serce - Callie i jego matka, wtulone w siebie na szeszlunku, stykały się głowami, gdy dziewczyna czytała na głos tomik poezji Longfellowa, który Michael podarował jej na święta.

Bryony stanęła obok niego i wsunęła dłoń w jego dłoń.

- Czyż to nie jest najmiłszy widok, jaki kiedykolwiek widziałeś?

Odrywając wzrok od tej sceny, Michael spojrzał głęboko w oczy Bryony.

- Prawie - wyszeptał. - Prawie.

22.

Weekend minął szybko, a Bryony tylko patrzyła i podziwiała. Z konieczności i poczucia obowiązku ona i reszta służby wykonywali swoje zwykłe domowe zadania, ale wydawało się, jakby wszyscy wstrzymywali oddech, chcąc zobaczyć, co - jeśli cokolwiek - się teraz zmieni.

Jedna ze zmian szybko okazała się oczywista. Po tej pierwszej sobocie wspólnego czytania, pani Heath zaczęła szczególnie prosić o codzienne towarzystwo Callie. Czasem czytały razem albo po prostu siedziały i rozmawiały. W niedzielę po południu opatuliły się i wyszły na spacer po ogrodach. I chociaż dla Bryony oznaczało to konieczność przejęcia wielu obowiązków Callie, nie miała nic przeciwko, jeśli tylko to dawało dziewczynie szansę lepiej poznać swoją babcię. Pani Heath jeszcze nie pojmowała, kim była Callie, ale powstały już między nimi nierozzerwalne więzi.

W poniedziałek niebo zasnuło się chmurami, a temperatura spadła do około dziesięciu stopni. Kiedy Bryony wynosiła brudne rzeczy do pralni, zwróciła uwagę na unoszącą się w powietrzu wilgoć. Obietnica deszczu, jak by nie był

mały, sprawiała, że jej serce rosło. Położyła wiklinowy kosz za drzwiami i uniosła twarz w stronę nieba. Napawała się słodkim, chłodnym zapachem.

Zaraz potem poczuła, jak mocne ramiona obejmują ją od tyłu, i Michael gardłowym głosem wyszeptał jej do ucha:

- Ty też to czujesz. Będę wdzięczny niebu, nawet jeśli spadnie tylko kilka kropel.

Bryony nie powinna aż tak bardzo cieszyć się jego bliskością, zwłaszcza gdy pracowała. Ale to była kolejna zmiana, której wcale nie żałowała - Michael nie bał się wyrażać swoich uczuć do niej.

Nie puszczając jej, odwrócił ją naprzeciw siebie. Jego długie, pełne zamyślenia westchnięcie otuliło ciepłym powietrzem jej policzki.

- Całe rano rozmawiałem z tatą i przedłożyłem mu parę pomysłów na przyszłość. Wydaje mi się, że jest przychylny.

Bryony poczuła w żołądku drżenie, wywołane mieszaniną ciekawości i niepokoju. Zaśmiała się cicho i przemknęła pod jego ramieniem, zbierając kosz prania po drodze.

- Opowiesz mi o tym, jak będę nastawiać pranie. Michael wszedł za nią do środka i pomógł jej rozdzielić

koszule męskie od damskich, mówiąc:

- Po pierwsze, tata zgodził się, żeby Miranda wróciła do domu. Ale musimy to dobrze rozegrać ze względu na matkę. Pewnie będzie dosyć zagubiona w kwestii tego, co się wydarzyło w ciągu minionych lat.

- A Daniel? Co z nim? - zapytała Bryony, oglądając plamę na rękawie koszuli.

- Z tym gorzej. Wątpię, żeby Daniel i mój ojciec czuli się dobrze pod tym samym dachem. - Michael opowiedział jej

o swoim pomysle, by zmienić poddasze nad garażem na mieszkanie dla Mirandy, Daniela, Callie i nowo narodzonego dziecka, przynajmniej do czasu, gdy będą w stanie wybudować gdzieś blisko swój własny dom.

- To brzmi całkiem nieźle - podsumowała Bryony, napełniając pralkę wodą, a potem zagryzła wargę. - Cieszę się ich szczęściem, ale nie mogę przestać martwić się o ciebie.

Michael włożył ostatnią koszulę do pralki, a następnie popatrzył na Bryony ze smutnym i znaczącym uśmiechem.

- Zaufaj mi. Dopóki będę dalej pracował z tatą, będę miał okazję dokonać zmian w tym, jak to wszystko będzie się tu toczyć. Skamieniałe serce mojego ojca nie zmieni się całkowicie w ciągu jednego dnia lub miesiąca, a może nawet roku, ale po raz pierwszy, odkąd wróciłem z wojny, patrzę na to z nadzieją.

Nadzieja to dobra rzecz, ale Bryony z bólem myślała o tym, że Michael będzie do końca życia ślęczał nad rachunkami i nadzorował dzierżawców. Nie do tego został stworzony i wiedziała, że ona nie spocznie, dopóki nie uda jej się go o tym przekonać.

Minął kolejny miesiąc i życie w domu powoli powracało do miłego, ustalonego porządku. Trzeba było wciąż przygotowywać posiłki, prać i prasować ubrania oraz pościele, odkurzać meble i zmiatać podłogi.

Największą zmianą było to, że teraz Callie zajmowała to uprzywilejowane miejsce u boku pani Heath jako nieodstępująca jej prawie w ogóle towarzyszką. Bywały chwile,

gdy kobieta wykazywała jasność umysłu i docierało do niej, że ma przed sobą córkę Mirandy, swoją wnuczkę. Wtedy wszystkie trzy spędzały wspólnie wiele szczęśliwych godzin.

W połowie lutego mieszkanie nad garażem było już gotowe i Miranda przeprowadziła się tam razem z Callie. Daniel miał stałe zatrudnienie na północy kraju i nie chciał wracać, zanim nie zbierze więcej pieniędzy na utrzymanie rodziny. W listach tłumaczył Mirandzie, że nie czuje się zbyt dobrze z tym, by przyjmować zapomogę od człowieka, który wcześniej wydziedziczył jego żonę.

Największym jednak zaskoczeniem był fakt, że Miranda wykazywała wiele zainteresowania zarządzaniem plantacją. Okres dorastania w majątku ziemskim, a potem te wszystkie lata wspólnego życia z poławnikiem nauczyły ją wiele i często dołączała do Michaela i ojca podczas ich pracy w gabinecie. Bryony wielokrotnie słyszała, jak zaciekle wyraża swoje opinie na temat utrzymania płynności finansowej plantacji w czasie kryzysu gospodarczego panującego w całym kraju, jednocześnie uwzględniając potrzeby dzierżawców.

Pewnego dnia, gdy Bryony odkurzała dywan w bibliotece, dało się słyszeć podniesione głosy w gabinecie. Chwilę później Michael wpadł do środka i opadł na jeden z foteli. Zerknął na Bryony i rzucił z cierpkim uśmiechem:

- Wkrótce stracę tę pracę.

Jego uwaga dźgnęła ją tak, że sama się zdziwiła, nie spodziewając się po sobie takiej reakcji. Energicznie szurała szczotką do odkurzania wokół nóg Michaela.

- Czyż to nie wspaniale? Będiesz mógł wrócić do samotniczego trybu życia i rysować szkice, których nikt nie będzie oglądać.

- A ty będziesz mogła nadal sprzątać domy innych ludzi, żeby twoje siostry miały lepsze życie - odpowiedział jej szorstko.

Wstał gwałtownie i wyjął jej z ręki szczotkę.

- Nie wydaje ci się, że już najwyższy czas, żebyśmy oboje przestali poświęcać swoje marzenia dla innych i sami zaczęli korzystać z tego szczęśliwego życia?

- Ja nie mam takiego luksusu. - Starła się nie patrzeć na niego, ale odciął jej drogę koło półki z książkami i nie miała dokąd uciec.

- Miłość to nie luksus. - Podszedł jeszcze bliżej. Kiedy jego ciepłe palce dotknęły jej karku, wstrzymała oddech. - Powiedz mi, Bryony. O czym najbardziej na świecie marzysz? Co sprawiłoby, że byłabyś prawdziwie szczęśliwa?

Jak miała odpowiedzieć albo w ogóle myśleć, gdy on tak na nią patrzył?

- Ch-chciałabym mieszkać w niedużym, przytulnym domku, otoczonym ogrodem z dającymi cień drzewami i starą, skrzypiącą huśtawką ogrodową.

Kąciki jego ust nieznacznie drgnęły.

- Coś jeszcze?

- Mógłby być kot. Taki miły, który siedziałby mi na kolanach i mruczał. - Wiedziała, że to, co mówi, jest śmieszne, ale sam prosił. A teraz te wszystkie prawie całkiem zapomniane marzenia wróciły z całą wyrazistością.

- Nigdy nie miałem kota. - Jego usta były tak blisko jej warg. - Ale moglibyśmy mieć jakiegoś.

- My...?

- W tym naszym małym domku z ogrodem.

- Nie drocz się ze mną, Michaelu. - Teraz już wcale nie

umiała uspokoić oddechu.

- Nie chciałem, mój skarbie. - Jęknąwszy niespokojnie, Michael zetknął się z nią czołem, a potem poprowadził ją na sofę i posadził obok siebie. - Zdaję sobie sprawę, jak trudne były te ostatnie tygodnie. Przeprowadzka Mirandy, próba oswojenia mamy z prawdą o Callie, omawianie spraw z moim ojcem... mało czasu zostało na planowanie *naszej* przyszłości. A ja pragnę dzielić z tobą przyszłość, Bryony, bardziej niż czegokolwiek innego.

Czuła, że coś coraz większego wzbiera w jej piersi.

- O czym ty mówisz?

Opuścił brodę. A potem ponownie podniósł głowę, a jego wzrok przepelniony był pragnieniem.

- Proszę cię o rękę. Zakrzyknęła i potrząsnęła głową.

- Och, Michaelu...

- Ciii. Nie mów nic więcej. - Zaśmiał się łagodnie. - Chyba że chcesz powiedzieć *tak*. Bo nie zamierzam tu siedzieć i słuchać tych wszystkich powodów, dla których miałyby się to nie udać.

- Opierając się o poduszki na sofie, przyciągnął Bryony bliżej i tulił jej twarz w dłoniach. - Twoja rodzina się zgodzi i moja też. Stworzenie wspólnego domu nie znaczy przecież, że ich porzucimy.

- Ale ty jesteś spadkobiercą tej ogromnej posiadłości, a ja tylko prostą farmerską dziewczyną.

Michael podniósł jej głowę, tak by spotkać się z nią wzrokiem. Jego oczy błyszczały z radości.

- Bryony Linwood, nic w tobie nie jest proste.

Zbliżył swoje usta do jej warg i poczuła, jak rozpływa się w nim, a jej serce przepelnia radość i nadzieja.

Zza okna dobiegło rytmiczne *kap, kap, kap*. Bryony odsunęła się i westchnęła gwałtownie, kiedy zobaczyła krople deszczu uderzające o werandę.

- Michaelu, pada!

Pobiegli szybko przez korytarz i głównymi drzwiami na zewnątrz. Gdy stali na końcu werandy, Michael obejmował ją ramionami, a chłodny lutowy wiatr owiewał ich mgiełką. Bryony otworzyła usta, by posmakować tej czystej, zimnej wilgoci. Deszcz nie trwał długo, zaledwie zraszając wyschlą ziemię, ale i tak był błogosławieństwem i ten upragniony moment miał zapaść w jej serce już do końca życia.

Epilog

Brinkley, Arkansas

Czerwiec 1931

- Nie ruszaj się, dobrze? - Z ołówkiem nad szkicownikiem, Michael udawał niezadowolenie, patrząc na swoją nowo poślubioną małżonkę. - Naprawdę, rysowanie gałązek, liści i jagód jest znacznie łatwiejsze.

- Oczywiście, ale gałązki, liście i jagody nie zrobią tak, prawda? - Bryony zeskoczyła z huśtawki ogrodowej i pochyliła się, muskając całusem wargi Michaela.

Po raz kolejny sapnął zniecierpliwiony, nie dlatego, że nie cieszyły go jej pocałunki, ale żeby pokazać, że nie uda jej się tak łatwo owinać go wokół palca.

- Jesteś niemożliwa. Siadaj, żebym mógł skończyć.

- Powinieneś zająć się ilustracjami dla wydawcy, a nie marnować czas i papier na niemądre szkice swojej żony - powiedziała, ale mimo to wróciła na huśtawkę, usiadła i przyjęła odpowiednią pozę.

Michael musiał ciężko pracować, by nie pokazać po sobie rozbawienia. Skończył już sześć z dziesięciu rysunków przyrodniczych, które wykonywał na zlecenie dla innego wydawnictwa akademickiego, i miał teraz mnóstwo wolnego czasu.

Próba uchwycenia zadziornego uśmiechu żony była jego nagrodą.

Za każdym razem, gdy myślał o tym wszystkim, co zmieniło się w jego życiu w przeciągu paru ostatnich miesięcy, czuł, jak ściska mu się serce i wypełnia go cicha modlitwa dziękczynna. Zainteresowanie Mirandy sprawami plantacji ukazało Michaelowi nieznaną mu dotąd stronę jego siostry, ale dzięki jej zaangażowaniu mógł wycofać się nieco i skupić na tym, co liczyło się dla niego najbardziej - pomocy dzierżawcom. Idąc za zachętą Bryony, skontaktował się z wydawnictwem akademickim i poprosił o kolejną szansę, a wydawca od tamtego czasu zalewał go wciąż nowymi zleceniami.

To właśnie wtedy, pięć tygodni temu, poślubił Bryony. Przeprowadzili się do uroczego małego domku w Brinkley, które było wystarczająco oddalone od obu rodzin, by mieli swoją własną przestrzeń, ale nie na tyle daleko, by Bryony nie mogła często odwiedzać dziadka i sióstr. Ciągle jak kwoka martwiła się o swoją rodzinę i to chyba też Michael najbardziej w niej kochał.

Jego matka wciąż była źródłem trosk, ale Miranda i Callie pilnowały jej, a jego ojciec powoli godził się z tym, co nieuniknione. Mama miała dobrą opiekę. A teraz, gdy pojawił się nowy wnuczek, którego można było przytulać i rozpieszczać, wydawała się jeszcze szczęśliwsza.

Jeśli chodzi o Daniela Vargasa, okazał się prawdziwym błogosławieństwem dla obu rodzin. Coraz częściej jego praktyczne doświadczenie rolnicze i wrodzona dyplomacja służyły przy pośredniczeniu pomiędzy Sebastianem a dzierżawcami na plantacji Brookbirch. Innym razem użył swojej tężyzny, by pomóc na farmie Rigbyego, co było komfortową

sytuacją dla Bryony, odkąd ona i Larkspur zaczęły własne życie i ciężar obowiązków spadł na jej dziadka i Rose.

Zatem Michael i Bryony, będąc razem, odnaleźli ponownie wspólną drogę ku nadziei i Michael doświadczał takiego ogromu szczęścia, jakiego nawet nigdy się nie spodziewał.

Bryony odepchnęła się nogą i wprawiła huśtawkę w ruch.

- Myślę, że powinieneś mi namalować kotka na kolanach.

- Znowu się wierzysz. - Poprawiając szkicownik, Michael zmrużył oczy. - I dlaczego to, może mi powiesz, miałbym rysować kociaka, którego nie ma?

- Ponieważ za jakiś miesiąc idę do sąsiadki, pani Fritz, i wybiorę jakąś kruszynę z piątki kociąt, które wydała na świat jej kotka Księżniczka.

Potakując wymijająco, Michael dokonał szybkiej poprawki w szkicu. Zadowolony, odłożył kredkę na stolik obok i przyniósł jej rysunek do obejrzenia. Usiadł obok Bryony i podał jej szkicownik.

- Och, jest doskonały! - Założyła nogę na nogę pod spódnicą i przytuliła się do piersi męża.

Michael uznał, że to jest właśnie idealny moment - teraz, gdy byli razem, cała ich przyszłość leżała przed nimi jak nieotwarty prezent. Oczywiście czekają ich różne próby - susza wciąż trwała, farmerzy w Arkansas nadal borykali się z trudnościami i Amerykę czekała jeszcze długa droga powrotu do stabilności - ale tu i teraz, życie było dobre.

Przyciągnął bliżej swoją piękną żonę i ucałował ją w skroń.

- Co pani mówiła, pani Heath? Chciałabyś odwiedzić panią Fritz i jej Księżniczkę? Chętnie rzuciłbym okiem na te kociaki.

Posłowie

Nie ma nic bardziej kłopotliwego dla autora powieści historycznej, jak możliwość popełnienia błędu rzeczowego, który prawdziwi historycy z łatwością by wyłowili i wytknęli. Szukanie informacji potrzebnych do takiej powieści może wydawać się nużące, ale zawsze jest też bardzo pouczającym doświadczeniem.

Nie inaczej było w przypadku *Upragnionego deszczu*. Kiedy zaczęłam pisać o rodzinie z Arkansas w pierwszych latach Wielkiego Kryzysu, nie miałam zbyt dokładnego wyobrażenia o tym, jak wyglądała rzeczywistość u początku lat 30. XX wieku, poza jednym - było *ciężko*. Nieraz podczas pisania i redagowania tego tekstu mówiłam mojemu mężowi, jak wiele nauczyło mnie to poszukiwanie. Znacznie więcej, niż zdołałam zapamiętać ze szkolnych lekcji dotyczących tej ponurej epoki w historii Ameryki.

Wiele publikacji encyklopedycznych i stron internetowych pomogło mi przy nakreśleniu tła powieści, ale żadna z nich nie poruszyła mnie tak bardzo jak wspomnienia zebrane w książce Williama D. Downsa Jra zatytułowanej *Stories*

*of Survival: Arkansas Farmers during the Great Depression (Historie ocalałych. Farmerzy z Arkansas w czasach Wielkiego Kryzysu*¹). Tych, którzy przeżyli trudy Wielkiego Kryzysu i okres Dust Bowl² można naprawdę nazwać ocalałymi.

Wybrałam Arkansas na miejsce wydarzeń *Upragnionego deszczu* przede wszystkim dlatego, że znam ten stan. Mój mąż i ja rokrocznie od połowy lat 80. spędzaliśmy wakacje w okolicy Hot Springs i miasto to stało się miejscem akcji mojej pierwszej serii powieści historycznych zatytułowanej *Till We Meet Again*. Często też przemierzałam autostradę międzystanową 1-40 pomiędzy Memphis a Little Rock i nietrudno mi było sobie wyobrazić rozsiane malowniczo pola środkowego Arkansas.

Miasto Eden, które opisałam w książce jest fikcyjne. Jednakże, jeśli ktoś wyszukałby w Internecie „Eden, Arkansas”, otrzymałby wynik mówiący o tym, że Eden to „zamieszkały obszar” w hrabstwie Monroe. Na mapie oznaczony jest on na południe od międzystanowej 1-40, jakieś czterdzieści kilometrów na południowy zachód od Brinkley. Kiedy zdecydowałam się umieścić akcję powieści na początku lat 30. i czytałam o najgorszym odnotowanym w Arkansas okresie suszy, uderzyło mnie, jak bardzo symboliczna była to nazwa dla miejscowości. Podczas gdy wszelka zieleń usycha i umiera, moja fikcyjna farmerska rodzina trzyma się swojej nadziei i wiary w pomoc Bożą.

Prawdziwe trudności farmerów zaczęły się jeszcze przed suszą z lat 1930-1931. Ekstremalne warunki atmosferyczne

¹W nawiasach podano tłumaczenie własne przywoływanych tytułów.

²Okres katastrofy ekologicznej w Stanach Zjednoczonych spowodowanej suszą i erozją gleb.

przyniosły niszczycielskie tornada (tornado, które przeszło przez środkowe Arkansas w Dzień Dziękczynienia w 1926 roku), powodzie (1927), a potem nastąpił jeszcze krach na giełdzie w 1929 roku. Według informacji podanych w internetowej Encyklopedii Arkansas

(www.encyclopediao-farkansas.net), produkcja bawełny w 1928 wynosiła około sześciu beli na dwadzieścia akrów. W 1930 wartość ta spadła do zaledwie dwóch beli na dwadzieścia akrów, a cena sprzedaży zmniejszyła się dwukrotnie.

Dzisiaj, gdy pojawiają się klęski żywiołowe, możemy liczyć na pomoc takich organizacji jak Czerwony Krzyż, Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego i innych. W 1930 roku prezydent Hoover nie odpowiedział wystarczająco szybko na powstałą sytuację. W artykule Rogera Lamberta zatytułowanym *Hoover and Red Cross in the Arkansas Drought of 1930 (Hoover i Czerwony Krzyż podczas suszy z 1930 w Arkansas)*, autor cytuje słowa Hoovera: *Obywatele Stanów Zjednoczonych z dumą zajmą się potrzebami swoich rodaków w czasie trudności*. Innymi słowy, głodujący dzierżawcy i połownicy mieli polegać na wyrozumiałości swoich sąsiadów, którzy nie byli wcale w lepszej sytuacji. Kiedy wreszcie rząd podjął się uchwalenia jakichś konkretnych ustaw, początkowa pomoc skupiła się na pożyczkach pieniężnych i wydawaniu ziarna na zasiew (proszę zwrócić uwagę na ironię tego zapisu w czasie suszy!), a nie na dostarczeniu pożywienia dla tych wszystkich, którzy głodowali.

Zamieszki wywołane brakiem żywności w England w stanie Arkansas z 3 stycznia 1931 roku są także faktem. Internetowa Encyklopedia Arkansas podaje, że jednego z farmerów odwiedził sąsiad, który nie mógł wyżywić dzieci. Dzierżawca

wraz z kilkoma innymi sąsiadami pojechał do England, by domagać się wydania jedzenia, ale Czerwony Krzyż nie miał odpowiednich formularzy, by ludzie mogli ubiegać się o pomoc. Istnieją różne relacje mówiące o tym, ilu właściwie było protestujących, ale szacuje się, że było to początkowo około pięćdziesięciu rolników oraz grupa jakichś trzystu do pięciuset zdesperowanych i rozwścieczonych ludzi. Niektórzy ze świadków zaprzeczają, by miało dojść do agresywnych zamieszek, twierdząc, że konflikt został zażegnany, kiedy sprzedawcy w swojej hojności zaczęli wydawać jedzenie potrzebującym.

System dzierżawienia ziemi wykształcił się w wyniku zakończenia okresu niewolnictwa po wojnie secesyjnej, gdy właściciele plantacji musieli znaleźć jakiś sposób na uprawę swoich ziem. W Arkansas przyjęte było, że dzierżawca płacił właścicielowi ziemi w gotówce lub oddawał od 25 do 50 procent plonów. Dzierżawcy zapewniali swój własny sprzęt i kapitał, a członkowie rodziny wykonywali konieczne prace. Połownicy byli znacznie biedniejsi i otrzymywali od właściciela finansowanie i sprzęt. Właściciele ziemscy mieli jednocześnie prawo do większego udziału w ich zbiorach.

W zasadzie *Upragniony deszcz* to powieść o rodzinach -o tym, co je łączy i dzieli. Rodzina Heathów przechodziła różne trudności, w tym powrót do zdrowia Michaela po odniesionych fizycznych i emocjonalnych urazach, których doświadczył, walcząc podczas pierwszej wojny światowej. Gaz musztardowy wywołał powstawanie rozległych pęcherzy i straszliwy ból. Ponieważ odnoszone obrażenia były zarówno zewnętrzne, jak i wewnętrzne, maski przeciwgazowe dawały tylko częściową ochronę. Co gorsza, objawy

zatrucia gazem musztardowym mogły nie wystąpić przez parę godzin po ekspozycji, a agonia trwała kilka dni, zwykle w wyniku przerzutów infekcji układu oddechowego. Czas trwania procesu leczenia zależał od rodzaju i stopnia ekspozycji. Jeśli, tak jak w przypadku Michaela Heatha, płuca uległy uszkodzeniu, mogły pojawiać się długofalowe skutki, na przykład: brak tchu, kaszel, nadwrażliwość na wdychane substancje drażniące oraz wzmożona podatność na choroby układu oddechowego. Według publikacji *American Journal of Public Health* szacuje się, że 30 procent ofiar pierwszej wojny światowej ucierpiało wskutek zatrucia gazem musztardowym. Inne źródła donoszą, że całkowita liczba ofiar gazu to 72 807 osób, w tym 1 462 przypadków śmiertelnych. Na stronie Medical Front, WWI (www.vlib.us/medical/) można znaleźć szczegółowy opis działań wojennych dotyczących wykorzystania gazu musztardowego i jego konsekwencji.

Po pierwszej wojnie światowej ukuto pojęcie określające traumę wojenną, nazywając to zjawisko nerwicą frontową (tzw. *shell shock*). Wśród charakterystycznych objawów można wyliczyć: ból fizyczny, koszmary nocne, ślepotę hysteryczną, bezsenność i niesłabnący niepokój. Jeszcze gorsze od tych objawów było poczucie naznaczenia jako słabeusz albo tchórz, gdyż w społeczeństwie nie było wtedy powszechnego zrozumienia i współczucia dla zjawiska, które obecnie określa się mianem zespołu stresu pourazowego (ang. *posttraumatic stress disorder*, PTSD). Leczenie przybierało różne formy, takie jak terapia elektrowstrząsowa albo zawstydzanie. Tylko w przypadkach, gdy stan pacjenta został uznany za zaburzenie psychiczne, leczenie stawało się

bardziej humanitarne.

Nie można też nie wspomnieć, iż w latach 30. w Arkansas wciąż panował ogromny podział na tle rasowym. Od końca 1800 roku po lata 60. XX wieku dyskryminujące prawa Jima Crowa prowadziły do rasowej niesprawiedliwości i przemocy, która stała się niechlubną kartą historii Arkansas. Ludność latynoska nie była tam zbyt liczna podczas pierwszych lat dwudziestego wieku, ale trwająca w latach 1910-1919 rewolucja meksykańska sprawiła, że wiele osób migrowało do południowo-zachodnich stanów, by uciec przed wojną. Później pierwsza i druga wojna światowa przyniosły kolejną falę migrujących za pracą mieszkańców Meksyku i Ameryki Środkowej. Ci napływowi rolnicy znajdowali się na najniższym szczeblu klasowym, opłacani byli niewiele lepiej od czarnoskórych Amerykanów.

W powieści pojawia się też wątek choroby Alzheimera, na którą cierpiała Fenella Heath. Ta jednostka chorobowa została po raz pierwszy opisana w 1906 roku przez doktora Aloisa Alzheimera podczas sekcji zwłok pięćdziesięcioletniej kobiety, która cierpiała z powodu głębokiej utraty pamięci i zmian psychologicznych. Dzisiaj wiemy, że choroba Alzheimera to postępująca choroba neurologiczna, w której komórki mózgu są niszczone i powoli zanikają funkcje kognitywne. Praca doktora Alzheimera określona została jako *przełomowa* ze względu na odkrycia dotyczące płytek starczych i splątek neurofibrylarnych, które są przyczyną zaniku prawidłowego funkcjonowania mózgu.

Jednakże na początku XX wieku demencja nadal była tajemniczą dolegliwością, co do której nie było pewności, czy jest tylko starczą przypadłością wynikającą z miażdżycy,

czy tą nową chorobą Alzheimera. W tamtych czasach nie było zbyt wiele rozwiązań, jedynie opieka nad pacjentem w domu lub w szpitalu psychiatrycznym. Nawet dzisiaj, choć istnieją sposoby spowolnienia postępu choroby Alzheimera, nadal jest ona jedną z sześciu głównych przyczyn śmierci w Stanach Zjednoczonych. Szacuje się, że w 2015 roku 5,1 miliona Amerykanów cierpiało z powodu tej przypadłości, z czego dwie trzecie stanowiły kobiety. Więcej informacji można znaleźć na stronie Stowarzyszenia Alzheimera (www.alz.org).

Dziękuję Wam za wspólną podróż z Bryony, Michaeliem i ich rodzinami. Jeśli zauważyliście jakiegokolwiek historyczne niezgodności, proszę o wybaczenie i mam nadzieję, że potraktujecie je jako pewną dowolność charakterystyczną dla pisarzy. Z chęcią poczytam komentarze moich czytelników, więc zapraszam, by kontaktować się ze mną przez stronę MyraJohnson.com, gdzie znajdują się też linki do moich profili w mediach społecznościowych oraz informacje o pozostałych książkach mojego autorstwa.

Z serca błogosławię i dziękuję,
Myra Johnson